

P. 9.786 Clw. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/322 - 8/323

1974



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

N. N. Z WARSZAWY :

JAK ROZUMIEM LIST SOŁŻENICZYNA

M. BRONSKI :

O TWÓRCZOŚCI JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

T. ŻENCZYKOWSKI :

GENEZA I KULISY PKWN

A. WOJCIESZAK :

GIERKOWSKA EKONOMIA W ODWROCIE

A. KRUCZEK :

ŻYCIE I ŚMIERĆ W ŁAGRACH

SPIS RZECZY

N.N. z Warszawy:	<i>Jak rozumiem list Sołżenicyna do przywódców Związku Sowieckiego</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	21
M. Broński:	<i>Twórczość Jarosława Iwaszkiewicza</i> ..	32
Tadeusz Nowakowski:	<i>P o p i e l e c</i>	41
W I E R S Z E		
Adam Czerniawski:	<i>Pierwszy śnieg. — Autopsja. — Wyspa Gaunilona. — Samosąd</i>	89
Aleksander Szpigielblat:	<i>Samotne litery</i>	91
O B S E R W A T O R I U M		
J. Mier.:	<i>Anty-odwilż</i>	92
Marcin Wyziembło:	<i>Życie rocznicowe w PRL</i>	94
A R C H I W U M P O L I T Y C Z N E		
Juliusz Mieroszewski:	<i>O „czwartym świecie” i innych sprawach</i>	99
Roman Krukowiecki:	<i>Czy nowa era we Francji?</i>	110
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	118
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	127
30-LECIE PRL		
Tadeusz Żenczykowski:	<i>Geneza i kulisy PKWN</i>	138
—	<i>Skonfiskowany Manifest</i>	164
—	<i>A był czas kiedy i cenzorzy...</i>	169
S A Ś I E D Z I		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	171
Bohdan Osadczyk:	<i>Kronika ukraińska</i>	177
Leonard Rheinisch	<i>Dwa razy: Niemcy i Polacy</i>	180
K R A J		
Aleksander Wojcieszak:	<i>Gierkowska ekonomia w odwrocie</i> ..	183
K R O N I K A K U L T U R A L N A		
Widz:	<i>„Ślub” w Warszawie</i>	201
—	<i>Konkurs i nagrody Kiermaszu Książki Polskiej</i>	204
—	<i>Two Opieki nad Polskimi Zabytkami we Francji</i>	205
—	<i>Poszukiwanie listów H. Sienkiewicza</i> ..	206
K S I A Ź K I		
Adam Kruczek:	<i>Życie i śmierć w łagrach (2-gi tom „Archipelagu GUŁag”)</i>	207
Mieczysław Maneli:	<i>Pawła Łyska traktat socjologiczno-polityczny</i>	217
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	220
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	222
♦		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	230
♦		
M. Czapska, K. Głogowski, J. Jankowski, A. Matejko, B. Mieczkowski, Cz. Miłosz, ks. W. Sojka, E. Szein:	<i>Listy do Redakcji</i>	231

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1974

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Mieczysław MANELL, ur. 1922 w Miechowie. W czasie wojny brał udział w walce podziemnej. Był więźniem Majdanka i Oświęcimia. Członek Armii Ludowej. W 1949 kończy studia prawnicze i ekonomiczne. W 1954 uzyskuje doktorat prawa i zostaje docentem Wydziału Uniwersytetu Warszawskiego, a następnie profesorem prawa i kierownikiem Katedry Historii Doktryn Polityczno-Prawnych (1964). Czterokrotnie wybierany na stanowisko Dziekana Studium Zaocznego Wydziału Prawa U.W. (1956-63). Dwukrotnie reprezentował PRL w Komisji Międzynarodowej w Wietnamie; w latach 1963-1964 był Szefem Delegacji Polskiej. W roku 1968 wydany z U.W. przez rząd PRL za „działalność dydaktyczną pozostającą w rażącej sprzeczności z celami Państwa Ludowego”. W 1968 zaproszony przez City University of New York, Queens College, zostaje profesorem zwyczajnym na Wydziale Nauk Politycznych.

Ważniejsze publikacje: *War of the Vanquished* (New York, 1971); *Historia Doktryn Polityczno-Prawnych* (5 tomów, 1963-68); *O funkcjach Państwa*, 1963; *Machiavelli*, 1968; *O działalności Państwa Socjalistycznego*, 1957.

WPLATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Dr Jan S. Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz pierwszy	F. 100,00
Feliks Jabłoński, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 25,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dwudziesty drugi	F. 100,00
W. Łuszczak, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 25,00
Adam Nasielski, Cooma North, NSW (Australia), po raz drugi	F. 500,00
Dr Adolf Richter, Bahamas, po raz trzeci	F. 60,00
Viktor R. Skiiba, Meksyk, po raz piętnasty	F. 70,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii	F. 100,00
I. Strycharz, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz czwarty ..	F. 25,00
Teatr Polski w Adelaidzie (Australia)	F. 144,20
Irena i Wiktor Zahorscy, Detroit, Mich. (USA), po raz czwarty	F. 25,00
Bezimiennie z Belgii	F. 245,00
Bezimiennie z Rodezji, po raz trzeci	F. 108,55

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.



P.9.786 Ch. Arch

Jak rozumiem list Sołżenicyna do przywódców Związku Sowieckiego

Mam przed sobą cienką broszurkę — wydany po rosyjsku w Paryżu list Sołżenicyna do przywódców Związku Sowieckiego. List datowany jest 5 września 1973 roku, a zatem kilka miesięcy przed banicją pisarza z ojczystego kraju. Również — przed wydaniem „Archipelagu Gułag”, a wreszcie, jak dowiadujemy się z dołączonego obecnie przez autora zwyciężonego wstępu — przed dostaniem się egzemplarza „Archipelagu” w ręce KGB.

Zanim dotarł do mnie w oryginale kompletny tekst listu Sołżenicyna, wiele o nim słyszałem, czytałem również jakieś streszczenia i omówienia w prasie zachodniej. Na podstawie tych streszczeń nie zdołałem sobie wyrobić zdania o dokumencie, który ze względu na autora bardzo mnie, rzecz jasna, interesował. Tym mniej — na podstawie rozmów z ludźmi, którzy, nawet jeżeli świeżo przybywali z Zachodu, także w najlepszym razie znali tylko francuskie lub angielskie omówienia prasowe. Ale uderzył mnie fakt, że na ogół ów list Sołżenicyna (w postaci, w jakiej go znali) niemile wszystkich zaskoczył. Słyszałem zdania, że pisarz się tym tekstem skompromitował. Sołżenicyn — powiadano — brata się tu z Breżniewem *et consortes*, proponuje im porozumienie na zasadzie rosyjskiej wspólnoty narodowej, ostrzega przed chińskim niebezpieczeństwem. Autor książek o nieludzkości panującego w ZSSR systemu odsłonił oblicze rosyjskiego nacjonalisty.

Cóż, wiadomo, że prądy nacjonalistyczne są wśród Rosjan dość silne. Pewne grupy o takim zabarwieniu cieszą się w Moskwie oficjalnym poparciem, mają możliwość głoszenia swojej ideologii na łamach prasy (np. miesięcznika *Metodaja Gwardia*) i wpływają na ukształtowanie się w podatnej na to części społeczeństwa osobliwego zlepka poglądów szowinistyczno-komunis-

tycznych. Inne grupy pozostają w opozycji do komunizmu i są prześladowane, ale hasła rusofilskiego wybrannictwa, które głoszą (często za pośrednictwem samizdatu), nie budzą wśród nas, Polaków, sympatii do tego odłamu dysydentów. Otóż Sołżenicyn miałby listem do władców Kremla uplasować się gdzieś pomiędzy rosyjskimi nacjonalistami, „glebomanami” i mocarstwami.

Ośrodki kształtowania opinii, którym zawdzięczamy podobne interpretacje, podtrzymują je, *nota-bene*, w dalszym ciągu, i to już nie w formie aluzji, lecz operując jednoznacznymi etykietkami. Moskiewski korespondent *Le Monde* w numerze z 17 kwietnia br. określa duch listu Sołżenicyna jako „z gruntu reakcyjny, fundamentalnie paseistyczny i stanowczo nacjonalistyczny”. Powołuje się przy tym nie tylko na rozczarowanie zachodniej lewicy, która przedtem „źle znała Sołżenicyna”, lecz również na krytykę jego tez przez reprezentantów opozycji w ZSSR, w szczególności — profesora Sacharowa. Profesor Sacharow, jak wolno sądzić, zna orędzie swojego przyjaciela w postaci autentycznej i sąd swój sformułował chyba nie tylko pod wpływem zde gustowanych lewicowców i pół-lewicowców paryskich, a zatem... Wszystko razem zaczynało mnie już szczerze martwić, ponieważ z podziwem dla wielkiego pisarza i bojownika o prawdę wolałbym móc nadal łączyć także poczucie serdeczniejszej solidarności. Ale — wszystko jest możliwe. Kiedy pewien znajomy przywiózł z podróży oryginalny tekst listu, brałem go do rąk przygotowany na wszelkiego rodzaju szoki.

Teraz, kiedy mam już za sobą parokrotną uważną lekturę wydanej w Paryżu książeczki, jestem w stanie z ulgą i całkowitym przekonaniem oświadczyć: to nie tak. Sołżenicyna odczytano wadliwie, w prasie zachodniej wycytowano bez należytej dbałości o oddanie istoty jego poglądów i dążeń, z wielkim staraniem natomiast, by rzecz wypadła sensacyjnie, co się zaś tyczy licznych odbiorców z drugiej ręki — ci z nadto zaufali złym pośrednikom. Jeśli chodzi wreszcie o reakcję profesora Sacharowa, to nie do takich znów rzadkości należą przecież układy, gdy w łonie grupy walczącej o jakiś cel fundamentalny, cel, co do którego istnieje od lat głębokie porozumienie, w pewnym momencie ulegają zaostreniu ujawnione rozbieżności drugoplanowe i na publiczną dezawuację zdają się zasługiwać te szczegóły w sformułowaniach towarzysza wspólnej walki, które, jak się dostrzegło, nie są zgodne z tym, co samemu chciałoby się akurat powiedzieć. Sołżenicyn i Sacharow nigdy zresztą nie czynili tajemnicy z niezupełnej tożsamości swoich poglądów. Nie sądzę jednak, żeby uprawniało to kogokolwiek do wciskania się pomiędzy obu znakomitych dyskutantów i triumfalnego rozdmuchi-

wania dzielących ich różnic. W każdym zaś razie podpieranie autorytetem Sacharowa (być może, znów dowolnie wycytowanego) „straconych złudzeń” nader postępowych (ale niedokładnie rozumiejących, o co chodzi) inteligentów zachodnich jest, ostrożnie mówiąc, mało uzasadnione, tym bardziej, że — jak przyznaje cytowany korespondent *Le Monde* — Sacharow nie sprzeciwia się głównym diagnozom Sołżenicyna, kwestionuje tylko proponowane przezeń remedia...

W sytuacji, która się wytworzyła, pilnie potrzebna wydała mi się próba lepszego pośrednictwa pomiędzy autorem listu a tymi czytelnikami polskimi, interesującymi się Sołżenicynem, którzy mają niewielką szansę bezpośredniego zapoznania się z oryginałem. Może to z mojej strony nadmierne zadufanie, kiedy z kolei oznajmiam w tym miejscu, że ja właśnie — ani zawodowy polityk, ani publicysta — próbę taką pragnąłbym podjąć. Sądząc jednakże, iż zdołałem odczytać list Sołżenicyna w sposób bardziej zgodny z jego intencjami, niż się to udało (albo: niż na tym zależało) autorom francuskich i innych streszczeń, uważam podzielenie się z rodakami moim rozumieniem tego dokumentu za coś w rodzaju obowiązku obywatelskiego*.

Sołżenicyn nie jest Holendrem

Opowiada się w Warszawie o rozmowie dwóch literatów w kawiarni. Pierwszy, wydymając pogardliwie wargi, miał powiedzieć o Sołżenicynie: „W końcu wylazł z niego Rosjanin”. Na to drugi (podobno Antoni Słonimski) zareplikował: „Czyżby kiedykolwiek podawał się za Holendra?”.

Na początku listu do przywódców ZSSR Sołżenicyn określa jego temat: „co uważam za ocalenie i dobro dla naszego narodu” — i zaraz dorzuca: „Życzę dobra wszystkim narodom i im bliżej nas mieszkają, w im większej zależności od nas — życzę tym goręcej. Ale nade wszystko troszczę się o los właśnie narodu rosyjskiego oraz ukraińskiego, wedle przysłowia — gdzie się

* W trakcie pracy nad niniejszymi uwagami nastroczyła mi się okazja zajrzenia do kwietniowego numeru paryskiej *Kultury*. W numerze tym Adam Kruczek, sprawozdawca zawsze rzetelny i kompetentny, streścił list Sołżenicyna w sposób prawie co do joty zgodny z moim odbiorem. Jeżeli mimo to nie rezygnuję, jak zamierzałem w pierwszej chwili, z rozpoczętej eksplikacji poglądów rosyjskiego pisarza, czynię tak w przeświadczeniu, że w tej poważnej i obrosłej nieporozumieniami sprawie nigdy za dużo wyjaśnień, ponadto zaś — chciałbym ją potraktować nieco obszerniej niż mógł sobie na to pozwolić Kruczek w sprawozdaniu poświęconym różnym tematom.

urodzi, tam się przygodzi, a także głębiej — z powodu przeżytych przez nas niewymownych cierpień”.

Motywy te powracają w wielu miejscach listu, i kiedy na przykład pisarz wysuwa program swoistego *izolacjonizmu* narodu rosyjskiego w borykającym się z mnóstwem kłopotów świecie, to odczuwa potrzebę wytłumaczenia: „Nie uważałbym za moralne doradzanie polityki odosobnionego ratowania się wśród powszechnych trudności, gdyby naród nasz w XX wieku nie wycierpiał, jak sądzę, najwięcej ze wszystkich narodów świata: *niezależnie* od dwóch wojen światowych straciliśmy przez same własne i zamieszki domowe, przez wewnętrzną, „klasową” eksterminację polityczną i gospodarczą — 66 (sześćdziesiąt sześć) milionów ludzi!!! [...]. Po *takich* stratach możemy sobie pozwolić na niewielką ulgę, jak rekonwalescentowi pozwala się na wytchnienie po ciężkiej chorobie. Musimy zaleczyć swoje rany, uzdrowić swoje ciało narodowe i swego narodowego ducha. Oby starczyło nam sił, rozumu i serca do urządzenia własnego domu, a zajmowaniu się całą planetą dajmy już spokój. I przecież, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, cały świat tylko wygra na tym”.

Mniejsza o domniemanie Sołżenicyna, że naród rosyjski wycierpiał w XX wieku najwięcej ze wszystkich. Znalazłoby się chyba jeszcze parę narodów, które mogłyby przystąpić do licytacji ofiar i męczeństwa — gdyby licytacja taka miała choć odrobinę sensu.

Prawdą jest natomiast, że dziesięciolecia, jakie upłynęły od rewolucji bolszewickiej, były dla narodu rosyjskiego epoką niezmiernych tortur i upływu krwi — i trudno się dziwić, że Rosjanina, pisarza rosyjskiego, wieloletniego więźnia rosyjskich obozów, naocznego świadka komunistycznego ludobójstwa w Rosji najbardziej boli to właśnie, co wycierpieł jego rodacy.

Leszek Kołakowski ogłosił swego czasu na łamach *Kultury* manifest, który zatytułował: „Sprawa polska”. Literatura polska — i bynajmniej nie ta spod nacjonalistycznego znaku — bez ustanku żyje *sprawą polską*, a my, czytelnicy, przyzwyczailiśmy się, że to normalne.

„Co uważam za ocalenie i dobro dla naszego narodu” w ujęciu Aleksandra Sołżenicyna — to jego *sprawa rosyjska*, ani trochę mniej oczywista, ani trochę bardziej naganna czy moralnie wątpliwa.

Nacjonalizmu nie potrafię się w tym dopatrzeć.

Przecież Sołżenicyn nigdzie nie twierdzi, że uważa swój naród za *lepszego* od innych, za przeznaczony do *panowania* nad innymi, do *przewodzenia* innym, nie utrzymuje, że za jego wielkie niedole należą się narodowi rosyjskiemu *zadośćuczynienia terytorialne*, nie chce przysporzyć mu większej chwały przez *ekspansję*

militarną, polityczną czy gospodarczą. Przeciwnie: ostrzega przed ekspansją, doradza zwinienie już istniejących przyczółków i rezygnację z tworzenia nowych. Perswaduje: „Cała historia powszechna dowodzi, że narody, które stworzyły imperia, zawsze ponosiły uszczerbek duchowy. Cele wielkiego imperium są nie do pogodzenia ze zdrowiem duchowym narodu”. Z naciskiem domaga się przeniesienia centrum uwagi „z terenów zewnętrznych na wewnętrzne”, a także „z zadań zewnętrznych na wewnętrzne”. Stwierdza przy tym *expressis verbis*: „Oczywiście, takie przeniesienie wcześniej lub później musi doprowadzić do zdjecia naszej kurateli z Europy Wschodniej. Nie może być również mowy o zatrzymaniu przemocą w obrębie państwa jakiegokolwiek narodu zamieszkującego kresy naszego kraju (w oryginale: *kakoj-libo okrainnoj nacji*)”. Czyli — narodów, graniczących ze światem zewnętrznym, narodów, których położenie geograficzne czyni realnym ich wyodrębnienie z Rosji: Estończyków, Łotyszów, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Tatarów krymskich (jeżeli wrócą na Krym), Ormian, Gruzinów, Azerbejdżan, Turkmenów, Tadżyków... Możliwe zresztą, że Sołżenicyn wolałby żeby niektóre z tych narodów (na przykład Ukraińcy i Białorusini) nie skorzystały z szansy zerwania z Rosją i pozostały z nią w jakimś dobrowolnym związku. Ale wystarczy, że wyklucza zatrzymanie któregośkolwiek z nich przemocą przy Rosji. Patriotyczny (bo mający na celu dobro własnego narodu) program Sołżenicyna nie przemienia się w depcząco aspiracje, prawa i godność innych narodów program nacjonalistyczny.

Tym różni się między innymi od niektórych ruchów narodowych naszej epoki, nie cofających się przed terrorem, przelewem krwi, wojną, popieranymi atoli bez zastrzeżeń przez postępową inteligencję zachodnią.

Różni się też od „racji stanu” (aprobowanej przez *Le Monde*), dla której Francja wyłamuje się z sojuszu wolnych demokracji zachodnich, nie tylko ulegając szantażowi moskiewsko-arabskiemu, ale aktywnie utrudniając wspólną obronę przed agresją komunizmu i naftowego imperializmu.

Wracając zaś w tym kontekście do sprawy polskiej, jakże nie dorzucić, że patriota rosyjski, proklamujący likwidację imperium — chociaż czyni to nie tyle ze względu na nas, co na swoje rozumienie dobra własnego narodu — jest najlepszym sprzymierzeńcem sprawy polskiej, i oby takich jak on było więcej!

Owszem, są w Rosji ludy, których uniezależnienie wydaje się Sołżenicynowi po prostu nierealne. Chodzi o plemiona syberyjskie, w stosunku do których, jak stwierdza, ciąży na Rosji „historyczny grzech”: podczas kolonizacji Sybiru wielu jego

rdzennych mieszkańców wytępiono, innych wyparto z należących do nich terenów.

„Tak — kontynuuje Sołżenicyn — to było, było w XVI wieku, ale tego w żaden sposób nie da się już naprawić. Odtąd rozległe te obszary pozostają mało zaludnione, a nawet bezludne. Wedle spisu ludności rdzennych mieszkańców Północy jest 128 tysięcy, są oni rozrzućeni w rzadkich skupiskach na ogromnym terytorium, przez zagospodarowanie Północy ani trochę ich nie krzywdzimy. Przeciwnie, dzisiaj w sposób naturalny podtrzymujemy ich byt i egzystencję, nie szukają dla siebie osobnego losu i nie mogliby go już znaleźć. Ze wszystkich problemów narodowościowych, stojących przed naszym krajem, ten jest najmniej drastyczny, prawie nie istnieje”.

Czyli: wobec faktów dokonanych — i to w odległej przeszłości — trudno o rozstrzygnięcia alternatywne, ponieważ, niestety, nie mają już one przedmiotu. (Czyż inaczej wygląda, na przykład, sprawa Indian amerykańskich?) Pogląd Sołżenicyna, że historyczny grzech Rosji wobec syberyjskich tubylców jest nie do odrobienia, należy do konstatacji, istotnych także dla jego obrazu teraźniejszości i przyszłości Rosji, nie wpływa natomiast na system poglądów etycznych, nie stanowi poprawki do systemu, która podważałaby opinię o Sołżenicynie jako o patriocie, ale nie nacjonalście rosyjskim.

Tyle zatem — że czuje się Rosjaninem i gorącym, namiętym orędownikiem swego udręczonego przez komunizm narodu — da się odczytać na temat Aleksandra Sołżenicyna z jego listu do wodzów.

Ale to nie nowina: każdy w miarę wnikliwy czytelnik jego dzieł — od „Jednego dnia Iwana Denisowicza” i „Zagrody Matryony” do „Archipelagu Gułag” — mógł i powinien był dawno zrekonstruować sobie takie właśnie oblicze wielkiego pisarza.

Ani bezpośrednio, ani pośrednio — przez swoje tematy, postacie, wątki, obsesje — Sołżenicyn nigdy nie podawał się za Holendra.

Założenia listu do przywódców ZSSR

Założenie pierwsze: życie w ZSSR jest nie do zniesienia, kraj ginie z nędzy, notorycznie źlej gospodarki (zwłaszcza zrujnowanego przez kolektywizację i nadal rujnowanego rolnictwa), braku perspektyw, wszechobecnego złodziejstwa, kłamstwa, pijaństwa, upadku kultury, deprawacji młodzieży, wyzysku kobiet, bezmyślnego niszczenia przyrody. „Czyżby to właśnie był ów nęcący socjalizm-komunizm, dla którego ponoszono wszystkie ofiary i zginęło 60-90 milionów?”.

Ale — założenie drugie:

„...doświadczenie historii Rosji uczyniło mnie przeciwnikiem wszelkich rewolucyj i zbrojnych wstrząsów, także tych przyszłych: których pragniecie (*nie u nas*) i których się obawiacie (*u nas*). Przekonałem się, że masowe krwawe rewolucje zawsze są zgubne dla narodów, pośród których się rozgrywają. I pośród naszego obecnego społeczeństwa wcale nie jestem osamotniony w tym przeświadczeniu”.

Założenie pierwsze — to świadomość niezbitego faktu, założenie drugie — wniosek z szeregu faktów, który trzeba uszanować, choć można się z nim nie w pełni zgodzić albo wcale nie zgodzić. Co do mnie, to czuję się rozdarty: zło rewolucji jest mi znane, przynajmniej od kilkunastu lat stale się nad nim zastanawiam i dochodzę w zasadzie do podobnych wniosków, co Sołżenicyn, a jednocześnie trudno mi uwierzyć w dobrowolną *ewolucję* czegoś, co jest złem, w kierunku dobra, i wiem, że w Polsce te drobne ustępstwa rządzących na rzecz rządzonych, jakie się zdarzały, te częściowe zahamowania procesu zła, jakie obserwowaliśmy w roku 1956 i 1970, zawdzięczamy jednak gwałtownym manifestacjom ludowego sprzeciwu, jakimś tam, co tu gadać, mikrorewolucjom. I jeżeli czekam, wraz z innymi, na upadek sowieckiego imperium, to, prawdę powiedziawszy, spodziewam się go jedynie po wstrząsach z zewnątrz i wewnątrz. Z tym wszystkim — zasadnicze odrzucenie przez Sołżenicyna rewolucji doskonale rozumiem i respektuję. A skoro tak, muszę potraktować serio wynikające stąd kolejne założenia listu, przede wszystkim to — trzecie — że ma jakiś sens apel do władców Kremla, próba przedłożenia im swoich poglądów, ocen i propozycji, zmierzających do poprawy życia ludu rosyjskiego.

Sołżenicyn przyznaje w słowie wstępnym, że napisał swój list z minimalną nadzieją na jego skuteczność, ale nie bez wszelkiej nadziei. Opierał ją na precedensie historycznym — „Chruszczowskim cudzie” z lat 1955-56, polegającym na niespodziewanym i nieprawdopodobnym zwolnieniu milionów niewinnych więźniów.

„Ten poryw działalności Chruszczowa wykroczył daleko poza potrzebne mu kroki polityczne, był niewątpliwym odruchem serca, z istoty swej — wrogim ideologii komunistycznej, nie do pogodzenia z nią (dlatego też tak pośpiesznie odwrócono się i metodycznie odsunięto od niego). Odmówić sobie prawa do hipotezy, że coś podobnego może się powtórzyć, to kompletnie przekreślić nadzieję na pokojową ewolucję naszego kraju”.

Skoro odrzuciło się rewolucję antykomunistyczną jako zło niewątpliwe (nie dlatego, że antykomunistyczna, ale że rewolucja), założenie, że możliwy jest „odruch serca” ze strony Breżniewa

i jego kompanów, jakkolwiek problematyczne, chroni przed absolutną rozpaczą i beznadzieją.

Szukając nadziei w próbie dialogu z wodzami, Sołżenicyn nie wpada jednak w skrajną naiwność.

Dobrze wie — oto kolejne założenie listu — że jego adresaci nie wypuszczą dobrowolnie władzy z rąk.

„...nie zapomniałem ani na chwilę — *pisze nie bez sarkazmu* — że jesteście skrajnymi realistami, od tego też zacząłem rozmowę. Jesteście wyjątkowymi realistami i nie pozwolicie, żeby władza wymknęła wam się z rąk. Dlatego nie dopuszczacie z dobrej woli do dwu- lub wielopartyjnego systemu parlamentarnego u nas, nie dopuszczacie do realnych wyborów, w których można by było was nie wybrać. I na zasadzie realizmu muszę przyznać, że długo jeszcze będzie to w waszej mocy. Długo, lecz nie wiecznie”.

Skoro realizm uczy, że o oddaniu władzy nie może być mowy, Sołżenicyn w liście przystaje, chcąc nie chcąc, na zachowanie jej przez adresatów. Proponuje zaledwie pewne modyfikacje, które władzę tę uczynią mniej straszną, mniej przytłaczającą, mniej absurdalną dla poddanych. Apeluje o ograniczenie bezprawia, samowoli partyjnych kacyków, na rzecz *prawa*, które nawet w ustroju autokratycznym nie musi i nie powinno być papierowe. Przywrócenie realności praw, choćby nawet w postaci reaktywowania ogłoszonej niegdyś „władzy rad”, nawet w postaci stosowania konstytucji z 1936 roku, która:

„nie była stosowana ani przez jeden dzień i dlatego wydaje się niezdolna do życia”

— byłoby już błogosławioną odmianą dla mieszkańców ZSSR.

„Ustrój autokratyczny — *przypomina też Sołżenicyn* — nie musi oznaczać, że władza ustawodawcza, wykonawcza i sądowa nie są samodzielne i w ogóle nie są władzą, lecz wszystkie podporządkowane są dzwoniącemu telefonicznie od jedynej faktycznej władzy, która sama siebie ustanowiła”.

Pamiętając, że narzucił sobie „ramy okrutnego realizmu”, pisarz stwierdza z ironiczną rezygnacją: „Nie zaniedbacie, oczywiście zachowania swojej partii jako silnej organizacji zjednoczonych współników, jak również swoich zakonspirowanych przed masami (zamkniętych) narad”. Ale niech na przyszłość — czy to aby ciągle jeszcze realizm i minimalizm? —

„dowolne stanowisko państwowe nie będzie bezpośrednim rezultatem przynależności partyjnej, jak teraz”.

I niech się zmieniają zadania, jakie partia przed sobą stawia: niech wyrzeknie się niepotrzebnej i niewykonalnej misji panowania nad światem, na rzecz podstawowych celów narodowych:

uratowania przed wojną z Chinami i przed zagładą technologiczną.

„Kierować naszym krajem musi *względ na wewnętrzny*, duchowy, zdrowy rozwój narodu, wyzwolenie kobiety od katorgi pracy zarobkowej, zwłaszcza od łomu i łopaty, naprawienie szkoły, wychowanie dzieci, ocalenie gleby, wód, całej przyrody rosyjskiej, uzdrowienie miast, zagospodarowanie Północnego Wschodu...”.

Do częstych nieporozumień należy przypisywanie Sołżenicynowi ochoczej zgody na ustrój autokratyczny i idącej z tym w parze antypatii do demokracji. W rzeczywistości po wyłuszczeniu takich przesłanek, jak wzdraganie się przed ewentualną rewolucją i niewiara w dobrowolne wyrzeczenie się władzy przez komunistycznych przywódców, pisarz ironizuje (*à propos*, nikt jak gdyby nie zauważył, że piekielnie poważny Sołżenicyn *bywa* też prześmiewcą i ironistą): „W takiej sytuacji coż pozostaje nam? Przytaczać pocieszające refleksje o zielonych winogronach”. I w *tych* kontekście następuje krytyka niedoskonałości demokracji, trafna zresztą i bliska niejednemu z nas, obserwującemu z daleka na przykład, jak „niejedna grupa zawodowa nauczyła się wydierać lepszy kasek dla siebie w dowolnym ciężkim momencie swojego narodu”, albo jak „zupełnie bezradne okazały się najszacowniejsze demokracje wobec garstki zasmakanych terrorystów”. Trafne, powtarzam, są te smutne obserwacje, a choć najtrudniej wyrokować, trafne czy nietrafne następujące za nimi przypuszczenie o niedojrzałości historycznej Rosji do ustroju innego niż autokratyczny — faktem jest, że wszystkie te uwagi poprzedza sygnał o kwaśnych winogronach czyli (któż nie pamięta Lafontaine’a) — o czymś upragnionym i nieosiągalnym.

Nie broniąc już dłużej Sołżenicyna przed chybionym zarzutem opowiadania się za ustrojem autokratycznym, wróćmy jeszcze do propozycji, jakie stawia on temu ustrojowi, póki stanowi on, zdaniem pisarza, jedyną realność w Rosji. Miłosierdzia dla więźniów! — woła, a także:

„Trzeba będzie, ma się rozumieć, zrezygnować na wieki z przemocy psychiatrycznej i z tajnego sądownictwa, i z tego okrutnego, amoralnego worka obozów, gdzie tych, co zawinili lub zbłądzili, kaleczy się dalej i unicestwia”.

Z kolei:

„Żeby kraj i naród się nie uduślił, żeby mógł rozwijać się i wzbogacać nas w idee, zezwólcie na uczciwe współzawodnictwo — nie gwoli władzy! gwoli prawdy! — wszystkich prądów ideologicznych i etycznych, w szczególności *wszystkich religii* [...] zezwólcie na wolną sztukę, literaturę, wolność druku — uchowaj Boże, nie dzieł politycznych! nie odezw! nie ulotek przedwyborczych — lecz prac badawczych z dziedziny filozofii, etyki, ekono-

mii i socjologii, przecież wszystko to przyniesie bogaty plon, będzie owocowało ku pożytkowi Rosji”.

Przyznam się, że to założenie Sołżenicyna — iż przy zachowaniu ustroju autokratycznego i aktualnej obsady stanowisk w Rosji możliwe są takie reformy, jak wprowadzenie uczciwego sądownictwa, wolności sumienia, druku itd. — wydaje mi się najbardziej utopijne. Pisarz wspiera je wielokrotnie powtarzaną sugestią, że ci, do których się zwraca, są jak i on Rosjanami, a więc zapewne patriotami, przywiązanymi do swojej ziemi, narodu, historii, nie całkiem niewrażliwymi na pomysł uczynienia tego narodu szczęśliwszym, może wreszcie odczuwającymi ukrytą potrzebę odkupienia fatalnej przeszłości, do której przyłożyli rękę... W jakim stopniu sam w to wierzy, w jakim zaś — pragnie wmówić swoim „partnerom”, aby zyskać choć taki punkt wyjścia (no bo jaki inny mógłby im zaproponować) do dalszego dialogu? Późniejszy wstęp do listu zawiera jeszcze i tego rodzaju komentarz:

„List ten zrodził się i rozwinął z jednej myśli: jak uniknąć grożącej nam katastrofy narodowej? Mogą zdziwić niektóre zawarte w nim propozycje praktyczne. Gotów jestem natychmiast je wycofać, jeżeli przez kogoś zostanie wysunięta nie dowcipna krytyka, lecz konstruktywna droga, wyjście lepsze, a przede wszystkim w pełni realne, z wyraźnie określonym kierunkiem. Nasza inteligencja jest zgodna jak jeden mąż w wyobrażeniu o pożądanej przyszłości naszego kraju (najszerze swobody), ale tak samo jak jeden mąż palcem nie ruszy dla owej przyszłości. Wszyscy tknięci czaarem czekają, czy coś nie zdarzy się s a m o. Otóż nie, nie zdarzy się”.

Takie są podstawowe założenia listu Sołżenicyna do przywódców Związku Sowieckiego i przesłanki wyłuszczonej w liście zaleceń.

Dwa główne niebezpieczeństwa

Grożąca Rosji katastrofa narodowa, o której wspomina pisarz, polega, według niego, przede wszystkim na dwóch niebezpieczeństwach. Są nimi: „wojna z Chinami i wspólna z cywilizacją Zachodu zagłada w ciasnocie i smrodzie zanieczyszczonej Ziemi”.

Wojna z Chinami jest nie do wygrania, ponieważ Rosja będzie tu miała do czynienia z przeciwnikiem tak liczny, jak nigdy w swojej historii (prawie miliard ludności), o cechach bynajmniej nie sprzyjających rozkładowi wojska i tyłów (pracowitość, wytrwałość, poświęcenie, totalitarna dyscyplina „ani trochę nie łagodniejsza od naszej”). Nie podobna żywić złudnej nadziei na zwycięski *Blitzkrieg*, wojna będzie długa i uciążliwa,

przypominając przegraną przez Amerykę wojnę wietnamską, Rosja straci w niej kolejne 60 milionów głów, co będzie równe praktycznemu unicestwieniu narodu rosyjskiego w ogóle.

„Już to jedno — *perswaduje Sołżenicyn* — będzie oznaczało *kompletne* przegranie tej wojny, niezależnie od wszelkich pozostałych jej skutków (pod wieloma względami nie pocieszających, w tej liczbie i dla waszej władzy, jak rozumiecie). Serce się kraje: wyobrazić sobie, jak nasza młodzież i najwartościowsze dojrzałe roczniki pomaszczą i pojadać ginąć na wojnie, i to jakiej? — IDEOLOGICZNEJ, o co? — przede wszystkim o martwą ideologię. Myślę, że nawet wy nie jesteście zdolni do wzięcia na siebie takiej straszliwej odpowiedzialności! Dławiące współczucie budzą także szeregowi Chińczycy — ponieważ będą oni najbardziej bezradnymi ofiarami tej wojny...”.

Oto zaś wnioszek:

„Ta fatalna przyszłość, szybko zbliżająca się ku nam, kładzie się brzemieniem na nas dzisiejszych — i tych, którzy mają władzę, mają moc wpływania na bieg wydarzeń, i tych, którzy mają tylko głos, żeby zawołać: tej wojny nie powinno być w ogóle, TA WOJNA WCALE NIE POWINNA DOJŚĆ DO SKUTKU! Nie na tym polega zadanie, by wojnę tę *wygrać*, ponieważ wygranie jej nie jest dla nikogo możliwe, lecz by JEJ UNIKNĄĆ!”.

Nikomu z czytelników sensacyjnych nagłówków: „Sołżenicyn ostrzega Breżniewa przed chińskim niebezpieczeństwem” itp. nie przyszłoby bodaj na myśl, przed czym naprawdę ostrzega Sołżenicyn i do czego wzywa. Ostrzega zaś po prostu przed wojną, wzywa nie do zwycięstwa nad Chińczykami, lecz do uchylecia się od starcia z nimi!

Pisarz uważa, iż dwie są przyczyny, pchające do wojny sowiecko-chińskiej. Na *drugim* miejscu stawia łakome zerkanie przeludnionych Chin na ciągle nie zagospodarowaną, ciągle pustą Syberię. Na *pierwszym* wszakże — rywalizację ideologiczną:

„Oto już od 15 lat pomiędzy wami i wodzami chińskimi toczy się spór, kto trafniej pojmuje, interpretuje i kontynuuje Ojców Przodującego Światopoglądu. I obok konfliktu państwowego, i ostrzej od niego, wyrasta pomiędzy naszymi krajami to globalne współzawodnictwo, pretensja do jednoznacznej interpretacji doktryny komunistycznej i prowadzenia za sobą zgodzie z nią wszystkich ludów świata”.

Tak widząc główną przyczynę konfrontacji, jako tym bardziej absurdalne odczuwa Sołżenicyn, iż 60 milionów Rosjan ma złożyć głowy „za to, że fundamentalna prawda wydrukowana została na 533 stronicy tomu Lenina, nie zaś na 335, jak utrzymuje przeciwnik”. W dodatku — żeby toczyć tę wojnę, obie strony walczące będą musiały wewnątrz swoich szeregów pójść na szeregi ustępstw ideologicznych, jak swego czasu musiał to uczynić Stalin, mobilizując ludzi przeciw Hitlerowi nie pod niewystar-

czająco atrakcyjnymi, jak się okazało, hasłami komunistycznymi, lecz pod starymi sztandarami rosyjskości i prawosławia. Wojna rosyjsko-chińska zmusi do takiej samej reorientacji, czy nie lepiej więc dokonać jej wcześniej i w ten sposób — zdaniem autora — uniknąć wojny?

„Oddajcie im tę ideologię! — *namawia Sołżenicyn.* — Niech chińscy wodzowie ponapawają się nią przez krótki czas. I za to niech władają na siebie cały wór niewykonanych zobowiązań międzynarodowych, i stękają, i ciągną, i pouczają ludzkość, i finansują wszelkie niezdarzone systemy gospodarcze, milion dziennie dla samej Kuby, i utrzymują terrorystów i partyzantów południowych kontynentów.

Odpadnie najważniejsza okrutna waśń pomiędzy nami a nimi, odpadnie mnóstwo punktów obecnego współzawodnictwa i kolizji w całym świecie — i konflikt zbrojny zostanie na długo odsunięty, a może, kto wie — *w ogóle nigdy do niego nie dojdzie*”.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Sołżenicyn mocno przecenia rolę dyskusji doktrynalnej w konflikcie sowiecko-chińskim. Do kwestii wyolbrzymiania w ogóle przez Sołżenicyna motywacji ideologicznych w dzisiejszym komunizmie wypadnie powrócić trochę niżej. Ale istotą rzeczy jest tu co innego: próba namówienia wodzów kremlofskich, żeby nie stawiali na wojnę, lecz na pokój z Chinami, żeby dobrowolnie odstąpili Chińczykom tereny działania swoich jawnych i tajnych agentur w świecie, żeby tak lub inaczej przysypali popiołem dobrej woli tłący się od lat płomień groźnego konfliktu na Wschodzie...

Poza Chinami, z którymi „lepiej wcale nie wojować”, nikt więcej, zdaniem Sołżenicyna, nie zagraża militarnie Związkowi Sowieckiemu. Stąd — żądanie gruntownej redukcji zbrojeń i przygotowań wojennych, w tym — oczyszczenia nieba z ryku ćwiczących odrzutowców, przywrócenia krajowi *ciszy*.

„Nadszedł też czas — *powiada pisarz (i tu przypomina się „list otwarty” Kuronia i Modzelewskiego do PZPR)* — żeby zwolnić młodzież rosyjską z powszechnego obowiązku służby wojskowej, którego nie ma ani w Chinach, ani w Stanach Zjednoczonych, ani w żadnym wielkim kraju. Utrzymujemy to wojsko ciągle z tej samej generalskiej i dyplomatycznej próżności — dla prestiżu, z pychy; gwoli ekspansji zewnętrznej, której należy się wyrzec, fizycznie i duchowo ratując samych siebie; a wreszcie — z fałszywego wyobrażenia, że młodzieży męskiej nie da się *wychować* z korzyścią dla państwa inaczej niż przepuszczając ją w ciągu długich lat przez wojskowy kocioł”.

Sprzeciwia się więc Sołżenicyn nie tylko nastawieniu na wojnę z Chinami, lecz w ogóle sowieckiemu militaryzmowi, wszystkim jego przejawom i konsekwencjom.

Drugie niebezpieczeństwo, grożące w perspektywie kilku dziesięcioleci prawie nieuchronną (jeżeli natychmiast się jej nie przeciwdziała) katastrofą, wiąże się z problematyką, znaną już od

pewnego czasu społeczeństwom zachodnim i nie otoczoną specjalnym tabu również w Polsce. Chodzi o wynikający z przyspieszonego rozwoju cywilizacji i zbliżający się nadal z przeraźliwie rosnącą szybkością (na zasadzie tzw. wzrostu wykładniczego) pułap możliwości utrzymania życia na ziemi. Do kompleksu zagadnień, o których mowa, wchodzi m.in. gwałtownie rosnąca liczba ludności i ograniczona możliwość jej wyżywienia, dalej — postępujące wyczerpanie rozmaitych zasobów naturalnych (na przykład paliw), wreszcie — rosnący wraz z rozwojem produkcji przemysłowej stan zanieczyszczenia ziemi, powietrza i wody, prowadzący do tak kompletnego zatrucia środowiska naturalnego, że życie biologiczne przestanie już być w nim możliwe. Autorzy tzw. Raportu Rzymskiego — najgłośniejszej publikacji grupy uczonych badających tę problematykę — po zbadaniu jej różnych aspektów i dokonaniu przy pomocy komputerów niezbędnych obliczeń, doszli do wniosku, że dalszy „ślepy postęp” przed upływem stu lat sprowadzi na ludzkość klęskę, przed którą nie będzie ratunku. Aby tego uniknąć, proponują zastosowanie, póki nie jest za późno, „polityki świadomego ograniczania wzrostu”. Konieczne osiągnięcia techniczne — stwierdzają — „regeneracja zasobów, urządzenia do ograniczania zanieczyszczeń środowiska, środki antykoncepcyjne — będą absolutnie rozstrzygające dla przyszłości społeczeństwa ludzkiego, ale *pod warunkiem, że się je połączy ze świadomym hamowaniem wzrostu*”. (Cytuję według wydania polskiego: Donella H. Meadows, Dennis L. Meadows, Jorgen Randers, William W. Behrens III — „Granice wzrostu” — przełożyli Wiesław Rączkowska i Stanisław Rączkowski, Warszawa 1973, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne). Do uratowania będzie jedynie *świat w stanie równowagi*, która zostaje zdefiniowana jak następuje: „*liczba ludności i kapitał są w zasadzie stałe, a siły, które mogłyby je zwiększyć lub zmniejszyć, znajdują się w starannie kontrolowanej równowadze*”. I dalej: „Stan równowagi nie będzie wolny od napięć, bo żadne społeczeństwo nie może być od nich wolne. Równowaga będzie wymagała poświęcenia pewnych ludzkich swobód — takich jak posiadanie nieograniczonej liczby dzieci albo zużywanie nieograniczonej ilości zasobów naturalnych — na rzecz innych swobód, takich jak uwolnienie się od zanieczyszczenia środowiska i ciasnoty oraz od groźby załamania się systemu światowego”. Nie będę dokładnie omawiał Raportu Rzymskiego, który dla czytelników w Polsce jest dostępny i który popularyzują również (niekiedy zwalczając) zastępy wykwalifikowanych publicystów. Inaczej, o ile się orientuję, wyglądają sprawy u naszych wschodnich sąsiadów, gdzie na łamy prasy nie może się przedostać nic, co by naruszyło obowiązujący i wszechograniający optymizm —

nawet wielkie trzęsienia ziemi i katastrofy lotnicze są tam przemilczane. Dlatego zdania Sołżenicyna o „ślepych zaułku cywilizacji” i o tym, że „tuzin robaków nie może wgryzać się bez końca w jedno i to samo jabłko”, muszą na tamtym gruncie zabrzmieć jako objawienie albo herezja. Powołując się otwarcie na prace Klubu Rzymskiego i Towarzystwa Teilharda de Chardin, Sołżenicyn w swoim obrazowym języku formułuje te same w gruncie rzeczy ostrzeżenia, co zachodni badacze, tyle że nie pod adresem całej ludzkości, lecz wyłączenie — własnego kraju i jego władców.

Dochodzi do tego jeszcze szczególny moment: sięgająca wstecz w historię drwina z rosyjskich fanatyków „bezkresnego, nieograniczonego postępu” i wyrzut pod adresem socjalizmu, który nie wykorzystał szansy stworzenia własnego, oryginalnego modelu cywilizacji, przejmując to, co najgorsze, z potępianego werbalnie modelu kapitalistycznego.

„Zdawałoby się, 'pierwszy na świecie kraj socjalistyczny' — sztydzi Sołżenicyn — dający przykład innym narodom Zachodu i Wschodu, i taki 'oryginalny' w kierowaniu się niektórymi pokracznymi doktrynami — o własności, o drobnym rzemiośle — dlaczegoż to byliśmy tak nieoryginalni w technologii, tak bezmyślnie i ślepo szliśmy za cywilizacją zachodnią? [...]. Z centralnym planem, którym się szczycimy, już kto jak kto, a myśmy chyba mieli możliwość nie zniszczenia rosyjskiej przyrody, nie tworzenia antyludzkich wielomilionowych skupisk. Tymczasem uczyniliśmy wszystko na odwrót...”

„Ślepy zaułek” postępu jest wspólny dla wszystkich, ale pisarz sądzi, że:

„... cywilizacja zachodnia mimo wszystko nie zginie. Jest tak dynamiczna, tak wynalazcza, że pokona i ten wiszący nad nią kryzys, obali wiekowe fałszywe wyobrażenie i w ciągu kilku lat przystąpi do niezbędnej przebudowy”.

Co się tyczy nierozwiniętych krajów Afryki i Azji, to te zawczasu wysłuchają ostrzeżeń i „w ogóle nie pójdą zachodnią drogą”. Najgorzej wygląda sprawa w komunistycznym supermocarstwie:

„Ale my?? Z naszą ociężałością, rutyniarstwem, z niezdolnością i obawą przed zmianą choćby jednej literki, choć kreseczki w tym, co powiedział Marks o rozwoju przemysłowym przed rokiem 1848. Ekonomicznie, fizycznie — w pełni możemy się uratować. Ale drogę do ocalenia zagradza nam Jedynie Postępowy Światopogląd: jeżeli zrezygnować z rozwoju przemysłowego, to co wtedy począć z klasą robotniczą, socjalizmem, komunizmem, bezgranicznym wzrostem wydajności pracy itd.?”

Sołżenicyn usiłuje przekonać wodzów, żeby nie bali się etykiety „rewizjonistów” i — zdecydowanie rewidując dotychczasowe dogmaty w tej dziedzinie — przystąpili niezwłocznie do budowy nowego modelu cywilizacyjnego, opartego na zasadzie

stabilności, równowagi, nie zaś nierozsądnego, żarłocznego „postępu”.

Właśnie Rosja, obok trzech innych krajów świata — Australii, Kanady i Brazylii — ma tu wyjątkowe szanse, ze względu na dysponowanie obfitością jeszcze nie zagospodarowanej, dziewiczej ziemi. Na tej ziemi, konkretnie na Syberii, można zacząć nowe życie, rozsądniejsze i bezpieczniejsze od dotychczasowego...

„Ktoś powie, żeśmy i tam dużo robili, budowali — nie tyleśmy jednak budowali, co niszczyli ludzi, jak na 'martwej drodze' Salechard-Igarka, ale nie będziemy już tu przetrząsać wszystkich łagrowych historii. Tak budować, żeby zatopić wokółbajkalską koleją żelazną, a objazdową bezmyślnie pędzić górami, spalając hamulce; tak budować, jak kombinaty celulozowe na Bajkale i Selendzie, byle szybciej do zysku i zatrucia — to lepiej już się nie śpieszyć. Jak na tempo stulecia działaliśmy na Północnym Wschodzie bardzo niewiele. Ale dzisiaj można powiedzieć — całe szczęście, że tak niewiele: za to teraz możemy robić wszystko rozsądnie od początku, według zasad stabilnej ekonomiki. [...]. A zatem, wyjście jest jedno: im szybsze, tym bardziej zbawienne będzie — przeniesienie centrum uwagi państwowej i działalności narodowej [...] z dalekich kontynentów, a nawet z Europy, a nawet z południa naszego kraju — na jego Północny Wschód. [...]. Zbudowanie ponad połowy państwa na nowym świeżym miejscu pozwala na nie powtarzanie zgubnych błędów XX wieku — z przemysłem, z drogami, z miastami. Jeżeli nie podniecać się kusymi ekonomicznymi potrzebami dnia, lecz tworzyć dla naszych dzieci kraj z czystym powietrzem i czystymi wodami, trzeba będzie wyrzucić się wielu rodzajów produkcji przemysłowej z trującymi odpadami. [...]. Ekonomia nie-gigantyzmu, z drobną, chociaż wysoką techniką, nie tylko pozwoli, ale wręcz będzie wymagała zbudowania rozproszonych miast, przychylnych człowiekowi”.

Itp., itd. — nie ma powodu, żeby przytaczać tu wszystkie szczegóły Sołżenicynowskiej wizji. Kierunek jej jest wszakże jasny: uciec przed niebezpieczeństwem cywilizacyjnej zagłady ku stworzonej na dziewiczych ziemiach Syberii gospodarce równowagi. W tych, wymarzonych przez pisarza, nowych warunkach egzystencji, ludzie staną się też lepsi, moralniejsi, bogatsi duchem...

Widmo ideologii

Podobnie jak „ideologia” — czyli doktryna marksistowsko-leninowska — wydaje się Sołżenicynowi podstawową przeszkodą do pokojowego uregulowania stosunków z Chinami, tak widzi w niej główny hamulec, utrudniający niezbędną zmianę modelu cywilizacyjnego, a zresztą w ogóle winowajczynię wszelkiego zła w funkcjonowaniu państwa i systemu komunistycznego. Wszystkie własne propozycje określa jako wyraz „patriotyzmu, a zatem negacji marksizmu”. Marksizm natomiast — w lapidarnym skró-

cie — „każe nie zagospodarowywać Północnego Wschodu i pozostawić nasze kobiety z łomami i łopatami, przyspieszać zaś i finansować rewolucję światową”.

Zgadzam się z Sołżenicynem, kiedy wykpiwa prymitywne marksistowskie formułki społeczno-ekonomiczne i wypomina doktrynie wszystkie jej niesprawdzone przepowiednie, chybione diagnozy, niedołożne pomysły urządzenia świata.

Sądzę natomiast, że Sołżenicyn się myli demonizując rolę doktryny jako rzekomej wytycznej postępowania komunistycznych polityków. Może tak kiedyś było, nie wiem, ale z pewnością już dawno nie jest. ZSSR nie dlatego finansuje i podbechtuje do dywersyjnych działań różnych Arabów i Latynosów, że tak każe marksistowski „internacjonalizm”, ale dlatego, że tak doradza imperialny interes supermocarstwa. „Internacjonalizm” nie jest motorem żadnych poczynań, lecz ich obłudnym uzasadnieniem, masowaniem ich pozaideologicznej istoty.

Kłatwy rzucane w różnych okresach przez kościół marksistowski na rzekomych odstępców od niezmienniej doktryny (Trocki, Bucharin, Tito, Gomułka etc.) zawsze były pochodną decyzji i sytuacji politycznych — wiązały się z dążeniem Stalina do pełni władzy w partii i Kominternie, z walką o pozycje strategiczne na Bałkanach, z likwidowaniem oporu przed przyspieszoną sowietyzacją Polski. Jeżeli potępionemu odstępcy w porę nie zdążono uciąć głowy, mógł nazajutrz — w nieco zmienionym kontekście — wypłynąć jako uznany ortodoks marksizmu-leninizmu.

Siła doktryny polega na tym, że można przy jej pomocy udowodnić dowolną tezę, przypiąć przeciwnikowi dowolną etykietkę, przede wszystkim zaś — *zaszantażować* taką możliwością.

Sądzę na przykład, że gorliwe posunięcia w satelickich krajach „demokracji ludowej” — jak likwidacja rzemiosła czy kolektywizacja rolnictwa — wpływały nie tyle z doktrynalnej niezłomności miejscowych przywódców, świadomych już przecież, jakie skutki przyniosły podobne operacje w „pierwszym państwie socjalistycznym”, co z ich obaw przed postawieniem w stan oskarżenia o niewierność doktrynie. Uprawiającej swój szantaż Moskwie zależało z kolei na rosnącym upodobnieniu satelitów do centrali — na „socjalistycznej integracji”. Ale tam, gdzie sytuacja kształtowała się specyficznie — jak w rolnictwie polskim po 1956 roku — rychło rezygnowano z wysuwania doktrynalnych oskarżeń, co nie znaczy, oczywiście, że rezygnowano z osiągnięcia swoich dalekosiężnych celów.

Możliwe, że gdyby chciano dyskutować z propozycjami listu Sołżenicyna, sięgnięto by także do argumentów ideologicznych. Ale przecież i w tym wypadku chodziłoby w gruncie rzeczy nie

o nie, lecz o potępienie myśliciela, ośmielającego się politykę KPZS przeciwstawić własną alternatywę.

Odwrotnie, gdyby realia sytuacji światowej i wewnętrznej zmusiły Breżniewa i spółkę do potraktowania tej alternatywy poważnie, sądzę, że potęga doktryny okazałaby się bardzo mizerna i byłaby niewielką przeszkodą na drodze przemian.

Inna rzecz, że rozumiem antydoktrynalną fobię człowieka, który pięćdziesiąt pięć lat życia w Związku Sowieckim osaczany był na każdym kroku przez frazesy ideologiczne, w sposób najbardziej karkołomny przylepiane do każdej sytuacji życiowej...

Dziad do obrazu

Breżniew z kolegami nie zareagował jednak na utopię Sołżenicyna. Dialog na temat urządzenia Rosji nie doszedł do skutku. Zareagowano za to — w wiadomy sposób — na inne wypowiedzi wielkiego pisarza, te, które nie przez projekty i próby perswazji, lecz przez ujawnienie faktów historycznych, zdawały się wstrząsać zrębami państwa. 12 lutego 1974 roku, w przeddzień banicji, Sołżenicyn napisał kolejny apel, tym razem już nie do komunistycznych dyktatorów. Na ich temat stwierdził jedynie w tym nowym tekście:

„Przekonać ich — nie podobna.

Rzeczą naturalną byłoby obalenie ich w wyborach — ale wyborów nie bywa w naszym kraju.

Na Zachodzie ludzie znają strajki, demonstracje protestu — ale my jesteśmy zbyt zahukani, nas to przeraża: jakże to tak — nagle odmówić pracy, jakże tak — nagle wyjść na ulicę?”.

Skoro list do władców okazał się — czego wolno się przecież było spodziewać, czego spodziewał się właściwie sam Sołżenicyn — mową dziada do obrazu, pisarz zwraca się znowu do swojego właściwego audytorium: do rodaków, współczesnych, przede wszystkim do rosyjskiej inteligencji.

Program, jaki ma dla tych adresatów, jest o wiele prostszy niż tamten, który — nie bez pewnej desperacji — przedkładał wodzom. Oto on: NIE UCZESTNICZYĆ W KŁAMSTWIE, NIE POPIERAĆ ŚWIADOMIE KŁAMSTWA, które w ZSSR jest głównym sojusznikiem przemocy. Każdy, kto wybierze tę drogę:

„— odtąd nie napisze, nie podpisze, nie wydrukuje ani jednego zdania, zniekształcającego, wedle jego opinii, prawdę;

— takiego zdania nie wygłosi ani w rozmowie prywatnej, ani publicznie,

we własnym imieniu ani ze ściągaczki, ani w roli agitatora, nauczyciela, wychowawcy, ani w roli scenicznej;

[...]

— nie da się zmusić do pójścia na manifestację lub wiec, jeżeli będzie to przeciw jego życzeniu i woli. Nie weźmie do rąk, nie poniesie transparentu, hasła, którego w pełni nie podziela;

— nie podniesie ręki głosując za wnioskiem, z którym nie solidaryzuje się szczerze; nie wybierze w głosowaniu jawnym ani tajnym osoby, którą uważa za niegodną lub wątpliwą;

— natychmiast opuści posiedzenie, zebranie, prelekcję, przedstawienie, seans filmowy, kiedy tylko usłyszy z ust mówcy kłamstwo, brednię ideologiczną lub bezwstydną propagandę;

— nie zaprenumeruje i nie kupi takiej gazety czy pisma, gdzie informacja jest zniekształcona, a elementarne fakty ukryte....”.

To ciągle ten sam Sołżenicyn, który kilka miesięcy wcześniej usiłował skłonić autokratycznych władców ZSSR do reformatorskich poczynąń. Teraz zwraca się do swoich „normalnych” rodaków i uczy ich pierwszych, podstawowych kroków na drodze oporu. Oblicze tego, który przemawia, nie uległo zmianie — wbrew wszystkim, którzy na pierwszy tekst zżymają się, drugi zaś chwala, między jednym a drugim nie ma sprzeczności — jest tylko różnica adresu i jest pewna kolejność w chwytności się rozmaitych szans oddziaływania na rzeczywistość.

Jeżeli próba dialogu z wodzami była utopijska, czy bardziej realna okaże się próba porozumienia ze współobywatelami i zasugerowania im sposobu życia w państwie komunistycznym, przeciw temu państwu? Czas, oczywiście, pokaże, ale chyba trudno się łudzić, że apel Sołżenicyna zostanie wnet podchwycony przez szerokie rzesze.

Byłoby więc wysiłki rosyjskiego pisarza jałowe i beznadziejne? Z takim wnioskiem też trudno się pogodzić komuś, kto, jak ja — choć nie rodak Sołżenicyna, lecz członek narodu boleśnie uzależnionego od jego kraju — w każdym tekście tego autora, choć nie w każdym szczególe z nim się zgadzając, znajduje źródło otuchy i sporo ku nauce także dla siebie i swoich.

N. N. z Warszawy

Pisane w kwietniu 1974

Dziennik pisany nocą

Londyn, 14 kwietnia 1974

What after the age of affluence? Na pytanie odpowiada w dniu swoich osiemdziesiątych piątych urodzin Arnold Toynbee, autor dwunastu tomów *A Study of History*.

W krajach „rozwinętych” koniec „wzrostu”, recesja, gwałtowne kurczenie się rezerw, „ekonomia obłożonego miasta” (za nim powstało to określenie, o „psychologii obłożonego miasta” w powojennym świecie pisał z uporem łagodnego maniaka Jerzy Stempowski). *Austerity* większa nawet niż podczas dwóch ostatnich wojen, i nie przejściowa lecz permanentna, coraz surowsza. Rąbnięcie głową w mur wywoła, zamiast otrzeźwienia, wściekłość. Trudno będzie atakować Przyrodę i „tubylców”, więc kraje „rozwinęte” zaczną sobie nawzajem skakać do gardła w walce o topniejące rezerwy. Ta walka pogorszy do reszty i tak złą sytuację. Jeśli nie zostanie w porę zahamowana, doprowadzi do anarchii, zarazy, głodu i wojen domowych, czyli historycznych „reduktorów” ludności żyjącej ponad stan. Po władzę sięgną, z konieczności, rzecznicy silnej ręki. Żadnych nadziei? Upadek materialny może spowodować wzlot duchowy. Kto wie, czy nie wrócimy do sposobu życia pierwszych mnichów chrześcijańskich w Górnym Egipcie i ich irlandzkich następców z szóstego wieku. Krach *affluence* okazałby się wtedy błogosławieństwem w przebraniu, naturalnie pod warunkiem że potrafimy stanąć na wysokości tej „brzemiennej okazji”.

Takie wróżby i prognozy nie należą dziś do rzadkości, wkrótce będzie się je przypuszczalnie kwitować odruchowym zatykaniem uszu. Nikłe echo wzbudziły kassandryczne akcenty w *Liście* Sołżenicyna, dość zbliżone do przewidywań profesora Toynbee. Atrofia wyobraźni? Nie, wyobraźni mamy aż w nadmiarze, tyle tylko że wyładowuje się ona w *science-fiction*, współ-

czesnej formie niewinnego z pozoru, ogłupiającego, prawie bigoteryjnego triumfalizmu naukowego. Działa tu raczej lęk przed pauzą refleksji w przyspieszonym MARSZU KU, przed przystąpieniem i rozejrzeniem się dokoła. Z drogi nieśpieszni przechodnie!

16 kwietnia

Hyde Park, jakim go pamiętam z moich londyńskich lat, już nie istnieje. Kiedyś był to Ogród Antropologiczny o wielkim bogactwie okazów i głosów. Teraz stoją naprzeciw siebie dwa stadka wyjców. Cierpliwie obszedłem chyba dziesięciu, wszędzie ta sama muzyka: biali ujadają na kolorowych, kolorowi na białych. Dopiero przed wyjściem natknąłem się na pijanego *clocharda* (uderzająco podobnego do Marksa) z kupą papierów pod pachą i butelką sterczącą z obwisłej kieszeni kapoty, który bardziej na własny niż publiczności użytek znęcał się nad ironiczną frazą poety o „systemach tak doskonałych, że nikt nie będzie w nich musiał być dobry”; jeżeli go dobrze rozumiałem, wierzył mimo wszystko w systemy doskonałe, w bezgraniczną nobilitację społeczeństw i w ogóle ludzkości, i poetę oskarżał o zaśmieszanie umysłów religianckimi odpadkami Średniowiecza. Byłem, nie licząc policjanta, jedynym słuchaczem jedynego mówcy w Parku. Zresztą jego wywody zagłuszył niebawem bęben ustawionego w sąsiedztwie oddziału Armii Zbawienia.

19 kwietnia

Londyn przed świtem z okna hotelu: szaro-brudne zwały, gdzieś pokrapiane światełkami, w powietrzu koloru atramentowych popłuczyn. I niemrawe, półsenne myśli o tamtych dalekich czasach. Jest pewnie dowodem złego starzenia się, gdy duży kawał przeszłości wygląda we wspomnieniach jak lej po wybuchu bomby.

Maisons-Laffitte, 24 kwietnia

Czapski (wracam z jego wernisażu) doszedł w rysunku do perfekcji, która nie pozwala oczekiwać więcej niespodzianek, dorobił się wytrwałą pracą własnego języka i posługuje się nim z bezbłędną wprawą. W malarstwie jest mistrzem portretowania brzydoty, ale maluje ją jakby z grzesznym zawstyżeniem, jakby modłać się w duchu by przecież odsłoniła choć rąbek innej wizji świata. W tym kryje się jego oryginalność, trudna w pierwszej chwili do uchwycenia, bo nasuwająca podejrzenia o zażwawione sentymentalnie oko i niepewną rękę, o drapieżność bez pazurów. Tak oczywiście nie jest. Pięknie wydana książka Murielle Wer-

ner o Czapskim powinna wydobyć tę subtelną grę wrażliwości rozdartej; i uwolnić go od etykiety „ekspresjonisty”.

26 kwietnia

J.G. dał mi do przeczytania manuskrypt przekładu *Moscovii* Possewina, pióra Alberta Warkotscha. Kilka wypisów.

„Wielki Książę Moskiewski chce być absolutnym panem nie tylko majątku i chat, lecz także dusz i myśli. Ponieważ zaś pragnie wiedzieć o wszystkim co się dzieje wśród podwładnych, nikt nie śmie nawet pisać, albo jeżeli już coś powie, to bądź dla zjednania sobie łaski, bądź dla odwrócenia od siebie niebezpieczeństwa. Wyjechać za granicę żadną miarą nie wolno bez wiedzy i pozwolenia Księcia... Kiedy Książę w czasie uczty zbliża się do kogo lub posyła danie, wszyscy powstają z taką czcią religijną, jakby mu chcieli złożyć pokornie należną daninę ze swoich dusz. Jeżeli zaś kto dopuścił się wielkiego przestępstwa (lub które wydawało się takim), ten na rozkaz albo za zgodą Księcia poddawany jest najokrutniejszemu torturom. Upadają się wówczas do tego stopnia, że torturowani dziękują jeszcze Księciu... Moskale oddają władcy taką cześć, jakiej my nie możemy sobie przedstawić... Bałwochwalstwo to posuwa się tak daleko, że nawet skazani na śmierć zapewniają, iż dostąpili łaski i dobrodziejstwa ze strony Księcia... Wydaje się, że naród ten raczej z natury swej zrodzony jest do niewoli, aniżeli stał się takim na skutek warunków historycznych... Bardziej bowiem szanuje tego którego się boi, niż tego który spełnia jego życzenia”.

Za siedem lat miną cztery wieki od raportu jezuickiego dyplomaty dla Grzegorza XIII. Zachował niezwykłą świeżość, ale niestety trwalsza od świetnych obserwacji okazała się konkluzja o „narodzie z natury swej zrodzonym do niewoli”. Sądzi się potocznie, że stosunek Zachodu do Rosji oparty jest na *wishful thinking*, na złudzeniach, na wierze w „nieuchronny proces liberalizacji i demokratyzacji”. Nonsens. Rozmaite „odprężenia” i „otwarcia na Wschód” (łącznie z watykańskim) tkwiły zawsze i tkwią wciąż korzeniami w filozofii „predestynacji”, sformułowanej przez Possewina; naród zrodzony do niewoli, a zatem machnijmy nań ręką i układajmy się z jego władcami, nie pchając nosa w cudze „specyficzne” (jeśli nie wręcz „egzotyczne”) sprawy. Fauvet, redaktor *Le Monde*, wyłożył prywatnie ten punkt widzenia podczas swojej wizyty w Neapolu. W gruncie rzeczy niezbyt odmienny schemat panuje w krajach Europy środkowowschodniej, z tym że „układanie się” trzeba zastąpić „słuchaniem”. Antyrosyjskich rządzonych i prorosyjskich (przynajmniej formalnie) rządzących wiąże ciche przekonanie, że żyjąc z woli

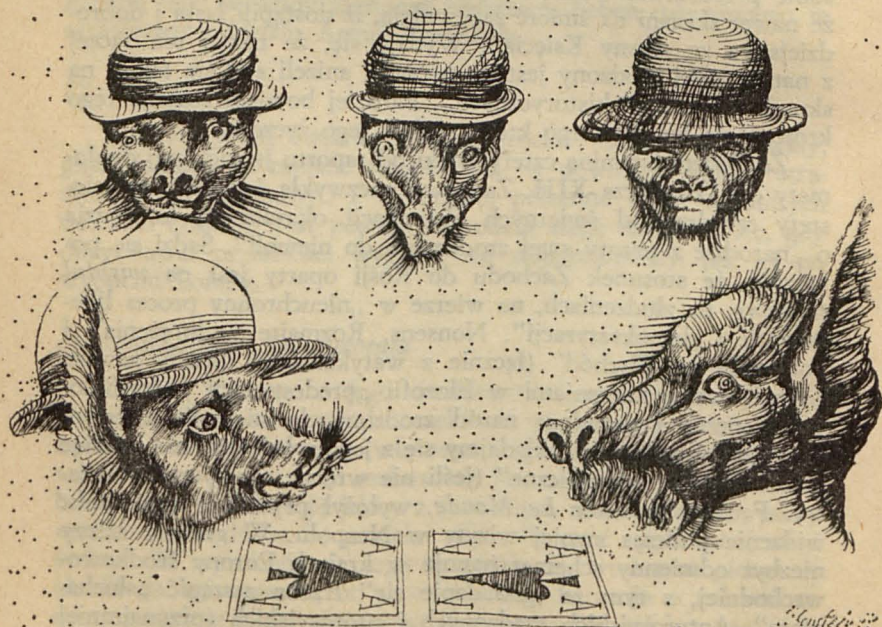
losu i geografii u boku „narodu zrodzonego do niewoli” nie należy wymagać za dużo. Kiedy w Rosji rozlega się nagle głos wolności, pierwsi mówią o „izolowanych wyjątkach potwierdzających regułę”; drudzy o „wrogich elementach obcych duchowi swego narodu”.

A może Possewinowi ktoś z przybocznej świty Wielkiego Księcia szepnął na ucho dogodną formułkę o „narodzie zrodzonym do niewoli”? Wcale nie wykluczone, że i dzisiaj powtarza się ją w Moskwie w nieco innej postaci (lecz również na ucho) przyjezdnym z Zachodu i z bratnich republik.

3 maja

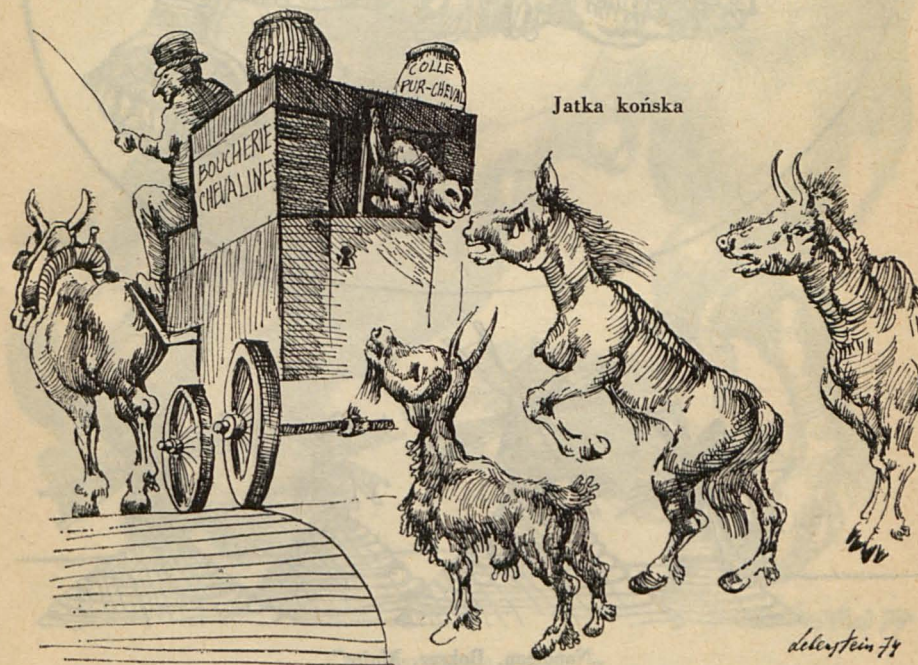
Wieczorem u Lebensteina, który zapalił się do ilustrowania *Folwarku Zwierzęcego*. Zabawnie to wyjaśnić: „Koledzy ilustrują *Boską Komedie*, ja wolę zwierzęco-ludzką”. Wątpię czy na jego wyborze zaważyła wymowa polityczna powiastki Orwella; po prostu od dawna, jako malarza, fascynuje go krucha granica między ludzkimi twarzami i świńskimi ryjami. Przeglądałem próbne szkice, doskonałe.

W Londynie wznowiono ostatnio *Folwark Zwierzęcy* w tłum-



Poker świń z farmerami

maczeniu Reny Jeleńskiej. Dwa lata temu, gdy pan Pilkington ucztował na Kremlu w gościnie u knura Napoleona, zapomniana już trochę powiastka Orwella naraz odżyła. Dziś prorocza scena *Folwarku* brzmi jak ograna, banalna, nudna płyta. Nikogo za nadto to nie obchodzi czy obecny pan Pilkington zdąży powtórnie popędzić w podskokach do Napoleona przed złożeniem z urzędu, czy też po krótkiej przepisowej przerwie obustronnego ochłodzenia stosunków kolejny pan Pilkington zawiśnie na ryju (jak mawiał Hłasko) obecnego lub kolejnego Napoleona. Co w końcu świadczy najlepiej, że „normalizacja” jest operacją serio i nieodwracalną. Im bardziej wszystko się zamazuje (gęby i ryje), tym bardziej obojętnieje. Utwory takie jak Orwella obliczone są na czytelnika nie zobojętniałego, czyli z każdym dniem rzadszego. Nie zdziwiłbym się gdyby w nowych lekturach *Folwarku* na dalszy plan odeszli jego sławni niegdyś protagoniści, a do przodu wysunął się ledwie dotychczas zauważany Beniamin, stary osioł który „opanował sztukę czytania równie dobrze jak świnię, lecz nigdy nie korzystał z tej umiejętności, twierdził bowiem że w ciągu całego swojego długiego życia nie zetknął się z niczym, co byłoby warte przeczytania”. Beniamin który w sporach zwierzęcych nie wypowiadał się za żadnym ze stronnictw,



Jatka końska

wierny zasadzie że „życie potoczy się dalej jak toczyło się zawsze,
to znaczy kiepsko”.



„Napoleon, Bokser, Major”



Leisenstein 74

Wypędzenie Jonsa

5 maja

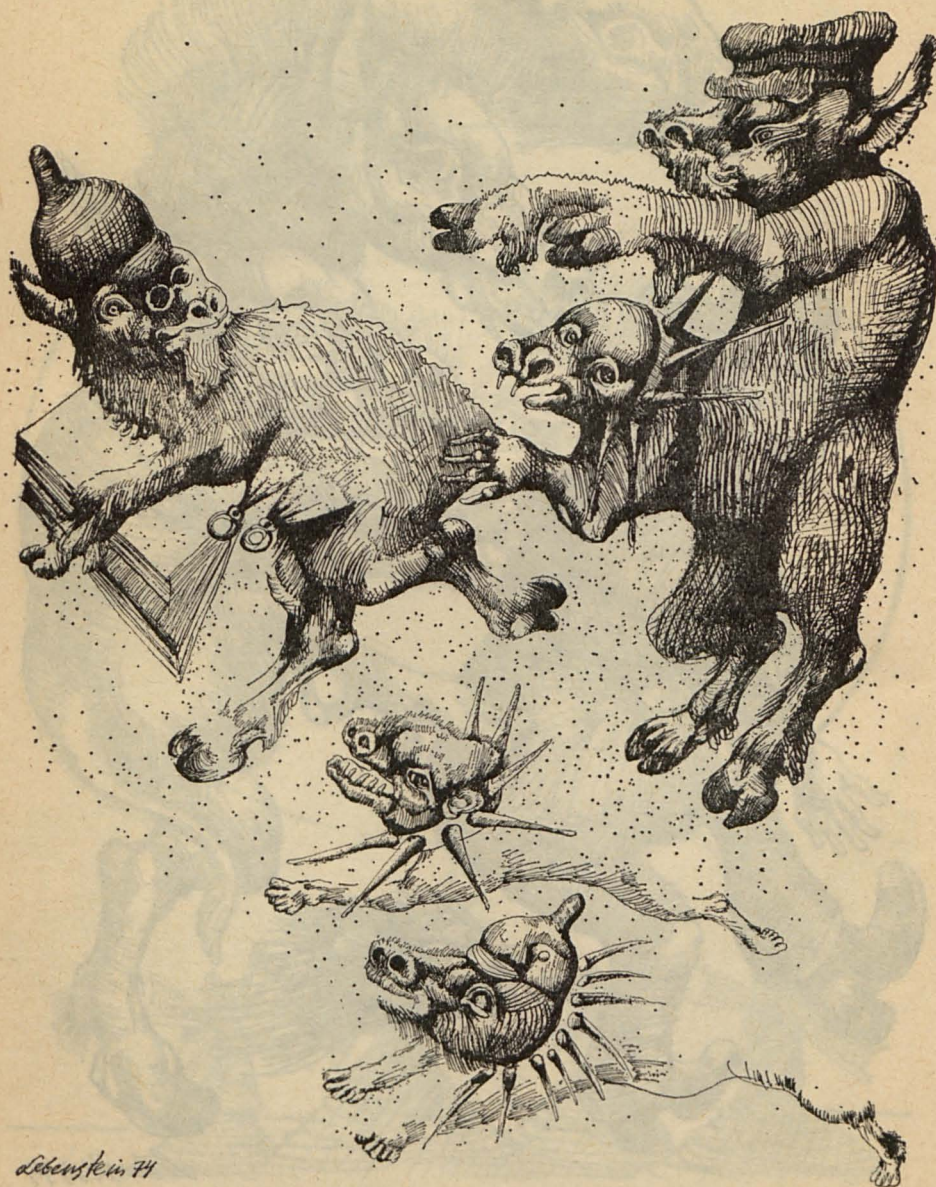
W starym notesie pod szpargałami na dnie szuflady znalazłem zdanie Stempowskiego bez daty, zapisane, jak sądzę gdy go ostatni raz spotkałem w Laffitte: „Pisarze traktujący poważnie swoje powołanie muszą w naszych czasach bardzo uważać, żeby ich nie zatrzał własny jad”.

9 maja

Nim został potężnym ministrem uzbrojenia Trzeciej Rzeszy, Albert Speer był nadwornym architektem Hitlera i zagorzałym „estetą” (zbliżyło ich obu właśnie umiłowanie Piękną planowanego). Miewał monumentalne pomysły. Na przykład, przedłożył Hitlerowi „teorię wartości ruin”: „Stosowanie specjalnych materiałów oraz uwzględnienie szczególnych układów statycznych winno umożliwić wznoszenie budowli, które jako ruiny, po setkach lub (jak liczyliśmy) tysiącach lat, będą podobne do wzorców rzymskich”. To znowu, połapawszy się że Hitlera drażni na masowych spędach partyjnych widok brzuchatych funkcjonariuszy z niższego i średniego aparatu, zaproponował pograżenie ich w nocnych ciemnościach przy jednoczesnym oświetleniu nieba reflektorami o ogromnej mocy. Efekt był wspaniały: Wódz widział z trybuny czarny i zwarty las swego aparatu, a brzuchaci rzeźnicy w karnych szeregach czuli się smukli i piękni, wolni od ciężkich kałdunów, spozierając ku jasnej kopule rozpiętej nad głową Wodza. Jednym ze składników despotyzmu jest „estetyzm” jako wyraz „suwerennej” pogardy dla teraźniejszości i rzeczywistości. Mussolini miał również swoich drobnych Speerów. I Stalin, któremu zastępy sowieckich Speerów na miarę przykroili doktrynę „socjalistycznego realizmu”.

Neapol, 18 maja

Po południu wybrałem się na Monte Cassino, w trzydziestą rocznicę zdobycia klasztoru. Na cmentarz przyjechałem tuż przed zmierzchem. Nie było nikogo, absolutna cisza, u wejścia leżały wieńce i kwiaty z porannego obchodu. Dogasające słońce zalewało dolinę żółto-różowym, gęstym światłem. Między grobami, mechanicznie odczytując zatarte nazwiska, usiłowałem przypomnieć sobie bitwę. Zostaje po niej coraz mniej, nawet nie strępy lecz okruchy. Podejście na 593 nocą z 16 na 17 maja, aż do chwili gdy Niemcy zawiesili na niebie rakietę i otworzyli



Lebeński 74

Wypędzenie Chyżego

ogień. Potem upadanie, czołganie się, huk, jęk rannych, niedosłyszalne komendy, przekleństwa, pewność że nikt z nas nie dojdzie. Skalna zapadlina na szczycie 593, słabo osłonięta, przez cały dzień stąd kierowany ogień artylerii. Wieczorem obsunięcie się ze wzgórza do tyłu, na stos trupów w wykopanym dole, i bieg pod pociskami do Domku Doktora ze zwłokami S. Tej nocy byliśmy przekonani o klęsce. Nazajutrz, gdy klasztor zamilkł, było coś dwuznacznego w odkryciu że Niemcy wycofali się cichaczem. Tak, wielka bitwa, wolno o niej myśleć z dumą, a przecież z upływem lat nad wszystkim, choćby nad tym moim łożeniem między grobami, unosi się natarczywiej i natarczywiej poczucie klęski. Wiele jest powodów, dla których miałbym prawo być tutaj kiedyś pochowanym. O dodatkowym dowiedziałem się niedawno od Z.: po bitwie wciągnięto mnie na listę poległych, wychodząc pewnie z założenia że ze szczytu 593 droga wiodła jedynie do grobu.

1 czerwca

W liście z Warszawy T. nazywa *Pana Cogito* Herberta tomem poezji „gnomicznej”. Każdy wiersz z osobna, w swojej aforystycznej ostrości i celności, jest „gnomiczny”. Ale wszystkie razem wydobywają z gardła *Pana Cogito* gniewny i głuchy krzyk. Jeżeli rzeczywiście (jak twierdzi T.) „oficjalne święto na cześć Herberta w kraju jest próbą jego mumifikacji”, to nie wróżę projektodawcom i organizatorom spodziewanych wyników. Jeden z nielicznych co znają wartość „postawy wyprostowanej” w mieście ogarniętym „epidemią instynktu samozachowawczego”.

... nie przebaczaś zaiste nie w twojej mocy
przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie...

3 czerwca

Brygady Czarne, Brygady Czerwone, kolor polityczny jest bez znaczenia. Na głównym placu w Brescii, podczas tłumnej manifestacji, ktoś wkłada niepostrzeżenie do kosza na odpadki dwa kilo trotylu. Siedmiu zabitych. O co chodzi? O „ugodzenie państwa”. A potem? Wszystko jedno co potem, aby POTEM.

Notka z weneckiego *Biennale* w roku 1955: „Krajobrazy popopowe, wizja ziemi nawiedzanej przez kataklizm, wynurzającej się z odmętów uniwersalnej powodzi, malarski post-dyluwializm. Twarze ludzkie bardziej niż zdeformowane, zagubione w

kosmicznej pustce, wykrzywione grymasem samotności, na którą darmo już szukać lekarstwa. Ulice miast wyżłobione w nicości, domy ziejące śmiercią”.

Więc przesadziłem zapisując w Londynie, że triumfalizm naukowy pochłania całą wyobraźnię współczesnego świata. Jest jeszcze terroryzm. I sztuka.

A także, dla przeciwwagi, radosna wiedza magiczna. Z podróży *Pana Cogito* na Zachód:

*Ma rację Mircea Eliade
jesteśmy — mimo wszystko
społeczeństwem zaawansowanym*

*magia i gnoza
kwitnie jak nigdy*

*sztuczne raje
sztuczne piekła
sprzedawane są na rogu ulicy...*

Magia czyli przeświadczenie że nie ma wiecznego Zła, że wymyślili je księża i staroświeccy moralści, a dziś igrają z nim jak chcą egzorcyści.

Nie tylko podobny do Marksa *clochard* londyński, obok niego inni, nowocześni wyznawcy radosnej wiedzy magicznej, po eliotowsku „starają się uciec od ciemności zewnętrznych i wewnętrznych, śniąc o systemach tak doskonałych, że nikt nie będzie w nich musiał być dobry”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

O twórczości Jarosława Iwaszkiewicza

Jarosław Iwaszkiewicz jest pisarzem i bezpartyjnym blokiem współpracy z rządem w jednej osobie i w obu dziedzinach uchodzi za współczesnego klasyka. W literaturze klasyk oznacza pisarza bardzo chwalonego i nie bardzo czytanego i wydaje się, że odnosi się to również do autora „Czerwonych tarcz”. Należy się obawiać, że niedawny jubileusz, hucznie obchodzony w Polsce z okazji jego 80-tych urodzin nie zmienił wiele w tym względzie, gdyż pierwszą rzeczą jaka ulatnia się z dymem kadzideł i kurzem znudzenia jest bezinteresowna uwaga. Nie jest to dobrze, ponieważ duży — objętościowo w każdym razie — wkład Iwaszkiewicza do patrymonium literatury polskiej domaga się oszacowania *sine ira et studio* chociażby w celach inwentaryzacyjnych. Szkic niniejszy jest próbą w tym duchu.

Dane na temat życiorysu i bibliografii Iwaszkiewicza znaleźć można w każdym podręczniku, ale dla porządku i wygody czytelnika przytaczam je w encyklopedycznym skrócie: urodzony 20 lutego 1894 roku w Kalniku na Ukrainie, w rodzinie szlachecko-inteligenckiej; studia prawa i muzyki w Kijowie; od 1918 roku w Warszawie, gdzie znajduje się w grupie poetów występujących w „Picadorze”, a później jest współtwórcą grupy „Skamandra”. Od wczesnej młodości pracuje jako nauczyciel prywatny, później jest sekretarzem marszałka sejmu Rataja; od 1927 w MSZ, w latach 1932-36 na placówkach dyplomatycznych w Kopenhadze i Brukseli. Przez małżeństwo skoligacony z wielką burżuazją. W 1928 roku osiada w Stawiskach koło Warszawy, gdzie zamieszkuje do dziś. Po wojnie redaktor pism literackich, między innymi *Twórczości*, prezes Związku Literatów (1945-49 i po 1959), „obrońca pokoju”, poseł, delegat, laureat i w ogóle *persona gratissima*. Debiutował w 1915 roku wierszem „Lilith”,

lecz za właściwy debiut uważa się zbiór liryków „Oktostychy” (1919); po nich liczne dalsze zbiory, wśród których za szczytową pozycję uchodzi „Lato 1932” (1933).

Obok poezji uprawia równocześnie nowelistykę, powieściopisarstwo („Hilary syn buchaltera” 1923; „Księżyc wschodzi” 1925; „Zmowa mężczyzn” 1930, „Czerwone tarcze” 1934, „Pasje błędmierskie” 1938, „Sława i chwała” 1956-62), dramat (znane „Lato w Nohant” 1936); ponadto eseje, wspomnienia, relacje z podróży, etc.

Reprezentatywny wybór twórczości Iwaszkiewicza zawiera wydanie jego *Dzieł* w 10 tomach (Czytelnik, 1958). We wstępie odautorskim czytamy tam między innymi: „*Na życzenie wydawnictwa zgromadzono tu [...] wiersze i prozę poetycką, powieści i opowiadania, utwory dramatyczne i eseje muzyczne — chwila mi czyniąc może wrażenie nazbyt pstrej gromady. Nie wiem, czy łatwo przeprowadzić jedną linię rozwojową od pierwszego „Oktostychu” do „Ucieczki Felka Okonia”. Ale dla mnie jest ona jasna*”.

Przypomnieć należy, że „Oktostychy” są kunsztownymi wariacjami poetyckimi w tonacji *l'art pour l'art*, natomiast opowiadanie „Ucieczka Felka Okonia” (1953) jest socrealistyczną chałwą o lekkomyślnym, lecz prawym proletariatuszu i złych imperialistach — niemniej, mimo zawartej w tej wypowiedzi kokieterii, uwaga o jednej linii dostrzegalnej w tej twórczości jest trafna. Niewłaściwe jest tylko nazwanie jej linią rozwojową, ponieważ powojenne rzeczy Iwaszkiewicza są gorsze od wcześniejszych.

Gdyby zaliczyć literaturę do tzw. mediów i przyjąć podział MacLuhana na media zimne i gorące, twórczość Iwaszkiewicza należałoby określić jako medium letnie. Wśród jej składników uderza brak jakichkolwiek elementów łatwopalnych, żrących czy wybuchowych — brak na przykład zupełnie humoru. Odnosi się to w równym stopniu do poezji, opowiadań i powieści, które to formy stanowią — w tej kolejności — trzon tego pisarstwa. Ogólny *tonus* można by określić jako połączenie wdzięku z ostrożnością. Połączenie takie kojarzy się mimowoli z obrazem dobrze wychowanego, wrażliwego młodzieńca, świadomego swej przewagi w dziedzinie subtelności doznań, a zarazem świadomego, że otoczenie góruje doświadczeniem i zdecydowaniem — i nie wydaje się przypadkiem, że taki właśnie obraz nakreślił Iwaszkiewicz jako swój autoportret z lat młodości (por. „Książka moich wspomnień” 1957) i że sylwetka taka przewija się często przez jego utwory (Wiktor w „Pannach z Wilka”, 1932, Julek w „Młynie nad Utratą”, 1936, Janusz Myszyński w „Sławie i chwale”, etc.). Iwaszkiewiczowski wdzięk jest wdziękiem wspomnień młodości. Ich projekcją widoczną w całej twórczości jest

stała sceneria wakacyjna: wszystko co ważne, dzieje się na spacerach, podwieczorkach na werandzie lub w czasie podróży dla przyjemności, na skutek czego sytuacje ludzkie redukują się niemal automatycznie do tzw. ogólnoludzkich — miłości, zadumy nad przemijaniem, śmierci — między innymi dlatego, że nic innego się nie dzieje.

Mówiąc o ostrożności nie mam na myśli asekurancтва politycznego, które stało się zagadnieniem dopiero po wojnie, lecz łatwo wyczuwalną postawę defensywną w sensie intelektualnym, estetycznym i metafizycznym. Odejmiemy wdzięk, a okaże się, że Iwaszkiewiczowi o nic w gruncie rzeczy nie chodzi: wypowiedzi postaci i narratora nie wykraczają nigdy poza samoredukujący się *small talk*, piękno jest samoczynne: przyroda lub uznane dzieła sztuki, a filozofia, emanująca z tego wszystkiego jest solennym stwierdzeniem oczywistości.

Esencją tej twórczości jest poprawność, mająca tę wadę, że jest nudnawa, i tę zaletę, że jest *comme il faut* w każdym okolicznościach. Poddajmy tę esencję analizie.

Linia, spajająca twórczość Iwaszkiewicza w całość bierze swój początek w jego poezji. Opowiadania stanowią jej urealistycznione przedłużenie, jak widać wyraźnie z etapów przejściowych, którymi są fragmenty prozy poetyckiej typu „Wieczoru u Abdona” i „Zenobii. Palmury”; rozbudowane opowiadania zaś zamieniają się w powieści. Dowodzi tego choćby fakt, że „Kochankowie z Marony” (1961) są tekstem, który ukazał się najpierw jako powieść, a w dalszych wydaniach został przeklasyfikowany do opowiadań. Bardziej przekonującym, wewnętrznym na to dowodem jest mistrzostwo „Czerwonych tarcz”, powieści najbliższej leżącej życiodynamicznej źródła poezji, i kłeska „Sławy i chwały”, najbardziej od niego oddalonej. Zatrzymajmy się chwilę nad obydwoma, ponieważ są to punkty, wyznaczające krzywą ewolucji wspomnianej linii ewolucji.

„Czerwone tarcze” są powieścią historyczną typu wizyjnego, taką jak „Żywe kamienie” Berenta czy „Salammbô” Flauberta, to znaczy jej celem jest oddanie aury czasu, a nie rekonstrukcja określonych zdarzeń. Należy stwierdzić, że „Czerwone tarcze” sytuują się dużo bliżej Flauberta, niż Berenta: wędrowka hamletycznego księcia Henryka Sandomierskiego (syna Krzywoustego) po europejskich dworach, jego pobyt na dworze Rogera Sycylijskiego, pielgrzymka do Jerozolimy, powrót do Sandomierza, kłeska planów unifikacji Polski i śmierć w poczuciu niesprostania własnemu życiu są serią wspaniałych, zharmonizowanych w panoramę obrazów. Lechoń trafnie nazwał tę powieść „jasnowidzeniem średniowiecza”. Odnosi się wrażenie, że w tego rodzaju tematyce iwaszkiewiczowskie piękności znajdują właściwe zasto-

sowanie; wrażenie to potwierdza też opowiadanie „Matka Joanna od Aniołów” (1943). „Czerwone tarcze” są moim zdaniem najlepszą rzeczą Iwaszkiewicza w ogóle: połączenie legendy, historii i psychologii dało tu stop wysokiej jakości, odporny na czas.

Zupełnie odmienne wrażenia budzi ogromna (3 tomy, ok. 1700 str.) powieść „Sława i chwała”. Należy ona do tego gatunku pił rodzinnych, które od czasu *Forsyte’ów* pretendują — poważnie bez powodzenia — do roli mikrokosmosu historii. W Polsce rodzaj ten reprezentują „Noce i dnie” Dąbrowskiej i „Sława i chwała” również robi wrażenie powieści napisanej przez kobietę. Dzieje się pomiędzy lipcem 1914 a jesienią 1947 i poprzez losy bohaterów, należących do kilku powiązanych ze sobą rodzin, przeprowadza czytelnika przez zdarzenia takie jak rewolucja rosyjska, odrodzenie Polski, wojna 1920, kłeska wrześniowa, okupacja, Powstanie, początki reżymu powojennego — w tle ukazana jest jeszcze wojna w Hiszpanii, życie emigracji rosyjskiej w Paryżu i polskiej w czasie wojny. Wobec takiego bogactwa — jakież ubóstwo! Całość rozbita jest na epizody z wyraźnymi uniami w okresach kłopotliwych (wojna bolszewicka toczy się nie wiadomo gdzie, o co i z kim), a co gorsza z naciskiem na psychologię typu: „*Tak, stanowczo, widział to teraz dokładnie — albo zdawało mu się, że widzi dokładnie — nigdy nie zaznał prawdziwej miłości. A może inaczej: nigdy nie zaznał szczęśliwej miłości. To różnica. Wszystko zawsze było nieudane, albo zawieszane w próżni*”, etc., etc. Na zasadzie powieści z kluczem wbudowane tu zostały elementy życiorysów autentycznych, na pierwszym miejscu Szymanowskiego, ale wątkiem przewodnim są losy z lekka infantylnego nieudacznika Janusza Myszyńskiego, który być może też kogoś przedstawia, ale jest przede wszystkim typowym bohaterem iwaszkiewiczowskiej fikcji; od połowy tomu II-go rolę tę przejmują bezbarwny Alo Biliński. Scenaria i realia zatrącają często-gęsto Courtes-Mahlerową (... *kiedy Stanisław unosił codziennie dwie butelki z kredensu i odkorkowywał je przy bufecie — zapach dobrego burgunda napęlił natychmiast cały pokój*), a na dobitkę — co widać choćby z przytoczonych urywków — rzecz pisana jest językiem płaskim i banalnym, godnym reportażu Budrewicza.

Pora wrócić do źródła, to znaczy do poezji. Poezja Iwaszkiewicza, zwłaszcza dawniejsza (do „Plejad”, 1942) jest pod wieloma względami nieskazitelna i piękna. Można ją rzeczywiście porównać do wody źródlanej, cudownie chłodnej i czystej, podanej w kryształowym pucharze, z którego z zachwytem pije się łyk za łykiem — i gdzie przy którymś tam łyku myśl zaczyna uciekać mimowoli w kierunku dużej czystej i czegoś do zagryzienia.

Ta właściwość uwypukla rzeczywisty problem. Piękno jest

zarazem siłą i słabością tej poezji. Żeby wyeksplikować tę słabość, konieczna jest dłuższa dygresja.

We wczesnej — i nie najlepszej — powieści Lema „Obłok Magellana” jest następujący epizod: w czasie niekończącej się podróży kosmicznej jeden z astronautów, z zawodu matematyk, zabiera się z nudów do problemów spoza swojej branży i między innymi postanawia znaleźć naukową formułę piękna. W tym celu ładuje do komputera reprodukcje sławnych obrazów, partytury Beethovena i sonety Petrarki, po czym naciska guzik i w napięciu czeka na wynik. Długo nic — wreszcie z maszyny wyskakuje kartka, na której oplecione nieładzko skomplikowaną arabeską wykresów widnieje... puste koło.

W intencji Lema ta *science-przypowieść* miała wyrażać niedocieczoność istoty piękna; w moim przekonaniu może ona ilustrować coś innego: podrzędność kategorii piękna. Mówiąc językiem Lema, jego bohater źle zaprogramował komputer, ponieważ ograniczył się do jednego tylko i to nie najważniejszego parametru, gdyż wspólnym mianownikiem dzieł sztuki jest *niezwykłość* w szerokim pojęciu, natomiast pojęcie „piękna” jest kategorią wtórną, skrótową nazwą na wrażenie olśnienia, którego źródła bywają złożone i wielorakie. Istnieje analogia między pojęciem piękna i pojęciem szczęścia: „szczęście” jest też kategorią *post factum*, próbującą nazwać wrażenie intensywności życia tak bogate, że umyka jakimkolwiek definicjom. Argument za tym, że kategoria „szczęścia” jest podrzędna stanowi powszechnie stwierdzalny fakt, iż próby organizacji życia zorientowane na li-tylko (bagatela!) szczęście prowadzą do psychologicznego odpowiednika pustego koła. Niewątpliwie coś podobnego dzieje się ze sztuką, gdy zostanie zorientowana na li-tylko piękno.

Istnienie pustego kręgu w centrum sztuki Iwaszkiewicza nie jest moim odkryciem: uprzejmym zarzutem krytyki pod adresem jego poezji był zawsze „estetyzm” i „aintelektualizm”. Prościej i nieuprzejmiej znaczy to, że kunszt formy nie rekompensuje ubóstwa myśli. Dla ilustracji rozważmy wiersz Iwaszkiewicza „Odwiedziny miejsc ulubionych w młodości” (ze zbioru „Elegie”), którego sam tytuł wprowadza tak charakterystyczny dla niego motyw zadumanego egotyzmu. Tematem wiersza jest odnotowanie zmian zaszłych w znanym z dawna pejzażu („gdzie dawniej staw szeroki, dziś wilgotna łąka”), prowadzące ku stoickiej uwadze:

*Nie wstrzymuję tej wody. Odplywa, odchodzi,
Niech bieży, gdzie giną wszystkie, wszystkie rzeki,
Stary świat się pochylił, inny dzień się rodzi.*

i końcowej konkluzji:

*Nizeli dawną miłość, wyblakłe ubiory,
Wolę ten wiatr dzisiejszy i myśli o jutrze.*

Wiersz ten jest w konwencjonalnym znaczeniu bardzo piękny, wprowadza niezwykle asonanse („nadzy — miedze”, „wierzchołka — łąka”), ale nic nie jest w stanie ukryć banalności opisywanych w nim doznań i harcerskiej poprawności pointy.

Powie ktoś, że poezja to nie filozofia, lecz muzyka — i zgodzę się, pod warunkiem, że będzie to również muzyka myśli. Taką muzyką są na przykład wiersze Rilke’go, które w potocznym znaczeniu traktują o niczym. Wydaje się, że lepiej, by wiersz był o niczym, niż żeby był o *czymkolwiek*. Wiersz o niczym może narzucić wizję, to znaczy wrażenie *déjà vu* działające w sytuacjach nieprzewidywanych przez poetę („ach, zupełnie jak...”), natomiast wiersz o *czymkolwiek* wprowadza słuchacza w umeblowany kawałek świata, w którym nic już zmienić nie można. Poezja Iwaszkiewicza zajmuje się takim właśnie wydzielonym kawałkiem — jest to rodzaj arkadyjskiego parku, gdzie rosną bzy, jaśminy i inne krzewy ozdobne, okna zawsze wychodzą na staw, kryształowo przejrzysty lub równo porośnięty rżesą, trawa jest wiecznie zielona, a twardość życia objawia się jako mus:

*...trzeba zostać, siąść, pogłodzić pieski
I patrzeć w iskry złote tryskające z pieca.*

Ta Arkadia to oczywiście reminiscencja dworów kresowych i — być może — dość dworskiej sytuacji osobistej poety w latach późniejszych; ale obiekcją moją tutaj nie jest „niedemokratyczność” tego wszystkiego, tylko właśnie nadmierna demokratyczność. Jest to bowiem także kapitulacja wobec popularnej konwencji idyllicznej, i świadczy o tym fakt, że niezamierzoną karykaturą wierszy Iwaszkiewicza są dawne przeboje, takie jak „Chryzantemy złociste” czy „Kwiat paproci” — choć nie potrzeba oczywiście dodawać, że gatunki te różnią się tak, jak perfuma Miss Dior różni się od wody Soir de Paris.

Specjalizacja w pięknie jest zawsze specjalizacją we własnym ego, bo tylko w nim subiektywne to odczucie jest rzeczywistością; ponieważ zaś ludzkie istnienie podziarte jest zawsze strachem i troską, które — mówiąc z sarmacka — tylko w kompanii rozproszyć można, nieodłącznym towarzyszem estetyzmu jest pesymizm. Wesoły esteta jest równie nieprawdopodobny, jak białe ubrane kominiarz, toteż pesymizm twórczości Iwaszkiewicza jest zrozumiały i naturalny. Pełni on ponadto ważną funkcję ujem-

nego bieguna, wytwarzającego przez kontrast z pięknem niezbędne napięcie. Jest więc pieczołowicie kultywowany i osiąga granice *morbiditas*, czyli pociągu do rzeczy skądinąd odpychających, jak choroba, śmierć i rozkład. Szczególnie wyraziście występuje to w prozie — i bohater „Pasji błędnierskich”, pracujący nad temem wierszy w formie napisów nagrobkowych ilustruje rzecz lepiej, niż długi korowód gruzlików, topielców i samobójców, ożywiających większość opowiadań Iwaszkiewicza.

Jeśli używam słowa *morbiditas* chętniej niż „dramatyczność”, to dla dwóch powodów. „Dramatyczność” sugeruje akcję, która w prozie Iwaszkiewicza jest słabą stroną: są to raczej beczasowe obrazy, umieszczone w przestrzeni rozpościerającej się pomiędzy kontemplacją piękna i kontemplacją nieszczęścia. Punktem dojścia jest w nich smak jednej sytuacji, toteż akcja przypomina tu raczej ruch kamery filmowej, rejestrującej statyczny, zadany kształt. Widać to dobrze w dwóch najlepszych powojennych opowiadaniach Iwaszkiewicza: „Świątłach małego miasta” (1947) i „Wzlocie” (1957) — które są monologami.

Narrator „Świąteł” ilustruje też drugie moje zastrzeżenie co do „dramatyczności”. *Gros* postaci Iwaszkiewicza odznacza się podejrzaną miękkością, która źle godzi się z pojęciem dramatu: są one zbyt infantylne, powolne i pozbawione ludzkiej porcji zła, by brać je na serio, a ściślej — by brać na serio „wcielanie się” w nie autora. To wcielanie właśnie jest podejrzone — mianowicie o wampiryzm — gdyż autor, pełen wszechrozumienia i wszechwyrozumienia towarzyszy swym bohaterom tylko do momentu dającej się przewidzieć z góry katastrofy, po czym z nagle odzyskanego dystansu kontempluje malowniczość całości.

Przykładem tego, o co mi tu chodzi, może być nieprawdopodobny romans z „Kongresu we Florencji”, który wyraźnie wynika nie z potrzeby seksualnej bohatera, lecz literackiej autora. Obiekcją zasadniczą nie jest tu sam fakt kontemplacji nieszczęść wytworów fantazji, tylko nadmierna *łatwość* w ich aranżowaniu. Pouczającym w tym względzie ćwiczeniem jest porównanie noweli Iwaszkiewicza „Cienie” (1963) z „Biesami” Dostojewskiego, które niewątpliwie służyły tu za punkt odniesienia: różnica pomiędzy centralną postacią tej noweli, Jurą Iwanowem, który okazuje się histerycznym zerem, i Stawroginem wyznacza różnicę pomiędzy *morbiditas*, i dramatycznością.

Źródłem każdej twórczości jest oczywiście konstrukcja psychiczna autora, ale zabawa w amatorską psychologię jest niepoważna i niedyskretna. Proponuję więc zabawę w amatorską socjologię. Stawiam tezę, że sybarytyzm estetyczny Iwaszkiewicza wraz z konsekwencjami jest przejawem anomii emigracyjnej. Autor „Oktostychów” urodził się, wychował i właściwie dojrzał już na

Ukrainie — po czym znalazł się nagle w Warszawie. Literatura rosyjska wywarła na niego ogromny wpływ i bynajmniej nie przypadkiem najbliższą paralelę, jaka — *proportions gardées* — przychodzi na myśl jest Iwan Bunin — ale rzeczą decydującą była zmiana środowiska. Że była to emigracja, łatwo przekonać się, czytając „Książkę moich wspomnień” — a także wspomnienia innych kresowiaków, np. Jerzego Stempowskiego. Przyjazd do Polski centralnej dla większości kresowiaków był emigracją obostrzoną świadomością, że ich „bliższa ojczyzna” znikła z powierzchni ziemi. Byli emigrantami z Atlantydy i większość ich wspomnień przypomina bursztyny z zatopionym w środku igliwem nieistniejących lasów — wyraźnym i nierzeczywistym zarażeniem. „Nauczyciel” i „Panny z Wilka” mają tę właśnie złudną przejrzystość bursztynów, która stanowi ich urok.

Naturalnym żywiołem emigrantów są wspomnienia i samotność, przekształcające się często w kokon, chroniący jako tako od przeciagów, ale utrudniający wrośnięcie w otoczenie. Niewrośnięcie zaś sprzyja anomii, to znaczy zanikowi dotychczasowej hierarchii wartości. Nie zawsze oznacza to amoralizm — choć i to się zdarza — ale zawsze narusza zmysł równowagi i świadomość własnej roli w świecie. „Wykorzenie” jest tu słowem najczęściej używanym, ale niecelnym, bo chodzi o coś znacznie bardziej subtelnego, o rodzaj grzybni międzyludzkich związków. Grzybnia taka jest potrzebna dla określenia swej tożsamości z jakąś grupą czy warstwą: przyjmując tę samą skalę wartości co dana grupa, zostaje jej członkiem. Zniszczenie grzybni powoduje rozpad na osamotnionych, dezorientowanych i podatnych na każdy wpływ osobników „zdeklasowanych”. Ilustrację mogą stanowić losy drobnej burżuazji — której grzybnią w 95 % są pieniądze — w krajach nagle ogarniętych przez komunizm: warstwa ta okazała się najbardziej podatna na nowy ład i szczególnie nieprzyjemne „oblicze” komunizmu w NRD i Czechosłowacji wiąże się moim zdaniem z faktem, że były to kraje o najliczniejszym we Wschodniej Europie drobnomieszczaństwie; komunizm we Francji byłby przypuszczalnie czymś, co zjeżyłoby włosy Orwelowi.

Inteligencja jest burżuazją bez pieniędzy, która skompensowała ten brak przez bardziej z konieczności abstrakcyjne wartości: bezinteresowną erudycję, działalność spekulatywną i nonkonformizm. Abstrakcyjność inteligentkiej grzybni sprawia, że łatwiej przeżywa ona kataklizmy dziejowe, ale w przeciwieństwie do burżuazji pieniężnej jest mniej uniwersalna, bo opiera się na lokalnych rytuałach i *decorum* (język, tradycja, znajomości). Inteligenci-emigranci są więc najbardziej podatni na anomie i przezważnie jej ulegają: na nowym terenie wytwarzają szczególnie

gruby kokon indywidualny i szczególnie indywidualną skalę wartości. Ważne staje się przede wszystkim to, co dzieje się wewnątrz kokonu, a to co na zewnątrz — mniej ważne.

Ten model inteligenta-emigranta jest czysto spekulatywny, ale przystaje do obrazu Iwaszkiewicza-autora, jaki na podstawie jego dzieła wyrabia sobie czytelnik. Solipsystyczny estetyzm, pesymizm, postawa defensywna, a także zwiększona podatność na wpływy zewnętrzne, czyli mówiąc po prostu: powojenny serwilizm Iwaszkiewicza — to wszystko *mogłoby* być wytłumaczone w ten sposób.

Ten ostatni punkt poruszam niechętnie, ale nie sposób go obejść rozpatrując całość tej twórczości. Same w sobie utwory Iwaszkiewicza pisane *sub specie vasilinae* (wspomniana „Ucieczka Felka Okonia”, „Ody olimpijskie” i okolicznościowe wiersze-pakuły) nie są gorsze od przeciętnej produkcji z czasów stalinowskich, a na pewno mniej jadowite od „Wojny skutecznej” (1953) Andrzejewskiego i „Obywateli” (1954) Brandysa. Ich względna niewinność płynie z wrażenia autokarykatury: Iwaszkiewicz wymienił po prostu swoje marmury, słowniki i wirydarze na cegły, gołąbka pokoju i dom partii, co dało taki efekt, jakby Mieczysław Fogg zaśpiewał nagle: „Czy pamiętasz tę szczytę w Chorzowie...”. Smutno robi się dopiero, gdy popatrzy się wzdłuż całej linii, „łączącej pierwszy 'Oktostych' z 'Ucieczką Felka Okonia'” — okazuje się ona bowiem linią braku najmniejszego oporu. W przeciwieństwie do innych kolegów w upadku Iwaszkiewicz nigdy nie popróbował wzlotu, nigdy nie napisał jednej *niebłaganadiożnej* linijki, nigdy nie uczynił nic, co by odmieniło jego pozycję starszego pana bez godności, przez długie lata reprezentującego oficjalnie tradycję i ciągłość polskiej literatury, która dawniej nie słynęła z pokory. Dlaczego?

„Dlaczego ogórek nie śpiewa...?” — bo najwidoczniej nie może. Słabość, która nie pozwoliła Iwaszkiewiczowi przebić zawczasu kokonu indyferentyzmu, a później chociażby na czas zamilknąć, nie była jednorazowym załamaniem, lecz stale obecnym i widocznym w jego twórczości pierwiastkiem. Jeśli w sumie uważam Iwaszkiewicza za niewielkiej klasy pisarza, to nie dlatego, że napisał tę symboliczną „Ucieczkę”, lecz przeciwnie: sądzę, że napisał ją, ponieważ w gruncie rzeczy zawsze był pisarzem klasy niewielkiej.

M. BROŃSKI

Popielec*

Prędzej czy później, musiało do tego dojść. Ludzie tak długo kraczą aż wykraczą. Od miesiący liczył się, co prawda, z zamknięciem instytutu, który mu zapewniał połowę budżetu rodzinnego, ale wiadomość, jaką mu przekazał przypadkowo w grupie turystów spotkany docent Hieronim, wytrąciła go z równowagi.

— Co się stało, tatku? — zmartwił się Tomaszek. — Czy się źle czujesz?

— Sąd Ostateczny! — odrzekł Adam z gorzkim uśmiechem, wskazując na sufit.

Socjolog Hieronim, chluba praskiego uniwersytetu przed wejściem Rosjan do Pragi, dostał już list z wypowiedzeniem. Potraktowano go, jak powiada, znanym, jałtańskim sposobem. Członkom komitetu doradczego, którzy dotychczas mogli liczyć na poparcie Holendrów, Belgów i niektórych Anglików, nie udało się w Brukseli uzyskać dotacji na rok następny, chociaż roczne wydatki instytutu wynosiły mniej niż zakup jednego czołgu. Jacyś zagorzali odprężeniowcy, bo i tacy już urzędują w biurach NATO, posługując się argumentami przeciwnika, orzekli że dalsza działalność ośrodka badań Europy Środkowej i Wschodniej stała się w zmienionym krajobrazie politycznym „anachronizmem” i jako „relikt zimnej wojny” przeszkadza w nawiązaniu dialogu. Trzeba więc, ich zdaniem, instytut przekształcić w ośrodek zbliżenia. Budujemy mosty dla pana starosty. Ponad systemami i ustrojami. Z myślą o współpracy gospodarczej i kulturalnej. Wymiana doświadczeń technologicznych. Wspólna walka z zanieczyszczaniem powietrza. No, i utrwalenie pokoju w świecie. Na co on, Hieronim, powiedział im w trzech językach, po fran-

* Fragment powieści pt. „Beatyfikacja”. (Poprzedni fragment tej powieści pt. „Buon giorno Roma” ukazał się w nrze 6/309 *Kultury*).

cusku, po angielsku i po niemiecku, że mogą go pocałować, a w co, tego przy dziecku i w obliczu arcydzieła Michała Anioła, woli obecnie na głos nie powtarzać.

Adam jeszcze nie tracił nadziei:

— Czy to pewna wiadomość?

— W stu procentach.

— Decyzja na amen?

— Nieodwracalna.

— Przecież jeszcze przed miesiącem dementowali pogłoski, strofowali plotkarzy, pesymistom zarzucali sianie defetyzmu.

— To ich normalny rytuał: zaprzeczać do samego końca.

— A może tylko zmniejszono grono współpracowników do dwunastu, jak przewidywał plan Collinsa?

— Żadne tam redukcje! Całkowita likwidacja! — zniecierpliwił się Hieronim. — Mogę panu pokazać list polecony. Nadszedł dziś rano expresse.

Towarzyszący mu Słowak, muzykolog z Bratysławy, dorzucił bezbłędną polszczyznę:

— Nie znasz pan ich samobójczych narowów: niszczyć to co pożyteczne i zdało egzamin na piątkę z plusem, lekceważyć zwolenników, wdzięczyc się do przeciwników.

— Głupcy — zirytował się Adam — nie po raz pierwszy przerazili się własnej odwagi. Zanieśli nasze głowy na misce Breżniewowi, ale on nawet nie dostrzeże tego upominku. Gesty dobrej woli tamta strona uważa za przejaw słabości lub zwykły podstęp.

— Nasze głowy? — stropił się Tomaszek, łapiąc się za łepety.

— To się tylko tak mówi, syneczku — pocieszył chłopca. — Dość już fresków! Dość estetycznych wrażeń! Chodźmy na lody. Rycerze zimnej wojny najchętniej odżywiają się lodami.

W godzinę później, już w pensjonacie, dzięki nadludzkiej energii uczynnego portiera, który donośnym basem porozstawiał po kątach wszystkich pracowników poczt i telegrafów z ministrem łącznie udało się im dodzwonić do Londynu.

Gdy Tomaszek, grzeczna zegarynka, — od razu poznać angielską tresurę — zapewnił matkę, że jest szczęśliwy, czuje się doskonale i pogoda w Rzymie jest wspaniała, Adam zapytał o polecony list z Brukseli.

— Wypowiedzieli ci pracę — usłyszał znękany głos Anulki. — Ale nie martw się, nie zginiemy. Ubolewają, że nie mają pieniędzy na odprawę, serdecznie ci dziękują za „cenny wkład”, ostatni czek przysłał za dwa tygodnie. Podpis nieczytelny. Uważaj, proszę, na Tomaszka. Nie zostawiają chłopca samego w hotelu.

No, i z desperacji nie flirtuj mi z pątniczkami. Trzymaj się, staryszku! Jakoś to będzie.

— Jakoś to będzie! — odkrzyknął z tą samą nieszczerą brawurą. — Nie takie zmartwienia miewaliśmy w życiu. Może ci przywiezę coś ładnego z Rzymu? I byle do wiosny. Do Wiosny Ludów, oczywiście. Całusy od bezrobotnego. Trzymaj się, kochanie! Nigdy do zguby nie przyjdą Kaszuby!

Niepotrzebne napinanie mięśni. Faktów oszukać się nie da. Źródło stałego dochodu wyschło. Sto funtów przeminęło z wiatrem. Praca była lekka, umysłowa i dawała złudzenie obecności w Kraju: lektura pism kulturalnych i utworów literackich, raz na miesiąc „ocena sytuacji” na czterech kartkach maszynopisu, raz na kwartał udział w seminarium lub prelekcja o „aktualnych tendencjach polityki kulturalnej w krajach bloku”. Jeszcze do niedawna można było dorobić coś nie coś na boku jako „wolny strzelec”, pisując do obcej prasy o sprawach polskich. Dzisiaj Lechistan jakby wyparował z porządku obrad. Moda na Polskę — może to i lepiej? — zgasała. Nosi się inne kapelusze sezonu. Utrzymać się ze sztuki pięknego pisania? Śmiech na sali. Kryzys wydawniczy — odpowiadają fabrykanci książek, czciciele św. Bestsellera. Tworzyć po angielsku czy po francusku? Z własnego języka wyemigrować się nie da. Nieliczne wyjątki potwierdzają regułę. Literaci mojego pokolenia, wieczni pogorzelnicy, żyją, niestety, obsesją swej biografii: drugą wojną światową i krzywdą przez duże „K”. Kogo dziś w obcym świecie interesują nasze dymiące wątpliwości? Młoda Francuzeczka w paryskim bistro rozśmiała się niedawno na widok obozowych cyferek, wytatuowanych na przedramieniu jej polskiego wielbiciela: „O la la, dość niezwykle sposób notowania numeru telefonicznego!”.

Warto by się jak jemioła wplątać w ramiona sokodajnego dębu. Stypendia twórcze, mecenat publiczny, zasiłek z kieszeni podatnika? Nie u nas. Na Zachodzie bawisz się w pisarza na własny rachunek bez krzty uroszczeń. Pływasz na morzu obojętności bez ratunkowej kamizelki. I tak jest pewnie, mimo wszystko, lepiej. Czasem jakaś zacna dusza zamówi po znajomości słuchowisko, nowelkę filmową, skecz telewizyjny, i wtedy można przez dwa miesiące udawać kapitalistę. Za scenariusz o Kolbem, jeśli naprawdę weźmiesz się za ten temat, zapłacą mi grosze. „Dostaniesz trzysta dni odpustu” — żartują koledzy. „Są dwa państwa na świecie, które służą do brania pieniędzy a nie do dawania: Izrael i Watykan” — powiada Dulemba, człek oblatany. Nie daj Boże znaleźć się na kościelnym garnuszku. Znajomy skryba omal nie wyzionął ducha na cienkiej watykańskiej zupce. Więc co robić? Ubiegać się o kulawe biureczko w emigracyjnej gazecie? Małoż to much siedzi na tej mikroskopijnej kostce cu-

kru? Trzeba się uśmiechnąć do dobrych znajomych, z góry wiedząc że dopóty służą pomocą, dopóki mają pewność że się z niej nie skorzysta. Ta zwariowana postępowka z *Amnesty International*, wpływowa psychopatka, szukała niedawno referenta prasowego. Niezła posadka. Ale nie ma się co łasić do różowej markizy. Zwłaszcza po jej ostatnim nocnym telefonie. — „Zaufałam panu jak dzentelmenowi — zmurszała piękność skrzeczała w słuchawce, pewnie podchmielona, bo koniakiem leczyła bezsenność — i umieściłam tego polskiego więźnia na liście naszych podopiecznych, nie przeczuwając że wprowadził mnie pan podstępnie w błąd. Dowiaduję się od korespondenta Reutera w Warszawie, że zataił pan przede mną to, co tego młodego Polaka dyskwalifikuje *for ever*. On chciał... on chciał... — głos jej zaszedł łzami — wysadzić pomnik Lenina w powietrze!” Z dała od tej samarytanki! Lepiej już czyścić srebro w Savoy’u. Tomaszek powinien pójść na przyszły rok do lepszej szkoły, przyjaciel w Zurychu zarezerwował mu miejsce w szwajcarskim internacie, ale w tej sytuacji... Zaczna Anulka zechce pewnie, jak przed laty, kelnerować w Klubie Lotnika. Jakich słów użyje dystygowany pułkownik, bohater bitwy lotniczej o Wielką Brytanię, by jej wyjaśnić, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat podrosło nowe pokolenie kandydatek do tej pracy? Szwagier Bolo pisał wprawdzie ostatnio z Kalifornii: „Pamiętaj, że w razie czego zawsze cię możemy przytulić w tutejszej bibliotece, rączka rączkę myje, grunt to rodzinka”, ale nie takie to proste jak się wydaje. Belfrować za Oceanem? Przywdziać na siebie opończę wędrownego prelegenta, stać się komiwojażerem sprawy polskiej? Minęły te czasy, kondotierku, gdy przy akompaniamentcie wojny koreańskiej pisało się broszurki: „Droga do wolnej Warszawy wiedzie przez Waszyngton”. Raz jeszcze zaczynać życie od nowa? Za późno. „Nie obraź się, tatku — rzekł kiedyś Tomaszek — ale w twoim wieku pies by już nie żył cztery razy”.

„Jakoś to będzie”. Narodowe zawołanie Polaków. A ten mój nieudany konkubinat z Muzami? Zastygłem wśród współrozbitków jak wyrzucona na brzeg mewa o skrzydłach zalepionych smołą. „Komu się nie podobają nasze Okopy św. Trójcy, powinien spałować manatki i wrócić do Gierkowic!” — orzekł niedawno pewien romantyk, który z rozpacz po utracie ojczyzny kupił już drugi pensjonat w Kornwalii. — Jak to nas tylko uczono w szkole: „Niech idzie, niech żyje, niech sobie powróz okręci o szyję, pan niedaleko...”. Nie tylko metale się męczą. Jak długo można, w myśl zaleceń nauczyciela heroizmu, leżeć jak pies na sztandarze? Gdybym nie spalił mostów przed sobą... Pokusy świętej głowy. Na szczęście nieziszczalne. Cnota niezłomności bierze się nieraz z przeoczonych okazji. Wątpliwe przyjemności statutu

wozwraszczenia. Nie mówiąc już o tym, że nie wolno zdradzać swoich czytelników, chociaż historie wojen pouczają nas, iż częściej dowódcy opuszczają swych żołnierzy niż *vice versa*. Otoczyłby mnie po powrocie zasłużony bojkot środowiska literackiego, gardzącego synami marnotrawnymi. Pamiętasz, jakim przekleństwem witano w więzieniu głupców którzy się dobrowolnie oddawali w ręce policji? Alboż to schorowany żubr litewski z tekturowymi rogami, wypuszczony z Krakowskiego Przedmieścia na miesięczną kurację do Francji, nie skarżył się, iż popełnił największy błąd w życiu, wracając z Anglii na krajowe pastwisko? Alboż to bieżeniec świeżej daty, przez długie lata uchodzący za podporę nadwiślańskiego komunizmu, nie dał nam przed miesiącem ponurego widowiska w hamburskiej tawernie? Wyłożywszy swe dymiące wnętrzności na stół zalany piwem, przypominał Floriana Szarego spod Płowiec, któremu flaki przeciekają przez palce. „Moja decyzja ma w sobie coś z samobójstwa” — wołał dyszkantem — „nie chcę być dłużej pozycją w spisie inwentarza. Żona ogarniętego żądzą posiadania skąpca podcina sobie żyły, by uszkodzić jego własność. To samo ze mną!” Może by i nie kazali mi wchodzić pod stół i odszczekiwać emigracyjnych artykułów, może by i nawróconemu grzesznikowi powierzyli Powiatowy Dom Kultury w Sokołowie, by przekonał się wreszcie, ile naiwnych złudzeń kryje w sobie mit o Anteuszu: że niby wystarczy rzucić okiem na dymiące boki krasuli rozkraczonej w rodzimym bloku, na kałużę klesłą od posuchy, na swojaka w kożuchu, i od razu przez mdłe ciało powrotnika przechodzi dreszcz energii twórczej...

Odwiózł chłopca taksówką na Babuino, do Kingsley’ów, angielskich przyjaciół, którzy przed kilku laty, bojąc się reumatyzmu, przenieśli swój antykwariat z Londynu do Rzymu. Lubił te kąty. Unosił się tu zapach palonej kawy, wygrzanej w słońcu ceraty dorożek, farby malarskiej, stolarskiego kleju i przywiew słodczy z pobliskiego targu kwiatów.

— Via del Babuino czyli ulica Małpki. Tutaj, w skromnym zajeździe, mieszkał kiedyś Słowacki, poeta którego wiersza nauczyłeś się na imieniny mamy: „Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi, bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci...”

— ... to każdy kwiatek powie wiersze Zosi — podjął umęczonym głosem Tomaszek — każda jej gwiazda piosenkę zanuci”...

A minę miał taką jakby się napił tranu.

Nie wolno chłopca przemęczać zwiedzaniem kościołów i muzeów. Gotów jeszcze to piękne miasto znienawidzić na całe życie. Tutaj przynajmniej zagra ze swoim rówieśnikiem, Kingsley’em juniorem, w ping-ponga.

— Jak wiesz, jestem zakutym protestantem, moja Dorothy

jest córką pastora — rzekł zacny Peter, przyjaciel na niepogodę — ale jutro całą rodziną wybieramy się do bazyliki, bo to wasze święto.

Wracając piechotą od Kingsley'ów — jak te godziny lecą, niedługo rozpocznie się „konferencja prasowa z naocznym świadkiem” — Adam przyspieszył kroku, by jak najrychlej stanąć przed Schodami Hiszpańskimi.

Oto plac, który do łez zachwyił Norwida. Dwa kamienne skrzydła, upierzone tysiącami kwiatów. Zaraz się poderwą do lotu na Monte Pincio. Tam, w górze, na tle seledynu, znajoma palma z czupryną zieleni strzeże prawej strony balustrady. Patyna na kościelnych wieżach. Obelisk z hieroglifem po środku. Lilia, gwiazda, krzyż na szczycie granitu. I ten od lat nienaprawiony zegar pod lewym dzwonem. Spoglądałeś kiedyś, zakochany, niecierpliwym okiem w jego wapienną tarczę, brodząc po biodra w różach, goździkach, narcyzach, azaliach, astrach i bzach, wśród eksplozji wiosennego szczęścia, w aromacie tęsknoty, w obłoku księżycowego światła, w dymie zapachów wybuchających szrapnelami...

Stępa, Pegazie! Przecież na brzegu dziesiątego lub dwunastego schodka, po prawej stronie, siedzi postać dziwnie znajoma. Przecież to... A cóż ten nieborak tutaj robi?

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Jaki ten Rzym mały! — wykrzyknął, zdumiony, na widok rodaka ze Zduńskiej Woli. Z marynarką równo złożoną na kolanach, podłożywszy chusteczkę pod spodnie, delegat siedział na kamieniu i wachlował się cyklistówką. Twarz miał czerwoną od gorąca. — Tak sam? Czyżby się zbłądziło w obcym mieście? Poznaje mnie pan? Razem jechaliśmy autobusem z lotniska.

— „Samotność, cóż po ludziach” czy jak to tam jest — roześmiał się basem sekretarz komitetu powiatowego. — Oczywiście, że poznaję. Stał pan ze swoim chłopysiem przy kolistym taśmociągu. Powiedzieli mi w hospicjum, że te schody to najpiękniejsze miejsce w Rzymie, więc urwałem się od reszty towarzystwa i siedzę sobie tutaj grzecznie między kwiatkami. Schody do nieba, a jakże. Aż się słodko robi na sercu. Rozglądam się, w słońku wygrzewam, rozmyślam, i po Florczyku, moim gnębieliu, jak po ciężkim tyfusie, wypoczywam.

— Pan znowu o tym swoim Florczyku! — zachnął się Adam. — Czy nie szkoda zdrowia i pięknej wycieczki, by zaprzętać sobie głowę mizernym kacykiem? Zapraszam pana do sąsiedniej tratorii na *abbacchio*, na kotlecik z jagniątką.

— Dziękuję, ale dziś i jutro suszę i poszczę. Gdyby się nam udało wyłuskać Florczyka z wojewódzkiego komitetu, ludzie by odetchnęli, Łódź by wyładniała, a ja bym o dziesięć lat odmłod-

niał, tak mi ta bestia życie zatruwa. On mnie, panie, do grobu wpędzi. On mi nawet wiarę w życie pozagrobowe obrzydził do cna. Myśl, że mógłbym się i t a m spotkać kiedyś z tym łobuzem, napawa mnie przerażeniem. Niech się pan nie uśmiecha. Mnie to naprawdę boli.

— Należałoby może pomyśleć o jakiejś terapii antyflorczykowej? Gimnastyka, spacer w górach, zmiana pracy, przeprowadzka na drugi koniec kraju. Amerykanie uważają, że nieszczęście jest uleczalne.

— Pan chyba żartuje ze mnie — sekretarz przyjrzał się swojej przepoconej cyklistówce. — Mam i ja swoje radości. Kiedy mi życie dokuczy ponad miarę, a jestem przypadkiem w „służbowej delegacji” w Warszawie, idę w dzień świąteczny na Krakowskie Przedmieście, by postać w gromadzie gapiów na trotuarze przy Miodowej i popatrzeć na kościół św. Anny, gdy podjeżdżają limuzyny powiewające wstążeczkami i serpentyną. Przyjemne widowisko! Dziewczęta w ślubnych welonach, wyelegantowani młodzieńcy, rodzice bardziej przejęci od oblubieńców. Przez szparę uchylonych drzwi wylewa się, proszę pana, syrop Mendelssohna. Wspólna fotografia, oklaski, śmiechy, pocałunek przed obiektywem. A potem, to już nowy zwyczaj, ciekawe kto go wprowadził, świeżoślubieni po opuszczeniu kościoła w radosnym objeździe ulic swego miasta nie zapominają o nieobecnych i ich ofierze. Gdy panna młoda składa w przykłęku wiązanek ślubną przed tablicą ku czci zamęczonych lub, wzruszona, wrzuca kwiaty do stawku przy wierzbie Chopina, chwytam mnie, starego osła, coś za gardło i myślę sobie: mogło nie być tego miasta, mogło nie być tego kraju — kto by płakał po nim na świecie? — a jednak z popiołu i gruzów wyrosło nowe życie, pną się drzewa, rzeka płynie, ludzie żyją, pochód pokoleń trwa ku lepszej, daj Boże, przyszłości. Cóż, kiedy następnego dnia wracam do Łodzi, widzę za biurkiem tego Florczyka i zła krew uderza mi do głowy...

Adamowi nie przypadł do gustu ten upust patriotycznych sentymentów. Przypomniał mu się wiersz znajomej grafomanki: „Zmarli od spodu tłuką głowami w bruk naszej stolicy”.

— Jeśli wam tak bardzo ten typek zaszedł za skórę — skrzywił się z niechęcią — wybierzcie się w kilka osób do Warszawy i poproście, by go odwołano ze stanowiska. Pukajcie a będzie wam otworzone.

— Zaraz widać, że pan od dawna za granicą żyje, że tak powiem: na srebrnym globie — rozległ się zły śmiech do żywa dotkniętego. — Poskarżyć się? Dojść swej krzywdy? Odwołać się do wyższej instancji? Przednia myśl, a jakże. W teorii wszystko jest możliwe, ale w praktyce, he-he, wyłaniają się pewne

trudności. Panie kochany, nasz aktyw partyjny w Zduńskiej Woli, mówię o tym w zaufaniu, ślubowałem po cichu, że złożę anonimowo srebrne votum przed obrazem ojca Kolbego lub podrzuci franciszkanom dwadzieścia tysięcy złotych na biednych, jeżeli błogosławiony krajan wysłucha naszych modlitw, jeśli stanie się cud od lat upragniony i wyślą wreszcie tego hycła na zieloną trawkę. Jedno panu powiem: ani piekło ani niebo ani zwierzę dziki nie potrafią tak dokuczyć jak człowiek człowiekowi.

— Na ulicy Babuino oprócz Słowackiego mieszkają przez pewien czas Krasiński — Adam próbował zmienić temat.

Ale biedny sekretarz komitetu powiatowego już cały broczył Florczykiem:

— Łatwo panu powiedzieć: „Poskarż się!” Wtedy, przed laty, dostałem nauczkę na całe życie. To że ludzi zabijano i męczono, wydawało nam się czymś „normalnym”: była wojna. Lecz dodatkowo dławili nas nienagannie funkcjonujący podział zadań na różnych szczeblach przemocy. I ta psio wierna lojalność starszyzny wobec mianowanej przez siebie sfory podhycłów i katowskich terminatorów, ten gardłowy śmiech: „W razie czego przyslijcie go do mnie!” Niech pan usiądzie na chwilę przy mnie, na tych schodkach wiodących do nieba, to coś panu opowiem, bom belfer niewyżyty i chorobliwy gaduła. Otóż kto się u nas skarżył na samowolę blokowego, tego w imię praworządności wzywano na wartownię — „dla złożenia wyjaśnień na piśmie”. Pozwalano mu wpisać zażalenie do grubej księgi, wyłożonej na biurku. Wręczano mu grzecznie pióro, podsuwano kałamarz, wysuszano zapis bibularzem. Jeśli śmiałek nie znał niemieckiego lub był niepiśmienny, zjawiał się tłumacz, by w jego imieniu kaligraficznym piśmem dopełnić formalności. Następnie dyżurny oficer w siwym mundurze wolno i sumiennie, w obecności świadków, liczył wpisane do księgi słowa, w czym upodobał się do urzędnika na poczcie obliczającego opłatę za telegram. Po dłuższej chwili, ciepłym szeptem, jakby nie chciał naruszać liturgicznego nastroju, komunikował skrzywdzonemu z uśmiechem: „Za każde słowo skargi — taka jest nasza taryfa — wypłacamy po dwa bykownce na golasa. Kładź się, przyjacielu! I nie krzycz, proszę, bo za zakłócenie ciszy jest osobna premia: rwanie tyłka drutem kolczastym!” Ten oficer dyżurny był w cywilu nauczycielem muzyki, urodą przypominał młodzieńczego Schumanna, a akcent miał śpiewny, wiedeński. I tak, panie kochany, powstała mądrość narodu: „Nie odwołuj się do wyższej instancji!” A od tej pory starzy więźniowie ostrzegali „zugantów”: „Słuchajcie, kuracjusze! Jeśli was zaczną policzkować, nie zasłaniać twarzy. Oni tego bardzo nie lubią. Mądry więzień, wyprężony jak stru-

na, rączki grzecznie przyciska do pasiaka i udaje że nic się nie stało!”

Delegat Zduńskiej Woli z twarzą wykrzywioną grymasem poderwał się nagle z ziemi, marynarka spadła mu z kolan. Na samym środku Schodów Hiszpańskich, w najpiękniejszym miejscu Rzymu, stanął na baczność, palce wpijając w uda. Nie widział przed sobą kwiatów, słońca, gołębi, urody zabytkowego placu.

— Na mnie już czas — Adam poczuł skurcz w gardle.

Odszedł szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.



Czas, najlepszy lekarz, goi rany i zabliznia złe wspomnienia. Znamy to okrągłe zdanie. Wystarczy jednak spojrzeć na plakat, rozlepiony na murach rzymskich kościołów, na ostrzyżonego do skóry męczennika w pasiaku, na jego twarz wychudłą, na okrągłe okulary w drucianej oprawce, za którymi ukrywa się śmierć przyczajona w czarnych oczodołach, by zatruty kołec wspomnień raz jeszcze przebił błonę niepamięci.

Spotkanie z Gajowniczkim. W drodze na smutny seans, wskrzeszający cienie przeszłości, Adam, nie zwracając uwagi na perlącą się w słońcu falę przechodniów i na tęczowo barwne dekoracje wystaw sklepowych, rozmyślał nad niezwykłością słowa „gdyby”.

Gdyby piekarz Kłos z grupy żniwiarzy nie uciekł wtedy wraz z dwoma innymi więźniami z miejsca pracy, nie byłoby następnego dnia karnego apelu na bloku czternastym na którym podkomendant obozu Hauptsturmbannführer Karl Fritzsch i jego adiutant Palitsch dokonali „wybiórki” (koszmarny termin!) dziesięciu więźniów do bunkra głodowego.

Gdyby jeden z tej dziesiątki, podoficer zawodowy, Franciszek Gajowniczek, nie rozpląkał się na głos, wołając że ma żonę i dzieci, ojciec Kolbe mógłby nie zająć jego miejsca w szeregu skazańców, i umarłby pewnie po miesiącach „normalnie”: z wyćnięcia i ciężkiej pracy.

Gdyby pan życia i śmierci, ów Fritzsch, zwolna przechadzając się wzdłuż kolumny z podniesionym palcem (wpatrywał się przy tym ludzkim ceniom prosto w oczy jak ten Największy w Berlinie), od razu wyselekcjonował ojca Maksymiliana do bunkra jak pozostałych dziewięciu więźniów, których nazwisk świat nie zapamiętało, zabrakłoby tej ofierze ważnego motywu: dobrowolnego akcesu, i to w imię miłości bliźniego. Czy pomniejszyłoby to znaczenie męczeństwa?

Gdyby zbrodniarz Fritzsch (czy nam się to podoba czy nie, obok Kolbego główny protagonista tego dramatu), spełniając

prośbę franciszkanina, wysłał go do bunkra śmierci, ale nie zgodził się na ułaskawienie Gajowniczkę, i zginęliby w końcu obydwaj, można by mówić o daremności ofiary męczennika, o szlachetnym geście nie uwieńczonym ocaleniem towarzysza niedoli lub „tylko” o samobójstwie w dobrej wierze. A więc aż tyle zależało od kata w mundurze? I przez niego wiodła droga do wieczności? *Gesta Dei* przez diabła w ludzkiej skórze? Kciuk Hauptsturmbannführera palcem Bożym?

A co by się stało, gdyby Fritzsche nie spełnił prośby franciszkanina, nie zmienił swej decyzji i zamiast ojca Kolbego jednak wysłał na blok śmierci Gajowniczkę? Czy doszłoby dzisiaj, w czterdzieści lat po tym wydarzeniu, do beatyfikacji polskiego kapłana? Oprawca Fritzsche mówi „*Nein!*” i — co? Przestaje być narzędziem „niezbitych wyroków Opatrzności”? Czy bez czarnego tła zbrodni nie świeciłaby gwiazda świętości? Nie, lepiej się nie nachylać nad studnią słowa „gdyby”. Nawet jeśli by się dało przemyśleć wszystkie możliwości i warianty tamtego wydarzenia na obozowym klepisku... Czy takie nieporadne „rachunki prawdopodobieństwa” mają jakikolwiek sens w wymykającym się racjonalnym prawdom światu wiary i eschatologii? A zatem gimnastyka szarych komórek i nic więcej?

Przed brzydką, secesyjną kamienicą, oklejoną tą samą ilością afiszów z wizerunkiem boliwijskiego rewolucjonisty co i polskiego kacetowca, stał już wóz transmisyjny telewizji włoskiej.

Adam na widok węzowiska kabli i nerwowej krzątaniny techników uprzytomnił sobie, że konferencja prasowa z Gajowniczką nie wzbudza w nim większego entuzjazmu.

Jaki jest jej cel? Krzewienie wiary świętej? Przez kogo? Przez urzędników placówki dyplomatycznej państwa, które uważa religię za opium dla mas? „Liberalizacja” na wynos? Pokaz tolerancji religijnej nad Wisłą, którego polityczną dywidendę nowy, zręczniejszy od poprzedniego, prokonsul zainkasuje na rynku zewnętrznym i wewnętrznym, przy minimalnych kosztach własnych? „Propaganda imienia polskiego w świecie”? To brzmi dumnie. Przechwałka przed obcymi, iż Polacy nie gęsi: swoich świętych mają? Czy wyniesieni na ołtarze zachowują swoją narodowość? Czy jest się Polakiem także i po śmierci? Zaproszono dwustu reporterów. Miejmy nadzieję, że organizatorzy spotkania nie będą na podejmowali cocktailami.

Jaki motyw, powtórzmy, przyświeca tej imprezie? Względ na notorycznych niedowiarków i pomniejszych martyrologii, na koła „tradycyjnie niechętne wszystkiemu co polskie”? A może rejentalna chęć uwierzytelnienia moralnego eposu poprzez triumfalną fanfarę konferansjera: — *Ladies and gentlemen! Your attention, please! We would like to present to you Mister Fran-*

ciszek Gajowniczek! Numer oświęcimski: 5659! Oto świadek koronny! Oto świadek naoczny! Współaktor tragedii! Zaraz wam własnymi słowami opowie jak było naprawdę!” — Przypomnienie świata krzywd, wyrządzonych Polsce przez Niemców? (Czy tylko przez Niemców?) I polityczne *post scriptum*: „Iluż to jeszcze przestępców wojennych przebywa w NRF na wolności?” (Czy tylko w NRF?) Prezentacja Gajowniczkę jako element „reklamy” dla ojca Maksymiliana? Czy kult świętych i błogosławionych powinien podlegać tej samej partyturze rozgłosu co jesienny salon samochodowy lub pokaz mód? A może padasz ofiarą własnej nieufności? Kościół wie co robi: im więcej ludzi się przy takiej sposobności zapatrzy w niebo, tym lepiej. Iu z nas jednak zadziera głowę ku niebu, by nie widzieć co się dzieje na ziemi?

Ale chyba już uszmkowano tego zacnego rodaka, podoficera a później urzędnika leśnictwa, który pewnego dnia zaplątał się w tryby spraw ludzkich i boskich.

Konferencja zaczęła się punktualnie.

Ledwie Adam wspiał się po schodach na drugie piętro, gdy podszedł do niego uśmiechnięty rodak w nieokreślonym wieku, ale chyba nie miał więcej niż czterdziestkę. Twarz tuzinkowa, lekko ospowata, trudna do spamiętania. Szerokie ramiona. Modna, zamiszowa kurtka. Nieznajomy wyciągnął obie dłonie jakby się znali od niepamiętnych czasów:

— Pan Adam Malinowski, jeśli się nie mylę? Przepraszam za napaść w biały dzień. Kostecki jestem. Z Polski przyjeżdżam. Wątpię czy pan sobie mnie przypomina. Mieszkaliśmy przed wojną we Włocławku, na Kopernika. Mój ojciec...

— Ależ tak! Pamiętam pańskiego ojca. Myślałem o nim niedawno. Opiekun kółka „Pro Arte”. Uczył nas rysunków i deklamacji. Wołaliśmy na niego „Boruta”, z Łęczycy przecież przyjechał. O lasce chodził, jeśli mnie pamięć nie zawodzi. Ale pana sobie nie przypominam. Nawet nie wiedziałem, że „Boruta” miał syna... Czy ojciec żyje? Co się z nim dzieje?

Nawet tutaj, w kłębach papierosowego dymu, poczuł zapach przedwojennej piwnicy Kosteckich: wódka, mydliny, koci mocz, kwaśna kapusta.

— Nie może mnie pan pamiętać. Dzieckiem wtedy byłem i głównie na wsi, u ciotki się chowałem. Ojca zabrali w czterdziestym drugim, i już nie wrócił. Ale pana to ja od razu poznałem! Pokazywali u nas niedawno w telewizji program przeciw emigrantom — z pana fotografią. Chętnie bym o tym i tamtym pogawędził. Przyznam się, że po to właśnie na to zebranie przyjechałem.

— Dobrze — zgodził się Adam. — Wyskoczmy do najbliższego baru, jak tylko skończą.

— Bardzo się cieszę — skłonił się ów Kostecki niezgrabnie, po bokserku. A gdy wszedł do środka, usiadł osobno, na brzegu, w przedostatnim rzędzie.

W klubie prasy międzynarodowej przy zgiełkowej Via del Corso — szum ulicy przedostawał się przez zamknięte okna do wnętrza salki — na spotkanie z przybyłym z Polski Gajowniczym tłoku nie było. Organizatorzy wybrali nieodpowiednią godzinę. Takie imprezy należy urządzać przedpołudniem albo wieczorem, ale nie po południu, kiedy Rzymianie jeszcze nie otrząsnęli się z poobiedniej senności.

Siwy, schludny siedemdziesięciolatek, skurczony w swym granatowym garniturku (czarny krawat, odznaka w klapie marynarki) siedział za stołem w otoczeniu tłumaczy i mrużył oczy w błysku flaszów. W chwilę później jęły go prażyć jupitery i reflektory, dobrały się do niego kamery telewizyjne.

— Świecą biedakowi prosto w oczy! Jak na śledztwie — doszło do Adama z sąsiedniego rzędu. Poznał po głosie delegata ze Zduńskiej Woli.

Jakiś nobliwy pan zagał krótko w trzech językach, nie tracąc przy tym akcentu słowiańskiego, ktoś nachylił się Gajowniczkowi do ucha, jakby mu dodawał ducha przed wejściem na ring, i stając biorąc głęboki oddech wstał z krzesła i uklonił się zebranym:

— Jestem tym, któremu ojciec Kolbe ocalił życie w Oświęcimiu. Przybyłem z Brzegu na Śląsku do Rzymu, by wziąć udział w uroczystościach beatyfikacyjnych ku czci świętego kacetowca...

— Prosimy głośniej — odezwały się panie pod ścianą. — I jeszcze raz od początku, bo tutaj nic nie słychać.

Gajowniczek opisywał swoje przejścia głosem cichym i monotonnym. Mówił z pamięci bez kartki. Był stremowany. Żyłaste dłonie drżały mu na stole. Czasem potraçał karafkę z wodą lub popielniczkę. Czuło się jednak, że relację o gehennie franciszkanina powtarzał już wielokrotnie. Co dwie minuty robił przerwę w opowiadaniu, którą wypełniał przekład, niezawsze wierny. Tłumacz, elegancki młodzieniec w krzykliwym krawacie, wyraźnie kusił się o dramatyczną ekspresję, jakby nie dowierzał samej wymowie faktów. Adama ogarnął niemiły domysł, że niewyżyty aktor chce się podobać urodziwej mulatce o śnieżno białym uzębieniu, siedzącej w drugim rzędzie z podróżnym magnetofonem na kolanach.

— Czy pan prezes wie jak się nazywa ta apetyczna porcja biologii? — rzekł ktoś z podziwem. — Tak jak wygląda: Miss Aphrodite, ozdoba San Juan.

Relacja Gajownicza, naszpikowana datami i nazwiskami, miała w sobie coś z litanii:

— Ojciec Kolbe, aresztowany przez Gestapo w lutym czterdziestego pierwszego w Niepokalanowie, umieszczony został na Pawiaku w Warszawie, gdzie go pobito za wyznanie wiary. W maju tego samego roku przewieziony został do Oświęcimia i jako numer 16670 umieszczony na bloku siedemnastym. Przez pierwsze dni pracował w komandzie dla Żydów i księży „Bauhof” przy zwózce żwiru i kamieni na budowę parkanu przy krematorium. Po krótkim pobycie w obieralni ziemniaków przydzielono go do komanda „Babice”, gdzie musiał przy taczce pracować biegiem na podmokłej łące, bity kijem przez kapo Heinricha, bandytę z zielonym winklem, którego nazywano „krwawym Krottem”. Czternastego dnia tej męki po otrzymaniu dwudziestu pięciu kijów umieszczony został w szpitalu obozowym na oddziale zakaźnym jako podejrzany o tyfus plamisty. Gdy się okazało, że było to „tylko” zapalenie płuc, przeniesiono go do pończoszarni, na blok ozdowieńców, gdzie otrzymywał połowę racji, ale i tak swoją głodową porcję często oddawał innym więźniom...

Tak było — przywodził w myślach Adam. — Jest o tym wzmianka w dokumentacji, zebranej przez związek kacetowców: do siedzącego na pryczy z menażką rozwodnionej brukwi w rękę księdza-„muzulmana” podchodzi jakiś młokos i woła: „Ty, stary, po co jisz, mosz durchfall, lepij daj mnie!”, a ten, chociaż osłabiony i wygłodniały, oddaje mu swoją zupę bez słowa skargi.

„Pracowałem wtedy w szpitalu obozowym jako pielęgniarz — pisał jeden z więźniów o wczesnej numeracji — i mogę zaświadczyć, że dzielił się jedzeniem. Święty to był człowiek. Pewnego razu oddał swoją kromkę chleba nawet Żydowi”.

O tym jednym słowie „nawet” można by napisać cały artykuł.

Tymczasem za plecami ktoś miękko, modlitewnie szeptał do mikrofonu. Angielski z akcentem irlandzkim:

— *In the camp he hardly ate. He gave his food to others. He talked to the prisoners and gave them courage.*

— Żyliśmy w kostnicy, budowanej rękami ofiar — ciągnął Gajowniczek. — Chociaż napis na bramie głosił: *Arbeit macht Frei*, każdy nowy transport więźniów witano słowami: „Żydzi mają prawo żyć dwa tygodnie, księża jeden miesiąc, reszta kwartał. Wyjście stąd jest tylko jedno: przez komin”. Każdy z nas chciał przeżyć, ma się rozumieć, a jednak... Kiedy lekarz obozowy, dr Rudolf Diem, zaofiarował ojcu Kolbemu miejsce na rewirze, co mogło oznaczać przedłużenie życia, ten zrezygnował z przyjęcia tej propozycji, mówiąc: „Nie zasłużyłem na względy. Jestem

w obozie dopiero od dwóch miesięcy. Mam lat czterdzieści siedem. Są na bloku młodszy ode mnie. Oni mają pierwszeństwo”.

— Ten Diem — mruknął ktoś sceptycznie w pobliżu — to pewnie jakiś „dobry Niemiec”. Przyszła moda na wybielanie łotrów.

— Nic podobnego. Polski ewangelik — wyjaśnił Adam. — Pomagał więźniom.

— Aż wreszcie — Gajowniczek przełknął ślinę i zapatrzył się w karafkę — nadszedł dzień, którego nie zapomnę do końca życia. Trzydziestego pierwszego lipca doszło do ucieczki trzech więźniów z obozu, w tym jednego z naszego bloku, piekarza Kłosa z Warszawy. — Jak tylko komanda wróciła z roboty, rozległ się wrzask: *Antreten!* i zaczął się karny apel, zemsta na niewinnych, że niby jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Tak długo będziecie na tym placu stali bez jedzenia i bez picia, aż się zguba znajdzie, a jeśli się nie znajdzie,... to... Niektórzy mówią, że to się wydarzyło pierwszego sierpnia, ale ja wiem, że ta... wybiórka... ta selekcja do bunkra głodowego odbyła się drugiego sierpnia o szóstej wieczorem... Jak tylko Rapportführer Palitsch zapowiedział, że komendant Fritsch osobiście dziesięciu z szeregów na śmierć wybierze, tak każdy sobie pomyślał: „O Jezusie, bierzcie każdego, byle nie mnie!”...

Gajowniczek przerwał, sięgnął po karafkę, wodę do szklanki nalewał długo i uważnie, by drżącą dłonią nie uронić ani jednej kropli na zielone sukno, a tymczasem rączy tłumacz, nie spuszczaając oka z pięknej mulatki, już przerabiał jego rzeczową relację na nie najlepszą literaturę.

W istocie zaś sprawa była prosta. Wszystko sprowadzało się do tej jednej minuty w której świat nie zatrzymał się w swym obrocie wokół słońca, nikt nie dosłyszał skrzypienia gwiazd i planet w czarnej otchłani i stało się tyle innych, niemniej ważnych i nieważnych rzeczy na ziemi: kosmata dłoń z pierścieniem na palcu, wolno i starannie, atramentowym ołówkiem marki Faber skreśliła w pokratkowanym zeszycie numer 5559 i na jego miejsce wpisała 16.670.

W odróżnieniu od niektórych cudzoziemców na sali, którzy słowa byłego podoficera 36 pułku piechoty, a obecnie znękanego rencisty, notowali z minami, zdradzającymi że opis oświęcimskiego piekła (*anus mundi* — jak zapisał w swym diariuszu profesor Johann Kremer, szef obozowego szpitalnictwa) słyszą po raz pierwszy, Adam znał niemal każdy szczegół tej relacji.

Sąsiad z lewej, śniady chudzielec z dużą, do szkaplerza podobną tekturką na szyi: *Catholic Youth of Colombo*, który na krzeselkach porozkładał ulotki w kilku językach: „Bracia Szkolni św. Jana de la Salle na Cejlonie dziękują Założycielowi Niepo-

kalanowa za wystąpienie się im o drukarnię”, sprawiał wrażenie człowieka, który nie może się połapać w temacie konferencji i na próżno czeka na przekład angielski. Jakiś brodac z olimpijskim spokojem nabijał fajkę jakby mu przed chwilą opowiedziano o losie pingwinów na Alasce. Nawet ten na Włocha wyglądający grubas z egzemplarzem *Osservatore Romano* w kieszeni białej marynarki tak szczerlnie zacisnął wypukłe powieki pod okularami że nie wiadomo czy drzemie czy rozmyśla nad pasją polskiego nieszczęśnika. Przeczytaliby książkę Borowskiego o kamiennym świecie! Albo diariusz tego oprawcy w oficerskim mundurze z trupa główką na czapce, który roztkliwiając się nad własnym przepracowaniem, napisał: „W porównaniu z tym, co się tutaj dzieje, „Piekło” Dantego jest niewinną igraszką”. Czy wiedzą, że jeśli wśród pędzonych do komory gazowej dzieci znalazły się bliźnięta, ocalano je na pewien czas dla przeprowadzenia eksperymentów lekarskich?... Tajna instrukcja numer taki a taki. Żadnej spontanicznej erupcji świętego gniewu. Bez rozfalowanych namiętości, improwizacji, słomianego ognia, krzyżowania się kompetencji. Chłodna, naukowa operacja. Los zaprogramowany. Sukces rzeczoznawców. Piekło metodyczne, bezszelestnie administrowane za biurkiem. Ewidencja wyrwanych plomb. Zestaw roboczo-godzin. Ile krwi, potu i łez wyżęto z anonimowej, amorficznej masy przed jej spopieleniem. A przy tym, zgodnie z regulaminem, „dbano” o zdrowie *häftlinga*: przy pracy, w komandzie „Babice”, pobito ojca Kolbego do nieprzytomności, ale 28 lipca po raz drugi przeświecono mu płuca.

— Czy słyszał pan już o tym — posłyszał rozdrażniony głos delegata Zduńskiej Woli — że w otoczeniu tego głównego magika z urzędu do spraw wyznań, Skarżyńskiego, co dzisiaj oficjalnie przyjechał do Rzymu, miano widzieć naszego Florczyka? Zlatują się tutaj jak te ćmy do lampy. Ten łobuz Florczyk w Stolicy Piotrowej! Wprost się wierzyć nie chce!

— Wśród skazanych na głodową śmierć — ciągnął Gajowniczek za stołem — znalazłem się i ja. Zrozumiałem, że to już koniec, że nic nie może mnie uratować. Żał mi się zrobiło mojej żony i dzieci, które osierocę. Na głos zapłakałem. I wtedy wystąpił z szeregu inny więzień...

Adam westchnął. O tym, co się wtedy, w upalnym sierpniu, wydarzyło w obozie, którego nazwę, jak dostrzegł przez ramie, młody Niemiec z długimi włosami (w roku 1941 jeszcze go nie było na świecie) pisze obecnie w notesie błędnie *Ausswitz* zamiast *Auschwitz*, mówił przez radio i pisał do gazet od wielu tygodni. Wręcz ugiął się pod ciężarem tej smutnej wiedzy. Chętnie by zrzucił z siebie ów garb niewidoczny. Cierniowa korona pamięci. Odkąd ojciec Gaetano, konsultant kongregacji, udostępnił mu

odpisy zeznań naocznych świadków, dwa pękate skoroszyty zaprzysiężonych dokumentów („chciałbym zachęcić Pana do napisania scenariusza filmowego o polskim franciszkaninie”), wie aż za wiele. Na przykład: jak się nazywał ów więzień pełniący obowiązki *Bunkerknechta* (parobka bunkrowego), co wywlekał zwłoki głodem zamorzonych. Albo: który to lekarz na polecenie komendanta wszedł czternastego sierpnia do piwnicy z zastrzykiem fenolu...

Tłumacz jeszcze trajkotał. Rzekłbyś: teatr jednego aktora. Cejlończyk wyjął z teczek różaniec i ze spuszczoną głową przebiegał ziarnka wysmukłymi palcami. Reflektory, na szczęście, już zgasły. I tak nie dadzą w programie wieczornym telewizji włoskiej więcej niż pięć minut o Gajowniczku.

Konsultant Gaetano podsunął mu nawet tytuł, ponoć niezwykle oryginalny: „Silniejszy od śmierci” (co drugi film sowiecki zapewnia nas że „śmierci nie ma”, jeśli się walczy po słusznej stronie) i rzekł: „Bohatera obrazu nie wolno przesłodzić ani też kreować na jeszcze jednego Don Camillo. To był człowiek na wskroś nowoczesny, świadomy architekt swego sukcesu doczesnego i pozaziemskiego. Trzeba o nim pisać prawdę, i tylko prawdę. Nawet i o tym wspomnieć, że *advocatus diaboli* marszczył brew na jego talent organizacyjny i rozmach finansowy, niezgodny z wyobrażeniem o ubóstwie, i zastanawiał się, czy kult maryjny nie był dlań ważniejszy od kultu Chrystusa. Prawdziwa świętość dociekała się nie lęka. Może jestem w moich poglądach osamotniony, ale hagiografia wcale nie musi być synonimem aprobaty. Nawet świętych krytykować można, a nawet trzeba”.

W rzeczy samej, w jednym ze skoroszytów Adam natrafił na zapisek, który przeczytał ze ściśniętym sercem. Pewien oficer leśnego oddziału, również więzień Oświęcimia, a dzisiaj inwalida w lubelskim domu starców, zaniepokoił się w swym zeznaniu tą cnotą Kolbego, którą narodom podbitym naśladować najtrudniej: cnotą posłuszeństwa.

„Mówił nam nieraz w obozie, że prawdziwy chrześcijanin nie powinien się buntować. Rozkazy strażników czy blokowych spełniał posłuszenie, bez szemrania. Nawet 'krwawy Krott' nie wzbudzał w nim obrzydzenia, lecz współczucie. 'Jako i my odpuszczamy' — powtarzał niejednokrotnie. Niedaleko od nas matki z płaczem wyjmowały spod palta nieżywe dzieci, zmarłe w transporcie z głodu i pragnienia. On zaś mówił: chrześcijaństwo jest religią miłości, a przebaczenie językiem duszy. 'Jesteśmy w świecie jakby w nim nie będąc, przeznaczeni do innego, wyższego bytu, ciało nie służy do niczego'. Mnie, młodemu, żyjącemu myślą o zemście i odwecie, czynił wymówki, że odczuwam nienawiść do ciem-

życieli, zamiast z pokorą i uległością poddać się woli nieba. Gdy mi tłumaczył, że Bóg wie co robi, wydawało mi się nieraz, może niesłusznie, że jest zwolennikiem zasady niesprzeciwiania się złu. Cnota posłuszeństwa, upominał mnie, prowadzi do zbawienia. Lucyfer, mówił, zbuntował się, wołając *Non serviam!* — nie będę służył! — i poniósł zasłużoną karę”...

Lucyfer — westchnął Adam — buntował się przeciwko Bogu. Człowiek zaś buntuje się przeciwko człowiekowi. Czy pokora mury niewoli przebija? Gdybyśmy się któregoś dnia pogodzili z krzywdą i uciskiem...

Konsultant Gaetano ma rację: nie omijać kłopotliwych refleksji. Nawet i tej: czy uskrzydłony niebieskim patriotyzmem gwardian Niepokalanowa mógłby się bez zastrzeżeń znaleźć w Plutarchu akowskiej legendy, skoro swój bój z księciem ciemności jakby na innej toczył kondygnacji? Czy nie aresztowany, lecz tolerowany przez okupanta, oddawałby lojalnie Cesarzowi co Cesarza jest? Wyprosił przecież u władz okupacyjnych w Pałacu Brühla jednorazowe wydanie „Rycerza Niepokalanego” (styczeń 1941) na co się sam gubernator Frank w Krakowie zgodził przez telefon. Zapewniał *Propagandaamt*, że jego miesięcznik polityką się zajmować nie zamierza, jedynie kultem maryjnym. Ale bądźmy sprawiedliwi: czyż religia nie była linią obrony pośród okupacyjnej nocy? Czyż artykuł o konieczności zwalczania grzechu nie wywołał niezadowolenia w cenzurze? Żadne więc *ora et collabora*. A kiedy go hitlerowcy w Sochaczewie wezwali, by z uwagi na niemieckie brzmienie swego nazwiska zaparł się polskości i podpisał *Volksliste*, odrzekł im: „Zawsze byłem Polakiem i pozostanę nim do śmierci”.

Wtem na drugim końcu sali ktoś pstryknął w palce. Dulemba! Gwiazda *Transatlantic Press* w swoim żywiole. Fenomen ruchliwości. Niczym ta wieloreka bogini w Indiach wykonuje kilka czynności na raz: fotografuje w przykleku, coś notuje w brulionie, zmienia taśmę w nagrzie, służy zapalniczką Japończykowi, zgarnia pot z czoła rękawem wiatrówki, ssie eukaliptusowe cukierki, błyska okiem dookoła, jak obrotowa lampka na dachu milicyjnego radiowozu, wszystko widzi, słyszy, wie i przeczuwa, chucha na okulary, wyciera grube szkła w krawat, pozdrawia znajomych uniesieniem wiecznego pióra w górę. A nawet znajduje pół wolnej minuty, by podesłać Adamowi kartkę z najświeższą nowiną:

„Proszę się przyjrzeć temu młodemu Niemcowi w dzinsach. Siedzi przed panem. Wywahałem coś niezwykłego. Temat do świetnej *story*. Gratka. Szczegóły później”.

Nikomu się nie będzie przyglądał. Chwila nie po temu. Tłu-

macz już skończył swój popis. Znowu słysząc Gajowniczkę: wracamy do Oświęcimia.

— Kazali im zdjąć drewniaki — rozległ się zmęczony głos za stołem — taki był przepis, że jak ktoś szedł na śmierć, to boso. W bunkrze biedacy marzli na cemencie, bez koca. Do naga ich rozebrano... Zapomniałem przed tym powiedzieć, że było to w kilka tygodni po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, i z komendantury co pewien czas dochodziły radiowe komunikaty o zwycięstwach na wschodzie i radosne fanfary, co jeszcze powiększało okrucieństwo oficerów i zwykłych wachmanów... Ojciec Maksymilian żył jeszcze dwa tygodnie w celi bez okna. Czternaście dni i nocy bez kropli wody i okruszka chleba. Słyszano nawet jak słabym głosem nucił pieśni maryjne. Czyściciel celi, Brunon Borgowiec, świadkiem. A gdy im za wolno umierał, postanowili go dobić. Nie z litości, ale z niecierpliwości, że tak długo żyje. Rapportführer posłał Brunona po więźnia-lekarsza a właściwie kata, Hansa Blocha czy też Bocka, z izby chorych, by ze strzykawką trucizny przyszedł, bo z tej dziesiątki jeszcze trzech się rusza. A gdy do piwnicy zeszli, siedział na ziemi, plecami o ścianę oparty. Spojrzał na nich łagodnie i sam wychudłe ramię pod igłę im podał, ale był już tak słaby że zaraz opadł i musieli je podtrzymywać. Niewiele już było do kłucia, tylko skóra i kości. Skonał na kilka minut przed pierwszą w południe. Borowiec włożył zwłoki do drewnianej skrzyni. Następnego dnia, piętnastego sierpnia, w święto Wniebowzięcia, spalono je w krematorium a popiół rozsypano na pole... To chyba wszystko co miałem do opowiedzenia — załamał się głos Gajowniczkowi.

Krótką przerwą. Tłumacz jakby nie wiedział jak przystąpić do swego zadania. Adam spostrzegł że Dulemba wyjmując palcem łzę spod grubych szkieł, sekretarz ze Zduńskiej Woli ciężko oddycha i przyciska cyklistówkę do serca a Kostecki junior twarz schował w dłoniach. Ale już z ulicy doszło nagle radosne pobekiwanie klaksonów, tłumacz otrząsnął się z krótkiej zadumy i poprawił krawat.

— Ciekawe, że ten Kolbe nie daje ci spokoju — powiedziała Anulka przy pożegnaniu na londyńskim lotnisku, zanim z Tomaszkiem ruszyli ku „Gate number six” — uważaj, żebyś na starość do klasztoru nie wstąpił!

„Uwięziona w prochu głowa woła na ciebie z głębi ziemi”. To chyba z Żeromskiego. Pewnie, że lepiej wieczór życia spędzić w zaciszu włoskiego opactwa, pod lazurem i piniami, niż w emigracyjnym przytułku na angielskiej prowincji. Za starą cegłą, winoroślą, wśród gęstej woni bładniebieskiej lub różowej glicynii, można by wreszcie po różnych awariach i odysejach zapaść przyjemnie w odzyskaną wiarę lat dzieciństwa jak w poobiednią

drzemkę po dobrym falernie. Tak sobie zapewne niejedną sfrustrowany agnostyk wyobraża życie klasztorne, barbiturat na klęskę istnienia i nieodstępujący nas na krok cień zwątpienia. Jednakowoż nawet w tym pięknym rapsodzie o „wielkim małym człowieku”, jak nazwano franciszkanina w ateistycznym tygodniku, pulsuje pytanie: czy w samej głębi ciemności, gdy zniewolonych stawia się wobec alternatywy: żyć i zabijać albo zostać zabitym, dobrowolna ofiara jednostki, podyktowana miłością bliźniego, Boga czy ojczyzny, istotnie rozrywa żelazną obręcz Wielkiej Daremności?

A jeśli, ślepy, nie dotkniesz palcami pisma Braille'a i nie uczepisz się złudzenia, że na tym, co w tobie i poza tobą, rzeczywiście spoczywa czyjeś oko bielmem nie pokryte, sprawiedliwe i współczujące? Królestwo Jego nie jest z tego świata. Ale ty na nim żyjesz. Jednorazowo i niepowtarzalnie. I ze ściśniętym sercem przyglądasz się po latach dokumentowi bezsilności, jaki kapelan włoskiego pociągu sanitarnego przemycił z wysokości stolicy chrześcijaństwa w dolinę pohańbienia człowieka. Czysta liryka: „Jako ta rola, zwilżona darem deszczu pokrywa się płonem, tak i wszystko co dobre, cierpliwym znoszeniem utrapień, rosą łez użyźnione, rozkrzewi się bujnie”.

— Myślał zaś, niedowiarek, myślał, aż sobie dziurę w mózgu wymyślił. Zagrzebali go w niepoświęconej ziemi, za cmentarnym murem. Inaczej nie szło! — przypomniał sobie nagle jasną szczęć na olbrzymim jabłku Adama i chrapliwe „r” wirujące w krtani prefekta.

Ach, ten incydent z jedynym bezbożnikiem w naszym mieście! Rzeczywiście Anula ma rację: Kolbe nie daje nam spokoju. Dziś, myśląc w oświęcimskiej ciemnicy, wdychamy nad jego popiołem. Jutro zabijać będziemy dalej.

Znowu angielski szept za plecami:

— *Father Kolbe is the first victim of a world war two nazi concentration camp to be beatified by the Roman Catholic church.*

Inny głos:

— Trzeba starszego pana poprosić, by odwinął rękaw. Sfotografujemy jego numer obozowy.

— Nie wypada — słysząc niewyraźną odpowiedź, to pewnie ten z fajką. — *Some people are strange.* Gdy próbowałem kiedyś w pubie w Southampton pewnemu wilkowi morskemu sfotografować tatuaż, omal mnie nie posłał na deskę.

Przedstawicielka prasy belgijskiej (tak przynajmniej głosiła jej wizytówka na cytrynowym sweterku) wyjęła z torebki zegarek, nakręciła go, przyłożyła do ucha, by sprawdzić czy tyka, i rzekła do swej sąsiadki w habicie:

— *Ce n'est pas la mort, que je crains, c'est de mourir.*

Adam znowu wrócił do Kolbego. O czym myślał biedaczyna na dnie ciemnicy, wśród jęku konających współwięźniów, czując pod nagimi plecami zimną chropowatość ściany na której ktoś próbował paznokciem wydrapać znak krzyża? O kęsie chleba? O łyku wody? O drodze błotniejszej pod Rozmyślem, gdzie oczami dziecka przypatrywał się kiedyś kropłom deszczu spływającym z pierzastych witek wierzby pochylonej nad rozbulgotanym rowem? O mrocznej izbie przy ulicy Browarowej w Zduńskiej Woli, gdzie pod jedną ścianą klekotał warsztat tkacki a pod drugą, między kuchenką a posłaniami dla sześciu osób, dwóch niepiśmiennych kumów ćmiło machorkę? O czerwonej koronie, jaką w modlitewnym zachwyceniu dostrzegł w pabianickim kościółku św. Mateusza? O burzliwej, jesiennej nocy, gdy przekradali się z bratem przez granicę rosyjsko-austriacką pod Miechowem, by zapuścić się do Lwowa, do małego seminarium o.o. franciszkanów? O pierwszym ołśnieniu w Rzymie? O modlitwie, wypłakanej na widok krzyża w Colosseum? O błękitie rozpiętym nad dachem Gregorianum? O studenckich żartach przy ćwiartce Frascati i talerzu *tagliatelle* w stołówce Kolegium Serafickiego? O wielkanocnej radości, jaką poczuł gdy przytulił mokry policzek do posadzki kościoła S. Andrea della Valle przed przyjęciem święceń kapłańskich? O igliwiu roziskrzzonego lodu w powietrzu, o smrekach ośnieżonych, jakie oglądał za młodu z werandy zakopiańskiego sanatorium? O swoim ojcu, smutnym i skupionym, o jego oczach, wiecznie zaczerwienionych, które związane mu później czarną szmatą? O ojcu, żołnierzu Legionów, straconym przed laty przez Rosjan na szubienicy, o jego ostatniej nocy przed egzekucją? O spracowanych rękach matki, o jej skórze sino-czerwonej, popękanej od zimnej wody, o palcach tylekroć pokłutych i pokaleczonych? O przeżytku szczęścia: o płatkach śniegu wirujących wokół roześmianych twarzy, o powrocie saniami z pasterki pod Grodnem, z bratem, jeszcze żywym, głośno i radośnie kołędującym w wysokim lesie? O japońskim kleryku w Łambinowicach, przez pomyłkę pojmanym, tym który nie chciał polskich przyjaciół opuścić w nieszczęściu, i dopiero wartownik musiał go siłą wypychać za druty obozu? O petycji dwudziestu braciszków do Gestapo, gotowych pójść do więzienia w zamian za zwolnienie ich gwardiana? O tegorocznym, upalnym lipcu między barakami: o szeroko otwartych ustach Cyganki rozstrzelanej z trojgiem dzieci na bloku jedenastym? O strażniku w siwym mundurze, który na progu bunkra zdjął mu okulary i powiedział: „Już ci niepotrzebne. Czerniejesz tutaj jak zeschły tulipan”?...

Tak, o czym ten cień ludzki myślał na dnie ciemnicy? O wiosennym słońcu na japońskim niebie? O rozdygotanej na wietrze

gałązce kwitnącej wiśni w Mugenzai no Sono? O Madonnie dziewczęco strwożonej, bliskiej płaczu na widok jego ciężkiej śmierci?... Właśnie zdejmując z siebie płaszcz różany, słońcem wyłożony i z matczyną czułością narzuca na jego nagie i wychudłe ramiona...

Przetarł czoło i otworzył oczy. Zdjąć cudzą głowę z własnej szyi. Przestać myśleć nieswoimi myślami. Nie biczować wyobraźni. Z powrotem do klubu prasy, między żywych i oddychających! Póki *my* żyjemy. Nie brak zresztą cudem ocalonych, którzy twierdzą, że ostatnie wizje skazańców, kiedy to nagle całe życie staje przed oczami w ułamku minuty, to literatura. W takiej chwili bywa inaczej. Jednym strach paraliżuje komórki, nie myślą o niczym, na innych zaś spada ciężkie, kojące zmęczenie.

Po lepszym niż na początku, bo zdyscyplinowanym i rzeczowym przekładzie (pewnie pouczono elegancika, żeby się nie popisywał sztuką aktorską) przybyszowi z Brzegu nad Odrą zadawano pytania.

Jakaś pani w słomkowym kapeluszu, zauważywszy na wstępie że interesuje się psychologią głębinową, głównie kompleksem winy, chciała wiedzieć jak się też czuje człowiek, któremu otoczenie społeczne stale przypomina, iż kto inny oddał za niego życie? Czy nie czuje się podświadomie współwinnym śmierci swego wybawcy?

— Modlimy się co dzień z żoną do ojca Kolbego — padła odpowiedź.

Kto inny ciekaw był dalszych losów Gajownicza w obozie.

— Udało mi się szczęśliwie przeżyć — odpowiedział — było mi ciężko, długo chorowałem, jedną nogą już byłem na tamtym świecie, umarłbym pewnie w szpitalu obozowym, gdyby nie polski lekarz, prof. Deryng, on mnie uratował przed śmiercią...

W tym momencie coś poszeptano za stołem i tłumacz nazwiska Derynga w przekładzie nie wymienił. Adam i Dulemba, którzy znali tę sprawę, spojrzeli po sobie.

Z kolei sekretarz ze Zduńskiej Woli, trąc policzek, zapytał:

— Dlaczego ojciec Kolbe nie jest beatyfikowany jako męczennik, ale jako wyznawca?

— Trafne pytanie! — przyklasnął komitetowy.

Przewodniczący dość długo szukał czegoś w papierkach, zanim odrzekł:

— Nie sądzę, by nasz gość z Kraju, nie będąc teologiem, mógł odpowiedzieć na to niełatwe pytanie, ja też nie jestem w tej materii kompetentny, lecz przypominam sobie, że główny postulator, ojciec Antonio Ricciardi oświadczył, iż trudno było udowodnić męczeństwo za wiarę przy obowiązujących obecnie przepisach prawa kanonicznego. Nie stwierdzono bowiem, czy głów-

nym motywem skazania więźnia na śmierć była nienawiść do jego wiary czy do narodowości...

— Po co te subtelności? — skrzywił się sekretarz. — Sprawa jest jasna: zamęczono go, więc jest męczennikiem.

— Ukrzyżowanym na Hakenkreuzu! — dorzucił komitetowy.

Ty już, bracie, lepiej nic nie mów! — przeszło Adamowi przez głowę. — Bo gdybym tak po tej konferencji, zakłócając podniosły nastrój, podszedł do komitetowego z rdzawym wąsikiem i publicznie, przy wszystkich, zadał mu pytanie: „Czy przypominacie sobie jeszcze, prezesku, jakieście tego „parcha”, Zajferta, wyrzucili z pędzącego pociągu?”

A potem, powoli, z lekka się przeciągając, uniosła się z krzesła piękna mulatka w za krótkiej spódniczce i demonstrując swoje kształty w całej okazałości, złożyła grube wargi w obwarzanek. Chciała wiedzieć, czy dzieci państwa Gajowniczków też przyjechały na uroczystości beatyfikacyjne do Rzymu.

— Nie, nie przyjechały — odrzekł Gajowniczek. — Dwóch synów: Bogdan, lat osiemnaście, i Juliusz, lat piętnaście, poległo w Powstaniu Warszawskim.

— *I'm sorry* — speszyła się dziewczyna.

Jasne, że o powstaniu nigdy nie słyszała. Ale i my niewiele wiemy o Puerto Rico.

Zrobiło się już późno. Nobliwy pan podziękował zebrany za przybycie, Gajowniczek podpisał się jeszcze Cejlończykowi w książce do nabożeństwa, uściski dłoni, kilka zdjęć: Włosi, Polacy, Japończycy koło siebie, i po wszystkim.

— Chociaż tamci ją zorganizowali, a nie my, całkiem udana konferencja — przyznawał lojalnie komitetowy. — Może należało jednak coś powiedzieć w duchu *per la vostra e per nostra liberta*.

Krępy mężczyzna w zamszowej kurtce już stał przy Adamie:

— Idziemy?

— Niestety, nieaktualne. Już jestem spóźniony. Mój synek sam został w hotelu.

— Nie wiedziałem, że jest pan tutaj razem z dzieckiem — zdziwił się Kostecki.

— Stelefonujemy się jutro z samego rana — podał mu wizytówkę pensjonatu.

— Wiele czasu bym panu nie zajął. Chciałem się tylko poradzić w pewnej sprawie. Na pewno pana zaciekawi. Bądź co bądź jesteśmy z tego samego miasta. Ale trudno, jeśli jest pan teraz zajęty, poczekam. Zadzwoń jutro o ósmej albo wpadnie do hoteliku.

— Cóż to za jeden? — zapytał w taksówce Dulemba, gdy jechali razem, nie do hotelu, ale na drugi brzeg Tybru, na jeszcze

jedno zebranie. — Ten osiłek w kurtce. Niedobrze mu z oczu patrzy. Widział pan jego łapska? Do dławienia ludzi. Masz pan pojęcie, ile się tutaj podejrzanych typków kręci! Ja takich przez flanelę czuję. Raz spojrzę, i już wiem wszystko. Instynkt.

Stary Kostecki też nie budził zaufania — przypominał sobie prowincjonalnego diabła. — Ludzie go unikali, gębę miał niewyparzoną, po pijanemu szukał sprzeczki. Stracił posadę za obrazę koleżanki. Gdy polonistka, na zebraniu Towarzystwa Miłośników Ziemi Kujawskiej, powiedziała że spać po nocach nie może, ilekroć pomyśli o tym co się dzieje na świecie, uniosł swój dymiący łeb znad stołu i beknął: „Bo was, Gołębiowska, nikt jeszcze dobrze nie wytentegował!”

— Syn mojego przedwojennego belfra — wyjaśnił Dulemba — włocławianin. Może chce zostać za granicą? Może chce mnie naciąć na małą pożyczkę? Może chce się naczać bibuły? Osobiście nie przywiązuję wagi do „pierwszego wrażenia”. Licho wie, co tam obcy o nas dwóch sądzą, Mister Dulemba, patrząc na naszą świńską urodę?

— *Speak for yourself!* — roześmiał się nadreporter. — Ja się tam na moją aparycję nie uskarżam. Aha, czy brat pana już przyjechał? Chętnie bym z nim porozmawiał.

— Nie puścili go. Gorzej: zatrzymali go na Okęciu.

— Napiętnować! — Dulemba już klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu pióra. — Publicznie. To skutkuje. Najgorzej w takiej sytuacji siedzieć cicho lub nabrać wody w usta. To ich tylko rozzuchwala. Protestować. Na głos. Z otwartą przyłbicą. Gwałt niech się gwałtem odciska.

— Bo ja wiem? Może później, nie teraz.

— Natychmiast!

— Od lat wołacie: „Biczyskiem po ślipiach!” i jakoś nic z tego nie wychodzi. Muszę przespać tę zgryzotę do jutra.

— Wymierzili w pana, to jasne. — Dulemba wyjął eukaliptusowego cukierka z ust, przyjrzał mu się i wyrzucił przez otwarte okno. — Odwecik. Ale za co? Za słuchowisko o Katyniu? Za wypowiedź w dyskusji, że gdyby Piłsudski żył dzisiaj między nami, dawno by już pojechał w poufnej misji do Pekinu? Za złośliwość o ministrze, że przemawiał do literatów językiem podkutym gwoździakami? Za artykuł w szwajcarskim tygodniku (*Weltwoche*, jeśli się nie mylę) o porwaniu doktora W. z Wiednia via Budapeszt do Warszawy z podaniem nazwiska inspiratora tej „operacji”. Oni nie lubią, gdy człowiek pióra na emigracji, zamiast opiewać piękno ojczystej przyrody lub odbudowę rodzimych zabytków, porusza tematy nieprzystojne. Na Marksa, Engelsa czy Lenina możesz pan tutaj napadać ile wlezie. Te

sprawy to oni mają gdzieś. Ale nie na Pipczyńskiego z wiadomego resortu!

— Pisuję pod pseudonimem.

— Tym gorzej. Świat jest nieduży, ludzie są rozmowni. Dulemba wie wszystko. To jego *hobby*.

— Nie dajmy się zauroczyć.

— A swoją drogą: ja bym temu krępemu w zamszowej kurtce adresu pensjonatu nie dawał. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Tak pan uważa? — roześmiał się nieszczerze.

Dulemba zaczynał go drażnić. Nie trzeba było brać z nim taksówki na spółkę. Blagier, mitoman, żałosna postać. Przypomina tego pacjenta w polskim Londynie, który wymyka się nieraz z podmiejskiej kliniki do śródmieścia, by z przyklejoną brodą notować sobie numery samochodów zajeżdżających przed budynek reżymowej ambasady, lub majora S., bohatera podziemia, co to lękając się „bolszewickiej” pułapki, z reguły nie używa windy: gdyby wszedł późnym wieczorem do środka kabiny z nieznanym człowiekiem, mógłby przecież nie dojechać na swoje piętro. *Emigrantitis*. Także i znajoma lekarka w sześć lat po ucieczce z Krakowa na Zachód uważa że jej rzymski telefon jest na podsłuchu. Ledwie usłyszy w słuchawce oddech rozmówcy, „na wszelki wypadek” udaje swoją służącą (której nie ma) i zmienionym głosem oznajmia: „*La professoressa è assente!* Proszę zostawić numer telefonu. Zadzwoń po powrocie”.

— A co z tą sensacją o której mi pan doniósł na kartce? Mam na myśli młodzieńca z fryzurą à la Albrecht Dürer.

— Jakto? Więc pan nie rozmawiał z tym Niemcem? — Dulemba aż trzepnął dłonią w kolano. — Niepojęte! Taką okazję puścić mimo nosa! Przecież to Lemke, syn hitlerowskiego propagandzisty z lat wojny.

— Jaki Lemke? Nie słyszałem, nie czytałem, nie mam pańskiej genialnej pamięci.

— Na szczęście znam jego rzymski adres. Zatrzymał się u znajomego Holendra. Spędziłem z nim dwie godziny. Wypróżniliśmy butelkę Orvieto. Oczywiście z tym młodym, bo ten stary już od kilku lat bawi w brunatnej Walhalli. Nielichy był z niego gagatek.

— Lemke? Żeby mnie kto zabił... Nic mi to nazwisko nie mówi. Nie znam i znać nie chcę. Domyślam się jednak o co chodzi: jeszcze jedna budująca historyjka o złym ojcu i dobrym synu. Konflikt pokoleń. Ekspiacja za grzechy rodziców. „Piętno pokuty” czy coś w tym guście. Nie na mój żołądek. Dość już tego lukru. Ja wierzę w geny.

— Czyli w fatalizm — skrzywił się Dulemba.

Wystarczy schylić głowę, by za oknem taksówki dostrzec

aniola co od wieków chowa miecz do pochwy na szczycie ciemnobrązowego mauzoleum Hadriana. Ile odmian czerwieni, spłowiałej od słońca! Jakże białe są te rzeźby na moście! Zamiast przypatrzeć się Zamkowi Anioła i błękitowi podświetlonemu pierwszymi smugami zachodu, znowu wywołują ducha niezagojonej przeszłości — przypadłość wieku klęski, iście polska choroba.

— A ja was miałem za znawcę biografii Kolbego. Czy nie otarło się panu o uszy, że gorliwy *Parteigenosse* Alfred Lemke z początkiem roku czterdziestego wysłany został na reporterkę a raczej na przespiegi do Niepokalanowa? Jako przedstawiciel okupacyjnej urzędówki...

— Zaraz, zaraz. *Warschauer Zeitung* i *Krakauer Zeitung*. Rzeczywiście, ukazały się tam ataki na Kolbego. Oskarżono go o niemcożerstwo. Moim zdaniem, niesłusznie, bo kto jak kto ale właśnie połykający okularkami ojczulek z długą brodą (bez sutanny przypominając wiejskiego lekarza) w odróżnieniu od tego moralisty we Francji, który powiedział: „Nienawidzę Niemców, bo nauczyli mnie nienawidzić”, był człowiekiem organicznie do tego uczucia niezdolnym. Wprawdzie *advocatus diaboli* podczas procesu beatyfikacyjnego niepokoił się nieco jego hektycznym, porywczym, nie uznającym przeszkód entuzjazmem, ale z całą pewnością nie miał on w sobie nic z siewcy szowinizmu.

— Ejże, mówisz pan jak komentator radia watykańskiego w programie dla Austriaków — zaśmiał się Dulemba. — A niech by sobie szkopów nienawidził! A niech by do nich *venerabilis* raz i drugi wygarnął ze stena w leśnym oddziale. Mnie by to blasku jego aureoli nie przyćmiło. Wręcz przeciwnie! Prawdziwych Polonusów nam trzeba na warcie przy niebieskim tronie. Z całym dobrodziejstwem inwentarza, że tak powiem. Z tym co w polskim stworzeniu wielkie i małe, wspaniałe i nikczemne. Żadnych tam papierowych figurek z leliją! Wracając do kudłacza Lemkego: przed rokiem czy też dwoma porządkuje sobie bawarskie hippisiątko papiery po zmarłym tatulu, brunatnym misiu, i natrafia na wycinki z pożółkłych gazet, na ślady wojennych grzeszków...

— I ten stary to przechowywał? — zdziwił się Adam. — Takie „suweniry”, kochasiu, to oni po wojnie palili.

— Może, ale stary Lemke tej gazety nie zniszczył. — Dulemba nie lubił, gdy mu przerywano w trakcie opowiadania, tolerował jedynie oznaki głośniego zadowolenia lub krótkie pytania, pobudzające jego talent narracyjny do dalszych wlotów. — Dlaczego tak uczynił, nie wiem, to jego sprawa. Może w swoim subiektywnym mniemaniu nie poczuwał się do najmniejszej winy? Może cierpiał na kolekcjonerskiego hysia? Tak czy inaczej, skutek jest dzisiaj taki, że jego *filius*, przeczytawszy ów artykuł,

wbił sobie w głowę, iż to ród Lemków ma Kolbego na sumieniu. Tłumaczył mi nawet z rumieńcem na twarzy, że gdyby nie jadowite ataki prasowe jego ojca, nie zesłano by polskiego franciszkanina do obozu zagłady. Pokazywał mi przy winie te stare wycinki. Nosi je przy sobie, w mapniku. Nie ma nic przeciwko temu, by zrobić z nich fotokopie. Rzuciłem okiem na ten elaborat. Rzeczywiście: dość plugawienki donosik...

— Znam go ze zbiorów ojca Gaetano. To chyba ten sam: a więc zarzut, że klasztor był przed wojną wylęgarnią nienawiści do Niemców, że na franciszkanów spada moralna współodpowiedzialność za „krwawą niedzielę” w Bydgoszczy, że Kolbe wykreca się od wzięcia winy na siebie, przerzuca ją na konfratrów, twierdząc że nie mógł mieć wpływu na polityczną linię *Małego Dziennika*, skoro przebywał w Azji, i tak dalej. Wiemy, że ten paszkwil głęboko zabolął gwardiana. Natychmiast pojechał do stolicy, udał się z protestem do redakcji *Warschauer Zeitung*, domagał się sprostowania, które się zresztą nigdy nie ukazało. Pociasz pan jednak tego młodzieńca, że przecenia wpływ swego ojca na bieg wydarzeń. Mimo tej napaści Kolbe otrzymał zezwolenie władz na wydanie swego *Rycerza*, aresztowano go dopiero w rok po ukazaniu się tego artykułu, a w kartotekach Gestapo notowany był zapewne już w roku 1938, gdy brał czynny udział w berlińskim kongresie Związku Polaków w Niemczech. Bardzo to szlachetne ze strony młodego Lemkego, ale...

— Jakże „ale”? Nie bądźmy bezduszni! Nie chodzi już o ten artykuł, tylko o jego długi cień. Dziwię się, że temat pana nie pociąga: kędzierzawy Niemiaszek w dżinsach, podgorączkowy chęcią zadośćuczynienia. Sam fakt, że ta sprawa go gnębi, zasługuje, choćby ze względów wychowawczych, na wielki dzwon.

— Skrucha, żal za grzechy, absolucja — przedrzeźnić odświętny baryton Dulemby. — Każdy cud ma swój spód, mawiają niedowiarkowie. Ale niech mu jutro każą wykonać jakiś brzydki rozkaz, wykona.

— Demagogia. Założmy nawet, że mu zależy na rozgłosie i chce ujrzeć swoją fotografię w gazecie z podpisem: „dobry Niemiec”, że jest egzaltowany i nieco narwany, że zjawiłby się tutaj ze swoim plecakiem i śpiworem (przepraszam: zapomniiałem o gitarze) równie chętnie, a może jeszcze chętniej, na *Jazz-Jamboree* czy na *sit-in* jakiegoś modnego yogi czy maharadży, znachora młodych dusz, no to co? Mnie wystarczy w zupełności, że kiedy usłyszał przez radio o beatyfikacji ojca Kolbego, przypomniał sobie starą gazetę, poprosił pracodawców o bezpłatny urlop i przybył do Rzymu, by, jak powiada, „być przy tym” i „załatwić rodzinną sprawę”, dla niego bynajmniej nie przedawnioną. Jakiś księżuło w Rosenheimie już mu zredagował kilka zdań po łaci-

nie i po włosku. Mnie chłopak uprosił o przekład polski. Uczy się tego tekstu na pamięć. Chciałby, na przykład, o czym myśleć na razie na głos, upaść prymasowi do nóg...

— Fiu, fiu! A pan to sfotografuje!

— Czemu nie? Rzecz jest podniosła, czysta jak łąka.

— Nie lubię, jeśli się syn „odcina” od ojca. Ani w złej ani w dobrej intencji. Bez pokazówki. Wystarczy, jeśli się po cichu w kącie pomodli. Za Kolbego i za swojego ojca. Zresztą sam już nie wiem, zmęczony jestem, może się mylę...

— Na pewno się pan myli! — zawołał Dulemba. — Zapewniam pana, że gdyby ojciec Kolbe, dziennikarz utalentowany, żył i był teraz w Rzymie razem z nami, pierwszy zamówiłby u mnie takie zdjęcie i dla dobra wiary kazał je umieścić na okładce swego pisma. Mój starszy brat znał go bardzo dobrze: razem kupowali maszyny rotacyjne, linotypy i dalekopisy, i gdyby nie wybuch wojny, dokończyliby budowę własnej radiostacji... O jej, tak się przyjemnie z panem gawędzi, ale zdaje się że już dojeżdżamy? Taksóweczkę, ma się rozumieć, biorę na siebie. *Transatlantic Press* nie zbankrutuje. Szepnij pan tylko temu Włocha-czowi, by kwitek wystawił na okrągłą sumę.

— Jesteśmy na miejscu — odrzekł Adam z ulgą — Via di San Pancrazio. Poznaje tę willę. Zaraz wysiadamy.

— Chwileczkę. Zdaje mi się, że dostrzegłem go przed chwilą w samochodowym lusterku jak wysiadał na rogu z żółtego fiata.

— Kogo?

— Tego łachmytę w zamszowej kurtce.

— Białe myszki — roześmiał się Adam. — Pusta ulica. Redaktorku, nie dajmy się zwariować!



Spotkanie z prominentą polskiej diaspory w świetle (mówiąc na ucho: przybyło na nie również kilku gości z Kraju) odbyło się w pokojach, których widok uradowałby nie tylko znawcę sztuki, ale i hodowcę roślin doniczkowych: asparagus, filodendron, begonia, sansewiera, co kto woli, a za oknem, na balkonie: heliotrop, nasturcja i aster chiński. Na antycznym kredensiku, jak na ołtarzu, widniała fotografia Piłsudskiego z odręczną dedykacją.

Adam nie miał wątpliwości czy został zaproszony na tę „lampkę wina”, ale przybył tutaj chętnie. Tym bardziej że w emigracyjnej broszurce wyczytał, iż w byłej ambasadzie R.P. przy Stolicy Apostolskiej znajdują się liczne portrety Bacciarelli’ego, Grass’ego, Lampi’ego, przedstawiające Władysława IV, Jana Kazimierza, Marię Ludwikę Gonzaga, Jana Sobieskiego.

Czyściutki, siwiutki, do ogródkowego karzełka podobny dyplomata w stanie nie tyle spoczynku co politycznej nieważkości, witał gości na progu, nawet przez sekundę nie wyrażając zdziwienia na widok nieznajomych twarzy. Smutny służący, pamiętający lepsze czasy, odbierał przybyszom parasole i wkładał je do olbrzymiej glinianej wazy. Poprzez gwar przebiegał się czasem przyjemny pojęk starego zegara z kurantem. Gospodarz ścisnął gościom dłonie w milczeniu jakby przyjmował kondolencje. Przez długie lata Watykan uznawał go za przedstawiciela „prawdziwej Polski”, lecz pewnego dnia postanowił jego głowę wręczyć na misie dyktatorom na wschodzie Europy, łudząc się że poprawne stosunki z dyрекcją więzienia mogą polepszyć los uwięzionych.

— Miota nim fala, ale on nie tonie — rzekł ktoś z wileńska. — Pan Kazimierz płacze suchymi łzami.

Rzeczywiście, zasłużony weteran służby dyplomatycznej, zapewne wychowany na lekturze Żeromskiego („jest w ojczyźnie wierność sprawie przegranej”), Conrada lub innego nauczyciela heroizmu, udawał że wyrzucenie go za burtę nie odebrało mu życia, że istnieje dalej. Nad jego kształtną, cokolwiek za małą, głową mógłby się unosić herb z dumnym napisem: *Fluctuat nec mergitur*.

— Nie skarży się na swój los — szeptał pod asparagusem sędziwy syn cenionego w ubiegłym stuleciu malarza — z chrześcijańską pokorą podporządkował się woli Jego Świętobliwości. Co robić, proszę panów, co robić? W dykasterium sekretariatu stanu straszy duch Possewina. Poświęcili Ślipyja i Mindszentego. Ot, pastoralna powinność: zmawiać się z wilkami przeciw owieczkom. Co raz więcej tych mędrców, którzy chcieliby wygrać w szachy z Rosjanami. Czym jest historia, jeśli nie sztuką powtarzania starych błędów? Wdzięczenie się do niedźwiedzia? Porzucanie, i to za darmo, swoich naturalnych sprzymierzeńców? Nic nowego pod słońcem! Wszystko już było. I cóż na to poradzisz, rybeńku? Każdy z nas, jak to mówią, „mały urzędnik w wielkim biurze świata”. Ile dywizji ma sprawa polska? — zapytałby Stalin. Jak to tylko pisał Lelewel na wygnaniu w Brukseli? „Dzisiaj się uśmiechacie do nieprzyjaciół wolności, a jutro z samym diablem znosić się będziecie”.

— Godzina metterniszków wybija — dorzuciła szczupła pani z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, bodaj że redaktorka biuletynu *Antemurale*, i wyjęła jakiś papierek z torebki. — Prasa partyjna w Kraju znalazła wreszcie bohatera pozytywnego. Proszę tylko posłuchać: „Przystępny i towarzyski. Uśmiechem i serdecznością przenikającą jego styl życia, budzi zaufanie rozmówców. Umiłowanie muzyki Bacha i Beethovena daje mu harmonię stylu. Dla młodzieży robotniczej jest to po prostu „Padre Agostino”,

dla dostojników zaś: Monsignore, arcybiskup Casaroli, mądry dyplomata, realista liczący się z rzeczywistością, zwolennik konstruktywnych rozwiązań, zatroskany o zabezpieczenia pokoju w świecie...

— Unikaj pan tej wielbłądźcy — szepnął Dulemba. — Sekutnica. Wrodzona kłótniowość to jeszcze nie talent polemiczny.

— „Odkąd jako gość rządu radzieckiego — cytowała dalej, poprawiając złoty krzyżyk na bluzce barwy wędzonego łososia — nawiązał cenne kontakty z ministerstwem spraw zagranicznych i odniósł się pozytywnie do ważnych inicjatyw ZSSR w sprawie bezpieczeństwa europejskiego, jest przez nas mile widzianym zwiastunem dobrej woli”. Ale to jeszcze nie wszystko. Ten jezusek o lisim uśmiešku pouczył już naszego prymasa publicznie, że papież liczy nie tylko na polskie serca i pacierze, ale i na posłuszeństwo. Tłumacz w katedrze aż się zakrztusił przy twarzym słowie *obbedienza*’.

— Wystarczy, pani Marto — gospodarz uniósł palce ku skroniom. — Bolesne to sprawy. Musimy jednak stale odróżniać meandry dyplomacji od tego co dla nas wszystkich najważniejsze: od krynicy życiodajnej wiary.

— Ekscelencja trafnie to ujął — rozległ się znajomy głos. — Nie wolno nam się zrażać. *Fortuna variabilis*, jak mawiali nasi ojcowie w dniach próby.

— Kardynał Król z Filadelfii, jak się nasz komitet dowiaduje, okazał się dobrym duchem i hojnym jałmużnikiem wielu pielgrzymek. Warto to uwypuklić w prasie polskiej i zagranicznej. Inni deklamują, on zaś pomaga konkretnie.

Gdzie spojrzeć, złoci się rdzawy wąsik tuza chadecji.

Adam dość często, chociaż niechętnie, myślał w ciągu ostatnich dwóch dni o komitetowym z baczkami, tym od „sprawy Zajferta”, ale nie mógł sobie przypomnieć jak się ten jegomość nazywa. Coś z ornitologii. Sokół? Wróbel? Czyżyk? Trznadel? Wrona? Jastrząb? Czajka? Nie! Czapla! Mecenase Czapla!

Ilekoć mecenas miał coś patriotycznego do powiedzenia, robił pół kroku do przodu i z robociarską roztawiał nogi.

— Pozbawiono nas wszystkiego prócz wiary w cudowną odmianę polskiego losu — Czapla udawał orła.

Czym się różni ten okcydentalny szaman od zakurtynnego Florczyka w Łodzi, który w partyjnej gazecie znęca się nad ojczyzną mową: „Bogaci świadomością dokonanych przemian, dynamizujemy nurt czynów produkcyjnych”?

— Spójrzcie, Karolak, kto się tu wśliznął — mówił komitetowy do swego zahukanego adiutanta. — Dr Jahn, ten z *Pax Christi*. Wiesz pan o co on w Rzymie zabiega? By karmelitanka Edith Stein i Lisamaria Meierowska, również konwertytka z ju-

daizmu, obie — przynaję lojalnie — zginęły w Oświęcimiu, do-
stały tego samego wyróżnienia co nasz ojciec Maksymilian.

— Nasi mają pierwszeństwo. Hozjusz od dawna już czeka — recytowała gładko pani Marta. — Ktokolwiek otrzyma łaskę za pośrednictwem sługi bożego Hozjusza, powinien przesłać wiadomość do kurii biskupiej w Olsztynie. A kapucyn Honorat Koźmiński z Zakrocymia, były więzień Dziesiątego Pawilonu, twórca pierwszej wspólnoty bezhabitowej? A bohaterski arcy-pasterz Ciepłak? A ksiądz Butkiewicz, rozstrzelany przez bolszewickich siepaczy? A ojciec Bernard od Matki Pięknego Miłości, pasjonista Bernard Kryszkiewicz z Mławy, zmarły po wojnie w Prasny-szu na tyfus?

— Pojęcie świętości — zamyślił się na głos Karolak, który miał w sobie coś grottgerowskiego — można rozpatrywać w kategoriach uniwersalnych i narodowych. Kościół musi pamiętać o tym, by życie i czyny wyniesione na ołtarze przemówiły do wyobraźni moralnej także i mieszkańców Kalabrii czy Kolumbii. Ale gdyby mnie zapytano, kogo ty, Karolak, zaliczasz do ludzi Bożych, odrzekłbym bez wahania: Łukasieńskiego i Traugutta. Upomniałbym się też o księdza Brzózke.

— Moim kandydatem — wtrącił się Adam — jest bohater getta: Janusz Korczak.

Czapla uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

— Tak... czemu nie... — zawahał się czyjś głos.

— Przypominam go sobie jak przez sen — rzekł Dulemba. — Tuż przed wojną widziałem go jak wychodził z redakcji *Robotnika* na Wareckiej. Taki dziadzio z parasolem. A po raz ostatni widziałem go w nieludzko zatłoczonym tramwaju. Było to w połowie października, już po wejściu Niemców do Warszawy, kiedy każdy z nas żył z pękniętym sercem. W każdym razie „dwudziestka piątka” już sunęła na Filtrowej po zreperowanych szynach. Wszyscy wtedy, po przegranej wojnie, rzucali mundury, chowali je na strychu lub w piwnicy, i przebierali się w cywila, a on na odwrót: przypominał sobie, że jest oficerem rezerwy. Raczej przebrał się w ten mundur niż ubrał. Czapka z trzema gwiazdkami spadała mu na okulary. Siwizna na wkleśłych skroniach. Kozia bródka. Rzewny był to widok. Przerażeni pasażerowie tramwaju spoglądali na niego z niechęcią. — „Na wojnę się starszy pan wybrał — szydził konduktor. — A nie lepiej się to zaszyć w mysiej dziurze?”. Mnie też, powiem szczerze, ta demonstracja z pogranicza patriotyzmu i ekshibicjonizmu niebardzo przypadła do gustu: wiozłem wtedy z drugiego końca miasta cudem zdobyty worek kartofli i miałem na głowie inne sprawy niż podziw dla czyjejs prywatnej wojny z Hitlerem. Dopiero później, gdy dowiedziałem się o jego odwadze i ofierze

w getcie, o wyjściu starego doktora z dziećmi na *Umschlagplatz*, czyli na śmierć, zawstydzony, nabrałem szacunku dla tego gestu i protestu.

— Owszem — rozległy się głosy — niezwykle człowiek, ale nie można go beatyfikować: nazywał się Goldszmit, nie był chrześcijaninem.

W sąsiednim pokoju ryżemu dryblasowi o twarzy pastuszka i chrapach ogiera już dymiło się z czupryny. Pyszczyk miał po pijacku szybkostrzelny, oczka przekrwione.

— Gabrys jestem, czy poznać po mnie że wypilem, zmiana klimatu, tyle godzin w drodze, a wino mają podstępne, niby cień-kusz, ale pociągniesz raz i drugi i już głowa w kubie — popłynę słowny strumyczek. — Pana już gdzieś widziałem, mój nauczyciel śpiewu tak wyglądał, kajak sobie kiedyś w PTTK'u wynajął i utonął, nieważne, minęło. Ja bym tu nie przyszedł, to nie dla mnie, za sztywno, leśne dziadki, wspominać, też takich w Polsce mamy, koguciki kurpiowskie im wycinać i na odpust, ale wujek, brat mamusi, tam, pod obrazem z jakimś hrabią stoi, ten z fajeczką, pożyteczna jednostka, on mnie tu na chwileńkę zaciągnął, w Toronto mieszka, inżynier, może tam do niego na stałe pojadę, bo co to za życie w Płocku, powiedz pan sam, z ręką na sercu, chciałbyś pan w Płocku mieszkać? Wujek, powtarzam, mnie tu zaciągnął, sam bym tu nie przyszedł, bo po co, za wysokie progi, ale wujkowi odmówić nie mogłem, sam pan rozumiesz, tyle go kosztuje, w pięknym hotelu mieszkamy, kolorowa telewizja w pokoju, miła postać, zaznaczam, a ja jak piesek za nim po tym Rzymie chodzę, on do kościoła, ja do kościoła, on na koniaczek, ja na koniaczek, nie wiem jak się wywdzięczyć. Napijcie się? Napijemy! Przydałoby się coś mocniejszego, a tu soczek tylko, może później z wujaszkiem na grapę wy-sko-czymy, bo najgorzej zacząć i nie dokończyć, ja bym się może i na jakąś lalunię wybrał, ładne te Włoszki, takich w Płocku, w petrochemii, nie mamy, ale wujek mówi, że w takim dniu uroczystym, to grzech śmiertelny i obraza świętego, i za to go cenię, fakt, bo człowiek, zgodzisz się pan ze mną, nie suchostój: musi się czasem ugiąć. Mój ojczym, taki palant z przedziałkiem, zawsze mówi: „Chcesz, Gabrys, wyjść na ludzi, musisz się grzecznie dostosować, wazeliniki nie żałować”...

— Gabrielu, nie męcz pana — starszy pan z fajką objął młodzieńca ramieniem. — To mój siostrzeniec. Szorstkie toto jeszcze. Bez kociej aksamitności. Ale rdzeń jest zdrowy. Pierwszy raz w życiu za granicą. On tak ze szczęścia plecie.

A Władysia nie wypuścili! — pomyślał Adam. — Gdyby jego starszy brat, zamiast zaprzętać sobie głowę polskimi spra-

wami, przykładał ręki do rozwoju technicznego Kanady, Władysław spacerowałby w nagrodę po ulicach Rzymu.

— Wszystkie oszczędności, jakie miałem — zwierzał się przy oknie wysoki, przeraźliwie chudy mężczyzna w wyblakłym od częstego oddawania do pralni chemicznej mundurze dawnego „szczura Tobruka” — poszły na bilet lotniczy. Myślałem że uda mi się wycygnąć jakąś zniżkę, ale dogadaj się tu z kangurami. Dyrekcja elektrowni w Melbourne, gdzie pracuję jako magazynier od osiemnastu lat, nie chciała mi dać wolnego tygodnia, odciągnęli mi te dni z urlopu. Ale nie żałuję. Takie święto nie często się zdarza w życiu.

— Zrobię z panem wywiad do prasy amerykańskiej — rzekł serdecznie Dulemba. — Niechaj się świat dowie jak się trzymamy. Wypiański miał rację: „Są jeszcze piękni Polacy!”.

— Ojciec Gaetano, mój dobry znajomy, niepokoi się, że pan jeszcze nie nadesłał projektu scenariusza filmowego o naszym Błogosławionym — do Adama podszedł czerstwy pan Józef z aparatem dla głuchych w ucho, jeden z seniorów kolonii polskiej nad Tybrem, który od niepamiętnych lat walczy słowem i piórem o prawo królowej Jadwigi do świętości. — To ja przecież zaproponowałem pana u wpływowego konsultanta. Czuję się więc współodpowiedzialny za dalsze losy tego projektu.

— Bardzo to sobie cenię, ale...

— Gdybym był młodszy i zdrowszy, sam bym się zabrał do tej zaszczytnej pracy — jak większość źle słyszających mówił za głośno. — Arcybiskup Tokio, Shirayanagi, i generał zakonu, ojciec Heiser, żywo się zainteresowali tą sprawą. Dostęp do poważnej wytwórni filmowej w Ameryce, jak słyszę, też już jest zapewniony. Dyrektor Gulden mówi „yes”. Proszę więc nie zwlekać. I tak już jesteśmy poważnie spóźnieni. Gaetano uważa, że scenariusz o Polaku powinien napisać Polak.

— Niewątpliwie, ale...

— Czy już się pan porozumiał z ojcem Gaetano?

Dobrze, że w tej samej chwili ambasador odciągnął pana Józefa za rękaw w drugi koniec pokoju, by mu przedstawić przybysza z „amerykańskiej Częstochowy”, bo Adam nie wiedział jak odpowiedzieć na to pytanie.

Tymczasem dr Jahn zwierzał się po angielsku adwokatowi z Chicago, działaczowi związku byłych kacetowców:

— *It's a problem, you know...* Miałem wziąć udział w delegacji niemieckiej, która w tę niedzielę składa wieniec w Oświęcimiu przed blokiem śmierci. Wysunięto nawet pomysł, bym powiedział kilka słów przed wizerunkiem męczennika z aureolą z kolczastego drutu. Znam tę piękną dekorację. I ten mądry napis na tablicy: „Człowiek człowiekowi”. Ale w ostatniej chwili

stchórzyłem. Zapałem się was, zanim kur zapiał po raz trzeci. Chociaż w czasie wojny ukrywałem się jako pół-Żyd w Holandii, w klasztorze, przerażeniem się myśli że stanę oko w oko z wielotyśńczym tłumem, który widzieć będzie we mnie, akurat we mnie, przedstawiciela narodu w imieniu którego zbrodniczy system chciał wytepić wszystkich Polaków. A nuż jakaś znękana życiem kobiecina w czerni, jedna z tych które straciły za tymi drutami męża, syna, brata czy ojca, przyjrzy mi się zażawionym okiem? A nuż jakiś beztrocki głupiec, widząc moje przerażenie, zacznie mnie pocieszać, że to nie moja wina. Moja i nie moja. Gdziekolwiek się dzieje krzywda, wszyscy jesteśmy współwinni...

Wszyscy a więc nikt — przeszło Adamowi przez głowę.

— ...bardzo to wszystko zawiłe i proste zarazem. Ale mnie po prostu zabrakło odwagi. I nie pojechałem. Chociaż już widać miałem w kieszeni i piżamę w walizce.

— *O yes, it's a problem* — westchnął prawnik z Chicago.

— Z tymi szaleńcami nie można było wtedy pertraktować — dr Jahn zapatrzył się w kieliszek. — Arcybiskupowi Utrechtu przyrzekli, że Żydzi ochrzczeni przed rokiem 1941 nie pójda do obozu Westerbork, ale już w tydzień później komisarz Seyss-Inquart oświadczył, że nie zna pojęcia „katolicki Żyd”. Wysłano ich więc na śmierć do Oświęcimia. Z błogosławioną Edith Stein na czele.

— Jeszcze jej nie beatyfikowano — skorygował go, zastroskany o dokładność Czapla. — I nie wiadomo czy do tego dojdzie.

A korpulentna paniusia w słomkowym kapeluszu ze sztucznymi wisienkami, pewnie działaczka zza Oceanu, rzekła po polsku, by Jahn nie zrozumiał:

— Katolickie Żydy? Jo żem o takich rarogach jesse nie słyszoła.

— Za tych, co na morzu! — zasalutował pustą szklaneczką Gabrys.

Ledwie Jahn przeszedł do drugiego pokoju, a już wszechwiedzący Dulemba informował towarzystwo:

— Ostrożnie. Przed użyciem wstrząsań. Szlachetny wariat. Egzaltacja czyli alkohol duszy, jak się to mówi. Dam państwu przykład: gdy sędziwy Szwajcar Balthasar przemawiał niedawno w monachijskiej Akademii Katolickiej i zastrzegając się, że nie cierpi na modny obecnie *antirömischer Affekt* powiedział jednak, iż Watykan nie powinien zabiegać o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z apokaliptyczną zwierzyną, ten zacny siwek poderwał się z krzesła z okrzykiem: „Komuniści też są ludźmi!” a biegnąc po płaszcz do garderoby, bliski płaczu, wołał: „Ludzie są dobrzy!” Wicie dlaczego ten histeryk ubóstwa Polaków? Bo tam, nad Wisłą, rodzi się, jego zdaniem, markso-katolicyzm,

panaceum na wszystkie bolączki świata. Dyżenterya umysłowa. Inaczej tego nazwać nie mogę.

— Trudno mi się bez dżinu połapać w pana kryteriach — zwrócił się Adam do Dulemby. — Na dr. Jahnie wiesz pan zdechłe psy, a na tym kudłaczu w dżinsach, Lemkiem juniorze, ozdóbki choinkowe.

— Bardzo proste: facet po pięćdziesiątce — roześmiał się reporter — nie może być „dobrym Niemcem”.

Pani Marta, sprawdzwszy swój wygląd w lusterku puderniczki, stanęła w obronie działacza Pax Christi, mówiąc że kto jak kto, ale ukrywający się przed gestapowcami *Halbjuden* powinien zasługiwać na zaufanie Polaków, na co komitetowy Czapla odparł, że w podobnych przypadkach ostrożność nigdy nie zawadzi, bo po pierwsze: jedynym źródłem wiedzy o wojennych losach dr. Jahna jest on sam, a po wtóre: jemu, Czapli, znane są ze słyszenia przykłady współpracy ofiar z prześladowcami, nie brakowało i takich które w swej gorliwości chciały przehitlerzyć samego Hitlera. Starszy pan z wileńskim akcentem zauważył z kolei, że niejedyn Szawel przemienił się w Pawła, czas robi swoje, nikt nie jest bez grzechu, nie można zachodnich Niemców sadzać dożywotnio na ławie oskarżenia, skoro tego samego nie czyni się, pod wpływem propagandy moskiewskiej, z Niemcami wschodnimi, o ukaraniu stalinowców w ogóle świat nie mówi i nie pisze, a przecież...

— Stosunki między Warszawą a Bonn uległy znacznej poprawie — rozległo się pod asparagusem. — Prasa w NRF zamieszcza ogłoszenia biur podróży pod hasłem: „Zapisz się na wycieczkę łowiecką do Polski! Czy przypominasz sobie ten piękny kraj?”. Niemcy mogą już u nas polować.

— Na kogo? — roześmiał się rodak z Melbourne.

— Tym razem na zwierzęta — wyjaśnił Czapla.

— Pan rozumiesz co to jest terapia? Na każdą dolegliwość znajdziesz, kochasiu, lekarstwo — mówił niemłody, wysoki mężczyzna o jasnym spojrzeniu. — Jak zamieniłem mundur oficerski na biały fartuch i po znajomości, koledzy pomogli, zostałem inspektorem w Zakładach Mięsnych w Buenos Aires, ratowałem się przed otępieniem, ucząc się wierszy na pamięć. Dzień w dzień zaglądałem do starego kajetu jak księżuło do brewiarza. Kochanowski, oto moja podręczna apteczka! Przed wojną, przysnaję, byłem złym uczniem z polskiego, dzisiaj mógłbym uczyć staropolskiej poezji. I tak wjeżdża, kochasiu, żywiec na rampę, żywioła odpoczywa, bo mięso zmęczonego bydlaka jest gorzej jakości, a ja w magazynie, jeszcze przed ubojem i rozbiorom, powtarzam sobie „Pieśń świętojańską o sobótce”. W hali poubojowej ciągi w pełnym ruchu: wołowy, cielęcy i wieprzowy,

a ja chodzę wzdłuż przesuwających się na hakach truposzów i przypominam sobie: „Próżno uciec, próżno się przed miłośnią schronić, bo jak lotny ma pieszego dogonić”. Pozbawiamy zwierząt skóry, tusze dzielimy na półtusze, płuca, jelita jadą na tacach jak ta lala, świnię przechodzą przez oparzalnię, doglądam czy wrzątek ma swoją temperaturę i jak paciorek powtarzam sobie: „Gościu, siadź pod mym liściem a odpocznij sobie, nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie”... Potem mięso wędruje do chłodni, odprowadzam je do podziębialni, mruczając tej piekielnej fabryce na urok: „Zegar, słyszę, wybija, ustąp, melankolija!”. Jeszcze obróbka poubojowa: wólcę się po jeliciarni, po sali przeróbki szczeciny, doglądam mrożenie plazmy w woreczkach, i rzucam zaklęcia w rodzaju: „Już po wieczery, pódźmy do Hiszpana, ba, wierę, pódźmy, ale nie bez dzbana”. Wracam później do hali B, baczę by tusze rąbano toporami, bo piła, chociaż szybsza, zostawia więcej opiłków w mięsie niż topór, i modłę się: „Wszystki płacze, wszystkie łyzy Heraklitowe i lamenty, i skargi Symonidowe, wszystkie troski, wszystkie wzdychania, i żale, i frąsunki, i rąk łamania”...

— Panie rotmistrzu, a czy można z tego wyżyć? — zapytał Dulemba.

— Ho, ho, oszczędzałem! — błysnął okiem miłośnik Kochanowskiego. — Żonie i dzieciom tyłem już wysłał, że domek sobie postawili pod Białymstokiem.

Na prawo od kredensu, pod miedziorytem „Stara Warszawa widziana z praskiego brzegu” błysnęły szkła okularów. Dwie znakomitości „polskiego Londynu” w czarnych marynarkach i sztuczkowych spodniach, noszących ślady dłuższego pobytu w walizkach, pochyliły ku sobie głowy.

— Po śmierci generała — rzekł ten wyższy, o twarzy rzymskiego senatora — powinniśmy wzmocnić autorytet jego następcy. Zespolenie sił politycznych na emigracji stało się nakazem chwili. Nas nie stać na potępienie swary.

Drugi zaś rozłożył ręce:

— Szeregi nasze się przerzedzają. Żyjemy na topniejącej krze. Wolny świat nie chce słyszeć o naszym istnieniu.

— Nie lękajmy się patosu. Naszym zadaniem jest trwać i przetrwać, patrząc odważnie w otchłań rozwierającą się pod naszymi nogami...

Jak ten japoński żołnierz, co w trzydzieści lat po klęsce swego kraju nie chciał złożyć broni w filipińskiej kryjówce. Adamowi się zdawało, że słyszy tekst znajomej sztuki. Ich nie trzeba przedrzeźniać. Sami się imitują.

Głosy pod miedziorytem na odmianę wyrażały niepokój i rozgoryczenie:

— Wszelako dzieło zjednoczenia jeszcze nie ukończone. Ten nadęty sarmata, pan prezes z pewnością się domysła kogo nasze ugrupowanie ma na myśli, warcholi po staremu. Nałóg sobiepaństwa. Całe życie w opozycji, to się mści. Brak poczucia odpowiedzialności za całokształt.

— Jego ludzie zezują w tamtą stronę. Niby to tradycyjna orientacja, ale my, niepodległościowcy, nazywamy te narowy po imieniu: kapitulantstwo.

— W rzeczy samej: obecna dyktatura nad Wisłą snu z oczu im nie spędza, zawsze woleli rządy silnej ręki od „zgniłej” demokracji parlamentarnej. A już cudownie spełniony sen pokoleń o Polsce etnicznie jednolitej (mówiąc między nami: dzięki Hitlerowi i Stalinowi) dostarcza im pod jesień życia niebiańskich rozkoszy. Furda więzienie! Grunt że w celi rdzenni Polacy!

— Przejaszkrawione, ale bliskie prawdy.

Czas wracać do pensjonatu. Tomaszek, pewnie już przez Kingsley'ów odwieziony z Babuino do Casa Palotti, dorwał się z nudów do telewizora i ogląda filmy niedozwolone dla młodzieży.

Opalony prawnik z Chicago spoglądał na Adama bez cienia sympatii.

— Dobrze, że się wreszcie spotykamy — mówił ssąc oliwkę na patyku — od dawna miałem ochotę napisać panu kilka cierpkich słów, ale byłem *extremely busy*. Przed kilku laty wpadł mi w ręce pana artykuł, zamieszczony w zagranicznym miesięczniku. Bronił pan w nim usuniętych ze stanowisk partyjników w Warszawie. Proszę się nie obrażać, ale nie rozumiem jak żyjący na Zachodzie Polak uważający się za demokratę może opłakiwać wykołysanych za burtę łodzi syjonistów i rewizjonistów. Po co się nam, nie-komunistom, mieszać do nieswoich spraw? To jest ich spór w rodzinie, panie Malinowski, i nic nam do tego. Naprawa tamtego systemu nie jest zadaniem wolnych Polaków. Po co w ogóle leczyć tę gangrenę? Czym ten ich komunizm lepszy, tym gorszy. Ulepszacze i rewizjoniści, nie mówiąc już o etnicznie obcych oportunistach, nie są naszymi sprzymierzeńcami.

Przez chwilę Adam miał ochotę temu patriocie wyrazić i stanowczo przedstawić swój punkt widzenia, ale spadł na niego dzwon zmęczenia i zniechęcenia, i tylko wymamrotał:

— Tak pan uważa...

— Rewizjonizm, to brzydki nałóg — odezwał się ktoś ironicznie. — Alboż to Paweł z Tarsu nie ostrzegał wiernych: „Przyjdzie czas, że nie będziecie już znosili zdrowej nauki, lecz według własnego zachcenia mnożyć będziecie swych nauczycieli?”

Rzym nie ma Sciany Płaczu. A jednak to święte miasto w dniach beatyfikacji Kolbego dla wielu pielgrzymów z Polski stało się jakby wielkim konfesjonalem czy olbrzymią księgą zażaleń.

Nie tylko maniak sprawiedliwości, nieszczęsny magister Wiskorz z Tarnowa, także i inni przytaszczyli tutaj swoje smutki i kłopoty. Odżyły sprawy, pokryte pajęczyną czasu. Przychodnia lekarska wita was, stroskani. Grójec w ogrócu. Niech się wypłaczą, to im ulży. Zdejmij nam, Panie, z szyi garrotę złych wspomnień!

Gdy pani Marta (biuletyn *Antemurale*) zauważyła na głos, iż wzrusza ją myśl, że po raz pierwszy w historii kościoła sam papież celebrować będzie beatyfikację, a więc nie sekretarz kongregacji do spraw świętych, msgr. Antonelli, jak by się spodziewać można, ale Paweł Szósty osobiście, co nadaje aktowi zupełnie inną rangę i zmienia jego wymowę w sposób dla Polski nadzwyczaj zaszczytny, podobny do Ghandiego profesor z Krakowa nerwowo poprawił staromodne okulary na nosie.

— I ja się z tego cieszę — westchnął ciężko, kurcząc się w rogu kanapy — i nasi chłoporobotnicy radują się szczerze. Choćby ci w Rożnowie, w powiecie strzeleńskim, którzy modlą się tej nocy na dziękczynnym nabożeństwie a jutro w „społecznym czynie” zabierają się do odbudowy kościoła pod wezwaniem ojca Kolbego. *Gaudium Polonorum*. My tę beatyfikację głęboko przeżywamy. Nawet niewierzący nie mogą obok tego wydarzenia przejść obojętnie. Po raz pierwszy od zakończenia wojny pozwolono nam ustawić ołtarz między barakami Oświęcimia. Mnie to naprawdę wzrusza. Jeśli się zadumać nad ziemskim aspektem tego misterium, można się w nim również dopatrzyć symbolicznej ekspiacji ze strony kurii rzymskiej, chęci naprawy tych moralnych uchybień, jakie w stosunku do naszych wiernych popełniono w czasie wojny i okupacji. Jest, zaiste, co naprawiać. Młyny Boże miały powoli. Od dwóch dni, niedowierzając swemu szczęściu, chodzę po tym pięknym mieście jak po zaczarowanym ogrodzie. Jednym okiem płacze z radości a drugim ze smutku. Z radości, że niebo nierychliwe, ale sprawiedliwe. Ze smutku, że tyłu z nas nie dożyło dnia wyczekiwanego. Myślałem, że spotkam tutaj sławnego historyka, by wnieść kilka poprawek do jego dzieła o „papieżu pokoju” i o stosunku kurii rzymskiej do naszego nieszczęścia podczas ostatniej wojny...

— Przykre to, profesorze, sprawy. Czy warto do nich wracać w chwili tak odświeżonej? — zaniepokoił się komitetowy.

— Niech się pan nie lęka. Nie jestem etatowym antyklerykałem z prezydium Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej — profesor jeszcze głębiej wcisnął się między poduszki. — Wręcz przeciwnie. Jestem, chociaż się już dziś nie używa tego terminu, niepoprawnym papistą. I właśnie dlatego milczeć nie mogę. Znany pamfletem Peyrefitte'a cisnąłem o ścianę, gdy dostrzegłem w nim tanioczę w rodzaju: „Kościoł przede wszystkim interesuje się własnym istnieniem, a dopiero później egzystencją Boga

czy katolicyzmu". Wiem też co sądzić o przechwalonym Brezie, Raffalt'cie i wielu innych. Będąc historykiem, wyznaję zasadę: „Prawda nie pyta o godzinę”. Z Oświęcimia do Krakowa było niedaleko. Kiedy ojca Kolbego, podobnie jak tylu innych Polaków, katowano za drutami, niełatwo było ich losem poruszyć stolicę chrześcijaństwa. Wiem coś o tym. Grypsy z oświęcimskiej otchłani chowano pod sukno. Nuncjusz w Berlinie wypchnął za drzwi Niemca Gerstena, gdy zaczął opowiadać co widział w Treblince...

— Cóż miał robić? Bał się prowokacji. Nie ma większej demagogii nad okrzyk: „Kto milczy, ten przyzwala” — upierał się rzecznik wolnych chadeków. — Łatwo nam dzisiaj, po wielu latach, krytykować...

Profesor machnął siną rączką jakby odpędzał komara sprzed nosa:

— Bez skutku, proszę pana, metropolita krakowski słał wtedy różnymi drogami meldunki SOS do Rzymu. Na próżno przestrzegał najwyższy autorytet moralny świata przed złudzeniem, że układnością można zawstydić ludobójców. Domagaliśmy się publicznego potępienia zbrodni. Dopiero na wiosnę 43 msgr. Tardini zdobył się na słabą notę dyplomatyczną do rządu niemieckiego. „Nie jest to protest — uniósł wtedy swe piękne dłonie sternik Piotrowej Nawy — lecz apel bolesny”. Aż wreszcie z prośbą o zachowanie pełnej poufności przesłał nam do Krakowa dobrą nowinę, że modli się czasem o „*nuova forza, nuovo coraggio*” dla Polaków.

Czapla, skubiąc rdzawego węża, z niechęcią potrząsał głową:

— Rozgoryczenie, panie profesorze. Na tym nie można budować przyszłości.

— Wiem, wiem: stara rana, pamięć ropiejąca. Wszystko dobre, co się dobrze kończy — uśmiechnął się historyk, ukazując brak dwóch zębów na samym przedzie. — Toteż gdy przy głównym ołtarzu bazyliki Piotrowej Paweł Szósty sławić będzie więźnia Oświęcimia, przymknę na chwilę oczy i spróbuję sobie wyobrazić, że to Pius Dwunasty w zaświatach prosi nas wszystkich o wybaczenie...

— Więcej roztropności, profesorze — uśmiechnął się Dułęmba. — Nie podnoście przypadkiem pióra na zmarłego pontifexa. W szczególnie ciekawych czasach panować mu wypadło. Jeszcze was siostrzenica zmarłego, hrabina Elena Rossignani, za skarży o zniesławienie jego pamięci. Znają ją już trybunały rzymskie i detektywi najnowszej historii. To Norwid nas wszystkich zdeprawował tym swoim: „Nieprzepadł jeszcze glob sumieniem!”.

— Przydałoby się nowe Przykazanie Boskie: „Nie milcz w obliczu krzywdy ludzkiej!” — wtrącił Adam.

— Wapniak ze Smoczej Jamy! Też się tutaj z pretensją wybrał! — gorszył się ktoś w kącie szeptem dosłyszalnym w promieniu trzech kroków. — Niby zasłużony sodalis, wierny syn kościoła, archiwista metropolii, a takie dziwne rzeczy wygaduje. *Cui bono*, pytam się, *cui bono*?

Znowu gadułka Gabrys. Z lokiem wpadającym do oka. Z kropelką potu nad górną wargą. Czerwona cętka w białkach. Czegoś nabarmuszony.

— Zróbmy front, chodźmy stąd, nudno tu, proszę pana, jak w rodzinnym grobowcu, a życie ucieka, ta umalowana pod żyrandolem oko do mnie puszcza, ale ja nie dzięcioł, w próchnie nie dłubię, jak to tylko mówi poeta: „nie pomoże czerwień lic kiedy w bluzce zeschył cych”, warto by się jednak rozerwać po kawalersku, tyle się w *Przekroju* o tym waszym rzymskim *dolce vita* nazytałem, już od rana mi fryga, namów pan mojego wujka, bo mnie jakoś nie wypada, i tak go już fortunę kosztuję, stale mi coś kupuje, możebyśmy się jednak we trójkę na jakąś czarnulkę wybrali, potańczyć, włoskiej piosenki posłuchać, pośmiać się razem przy kielichu, po co ją zaraz fastrygować na chłama, nie o to chodzi, zaznaczam, chwila nie po temu, choć jak się znajdę w kościele, w tłumie, albo na procesji i jakąś rozmodloną dziewczuchę zobaczę, ładną czy nieładną, zaraz bym ją nachodził znienacka, takie już mam życzenie, mój ojczym natomiast chętnie na pogrzeby chodzi, bo wtedy, powiada, siła w niego wstępuje męska, że to niby na cmentarzu natura sama domaga się odszkodowania, miła rodzinka, bez przesady, ale powiedz pan sam, co człowiek ma z tego życia, tyle że się czasem po pracy napije lub dziewczuszkę pobigdoli, oto cała polityka: jeden pije, drugi wtyka, nic więcej, czy mądrze mówię?

— Mądrze — ziewnął Adam na odczepne.

Zbliża się ósma. Czas pożegnać gospodarza, otoczonego delegatami z Francji, których przywiózł prałat o twarzy Skargi, i zająć się Tomaszkiem. Lecz właśnie na progu pokazali się nowi goście.

Jeszcze jeden pielgrzym z kacetową odznaką w klapie. Skąd przybył ów rodak o fizjonomii skarconego dziecka i fatalnie przyczernionych skroniach, nie trudno się domyśleć. Jeszcze mu z kieszeni marynarki wystaje egzemplarz detroickiej bulwarówki z sensacyjnym nagłówkiem: *Jackie having a nervous breakdown — she discovers Ari has a 14-years-old girl as mistress!*

— Nic o nich państwo nie wiecie — mówił astmatycznie — żadni tam obywatele przyszłości, żadna tam armia niepokornych, miękkie karki i tyle. Mój dziadek, wierszokleta spod Śremu, ułożył przed tamtą wojną pieśń osadników witających wolną zie-

mię Ameryki: „Witaj, ziemio obiecana, gdzie nieznane imię pana”, ale od tego czasu wiele się zmieniło.

— Uciekajmy od niego — ostrzegał Dulemba. — Potworny nudziarz. Jęczennik. W kółko o swej krzywdzie. Niegdyś „pan od polskiego”. Belfrował w Poznańskim. Po wojnie ugrzązł za Oceanem w fabryce linoleum. Rozgorzyczony. Niesprawiedliwy. Zatracił poczucie proporcji. Rozpacz w kratkę. Jakby mu Kolumb sprawił osobistą przykrość swoim odkryciem. Po mojemu: zwykły nieudacznik. Wszyscy zawiedli, tylko nie on. Jeden z tych, którym nie powiódł się romans z Ameryką. Dziewczyne, której nie udało nam się zdobyć, nazywamy ladacnicą. Więc i on na swej nieszcześliwej miłości nie zostawia suchej nitki. Zaraz po beatyfikacji jedzie do Kraju. Podobno na ślub swego syna, ale czuję że zostanie tam na stałe. Słoń przed śmiercią składa swe kości w dolinie dzieciństwa.

— Nie znacie prawdy o Ameryce — astmatyk chętnie uświadamiał delegatów z Niemiec i Austrii. — Widzicie tylko czubek góry lodowej, to co wystaje nad wodą i świeci w słońcu. A jak wygląda w głębi, ja, topielec, wiem najlepiej. Owszem, demokracja, lecz bez wpływu na system zależności człowieka od człowieka. Gazety — uderzył się po kieszeni marynarki — rozpisują się o okrucieństwie sadystry w Kalifornii, który maczetą zgładził jednej nocy 24 osoby, ale kto przejmując się bezwzględnością małych satrapów w biurach i fabrykach, którzy systematycznie, na raty, skracają życie swoim pracownikom, wpędzając ich w załamanie serca?

— Demagogia — wzruszył ramionami adwokat z Chicago.

— Wszędzie trzeba pracować. Pieczone gołąbki nie lecą do gąbki.

— Grzech pierworodny to sprawił — westchnął zacny Karolak.

— Bezrobocie jest jeszcze gorsze — dorzucił „szczur Tobruku”. — Wiem coś o tym.

— Ja te sprawy, panowie, znam od dołu, nie z biurka i z gazety, ale z perspektywy mrówki uwięzionej w mrowisku — upierał się malkontent. — Mnie tam nikt na mit plebejskiego szczęścia nie nabierze. Nie mówię już o rzeczach znanych: o religii sukcesu za wszelką cenę, która osobliwe wytworzyła kryteria ocen, o socjalnym darwinizmie, o „bossizmie” będącym zaprzeczeniem legend o równości. Możesz, rzecz prosta, napić się piwa razem z przełożonym, uściśnąć dłoń senatorowi w roku wyborczym, ale do egalitaryzmu daleko: zginął w imię naukowego podziału zadań i dla dobra operacji. Najbardziej dokuczał mi pogański stosunek do człowieka, ukryty za dekoracją pięknych hasel o szansie szarego człowieka i równym starcie życiowym. Imperatyw moralny jest właściwie tylko jeden: „Musisz iść w

górze!” Łokcie się liczą. Nie masz pozycji, nie masz pieniędzy, jesteś żywym trupem, rozkładającym się za życia...

— Niesmaczne — pani Marta zakryła uszy. — Taniocha.

— Przesada. Monstrualna. Ja tego słuchać nie mogę. Nie potośmy się tutaj zebrali, by zakładać sektę niezaspokojonych ambicjantów — rzekł Czapla, ostentacyjnie przechodząc do drugiego pokoju.

— Jakie to nie polskie, nie ideowe — przywodził posłusznie Karolak. — Najlepsi synowie Wielkiej Emigracji, naszej duchowej poprzedniczki, przymierali niegdyś głodem na paryskich poddaszach bez słowa skargi. Norwid umarł w przytułku. Nam się zaś marzy dobrobyt...

— Ten pan nie jest Norwidem — mruknął Dulemba.

— Czy po to zostaliśmy na obczyźnie? — odezwał się przy kredensiku jeden z najlepszych znawców prawa kanonicznego na świecie. — To mi pachnie... Wolę już w tym dniu uroczystym nie mówić czym mi to pachnie. Zawiść społeczna kaleczy ludzkie dusze.

Akt oskarżenia zdeklasowanego na drugiej półkuli pedagoga zawierał jeszcze i inne punkty:

— Co to znaczy być wolnym człowiekiem? Nie znaleźć się w trybach zależności, mieć rzeczywisty wpływ na sprawy, które nas dotyczą. Utopia, powiadam. Słabszy łasi się u nas do mocniejszego jak wszędzie na świecie. Popracujcie kilkanaście lat pod okiem przełożonych o umysłowości obozowych kapo, a posiadacie wiedzę lepszą od książkowej. Mógłbym napisać rozprawę o anatomii i funkcjonowaniu gangu pod wezwaniem Sprawiedliwości Społecznej, Swobód Obywatelskich i Praw Ludzkich, ale po co? I tak mi nie uwierzycie.

— Pan chyba zdaje sobie sprawę, że antyamerykanizm jest wodą na młyn wroga — pani Marta podniosła wyskubane brewki. — Każdego z nas w życiu spotykają przykrości osobiste w pracy, ale to nie powód, by się zaraz kusić o krzywdzące uogólnienia.

Ale astmatyka z Detroit już nie można było przyhamować, choć przydałby się opatrunek na jego słowotok.

— Weźmy, dla przykładu, takich *chief executives*, jak oni ich nazywają. Nowy, twardy szczer. Coś z praktyk feudalizmu — rzeźił i chrzypiał dalej. — Spróbuj z nimi zadrzeć. Legiony wytresowanych sekretarek kładą się na progu, by własnym ciałem zasłonić uprzywilejowanych przed natrętnością intruza...

— Kompleks faceta przetrzymanego w poczekalni — szepnął Dulemba. — Psychiatria zna tę odmianę dolegliwości.

— Ile w tym arcywolnym kraju dusz pańszczyźnianych, gotowych zginąć w obronie karbowego! Jeśli cię skrzywdzą, możesz

się, oczywiście, odwołać, poskarżyć, wynieść „nielojalnie” sprawę na miasto, *it's a free country*. Ale lepiej tego nie rób: wykończą cię zgrabnie i bezszelestnie, stracisz zdrowie, a chorować nikomu nie radzę, chyba że chce swoim mięsem nakarmić stado rekinów w białych kitlach...

— Mania prześladowcza — rozległo się pod miedziorytem.

— Głodu, ma się rozumieć, nie zaznasz, ubrań ci nie zabraknie, pędzić będziesz w blaszanej klatce po szosie jak i inni, emancypowany pariasie, niewolniku martwych przedmiotów, wpłatany w koło konsumpcji...

— Więc o co panu chodzi? — potrząsnęła kolczykami pani Marta. — Że nie samym chlebem i tak dalej?

Rozgoryczony belfer o przyfarbowanych skroniach z których przy wysokiej temperaturze każdej chwili mogła się zsunąć czarna kropelka potu mówił coraz głośniej:

— Pogaństwo mi się nie podoba i to wszystko co obniża rangę człowieka. Ta ich niechęć do słabszych i nieużytecznych. Po czterdziestce, tak brzmi ekspertyza planistów zwiększonej wydajności, jesteś już tylko zakałą, w którą nie warto inwestować ani centa. Im dłużej pracujesz, tym bardziej się dewaluujesz. Sam fakt, żeś przez lata był uzależniony materialnie od tego samego pracodawcy, wystawia ci w jego oczach i w mniemaniu ogółu jak najgorsze świadectwo. Jako były kacetowiec, nie obrażajcie się na niestosowność tego porównania, pamiętam że ten czy ów strażnik o ludzkim obliczu nieco lepiej traktował więźnia o dłuższym stażu, na niskie numery rzadko podnoszono rękę. Tutaj zaś na odwrót: szczególne względy należą się temu, kto jutro przekroczy bramę fabryki. Siwowłosi, na śmietnik!

— Tędy cię wiedli, nieheroiczna naturo — przyjrzał mu się ze smutkiem Karolak. Oczy miał piękne, hiacyntowe. — Jakby nasz byt doczesny rzeczywiście był najważniejszy...

— Gerontofobia czyli starsuskożerstwo — Dulemba próbował żarciem zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie na zebranych wywarły gorzkie żale Detroitczanina — jest zjawiskiem niepokojącym. Stąd też ogłoszenia w rodzaju: „Trzydziestoletni profesor filozofii z piętnastoletnią praktyką pilnie poszukiwany. Zgłoszenia kierować na adres Chattanooga College, Tennessee”.

Ale nikt się nie roześmiał.

— Każdy jest kowalem swego szczęścia. Wróćcie, kolego, do swojego Ostrzeszowa Wielkopolskiego — rzekł opalony adwokat ironicznie — i od razu odetchniecie lepszym powietrzem. Szczęśliwej podróży!

— A ja tam chętnie do Ameryki pojadę! — zawołał Gabrys. — Bogini Wolności rączki ucałować!

— Proszę! Oto odpowiedź młodego Polaka! — ucieszyła się pani Marta. — Starczy za komentarz.

Gdzie tylko nastawić ucha, gorycz i niezadowolenie.

— Nasz stary znajomy, współarchitekt Jałty, Mr. Harriman — mówił technik z Kanady — nie ma słów uznania dla układu Bonn-Moskwa. Układ ten, powiada, zapewni wreszcie wschodnim Europejczykom większą swobodę ruchu wobec Rosji. Dobrze, co? Najpierw się pomaga przy budowie więzienia, a potem się zachęca więźniów do pokazywania języka dozorcóm.

— Każdy ma swoje przyjemności. Ja na przykład nie mogę się uskarżać na brak postępów przelazonych — skarżył się ksiądz z Francji. — Zalecamy mi uwzględnienie myśli leninowskiej w kazaniach. Penitentów o burżujskich twarzyczkach mam się wypytować czy nie podnoszą lokatorom czynszu za mieszkania i nie jeżdżą po szosach z niedozwoloną szybkością...

Co z pewnością jest grzechem — pomyślał Adam.

Wchodząc w złe drzwi, znowu natknął się na osobę której unikał. Ale starszy pan dostrzegł go szybciej niż rybitwa błysk ryby.

— Porozumiałem się przed chwilą telefonicznie z kim trzeba — rzekł na odchodnym pan Józef, „absolwent Łubianki”, człowiek wpływowy od którego zależy niejedno, choćby posada czy stypendium na emigracji. — Padre Gaetano, rozumiem jego zniecierpliwienie, oczekuje od pana definitywnej odpowiedzi jak najszybciej. Już jesteśmy spóźnieni. Wyznaczył termin, łatwy do zapamiętania: dwudziestego o dwudziestę.

— Tak, rozumiem — bąkał Adam.

Ilekoć rozmawiał z tym dystygowanym cierpiętnikiem, czuł się jak uczeń który nie odrobił lekcji.

— Jeśli pan go zawiedzie, jeszcze tego samego wieczora zwróci się do swego przyjaciela, Niemca Kohlenhammera z Würzburga. Nie po to, za moją namową, odrzucił ofertę paxowca z Warszawy, by go teraz spotkał zawód ze strony emigranta. Znalazłbym się osobiście w kłopotliwej sytuacji, nie mówiąc już o stracie, jaką poniosłaby nasza wspólna sprawa. Polegamy więc na panu jak na Zawiszy.

W pół godziny później, już przed Casa Palotti, czekała go niemiła niespodzianka.

Doświadczony Dulemba miał rację. Ten typek o aparycji rozdeptanego szczura najwyraźniej przyjechał do Rzymu w łapsowskiej misji. Stał przed drzwiami do pensjonatu, po bokersku rozkraczony, i nawet nie próbował usprawiedliwić swej natrętności.

— Lepiej pogadajmy teraz — zaczął bezceremonialnie, nie wyjmując rąk z kieszeni. — Jutro nie będzie pan miał ani czasu ani głowy do tej rozmowy. Ja też będę cholernie zajęty.

— Jestem zmęczony, idę spać.
 — Ważna sprawa. Niech pan posłucha...
 — Proszę mnie zostawić w spokoju.
 — Chciałem się tylko poradzić. Pochodzimy z tego samego miasta. Nasi tatusiowie znali się dobrze, nieźle sobie razem po-
 ciągali. Poznałem też kiedyś w Toruniu pańskiego braciszka Wła-
 dysia...

— Dobrze. Kwadrans. Nie dłużej.

Upewniwszy się, że Tomaszek już śpi, Adam udał się z mło-
 dym Kosteckim do sąsiedniego baru na nocny kieliszek.

— O co chodzi? — zapytał przy ladzie szorstko, patrząc na
 zegarek. — Upadam ze zmęczenia.

— Dla mnie koniaczek — odrzekł krępy włocławianin. —
 Wszyscy jesteśmy przepracowani. Więc od razu do rzeczy, otwar-
 cie, po polsku: ja się urywam. Słyszysz pan? Ja pryskam. I pan
 powinien mi w tym pomóc. Do pana mam zaufanie, tylko do
 pana, bo nasi tatusiowie... Ale nie tylko dlatego, że krajan kra-
 janowi świństwa nie robi, ale niech pan tylko posłucha: ja
 jestem w komórce Małasia od litery „M”...

— Nie rozumiem.

— Dobrze pan rozumie, ale jedźmy dalej, bo panu się śpie-
 szy. Mówię otwarcie, żaden podstęp, żadna prowokacja. Ja od-
 skakuję. Małás, oczywiście, nie nazywa się Małás, ale nie o to
 chodzi.

— Od tego jest włoska policja. To nie moja sprawa.

— Chwileczkę. Nieżyły ten koniaczek. Zamówmy jeszcze. Ja
 tutaj miałem fotografować tego i owego, na pamiątkę, można
 powiedzieć. Dajmy na to: jakiegoś biskupa jak szepce z emigra-
 cyjnym politykiem, albo Malinowskiego jak pije kawkę z kra-
 kowskim literatem. To się może przydać. Takie zdjęcia się zbiera
 jak znaczki pocztowe. „L”, „M” i „N” to moje teczki. O panu
 wiem niejedno. Przed wyjazdem Małás mi powiedział: „Brata
 mu na razie nie wypuszczę, niech się trochę pomartwi, to mu
 rura zmięknie”. Małás, to psycholog. Powieści pisuje pod pseu-
 donimem. Pana to on nawet lubi. „Sympatyczny gość — powie-
 dział kiedyś o panu na kursokonferencji — patriotą, swoje w ży-
 ciu przecierpiał, wojna go złała, wpadł w złe towarzystwo
 i reakcji się wysługuje, trzeba mu podać rękę i wyciągnąć z ka-
 łuży”. Małás, mówiąc między nami, zawsze wolał ludzi czarować
 niż niszczyć. Nie patrz pan na mnie krytycznym okiem. Każdy
 chce żyć. Fachu w rękę nie mam, domu nie zbuduję, zęba nie
 wstawię, chorego nie wyleczę, a rodzinę żywić trzeba, więc
 pracuję, jak to mówią, na styku polityki i pokrewnych zadań.
 Gdybym miał piękne rodowe nazwisko, może by mi dali pracę
 na zagranicznej placówce, w agencji prasowej czy coś w tym

guście, byłbym honornym szpiclem z manierami, a tak uwijam,
 płotka, to tu to tam, trochę dziennikarzyna, fotografika, karto-
 teka, praca społeczna...

— Czego pan właściwie chce ode mnie?

— Życzliwości, panie Adamie, ludzkiego ciepła, nic więcej.
 Teraz moja kolejka. Jednak wolę ten włoski od francuskiego.
 Gardło pieści ziółkami. Oczywiście, nie wracam, to już postano-
 wione, męska decyzja. Ja nie taki kombinator, redaktorze, co
 to powiada: „Nie wylewaj wody brudnej, póki nie masz wody
 czystej, bo w ogóle się nie umyjesz”, o nie! To się nie umyję!
 Chociaż wierzcicie mi, bez zawodu w rękę, bez znajomości towa-
 rzyskich, bez obcych języków urządzić się na tym waszym
 Zachodzie nie łatwo.

— Nie wiem co o tym wszystkim sądzić — rzekł Adam. —
 Jestem nieludzko zmęczony. Za wiele twarzy i wrażeń na jeden
 dzień.

— Ja też czasu nie marnuję — pochwalił się Kostecki, wy-
 mując plik papierów z zamszowej kurtki. — Postępowym kato-
 likom pomagam jak mogę — zmrużył łobuzersko oko. — Jeszcze
 się jubel nie zaczął, a już artykułik wystawiam do Warszawy.
 „Rzmskie rekolacje Polaków”. Tytułik, przynasz pan, dobry.
 A jak się to panu podoba? „Ta beatyfikacja, chociaż nie jest
 wydarzeniem politycznym — czytał wolno, rozkoszując się każ-
 dym słowem — oznacza jednak faktycznie uznanie Polski Ludo-
 wej jako rzeczywistego reprezentanta dzisiejszej Polski a więc
 i jako naturalnego spadkobiercę tradycji moralnych i kulturalnych,
 ocenionych tak wysoko przez Pawła Szóstego. I chociaż zjechali
 tutaj licznie obok stęsknionych łączności z polskością rodaków
 także i prowokatorzy i mąciciele emigracyjni wiadomej maści,
 klimat odpowiedzialności i powagi, narzucony przez Stolicę Apos-
 tolską, jak i patriotyczna postawa pielgrzymów przybyłych z kraju,
 uniemożliwił im zakłócenie dni polskich w Rzymie”. Umie się
 pisać takie kawałki, co?

— Na mnie już czas. Jeśli pan rzeczywiście chce zostać za
 granicą, protekcją, zresztą całkowicie w takich przypadkach zby-
 teczną, służyć nie mogę: za mało się znamy.

Ale Kostecki jakby nie dosłyszał. Zapalił papierosa, otoczył
 się dymem, sięgnął po nowy kieliszek i poufale przysunął krągły
 policzek:

— Cóż tam ja! Ja sobie radę dam. Mężczyźni urodzeni pod
 znakiem lwa nie dają za wygraną. Pojadę w świat i zacznę nowe
 życie. Przyszłości się nie boję. Ale co będzie z wami, mistrzuniu?
 Instytut, jak słyszę, zlikwidowany...

— Dopiero dzisiaj się dowiedziałem.

— Pułkownik Małás wiedział już o tym od tygodnia. Otóż

za kilka dni przyjedzie do Londynu pewien profesor. Sława. Odwiedzi pana i kilku innych. Małaś uważa, że należałoby utworzyć nowy instytut, politycznie neutralny, powiedzmy w Szwajcarii, fundusze się na to znajdą, włączy się osoby trzecie lub czwarte. Nic zdalnie kierowanego, powiada Małaś, żadnych kontaktów z PRL, czysta wiedza, bez tendencji i propagandy, całkowita swoboda badań, wolna ręka przy doborze personelu, troska o krzewienie kultury, nauki i sztuki polskiej, krajowej i emigracyjnej, za granicą. Gdyby pan miał ochotę takim ośrodkiem pokierować, czym chata bogata... Władys mógłby zostać asystentem. Tomasz poszedłby do dobrego szwajcarskiego internatu. Pani Anula nie musiałaby łątać rodzinnego budżetu. To właśnie miałem panu przekazać...

— Nieźle się pan orientuje w kłopotach Malinowskiego. Gratuluję. — Adam miał wrażenie, że mu ktoś przeszukał kieszenie. — Lubilem pańskiego ojca. Barwna to była postać, znana w mieście i powiecie. Szczurołap co się zowie. Gdyby nam wtedy zaświstał na flecie, wskoczylibyśmy za nim do Wisły. Cała buda go podziwiała. Nie tylko dlatego, że ózór miał niewyparzony a głowę owiniętą w obłok alkoholu. Wszak to on, opiekun „Pro Arte”, zatrut nas Żeromskim i miłością do teatru na całe życie. Nigdy nie zapomnę całonocnych schadzek naszego amatorskiego zespołu w zakopconej piwnicy na Kopernika, gdzie powietrze można było ciąć toporem. Jeszcze mi w uszach dźwięczy chrapliwy głos Kosteckiego seniora na generalnej próbie „Róży”, gdy wcielając się w rolę katowanego na śledztwie Osta, wołał: „Więc polskie ludzisko obecne proszę i przez polską mowę zaklinam... Żeby zaś syn mój na szpicla nie wyszedł”...

Lekko ospowaty uśmiechnął się na to pobłażliwie:

— *Aluzju pania!*

I grzejąc pucharek bursztynowego trunku w sękatych palcach, mówił dalej:

— Pan mnie źle zrozumiał. Żadne tam kuszenie św. Antoniego przez diabła, chociaż na mojego ojca wołałiscie „Boruta”. Zrobisz pan jak zechcesz. Ja osobiście bym się dobrze zastanowił. Nie moja to już sprawa. Ja i tak do kraju nie wracam i właściwie nic mnie już te kołomyjki nie obchodzą, ale pomyślałem sobie: bądź co bądź jesteśmy z tego samego miasta, nasi tatusio wie razem sobie zdrowo pociągali, pójdę więc do tego pana Adama, znam go przecież na wylot z teczki „M”, i powiem mu wprost jak włocławiak włocławiakowi co wprawie piszczy. Kto inny na moim miejscu spłynąłby już swoją drogą, wypiął się na wszystko, ale ma się ten kurewski sentyment w sobie, sympatię do człowieka...

— To pewnie ten beatyfikacyjny nastrój przemienił nas wszystkich w aniołów — roześmiał się Adam ironicznie.

— Jeszcze jeden szczegółik, panie Adasiu, jeśli wolno być niedelikatnym — poczuł gorący szept łapsa w uchu. — Żeby nie zapomnieć: ta ładna czarnulka, stypendystka, pamięta pan? Jakież osiem lat temu. Wielka miłość w Paryżu. Romeo i Julia do setnej potęgi. To był pomysł Małasia. Pilna była dzidzia, prymuska: co drugi dzień przysyłała raporcik do centrali. Nigdy na świecie nie wierz kobiecie. Już niejednemu saperowi seks-bomba eksplodowała w rękach. Z kim to dziewczę nie spało! Samego Małasia pan oszważył. Nie chcę być nieeleganckim, panie Adasiu, ale emigrant o siwych skroniach łatwo daje się nabrać na naszą gęsinę. Przytuli ci się do ojczyznej dupiny i już mu się wydaje, że do kraju wrócił. Może jeszcze po kieliszeczek? Strzeżmiennego! O, przepraszam, ale to ja pana prosiłem...

— Dobrej nocy — rzekł Adam, kładąc pięć tysiąclirówek na ladę.

I poklepał Kosteckiego po ramieniu, by nie podać mu ręki.



Najsmutniej jest o świecie. Także i tutaj, w Casa Palotti. Przez niedomkniętą okiennicę dochodzą przyćmione dźwięki budzącej się ulicy. Na wąskiej mierzei, jaka dzieli sen od jawy, Adam przeżywał swój „kwadrans zmartwień”. Leżąc z zamkniętymi oczami, już nie spał, ale jeszcze nie miał ochoty na nawiązanie kontaktu z nowym dniem. Czuł się jak ryba śnięta na dnie mułu. Nie miał siły unieść powiek ani wyciągnąć ręki po zegarek na nocnym stoliku. To chyba nieprawda, że neurastenicy odbierają sobie życie wczesnym rankiem: za duży wysiłek fizyczny. Tyle się znowu nasłuchiwał i naczytał rzeczy niemiłych, a marzenia senne, niedoskonała jak się okazuje, spalarnia śmierci, niczego nie przeczyściły. Dokucza mu więc, jak po wielkim pijaństwie, boleśnieszka od obrzęku wątroby zgaga pamięci. Nie trzeba było do późnej nocy rozczytywać się w dokumentach oświecismich. To gorsze niż pójść spać z pełnym żołądkiem czy wlać w siebie przed zaśnięciem pół litra wina. „Teczka konsultanta Gaetano”, ekspertyza dr. Sehna, opowieść Gajowniczka, gorzkie żale Wiskorza, relacje z „Albumu ocalonych”. Przydałby się jakiś Alka-Seltzer na niestrawność wyobraźni, a może łatwiej by było teraz, na materacu rzymskiego pensjonatu, wydobyć się z trzęsawiska ponurej wiedzy o tamtym świecie, nie widzieć twarzy dawno spopielonych, nie słyszeć słów przebrzmiałych w sztolni czasu. To maszek zapytał niedawno:

— Czy i ciebie, tatku, bolą czasem myśli w głowie?

Kłębowisko niepotrzebnych szczegółów, jakieś zdania urwane w połowie, rozsypane czcionki zdarzeń i zasłyszzeń, odpryski obrazów, głosy nałożone na siebie — tak się zaczyna dzień pielgrzyma w duchowej stolicy Polaka.

— Więc: ten więzień, który za kawałek chleba pozwolił sobie w ślusarni wyrwać obcęgami złoty ząb; i ten brudas przy tatuowaniu, śmiejący się z przerażonych: „już jeźdź ponumerowany jak bilet na loterię”; i ów Kłós z komanda rolniczego, którego ucieczka kosztowała wiele ofiar, ale ojczyźnie dała Błogosławionego, najpierw umyślnie coś zepsuł w lokomobili, a potem pod osłoną pary skoczył między łany zboża; i okólnik dla strażników: „nie wolno karmić służbowych psów obozową zupą, bo kwasota o natężeniu octu stołowego psuje im żołądki”; bunkier głodowy był wynalazkiem Fritzscha, który powiedział: „ciekaw jestem, czy będą się zdarzały wypadki ludożerstwa”; oberkapo o cyganiątkach: „łakomczuchy, najedli się odpadków ze śmietnika, nie wiedząc że wyłożono tam truciznę na szczury”; ciężarówkę do zwożenia zwłok nazywano *Fleischwagen* (wóz do mięsa); nauka łaciny na coś się przydaje: niektóre ofiary „zmuzułmanienia” wyróżniono w księdze zejść orzeczeniem *dystrophia alimentaris*, „akcję specjalną” łacinnik w białym kitlu określił mianem: *prophylacticum magnum sterilicum Auschwiciense*; Gerhard Palitsch odchylił koc z twarzy chorego profesora U.J., Gieszczykiewicza, dwa razy strzelił mu w głowę i powiedział do „szrajbera”: „zapisz, że zmarł na nieżyt jelit”; zanim Eichmann objął w centrali referat żydowski, prowadził ewidencję masonów; kuternoga Leo, ten który pilnował księży i badaczy Pisma św. (fioletowy trójkąt) przy walcu drogowym, nie wierzył w cuda: „wgniotłem już tylu pobożnych ludzi w glinę i jeszcze się nie zdarzyło, by choć jeden z nich ożył”; pierwszej puszką z Cyklonem B użyto w trzy miesiące po śmierci Kolbego: Fritzsche w masce gazowej wytruł 907 jeńców rosyjskich; ojciec Maksymilian nie doczekał zmiany techniki dobijania skazańców: zamiast dożylnego zatrzyku 20 cm³ 30 % fenolu, z początkiem roku 42 wprowadzono „szpilowanie” w serce; i jeszcze te dziwne słowa w ustach szesnastoletniego Jurka ze Zwierzyńca: „urodzić się w Krakowie, to już coś znaczy, ale umrzeć w Oświęcimiu... też się chyba liczy”...

— Zdaje się, że już nie śpisz, tatku — doszedł go zaspany głos Tomaszka z sąsiedniego łóżka. — O czym ty myślisz?

— O niczym — ziewnął Adam. — Śpijmy dalej. Dopiero szósta. Pobudka o siódmej. O ósmej wymarsz do św. Piotra. Na beatyfikację.

Tadeusz NOWAKOWSKI

Wiersze

Adam CZERNIAWSKI

PIERWSZY ŚNIEG

pierwszego dnia naszej ery
na wyspie sumiram spadł pierwszy śnieg

wzory gwiazd pokryły
gnuśną zielen tropikalnych drzew
wyspy sumiram

kiedy pierwszego dnia naszej ery
na wyspie sumiram padał śnieg
mieszkańcy spali
kiedy mieszkańcy spali na wyspie sumiram
padał śnieg
kiedy zbudzili się z zimna śnieg
wsiąkł już w parne podszycie

niektórzy twierdzą wręcz że pierwszego dnia naszej ery
zaraza i trzęsienie ziemi wyludniły
wyspę sumiram
nic więc dziwnego
że ani współczesne źródła
ani późniejsze podania
nie mówią nam nic
o śniegu który widocznie oszczędził wyspę sumiram

AUTOPSJA

prowadzę bogate życie wewnętrzne
już od dawna nie wychodzę z siebie
zapewne wyglądam jak z akwarium ryba

*obijam się o kryształowe ściany ciała
 bańki powietrza zakreślają ciszę
 widzę już tylko idealne cienie
 widzą już tylko wytłupiały oczy*

WYSPA GAUNILONA

*„pada śnieg czarne przemilke konary twarzy pory-
 sowane szronem zdania trzeszczą w ogniu zmrożonego mózgu
 dłonie tracą wyczuć wdech ścina się na lód z pociech
 zmysłowych w zaprzeczeniu dźwięków i barw rodzi się czysta
 myśl o niedoskonałym bogu mnich grzeje ścierpłe paluchy
 zapisuje logiczne etapy objawionych snów spieszy się
 by zdążyć przed doczesnym wybuchem kwiatów i krwi
 lecz wyspa odplywa nikną szorstkie domki rybaków
 nacicha gwar mgły schodzą na pola nawet zimą sady
 bieleją śnieg zasypuje ślady przewodów i dysput”*

*odsuwam brulion odkładam okulary
 przecieram oczy robi się chłodno czuję zmęczenie
 Nam w ciężkich czasach żyć przyszło*

SAMOSĄD

*ulepiony z gliny babilońskiej na podobieństwo
 człowieka panowałem bezwzględnie przez wieki
 aż do powstania i zdrady ukrzyżowany za piliata z pontu
 umarłem lecz zmartwychwstałem wykształcony w Atenach
 przetrwałem dni ucisku i wzdargi ostatnio wykruszam się
 rdzewieję widują mnie jeszcze raz tu raz tam
 na ołtarzu i w snach*

*lecz jedni
 głoszą że już umarłem inni że byłem fikcją od samego
 początku sfatyszowali świadectwo przekupili gapiów
 ktoś jeszcze dowodzi mojego istnienia jestem zmęczony
 chciałbym już odejść śnieg za oknami tworzy geometrie
 bieli całun rzeczywisty jest doskonalszy szóstego
 dnia ulepiony liście soczyste zroszone nad ranem
 mówią o mnie myślą o mnie więc dotąd jestem*

Adam CZERNIAWSKI

Z POEZJI IZRAELSKIEJ

Aleksander SZPIGELBLAT

SAMOTNE LITERY

*samotne litery
 jak w pustyni wielbłądy
 na przestrzeniach białych*

*objuczone ciężarem
 rodzynek i migdałów
 i wonią miast zrujnowanych*

*szukają alfabetu
 który Bóg porozsiewał
 nad chłodnymi wodami
 gdzie jelenie przychodzą
 gasić pragnienie*

*a Chagallowska tęcza
 wisi na niebie
 i niespokojnie kapie farbami*

Aleksander SZPIGELBLAT

(Przełożył Kalman Segal)

Nowość

**TOM 245 — BIBLIOTEKI « KULTURY »
 CZESŁAW MIŁOŚZ**

**GDZIE WSCHODZI SŁOŃCE
 I KĘDY ZAPADA**

Poezje

Str. 96.

Cena F.15 (dol. 3,50).

Obserwatorium

Anty-odwilż

Leży przede mną piękny album zatytułowany „Polonia”. Na wewnętrznej stronie autografy piętnastu czołowych pisarzy od Antoniego Słonimskiego po Marię Dąbrowską. Data 15 lipiec 1956. Przez mój pokój przewinęło się owego lata mnóstwo osób. Między innymi prof. Wiatr, Henryk Holland, Jerzy Zawieyski i dziesiątki innych.

Wierzyliśmy w „odwilż”, w dialog, w gruntowną przemianę, która odżyć miała jak ozimina po polarnej zimie stalinizmu.

Dziś mówimy o *detente*, o „odprężeniu” — lecz nikt nie mówi o „odwilży”. I słusznie — ponieważ *detente* w rozumieniu sowieckim, a tym samym i satelickim — jest „anty-odwilżą”. Czym więc „odprężenie” różni się od „zimnej wojny”?

Odpowiedź jest prosta. W okresie „zimnej wojny” Zachód był w ofensywie a Sowiety w defensywie. Dziś jest odwrotnie i to odwrócenie ról nazywamy „odprężeniem”. Z wypowiedzi takich panów jak Jan Szydlak i Stefan Olszowski wynika jasno, że główną troską aparaczyków jest obawa, by ludzie w Kraju — a zwłaszcza pisarze i naukowcy — „odprężenia” nie uważali za wstęp do „odwilży”. Troska wydaje się uzasadniona, ponieważ zdrowy rozsądek mówi nam, że bez „odwilży” nie może być „odprężenia”. Lecz sowietyzm już dawno wziął rozbrat ze zdrowym rozsądkiem.

W majowym numerze *Nowych Dróg* ukazały się zorkiestrowane artykuły Szydlaka i Olszowskiego. Obaj dygnitarze tłumaczą jeszcze raz wszystkim wokoło i każdemu z osobna, że „odprężenie” oznacza nie osłabienie, lecz przeciwnie, wzmożenie walki ideologicznej na wszystkich odcinkach frontu. Walka klasowa w skali światowej winna polegać na wykorzystaniu do maksimum technologii, kredytów i *know-how* Zachodu, przy równoczesnym zwalczaniu i dyskredytowaniu wpływów Zachodu zwłaszcza w dziedzinie nauki i kultury. Wielkie kredyty mogą odegrać znaczną rolę w „budowaniu pokoju” — ponieważ Sowiety w przyszłości mogą odmówić spłaty owych długów jeżeli Kongres USA zechciałby prowadzić politykę, która, w ocenie Kremla, nie byłaby dostatecznie... pokojowa.

Lecz pp. Szydlak i Olszowski zainteresowani są przede wszystkim frontem wewnętrznym. Z jednej strony sądzą, że historycy i pisarze nie wspomagają ideologicznie wysiłków partii — z drugiej strony informują swoich czytelników, że „ośrodek paryski” (czytaj: *Kultura*), przygotowuje masową akcję propagandową, której celem będzie sparaliżowanie wpływów partii wśród młodego pokolenia”.

Oczywiście nie obeszło się bez ataków przeciwko Kościołowi. P. Szydlak ubolewa, że Kościół katolicki — w odróżnieniu od innych wyznań chrześcijańskich — posiada wielką i sprawną międzynarodową organizację. W tej sprawie skłonny jestem przyznać rację p. Szydlakowi. Międzynarodowy katolicyzm (choć nie Watykan) stanowi najpoważniejszą antykomunistyczną siłę we współczesnym świecie. Wszystkim innym ruchom antykomunistycznym brak jest ideologicznej i filozoficznej podbudowy.

W moim parafialnym kościele Św. Andrzeja Boboli na Chiswick — każdej niedzieli tłumy Polaków śpiewają: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Przez „Ojczyznę wolną” wszyscy rozumieją Polskę bez pp. Szydlaków i Olszowskich oraz ich mocodawców.

P. Szydlak uskarża się również, że o Hubalu powstał film, który oglądały miliony — a „Pamiętka z Celulozy” nie doczekała się filmowej oprawy. Tak „Pamiętka z Celulozy” jak „Popiół i Diament” są doskonałymi powieściami. To jest sprawa, która dotyka istoty samej rzeczy. Choć wyda się to paradoksem, za Bieruta i Stalina było lepiej niż dziś i cytowane powyżej powieści owo „lepiej” odzwierciedlają. Komunizm w naszym Kraju był na starcie. Można było sobie powiedzieć: Stalin umrze, Bierut umrze i w rewolucję polską tchniemy prawdę i autentyzm. Wielu wybitnych ludzi, którzy dziś wykładają na zagranicznych uniwersytetach — wówczas wierzyło. Po 30 latach istnienia PRL — nikt w komunizm nie wierzy i nikt nie ma nadziei.

„Pamiętkę z Celulozy” można dziś jedynie odczytać jako nekrolog zdradzonych i podeptanych nadziei. W jeszcze większym stopniu dotyczy to „Popiołu i Diamentu”. Szczuka — ów komunista bez skazy i zmywa jest — na szczęście — postacią fikcyjną, inaczej popełniłby samobójstwo w 1968 roku, gdy Polacy i Niemcy w bratnim sojuszu pod patronatem Kremla, dławili autentyczną rewolucję w Czechosłowacji.

Panowie Szydlak i Olszowski mają uzasadnione powody do obaw, którym dali wyraz w swoich artykułach. Na Zachodzie większość ludzi wyznaje materialistyczną filozofię wzrostu ekonomicznego i wzrastającej stopy życiowej. Komuniści są również materialistami, entuzjastami wzrostu ekonomicznego. Lecz te same procesy gospodarczego rozwoju, które na Zachodzie dają robotnikom dobrobyt i władzę — w Sowietach i w Polsce nie dają klasie robotniczej ani zamożności ani władzy.

To nie są frazesy. Każdy student z Polski, który przyjeżdża do Francji czy do Anglii widzi to wszystko własnymi oczyma.

Niedawno pewien młody człowiek z Kraju powiedział mi: „Robotnicy brytyjscy są dobre płatni, mają samochody, wolną prasę i potężne, niezależne związki zawodowe. Na miłość Boską — czego oni jeszcze chcą?”.

Młody obywatel PRL spojrzał na mnie z niedowierzaniem, gdy odpowiedziałem, że robotnicy pragną jeszcze socjalizmu, tzn. stopniowej przebudowy społeczeństwa — co w Anglii nie oznaczałoby ani upadku wolności ani upadku demokracji.

Dla obywateli PRL socjalizm jest koszmarnym słowem, które streszcza ponure doświadczenia trzydziestu lat Polski Ludowej.

Nie może być „wolnej wymiany myśli i ludzi” pomiędzy Wschodem a Zachodem — bo Polacy przekonali się wówczas, że socjalizm nie musi oznaczać małomieszczańskiego, biurokratycznego totalizmu.

Gdy Rosjanie, Polacy, Czechosłowacy, Węgrzy — odkryją kiedyś, że socjalizm — którego potężne ruchy mamy na Zachodzie — nie musi wyrodzić w łagry, Bezpieki i małomieszczański parafianizm — wówczas pp. Szydlak i Olszowski wyjadą na taczkach.

Zbliżenie z Zachodem jest groźne nie dlatego, że możemy przybyś z Wschodu zarazić bakcyłem demokracji. Nawet krótki pobyt na Zachodzie jest groźny, ponieważ umożliwia przybyszowi z państw satelickich przekonać się naocznie do jakiego stopnia ustrój jego kraju oparty jest na fałszu i kłamstwie. Groźbą nie jest Zachód. Dla zakłamanych i zaindoktrynowanych groźną jest prawda — choćby częściowa i niedoskonała.

J. MIER.

Życie rocznicowe w PRL

Wszyscy obchodzimy rocznice, jedni chętniej, inni — mniej chętnie. Obchodzą je ludzie, stowarzyszenia, państwa. Ale przeciętny obywatel PRL jęczy od ilości obchodów państwowych. Jest ich stanowczo za dużo. Życie w Polsce bowiem biegnie od obchodu do obchodu. Z ich okazji nadaje się nie tylko stopnie profesorskie i wojskowe, ale dokonuje się awansów w urzędach i przeszerzegowań w zakładach pracy. Publikację naukową też łatwiej wydać, jeśli się uda ją włączyć do planu jakiegoś jubileuszu. Z okazji świąt państwowych daje się przydziały na mieszkania i wykańcza nowe domy, z tejże okazji w sklepach poprawia się zaopatrzenie — dostawy szynki i papieru toaletowego limitowane są państwowym kalendarzem rocznic.

Rocznice dzielą się na małe i duże. Na 29-tą rocznicę PRL też pojawiła się szynka a milicjanci i wojskowi pełni byli oczekiwani na awanse, ale wiadomo, że trzydziesta rocznica tegoż wydarzenia jest o wiele ważniejsza, awanse obfitsze, zaopatrzenie lepsze, obchody — droższe. Obydwie jednak rocznice nie dorównują swym znaczeniem stułeciu urodzin Lenina. Działa magia liczb okrągłych, zabobonna, atawistyczna wiara w znaczenie liczb dzielących się przez 5 i przez 10. Pamiętam, że ćwierć wieku temu w kołach zasadniczo myślących komunistów — tacy wówczas, rzecz dziwna, istnieli — wypowiedane były obawy, czy przywiązywanie takiej wagi do tych liczb nie jest aby sprzeczne z zasadami wychowania laickiego, okazało się jednak że zabobony dzielą się na pozytywne i szkodliwe.

Rocznice PRL, Ludowego Wojska Polskiego, milicji, służby bezpieczeństwa, rocznice rewolucji, dzień Armii Sowieckiej. Obchody „ustrojowe”, przetkane gęsto „ogólnonarodowymi”, też służącymi pichceni politycznej pieczeni. To Mickiewicz, to Grunwald, to 39 rok, Odrodzenie, Oświecenie, Rok Nauki Polskiej. Juwenalia, Żaknady, Piernikalia. Jak widzimy — menu urozmaicone, wystarczające, by rok kalendarzowy nasycić równomiernie, by nie przesyć ani nie stworzyć uczucia niedosytu.

Ważny jest i dobór rocznic. Pewien mój, znający się na rzeczy, przyjaciel wyraził kiedyś pogląd, że właściwie mówiąc, rocznicowe obchody bardziej niż zapamiętywaniu służą mają zapominaniu. Że zamach na Kutschę miał zatrzeć wspomnienie Katynia, że oczywiście nie było ani słowa w setną rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego, że 50-lecie TKRP miało zasłonić bitwę pod Warszawą itd. Może mój przyjaciel przesadnie oceniał machiawelizm instruktorów wydziału propagandy KC, ale miał rację, że chodzi o preparowanie poczucia HISTORII. Nie tylko zresztą o to, ale o tym dalej.

Preparowanie jest prowadzone dość elastycznie. W sowieckiej stołówce wybór świąt jest dość alternatywny: „Możecie jeść lub nie jeść!”. W stołówce PRL wybór jest — musimy przyznać — o wiele lepszy. Jeśli nie smakuje wam główne danie, to możecie brać udział w konsumowaniu lekkiego *entrée* lub kaloryjnej zupy. Każdy znajdzie dla siebie coś odpowiedniego w pozytywnej przeciwieństwie polskiej przeszłości. Przed kilkoma laty zaczęto nawet przypominać sobie bitwę pod Monte Cassino, choć zdawałoby się, że jest to temat zupełnie dla władzy ludowej nieodpowiedni. Nieprawda. To było kiedyś, teraz już się nadaje.

Ważną rolę odgrywa dobór prezydium. Już Staliński opisał, jak kolejność stania na trybunie i odległość od przewodniczącego jest przejawem aktualnego układu sił, ba, nawet ten układ sił tworzy. Ale prezydium rzadko składają się z samych tylko osób wchodzących w skład elity władzy. Do prezydiów potrzebni są również odpowiedni figuranci, dowodzący swym istnieniem, iż partia i rząd mają szerokie oparcie w społeczeństwie. Wodzo- wie przy stołach w otoczeniu uczonych i ludzi sztuki — to ważny

element propagandy! Władza ludowa jest pod tym względem cierpliwa i taktowna. Jeśli jej rzeczywiście na kimś zależy, to nie zraża się byle dąsami, zabiega wytrwale.

Oczywiście, nie o wszystkich tak zabiega. Te czasy, gdy trzeba było toczyć prawdziwe boje o każdą bezpartyjną duszę lub urządzać łapanki w celu pozyskania członków partii, te czasy już się skończyły. Teraz, jeśli się zabiega o kogoś, to raczej o mieszkającego poza krajem a nie w kraju. Takich, którym trzeba nadskakiwać, mimo że mieszkają nad Wisłą, jest niewiele, inni są do zastąpienia. Surogaty same ustawiają się w kolejce. Nie ma się co dziwić. Nie wiem, jakie ma znaczenie znalezienie się w stołecznym Komitecie obchodu czegoś tam dla ślusarza z FSO lub krawcowej z WZPO Nr 2, ale wiem jaką życiową szansą jest to dla młodych (i niemłodych) naukowców drugiego lub trzeciego garnituru, takich którzy prochu nie wymyślą, ale i chcą i muszą żyć. To samo dotyczy drugorzędnych pisarzy, aktorów. Do stracenia mają niewiele, coś co w terminologii klasyków nazywa się kajdanami, a do zdobycia? Co prawda nie „świat cały” ale to, co z perspektywy wegetacji właśnie wydaje się tym całym światem. Ileż miernot naukowych i artystycznych wyniesiono do godności uczonych i pisarzy dzięki otwieraniu, zamykaniu, pisaniu okolicznościowych artykułów i wygłaszaniu takich samych przemówień! Co gorsza, ludziom spoza danej profesji naukowej wydaje się, że rzeczywiście, porządek ustalony przez komitety wojewódzkie odpowiada hierarchii wartości zdobywczy i talentów w danej dziedzinie wiedzy. W rezultacie wielu autentycznych uczonych przebywa w głębokim cieniu, podczas gdy miernoty brylują. Ale na to widocznie nie ma lekarstwa.

To są oczywiście dygresje. Najważniejsze dla mnie w tej chwili, to dać sobie samemu odpowiedź, po co się te szopki organizuje. Jest lipiec 1974 roku. A zatem gdy artykuł ten ukaże się w druku, w każdym powiatowym miasteczku obchodzić się będzie trzydziestelecie PRL. W lutym zebrał się komitet centralny PZPR. Plenum to odbywało się w warunkach kłopotliwych. Zachwiany bilans płatniczy, kłopoty ze spłatą kredytów międzynarodowych, skomplikowany syndrom stosunków polsko-niemieckich, niezadowolenie w kraju, intrygi w samej partii. Ale KC znajduje czas, by przedyskutować i uchwalić tezy na tę rocznicę. Mimowoli przypomina się stary dowcip: Nauczycielka pyta małego Moryca, jak się nazywa stolica Madagaskaru. Moryc: — Proszę pani, czy pani naprawdę nie ma już większych zmartwień w naszych trudnych czasach? Otóż obchody te widocznie należą do istotnych problemów. Nie gwoli samej tylko rutyny zatrudnia się tysiące ludzi pisaniem artykułów, opracowaniem przemówień, projektowaniem plakatów, ich naklejaniem i zaklejaniem, wydawanie ma jakiś sens wydawanie wcale niebłahych sum, których ponoć brak, i które można by — w ogólnym przedświadczeniu — lepiej wydać...

Na pewno u podłoża celebracji kiedyś leżała *min.* chęć dostarczenia igrzysk dla mas. Być może, że pierwsze rocznice rze-

czywiście dla jakiejś części społeczeństwa były przyciągające. W chwili obecnej ten cały cyrk jednak mało kogo już bawi. Mnie przestał bawić o wiele wcześniej niż przestał bawić komunizm i chyba nie należą do wyjątków. A tłum? Równy pięć lat temu, w czasie wielkiej pompy 25-lecia PRL chodziłem po Warszawie z grupą znajomych francuskich intelektualistów. Oglądaliśmy to co winno być najciekawsze, festyn ludowy nad Wisłą, występy artystyczne, tańce, sztuczne ognie. Moi goście byli zduszeni panującą wszędzie ponurą atmosferą odrabianych za pieniądze lub z musu kawałków.

To, na co coraz częściej zwraca się uwagę, to martwota ideologiczna, którą stara się zrekompensować obrzędkiem. Komunizm nie spełnił ani swych obietnic ani obietnic. Nie zbudował społeczeństwa bezklasowego, nie usunął nierówności materialnej, nie stał się władzą robotników i chłopów. Nie wyciągnął Polski (ani innych krajów) z zacofania gospodarczego, nie zbudował społeczeństwa dobrobytu, a perspektywa zbrojnej konfrontacji sowiecko-chińskiej utracą slogan, iż zwycięstwo komunizmu likwiduje niebezpieczeństwo wojen. Powtarzanie obietnic-ideologii jest wręcz niebezpieczne, jest pożywką wszelkiego rodzaju ruchów kontestacyjnych.

Dwadzieścia lat temu Adam Ważyk zaobserwował, że gdy władze nie chcą mówić o sprawach dziejących się na ziemi, wysuwają tezę, że „niebo nie jest puste”. Przez jakiś czas, to nie-puste niebo, zaludnione amerykańskimi imperialistami i neohitlerowcami u steru polityki niemieckiej było jakąś namiastką ideologii. Namiastką skuteczną. Przy jej pomocy uspakajano dyskusję studentów i żądania robotników. Ta broń i nadal chyba będzie używana, ale jej skuteczność będzie coraz słabsza. A więc w ustroju, w którym tyle załatwia się przy pomocy słów, słowa obrzędowe zastępują słowa znaczące, obrządek staje się czymś w sobie, treścią, tym, co w kraju nazywamy „bizantynizmem”.

Rocznice spełniają również ważną funkcję legitymizującą ustrój. System komunistyczny w Polsce jest tu w kłopotliwej sytuacji. Nasze czasy za najwyższą legitymację uznają wolę społeczeństwa, wyrażoną w demokratycznych warunkach. Na tę wolę społeczną trudno się powoływać. Należy zgodzić się z socjologami (Hirszowicz, i z innych pozycji Bauman), że „władza ludowa” w chwili obecnej nie na samych obcych bagnetach siedzi, że w ciągu iluś tam lat istnienia potrafiła sobie stworzyć opór społeczną. Ale od tej opory do woli społeczeństwa dość daleko, zresztą, system nie chce rządzić w oparciu o społeczeństwo i nie przypadkowo akcentuje „kierowniczą rolę partii” jako przeciwną stanowść demokracji.

Najsilniejszym argumentem legitymującym ustrój jest to, co w prawie cywilnym nazywa się „prawem zasiedzenia”. Władza jest legalna, bo trwa, bo nie upadła, nie wywróciła się, wytrzymała wstrząsy i zygżaki, zmiany sytuacji międzynarodowej, przewroty pałacowe. Nie sprawdziły się przepowiednie, że upadnie za rok, za pięć, za dziesięć, słuszne więc są prognozy, że trwać

będzie wiecznie, że nie zaszkodzi jej ani własne zacofanie gospodarcze ani rewolucja technologiczna, w której nie bierze się udziału, że społeczeństwo własne i tak nie dojdzie do głosu a innym nic do tego, co się nad Wisłą dzieje. Świeciliśmy dziesięciolecie, dwudziestolecie, święcić, będziemy trzydziestolecie i pół wieku.

Ktoś powie, że obchody są w dużej części nękaniami społeczeństwa, systematycznym, choć zawołanym wbijaniem mu do głowy, że tak jak było tak i będzie, że wolności, demokracji, niefalszowanych wyborów nie doczekają się. No cóż, tak chyba trzeba to nazwać. Nie jest to zresztą metoda zbyt nowa. Było zwyczajem podbijających nieprzyjacielskie ziemie władców i wzyrów urządzenie na zdobytych terenach defilad wojskowych, by zdusić myśl o oporze demonstracją własnej siły.

Na dobro „władzy ludowej” należy jednak zaliczyć, to, że argumentacja „prawa zasiedzenia” podawana jest w opakowaniu najlepszego gatunku, młotek jest owinięty bukietem kwiatów, zupełnie tak samo jak na dorocznych lipcowych plakatach, malowanych przez wybraną kadrę rzeczywiście doskonałych polskich artystów-plastyków.

Kawę na ławę wyklada się stosunkowo rzadko i raczej niechętnie. I w tej dziedzinie panuje to co Amalrik nazwał „zmęceniem ustroju”. Z okazji 30-lecia PRL zrobiła to na przykład gazeta wojskowa, *Żołnierz Wolności*. W cyklu artykułów wyjaśniających sens uchwały KC wytłumaczono, że władzę zdobyto przemocą, w walce przeciwko społeczeństwu, że walka miała charakter — mimo nierówności sił — wojny domowej, że społeczeństwo popierało Armię Krajową i Mikołajczyka, że nawet w czasie gdy na terenie kraju stały milionowe oddziały sowieckie ruch oporu nie wygasał. Wniosek jasny, że i nadal siły zbrojne są oparciem władzy ludowej.

I dlatego Komitet Centralny uchwała tezy na obchody 30-lecia.

Marcin WYZIEMBŁO

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Archiwum polityczne

O «czwartym świecie» i innych sprawach

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony Portugalii — chciałbym jednak powiedzieć kilka słów na temat przewrotu jaki dokonał się w tym kraju. Nie interesuje mnie w tym wypadku ani polityka, ani przyszłość Portugalii — interesuje mnie tylko odpowiedź na pytanie jak to się stało?

W Lizbonie istniały i trwały rządy dyktatorskie niemal tak długo jak w Moskwie — 48 lat. Totaliści portugalscy nie byli amatorami a lizbońska policja polityczna „DGS” była jedną z najlepiej zorganizowanych i wyszkolonych policji politycznych świata.

Portugalia nie była państwem na wzór „bananowych republik” w Ameryce Łacińskiej. Totalizm portugalski trwał nieprzerwanie od pół wieku i specjaliści przedmiotu głosili zgodnie, że po pierwsze — Portugalczycy są niedojrzali do ustroju demokratycznego, a po drugie — DGS jest tak sprawna, bezwzględna i świetnie zorganizowana, że wywrotowcy czy rewolucjoniści nie mieli by szansy jeden do miliona.

Znany polskim Czytelnikom z licznych artykułów na tematy wschodnio-europejskie Jonathan Steele zamieścił w *The Guardian* obszerny reportaż z Lizbony. Okazuje się, że w jednym z gmachów DGS — żołnierze znaleźli nietknięte archiwum obejmujące teczki personalne setek tysięcy osób. Znalaziono również archiwum filmów ilustrujących torturowanie więźniów politycznych. Torturowano głównie prądem elektrycznym przy użyciu specjalnych aparatów. Filmy służyły do szkolenia personelu śledczego DGS oraz lekarzy, którzy towarzyszyli oprawcom dbając o to by więźniów nie umarł, ponieważ — jak wiadomo — od nieboszczyka najsprawniejszy Ubek nie wydobędzie żadnej informacji.

Żołnierze Gen. Spinoła odkryli owe kompromitujące archiwum dopiero późnym wieczorem w drugim dniu rewolucji. Dlaczego więc portugalska Bezpieka nie zniszczyła tych archiwów?

Przesłuchiwani ubecy przyznali otwarcie, że nie wierzyli do końca w powodzenie przewrotu. Zniszczyli część archiwów, lecz wahali się zniszczyć kartoteki personalne i archiwa filmów, które były dziełem „pracy” dziesiątków lat.

DGS podzielała pogląd, że Portugalczycy są niedojrzali do demokracji, że wierzą we wszechmoc policji politycznej i w razie próby przewrotu nie wyjdą na ulicę.

Stało się inaczej. Ludzie wyszli na ulicę i wszystkie warstwy społeczne zmanifestowały czynnie swe poparcie dla rewolucji. Lecz ów entuzjazm tłumów lisbońskich nie daje odpowiedzi na podstawowe pytanie. Co spowodowało, że system autorytatywny, który trwał pół wieku, w ramach którego wzrosły i dojrzały dwa pokolenia, runął jak domek z kart w przeciągu 48 godzin?

Wniosek jaki z wydarzeń w Portugalii należy wyciągnąć — brzmi następująco. Dyktatura — nawet jeżeli trwa przez 50 lat i zdołała wychować i wyszkolić dwa pokolenia aparatchyków — jest w gruncie rzeczy budowlą niepewną i chwiejną.

Demokracja jest systemem połączonych lecz równocześnie niezależnych „naczyń”. Natomiast w ustrojach totalnych wszystkie zespoły i organizacje społeczne połączone są ze sobą jak ogniwa łańcucha, który dzierży w swych rękach dyktator. Dyktatorzy umacniają swoje Bezpieki, czy KGB, niepomni mądrego porzekadła angielskiego, które głosi, że siłę łańcucha mierzy się nie najmocniejszym lecz najsłabszym jego ogniwem. Jeżeli zerwie się łańcuch od kotwicy i fale rzucą okręt na skały oznacza to zawsze, że pękło najsłabsze ogniwo w kotwicznym łańcuchu.

Wydarzenia portugalskie uczą nas również, że nie jest prawdą, że dyktatura ustabilizowana i okrzepła upaść może tylko na skutek interwencji z zewnątrz — na przykład w rezultacie wojny. Najbardziej ustabilizowana i okrzepła dyktatura upaść może także na skutek kryzysu wewnętrznego. Ludzie, którzy przez 48 lat godzili się pokornie na wszystko drżąc przed miejscową Bezpieką i jej gabinetami tortur — nagle pewnego dnia wyszli tłumnie na ulicę. Ów powszechny bunt detonuje niejednokrotnie drobne wydarzenie. W gruncie rzeczy nie ma pewnej i bezpiecznej dyktatury. Dyktatura z definicji jest niepewnym systemem, bo zakłada że wszystkie ogniwa społecznego łańcucha są równej mocy — co jest oczywistym nonsensem.

Dyktatorzy nie zdają sobie również sprawy z akumulatywnego efektu nienawiści. Nienawiść do systemu nie tylko nie wygasa lecz zyskuje na sile z każdym następnym pokoleniem gnębionych.

Prasa światowa poświęciła wiele miejsca Portugalii. Natomiast o Polakach, Ukraińcach, Litwinach czy Białorusinach — jak zwykle głucho.

Leży przede mną książka pod wymownym tytułem: *The Fourth World* („Czwarty Świat”). Zbiorowy tom wydany przez Sidgwick & Jackson w Londynie — poprzedza wstęp pióra Milowana Dżilasa. „Czwarty Świat” w ujęciu autorów — składa się z gnębionych i ujarzmionych grup narodowościowych w całym

świecie zaczawszy od południowego Sudanu i Erytrei a skończywszy na krymskich Tatarach i Murzynach w Brazylii. Nawet jeżeli przyjąć, że punktem odniesienia autorów nie są ujarzmione narody tylko prześladowane mniejszości narodowe — książka wypacza problem któremu jest poświęcona. Nazwy „Polska” i „Polacy” czy „Ukraina” i „Ukraińcy” nie są nawet wymienione w szczegółowym indeksie na końcu książki.

W Sowietach żyje 1.167.000 Polaków. Cyfra powyższa oparta jest na oficjalnych statystykach. Polacy nigdy nie mieli swojej Republiki Federalnej czy okręgu autonomicznego jak Niemcy nadwołżańscy (oprócz krótkiego okresu w latach dwudziestych). Jeżeli się więc przyjmuje, że mniejszościami w Związku Radzieckim są tylko te narody, które nie mają własnych republik federalnych — milion 167 tysięcy Polaków stanowi poważną grupę mniejszościową i przejście do porządku nad ich cyfrą i losem źle świadczy o autorach cytowanej książki — tym bardziej, że Niemcom nadwołżańskim, których jest mniej niż Polaków poświęcili sporo miejsca i uwagi.

Trudno byłoby posądzić autorów o złą wolę. Książka odzwierciedla pogląd, który niemal powszechnie panuje na Zachodzie. Ów pogląd można streścić następująco: PRL nie należy ani do czwartego ani do trzeciego świata. Polska pod kierownictwem technokraty Edwarda Gierka weszła do drugiej ligi uprzemysłowionych narodów świata. Nie osiągnęła wprawdzie poziomu Niemiec Zachodnich czy Francji, lecz nie jest już krajem przeważnie rolniczym o zapóźnionym rozwoju gospodarczym. W ocenie cudzoziemców, Polska osiągnęła znaczny poziom stabilizacji. Nie ma buntów, rozruchów, procesów pokazowych — nie ma Sołżenicynów, samizdatów czy ruchu dysydentów. Dysydenci rozpadli się na dwie grupy. Jedni są obłaskawieni — drudzy zrezygnowani. Istnieje wprawdzie tzw. „Nowa Fala” — lecz cechą „Nowej Fali” jest pełne uznanie dla potęgi „Falochronu”.

Pisałem wielokrotnie, że w oczach Rosjan — Europa to są Niemcy. Na ulicach wielkiego Berlina poległo ponad sto tysięcy żołnierzy sowieckich. Ci, którzy jako młodzi ludzie walczyli z Niemcami należą dziś do grupy pokoleniowej 50-60 lat. Jest rzeczą charakterystyczną, że we wszystkich negocjacjach na temat „wzajemnej redukcji sił zbrojnych” — Rosjanie z większą natarczowością domagają się redukcji sił zbrojnych NRF niż garnizonów amerykańskich, stacjonowanych w Niemczech. Teoria, że współczesne Niemcy Zachodnie przypominają Francję po pierwszej wojnie światowej — innymi słowy, że olbrzymie straty biologiczne i materialne wpłynęły na psychiczną przemianę narodu niemieckiego — Rosjanom nie trafia do przekonania.

Rosjanie nie chcą zjednoczonej Europy Zachodniej — ponieważ są przekonani, że zjednoczona Europa byłaby dominowana przez najsilniejsze państwo w sensie gospodarczym, politycznym i militarnym — to znaczy przez Niemcy. Tego typu zaplecze mogłoby się stać bazą renesansu nacjonalizmu niemieckiego — tym bardziej, że Wrocław, Szczecin i Królewiec — leżą na wscho-

dzie a nie na zachodzie Europy. Dalekofalowym celem polityki sowieckiej nie jest *Ostpolitik* tylko zjednoczenie Niemiec na warunkach Moskwy. Kanclerz Brandt odszedł — rozczarowany i złamany — ponieważ przekonał się, że cele jego partnerów w *Ostpolitik* są całkowicie odmienne od jego celów. Nieporozumienie polega na tym, że nie ma dwóch państw niemieckich jednego narodu niemieckiego. Istnieje natomiast satelickie państwo niemieckie, którego wywiad jest ekspozyturą KGB. W Federalnej Republice istnieje kilka organizacji wywiadowczych, które konkurują między sobą. Nie jest wykluczone, że ugrupowania prawicowe w Niemczech Zachodnich wykorzystały aferę szpiegowską, by skompromitować socjalistycznego kanclerza i zmusić go do abdykacji. Nie jest również wykluczone, że afera została zaaranżowana przez KGB, które jest przeciwne *detente* z Zachodem. Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się jak to istotnie było. Bez afery szpiegowskiej Brandt — choć cechuje go idealizm i uleganie złudzeniom — z całą pewnością wcześniej lub później doszedłby do wniosku, że przez *Ostpolitik* i *detente* Rosja i NRD rozumieją coś zupełnie innego niż on. W mojej opinii, Brandt już od dłuższego czasu zdawał sobie z tego sprawę a afery szpiegowska dostarczyła mu tylko pretekstu do rezygnacji.

Świat zachodni zbliża się do końca pewnego okresu historycznego. Można by to pompatycznie nazwać zakończeniem rządów „pokolenia zwycięzców”. Prez. Nixon, b. kanclerz Brandt, zmarły gen. de Gaulle, b. premier Edward Heath — personifikują pokolenie, które brało czynny udział w walce i w zwycięstwie, które ukoronowało drugą wojnę światową.

Jeżeli przypomnimy sobie jak wyglądało życie w Anglii czy we Francji w pierwszych miesiącach powojennej ery — to wypada stwierdzić, że „pokolenie zwycięzców” na przestrzeni ubiegłego ćwierćwiecza osiągnęło ogromny sukces. Być może zbyt wielki sukces. Ludzie oczekują coraz większej zamożności coraz większego bogactwa dóbr konsumpcyjnych, coraz większego wzrostu ekonomicznego i coraz wyższej stopy życiowej. Nikt nie ma ochoty do zaciskania pasa, ani nikt nie jest psychicznie przygotowany do polityki zaciskania pasa.

Jest oczywiste, że „pokolenie zwycięzców” jest wyczerpane i nie ma odpowiedzi na współczesny kryzys.

Skląmiam się do przypuszczenia, że do steru dojdą w świecie Zachodu zawodowi technokraci, których poprą ruchy prawicowe i nowa *middle class*, która obejmuje dziś znaczny procent klasy robotniczej.

Niedawno, w moskiewskiej *Prawdzie*, ukazał się artykuł w którym autor stwierdził, że ilekroć świat Zachodni przeżywa kryzys — tylekroć wydobywa się z szuflady zakurzonego antysowieckiego straszaka. To jest słuszną obserwacją. Świat Zachodni z kwitnącą ekonomią, z rosnącą zamożnością, z uładowanymi zagadnieniami społecznymi byłby znacznie skłonniejszy do ustępstw, kredytów i inwestycji. Innymi słowy byłby skłonniejszy do tego wszystkiego co w rozumieniu sowieckim stanowi treść *detente*.

Propagandyści sowieccy zbyt pochopnie i zbyt ochotczo grzebią kapitalizm. Nie ulega wątpliwości, że kapitalizm przeżywa wielostronny kryzys. Lecz nie ulega również wątpliwości, że jesteśmy świadkami największej operacji kapitalistycznej podjętej w dwudziestym wieku. Mam oczywiście na myśli „pływającą Arabię Saudyjską” czyli pola naftowe na dnie morza Północnego. Operacja pochłonie przeszło 15 tysięcy milionów funtów a w sensie technologicznym prześcignie projekt „Apollo”, który wylądował pierwszego człowieka na księżycu.

Rosjanom trudno jest przeanalizować i pojąć *malaise* zachodnią — podobnie jak nam trudno jest przeanalizować i pojąć *malaise* rosyjską.

Kipling pisał, że bliźniaczy Wschód i Zachód nie spotkają się nigdy. Myślę, że bliźniaki z natury rzeczy dążą ku sobie, ale na spotkanie i zrozumienie trzeba będzie dłużej jeszcze czekać.



W ostatnich czasach termin „mniejszość narodowa” uległ przemianie co spowodowało, że dawna definicja jest niewystarczająca. Nie ulega wątpliwości, że Czesi i Słowacy stanowią mniejszość w ramach imperium sowieckiego i przez władze sowieckie traktowani są jako mniejszość narodowa. Każdy z narodów ujarzmionych przez Rosjan jest liczebnie mniejszy od narodu rosyjskiego — niemniej narody ujarzmione — a więc narody wchodzące w skład tak Związku Sowieckiego jak i imperium sowieckiego — reprezentują łącznie znaczną większość w stosunku do Rosjan.

Można bronić punktu widzenia, że status Czechosłowacji jest korzystniejszy od statusu Ukrainy. Lecz w chwilach kryzysu imperializm sowiecki oznacza to samo w Pradze co w Kijowie. W roku 1968 czołgi sowieckie zgniotyły ruch narodowej odnowy w Czechosłowacji i podobna odnowa podjęta w Kijowie spotkałaby się z identycznie brutalną reakcją ze strony władz sowieckich.

W Kraju obchodzi się uroczystości 30-lecie PRL — lecz tzw. „Manifest Lipcowy” jest nadal drukiem tajnym*. Dlaczego? „Manifest Lipcowy” jest zakazany z tych samych przyczyn, które sprawiają, że w Kijowie prasie ukraińskiej nie wolno pisać o uprawnieniach jakie przysługują Ukrainie na podstawie konstytucji Związku Sowieckiego. Gdyby jakiś Ukraińiec wystąpił z konstytucyjnie legalną propozycją, by republika ukraińska zerwała wszelkie więzy ze Związkiem Sowieckim — wnioskodawca w ciągu 24 godzin wylądowałby w więzieniu.

W sumie wypada stwierdzić, że fakt, iż Ukraina jest federalną republiką w ramach Związku Sowieckiego jest taką samą fikcją jak fakt, że PRL jest państwem suwerennym. *De facto* tak Ukrai-

* Manifest ten drukujemy na str. 164 (dla przypomnienia już po raz drugi) — RED.

na jak i Polska są prowincjami Związku Sowieckiego. Istnieją różnice — w wielu wypadkach poważne różnice — pomiędzy prowincjami „federalnymi” jak Ukraina a prowincjami satelickimi jak Polska. Ale mimo owych poważnych różnic tak narodom „satelickim” jak narodom „federalnym” nie przysługuje zasadnicze prawo samostanowienia.

Nie zamierzam przeprowadzać licytacji komu jest gorzej a komu jest lepiej w obrębie Związku Sowieckiego. Należy natomiast podkreślić, że o ile o mniejszościach jest bardzo głośno o tyle o narodach satelickich panuje grobowe milczenie. Narody satelickie nie są mniejszościami narodowymi, nie należą do „Czwartego Świata” i powszechnie przyjmuje się, że choć istnieje sprawa Tatarów Krymskich — nie istnieje w kontekście międzynarodowym sprawa polska czy węgierska. W opinii przeciętnie poinformowanego Anglika czy Amerykanina PRL jest państwem nie demokratycznym, nie w pełni suwerennym — ale jak wiadomo Polska od dwustu lat nie posiada suwerenności, ponieważ pomiędzy Rosją a Niemcami nie ma miejsca na suwerenną Polskę. Tak układają się polskie warunki geograficzne — a jak wiadomo z geografii czy z klimatem nie można walczyć. Do sytuacji geograficzno-klimatycznej należy się przystosować i pomysłowością i pracą należy z owej sytuacji wyciągnąć maksimum korzyści.

Tak wnioskuje obcy. Polacy natomiast uważają się za coś niepomiernie „lepszego” od Ukraińców czy Litwinów. My mamy pozory suwerenności, których Ukraińcy czy Litwini nie mają. Mamy sejm, armię, przedstawicielstwa zagraniczne itp., itd. Mamy potiomkinowską suwerenność, która — w naszej opinii — wywyższa nas nad tych, którzy nawet owej potiomkinowskiej suwerenności nie mają. Owa „potiomkinada” utrudnia nam sformułowanie polskiego programu wschodniego, ponieważ uważamy, że pozornie suwerenna Polska awansu do statusu partnera Rosji. Wówczas zaangażowanie się po stronie Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów stanowiłoby fatalną zawadę na drodze do porozumienia z Moskwą. Polityki przyszłego partnerstwa z Rosją nie można zaczynać od planu parcelacji Rosji. Ukraińcy czy Tatarzy krymscy — Litwini czy Niemcy nadwołżańscy — to są sprawy wewnętrzno-rosyjskie, które leżą poza kontekstem polityki polsko-rosyjskiej.

To wszystko brzmi bardzo logicznie. Gdyby Polska była państwem suwerennym i sfederalizowanym z Czechosłowacją — być może tego typu „realna polityka” — choć obrzydliwa — miałaby szanse sukcesu.

Nie uważam za prawdopodobne wcielenie PRL do Związku Sowieckiego. Lecz zrównanie Warszawy z Kijowem wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobne niż wywianowanie PRL w status suwerennego partnera.

Ani my, ani Węgrzy czy Czechosłowacy nie możemy być niepodlegli, ponieważ przyznanie nam niepodległości doprowadziłoby do bankructwa obecną politykę narodowościową Moskwy wewnątrz Związku Sowieckiego. Moskwa nie widzi nas jako partnerów

lecz jako strażników sowieckiego „łagru narodów”. By pokój panował w Kijowie — pokój panować musi w Warszawie i w Pradze. Czołgi na ulicach Pragi broniły sowieckiego Kijowa i sowieckiej polityki narodowościowej.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnie parcelacji Rosji. Rosjanie mają prawo do swojej ziemi jak każdy inny naród i gdyby ziemiom rdzennie rosyjskim groził zabór — Rosjanie mieliby prawo oczekiwać pomocy nawet od nas. Natomiast Rosjanie nie mają ani prawa moralnego ani tytułu politycznego do panowania nad narodami, które stanowią znakomitą większość ludności w imperium sowieckim. Rosjanie stanowią dziś mniejszość nawet w Związku Sowieckim.

Lecz wysuwając nasz program wschodni nie kierujemy się wyłącznie zasadami moralnymi czy wzniosłym hasłem „za wolność naszą i waszą”.

W podnieconych rozmowach jakie prowadzili zdumieni mieszkańcy Pragi w pierwszych dniach inwazji z żołnierzami sowieckimi — kilkakrotnie ze strony rosyjskiej padała szczerza wypowiedź: „dlaczego wam ma być lepiej niż nam?”.

Tych kilku prostych żołnierzy sowieckich, którzy w powyższy sposób ujęli zagadnienie — swym chłopskim rozumem dotarło do sedna sprawy. Rosjanie nie mogą Czechom czy Polakom dać wolności czy prawa samostanowienia — ponieważ sami nie mają ani jednego ani drugiego. Choć Związek Sowiecki jest suwerenny, żadna z grup jego obywateli z Rosjanami włącznie — nie korzysta ani z wolności ani z praw samostanowienia.

Nawet za cenę najszczerzej pojętej lojalności sojuszniczej nie można od Rosjan wytargować prawa wewnętrznego samostanowienia — ponieważ demokratyzacja w Polsce czy w Czechosłowacji stanowiłaby bezpośrednie zagrożenie dla systemu na jakim oparta jest władza sowiecka. Z punktu widzenia sowieckiego skórka nie opłacałaby się za wyprawę. Co im ze szczerze sojuszniczej Polski — jeżeli ustrój owej Polski stanowiłby „socjalny dynamit” od którego mógłby wylecieć w powietrze cały Związek Sowiecki.

To wszystko nie ma nic wspólnego z moralnością czy ideologią. To jest problem realnej, przyziemnej polityki, którą streścić można w jednym zdaniu: Związek Sowiecki nie może kupować lojalności czy przyjaźni narodów satelickich za cenę zagrożenia swego wewnętrznego bezpieczeństwa.

Z tych przyczyn polityka wschodnia Stronnictwa Narodowego jest całkowicie nierealna. Sowiety mogą bowiem bezpiecznie pertraktować z polską partią polityczną, która programowo rezygnuje z praw do samostanowienia. Tym stronnictwem jest PZPR i nikt poza nią. Interesy PZPR są nie tylko zbieżne z sowieckimi — lecz bezpieczeństwo systemu sowieckiego stanowi jedyną gwarancję istnienia PZPR. Bezpieka istnieć będzie tak długo jak KGB. Bezpieka nie przeżyje KGB nawet o jeden dzień. Dlatego wzmocnienie KGB i systemu, który KGB reprezentuje — leży w żywotnym interesie Bezpieki i PZPR.

Kazimierz Dziewanowski w doskonałym artykule, ogłoszonym na tych łamach, pt. „Naród jak Lawa” — pisał o rozpowszechniającym się w Polsce drobnomieszczaństwie. Dziesiątki tysięcy ludzi pochodzenia chłopskiego i robotniczego zdobywają poprzez wykształcenie awans społeczny i rozglądają się na próżno za kulturą, za wzorami postępowania, za procesem kontynuacji. Pokolenia nie wyskakują jak Minerwa z głowy Jowisza — tylko stanowią w sensie kultury i postępu kontynuację poprzednich pokoleń. Owa powódź pamiętników i rozczytywanie się w literaturze czasu przeszłego i dokonanego są dyktowane pragnieniem odszukania własnych korzeni.

Gdyby rewolucja w Polsce dokonana została przez prawdziwy socjalizm — wówczas ideały socjalizmu dostarczałyby wzorów postępowania masom nowej inteligencji. Lecz w Polsce nie ma socjalizmu — tak jak nie ma ideologii narodowej. Nacjonalizm współczesny w PRL jest równie fałszywy jak polski „socjalizm”.

Ideologia narodowa (nie mówimy o faszyzmie) posiada mało punktów stykowych z demokratycznym socjalizmem. Niemniej podstawowy punkt programu obu tych ruchów jest identyczny. Mam na myśli postulat samostanowienia. Celem każdego ruchu narodowego musi być samostanowienie i odzyskanie niepodległości państwowej. Czy jednak samostanowienie i niepodległość konieczne są socjalizmowi? Jak wiadomo Róża Luksemburg uważała, że odrodzenie Polski może utrudnić a nie ułatwić wyzwolenie proletariatu — innymi słowy wierzyła, że klasie robotniczej potrzebna jest rewolucja a nie niepodległość państwowa.

Jestem pewien, że Róża Luksemburg, gdyby dziś żyła, zrewidowałaby powyższy pogląd. 50 krwawych lat, które upłynęły od Rewolucji Październikowej wykazały dobitnie, że choć niepodległość państwowa nie wyposaża automatycznie klasy robotniczej w prawo do samostanowienia — robotnicy mogą wywalczyć to prawo tylko w ramach własnego niepodległego państwa. Przykład Czechosłowacji z roku 1968 wykazał, że brak niepodległości uniemożliwia dokonanie rzetelnej rewolucji społecznej. Wyzwolenie narodu nie gwarantuje wyzwolenia klasy robotniczej — lecz bez wyzwolenia narodu jako całości nie może dokonać się wyzwolenie klasy robotniczej.

Dopóki Polska nie odzyska niepodległości — robotnicy nie będą mieli prawdziwych związków zawodowych, nie będą mieli podstawowego prawa do strajków, nie będą w socjalistycznym tego słowa znaczeniu samostanowili o swoim losie.

Przez rewolucję rozumiemy zdobycie przez klasę robotniczą władzy całkowitej lub częściowej. Co to oznacza? Oznacza to, że robotnicy muszą odebrać władzę tym, którzy ją mają. Na to by móc komuś odebrać władzę — ów ktoś musi mieć władzę.

Robotnicy nie mogą odebrać władzy Gierkowi i jego rządowi, ponieważ ci panowie *de facto* władzy nie mają. Gierek nie ma możliwości przyznania robotnikom prawa do strajku — bo niezależnie od jego osobistych przekonań — nie ma po temu

dostatecznej władzy. Gdyby nadużył swej władzy i przyznał robotnikom prawo do strajku, czy prawo do stworzenia prawdziwych związków zawodowych — Moskwa w ten czy inny sposób pozbawiłaby Gierka i jego rząd władzy w przeciągu kilkunastu dni.

Tak oto wracamy do punktu wyjścia. Robotnicy mogą zdobyć władzę tylko wówczas kiedy mogą ją odebrać organom własnego państwa. Owo „odebranie” może dokonać się siłą lub przez negocjacje. Jeżeli państwo nie ma władzy to znaczy niepodległości — robotnicy nie mają sposobu zdobycia władzy i wolności i muszą dzielić wraz z innymi niewolę.



Nie tylko mniejszości narodowe lecz wszystkie narody, które pozbawiono prawa do samostanowienia należą do „Czwartego Świata”. Narody Europy Zachodniej są również kandydatami do „Czwartego Świata”. Jeżeli raz zgodzono się dzielić Europę na sfery wpływów — nie ma logicznej przyczyny dlaczego ów proces nie miałby objąć całego kontynentu. Grozi nam nie tyle „finlandyzacja” ile „albanizacja” Europy. Albania jest europejską kolonią Chin — tak jak Polska czy Czechosłowacja są europejskimi koloniami Rosji. Istnieją trzy super-mocarstwa i dążność do podziału świata na sfery wpływów jest naturalną konsekwencją tego stanu rzeczy. Narody średnie jak Anglicy czy Francuzi nie mają żadnej szansy przeciwstawienia się temu procesowi. Przeciwwstawić się temu procesowi można by tylko powołując do życia nowe, czwarte super-mocarstwo. Mam na myśli zjednoczoną Europę Zachodnią.

Europa Zachodnia jeżeli pragnie uniknąć podziału na strefy wpływów nie ma innego wyjścia. Jest oczywiście daleko lepiej być satelitą Ameryki niż Sowietów — lecz wadą tego systemu jest fakt, że z satelitami nikt się nie liczy.

Polacy są filo-amerykańscy i autor niniejszego artykułu nie stanowi wyjątku od tej reguły. Lecz jak rusofobia utrudnia zrozumienie Rosji — tak filo-amerykanizm utrudnia zrozumienie Ameryki.

Na dnie duszy — jeżeli w tym kontekście wolno się tak wyrazić — tak Rosjanie jak i Amerykanie nie życzą sobie zjednoczonej Europy. Trudno się temu dziwić. Zjednoczona Europa konkurująca z Ameryką na rynkach światowych, obwarowana protekcyjnymi cłami celnymi — nie może budzić entuzjazmu po drugiej stronie Atlantyku.

Ruch zjednoczeniowy jest rozbudową i spotęgowaną formą sojuszu. Sojusz zawiera się zawsze przeciwko komuś. Europejczycy zachodni chcą się chronić nie tylko przed Rosją — lecz również chcą się chronić przed bezcerebralnym traktowaniem przez Amerykę i Rosję.

Polacy ze swoją skłonnością do rozpatrywania wszystkiego w kategoriach „czarne” lub „białe” — wierzą, że Rosja reprezentuje niewolę a Ameryka wolność. Faktem natomiast jest, że nie ma na świecie państwa, które jest za wolnością — jeżeli przez wolność rozumieć wolność dla innych. Maksimum osiągalnej wolności i niepodległości zachodni Europejczycy muszą wypracować sami wbrew Rosji i bez zasadniczych pomocy amerykańskich.

Wielu w Europie Zachodniej zdaje sobie sprawę z zagrożenia sowieckiego. Natomiast problem amerykański jest w pewnym sensie ważniejszy od problemu sowieckiego — stosunek do Ameryki dzieli bowiem Europejczyków a nie jednocy. Ameryka jest jedynym super-mocarstwem, które mówi w sensie cywilizacyjnym tym samym językiem co my. Komunikacja z Sowietami czy z Chinami jest niezmiernie utrudniona z powodu zasadniczej odrębności tych super-mocarstw, których języki, cywilizacja i systemy społeczne uniemożliwiają pełne zrozumienie.

Pomiędzy Europą Zachodnią a Ameryką nie ma trudności nie do rozwiązania — ponieważ nawet wówczas kiedy się nie zgadzamy, możemy w pełni doceniać i rozumieć nasze wzajemne stanowiska.

Pisałem na tych łamach wielokrotnie, że znaczna przewaga w potencjale militarnym stanowi niezainkasowany polityczny zysk. Jeżeli owej przewadze nikt nie jest władny się przeciwstawić — zysk zostaje zainkasowany. Jeżeli słabość NATO będzie się pogłębiała i przedłużała — ta słabość będzie prowokowała imperializm sowiecki do tego stopnia, że Rosjanie swemu silnemu instynktowi zaborczości nie będą w stanie się przeciwstawić.

Nasi publicyści wyobrażają sobie, że z chwilą gdy czołgi sowieckie przekroczą Ren — na Rosję spadnie cyklon amerykańskich bomb atomowych. Nic podobnego się nie stanie. Prezydent USA zarządzi alarm atomowy — wyda rozkaz by atomowe łodzie podwodne opuściły bazy i wyszły w morze — niemniej bezpośrednim zadaniem polityki amerykańskiej byłoby w takiej sytuacji nie pobicie Sowietów lecz uratowanie pokoju. Po kilku dniach czołgi sowieckie zatrzymałyby się — ludzie w Paryżu i w Londynie odetchnęliby z ulgą. Nastąpiłyby tygodnie zmudnych rokowań, których ukoronowaniem byłaby nowa Jałta. Wówczas na rzetelne zjednoczenie Europy i stworzenie z EWG światowego mocarstwa byłoby za późno.

Gdy Stalin zjawił się w zdobytym Berlinie — jeden z zachodnich dyplomatów powiedział mu, że musi mu być miło po tylu latach krwawej wojny deptać gruz berliński. Stalin uśmiechnął się i odpowiedział: „Cóż to jest Berlin — Car Aleksander był w Paryżu”.

Rosjanie w przeciwieństwie do Amerykanów — wierzą, że rządzić światem można tylko zdobywszy Europę i dla zdobycia Europy gotowi są zaryzykować daleko więcej niż Amerykanie dla obrony Europy. Zdobyć Europę można bez rozpętywania wojny światowej metodą „krajania salami” — ponieważ tak Ame-

rykanie jak i ci, którzy znajdą się w wolnej resztówce Europy będą gotowi uratować pokój.

Można zaryzykować twierdzenie, że lęk przed wojną atomową chroni Amerykanów i Rosjan — lecz nie daje dostatecznej ochrony narodom średnim jak Francuzi, Anglicy czy Niemcy — ponieważ Rosja nie użyje bomb atomowych by oderwać kawałek zachodnio-europejskiego terytorium, a Amerykanie nie użyją bomb atomowych by bronić zagrożonego terytorium Zachodniej Europy. Wydaje się więc, że tzw. „parasol atomowy” jest wątpliwą polisą asekuracyjną. Lądowe jednostki amerykańskie na terenie Europy są daleko ważniejsze.

Chciałbym zakończyć ten artykuł następującą uwagą. Z jednej strony super-mocarstwa, a w szczególności Rosja Sowiecka — dążą do poszerzenia i umocnienia polityki wpływów. Ta polityka doprowadzona do swej logicznej konsekwencji musiałaby zakończyć się trój-zaborem całego globu.

Z drugiej strony obserwujemy wszędzie dynamiczny i wzmożony ruch mniejszości narodowych, które domagają się gwałtownie niepodległości, względnie autonomii.

Z każdym dniem wzrasta na sile walka pomiędzy dwoma koncepcjami — pomiędzy polityką jałtańską stref wpływów a koncepcją samostanowienia stanowiącą ideologię „Czwartego Świata”.

Koncepcja legitymizmu i stref wpływów nie ma szansy sukcesu, ponieważ jest reliktem sprzed 150 lat. Rosja stosuje u siebie politykę terroru i ucisku, ponieważ jest opóźniona w rozwoju społecznym o pół wieku. Nawet Sołżenicyn jest pisarzem rosyjskim z XIX wieku. Lecz Rosja nie może pozostać archaicznym tworem w nowoczesnym świecie. Można walczyć przeciwko Chinom czy przeciwko Amerykanom, lecz nie można walczyć z czasem.

W Rosji i w państwach satelickich obserwujemy lęk przed Historią. Marksizm, który winien być instrumentem analizy Historii — stanowi w bloku sowieckim ucieczkę przed Historią. Ci panowie manipulują Historią bo nie chcą zaakceptować ani własnej przeszłości, ani teraźniejszości XX wieku. Rosjanie nie wydawali na księżyca, produkują najgorsze plastyki na świecie, w fizyce atomowej i w elektronice są spóźnieni w stosunku do Amerykanów o dziesięciolecie — ponieważ nie można rozbudowywać technologii i nauki XX wieku na społecznej bazie dziewiętnastowiecznej.

Ktoś powie, że siła i przemoc są ponadczasowe. Dawniej był Sybir a dziś są łagry. W rzeczywistości tak nie jest. Opieranie się prądowi czasu, beznadziejna walka z postępem, odrzucanie koniecznych, nowoczesnych reform — osłabiają najsilniejszy rząd i prowadzą do jego upadku. Tych marksistów, którzy jak sowieccy (i polscy) odrzucili Historię ze strachu przed własną przeszłością — Historia wyrzuci na śmietnik.

Czy nowa era we Francji?

Wiele zmieni się we Francji w wyniku wyborów prezydenckich: układ sił politycznych — po dotkliwej porażce w pierwszej turze wyborczej kandydata gaullistowskiego Jacques Chaban-Delmasa; zmodyfikowany zostanie — zapewne — system polityczny V-tej Republiki, a w każdym razie styl rządzenia, jak to zapowiadają pierwsze posunięcia nowego Prezydenta Valéry Giscard d'Estaing. Osłabienie zagrożonego dziś rozpadem obozu gaullistowskiego, którego ambicją było odegrywanie roli *rassemblement* — to jest bloku, skupiającego różne tendencje polityczne od prawicy do umiarkowanej lewicy (lewicowi gaulliści) — toruje drogę do powrotu Francji do dawnych tradycyjnych podziałów na prawicę i lewicę.

Nazajutrz po wyborze Giscard d'Estaing, Jacques Fauvet pisał na łamach paryskiego *Le Monde'u*: „Tym razem społeczeństwo przecięte zostało dokładnie na dwa obozy — matematycznie, politycznie i tradycjonalistycznie”.

Arytmetycznie — siły obu obozów w drugiej turze były niemal równe — 50,7 % głosów na Giscard d'Estaing, 49,3 % na François Mitterranda. Wyraźniejszą niż przy poprzednich wyborach prezydenckich była nie tylko linia podziału politycznego, ale także i socjalnego. Za Giscard d'Estaing głosowali — w przeważającej większości — przedstawiciele wyższych kadr technokratycznych — 81 %, wolnych zawodów — 80 %, rolnicy — 68 %, kupcy i przemysłowcy — blisko 67 %, emeryci i zawodowo nieczynni — 57 %.

Za Mitterrandem z kolei opowiadała się przynajmniej większość robotników — 73 %, 55 % pracowników i urzędników państwowych i 51 % kadr średnich i niższych.

Inaczej wyglądał ten podział przy poprzednich wyborach prezydenckich w latach 1965 i 1969. Aby nie mnożyć liczb przypomnijmy tylko, że w roku 1965 generał de Gaulle kandydując na stanowisko prezydenta przeciw temuż Mitterrandowi uzyskał 42 % głosów robotniczych — obecnie Giscard d'Estaing tylko 27 %.

Mitterrand miał także za sobą większość młodzieży. Wśród najmłodszych wyborców, poniżej lat 25-ciu, głosowało za nim 62 %, w rocznikach od lat 25-ciu do 45-ciu — 55 %. Wśród najstarszych — powyżej lat 65-ciu — stosunek był odwrotny. Za Giscard d'Estaing 60 % — a 40 % za Mitterrandem.

Gdyby — zgodnie z zapowiedzią ówczesnego premiera Messmera — w przemówieniu w Provins na początku 1973 r. — obniżona została granica czynnego prawa wyborczego z 21 lat na

19, nie wiadomo jaki byłby wynik ostatnich wyborów. Większość za Giscard d'Estaing w drugiej turze wynosiła — na 26 milionów głosujących — tylko 350 tysięcy głosów. Na demagogię zakrawa twierdzenie przywódców lewicy, że oni tylko reprezentują „aktywną większość społeczeństwa i masy pracujące”. Niemniej, mimo zwycięstwa Giscard d'Estaing, wybory 19 maja wykazały rosnącą dynamikę i wzrost wpływów lewicy. Jeszcze przed przeszło rokiem, przy wyborach do parlamentu, komuniści, socjaliści, lewica socjalistyczna (P.S.U.) i różne grupy goszystowskie uzyskały łącznie zaledwie 44 % głosów.

Francja w każdym razie uniknęła eksperymentu rządów socjalistyczno-komunistycznych, choć zwycięstwo lewicy leżało — jak ktoś powiedział — „na odległość wyciągniętej ręki”. Jej kandydat, François Mitterrand, od początku dość sceptycznie oceniał szanse zwycięstwa. Po rozpisaniu wyborów na prezydenta powiedział: „O dwa lata za wcześnie”. Lewica ma obecnie nadzieję, że zwycięży w wyborach do parlamentu w 1978 roku, jeśli obecna Izba nie zostanie rozwiązana przed upływem kadencji.

Dla oceny nowego układu sił politycznych we Francji i dalszych losów obozu gaullistowskiego interesujące są przede wszystkim wyniki pierwszej tury wyborczej. Z całego zastępu dwunastu kandydatów tylko trzech wchodziło w rachubę: Giscard d'Estaing, François Mitterrand i Chaban-Delmas. Wszyscy trzej mieli za sobą długoletnią karierę polityczną i zdobyli sobie dużą popularność w społeczeństwie. W ogłaszanych periodycznie — na długo przed wyborami — ankietach różnych instytutów, na pytanie: „który z wymienionych polityków ma przed sobą przyszłość polityczną we Francji” — w odpowiedziach wśród osobistości obozu rządowego wymieniani byli stale na pierwszych miejscach Giscard d'Estaing i Chaban-Delmas a z opozycyjnych François Mitterrand. Pierwsza tura miała charakter eliminacyjny między obu kandydatami obozu rządowego. Mitterrand handicapowany kandydatami goszystowskimi nie miał szans wyboru.

Wydawało się że Chaban-Delmas dysponuje lepszymi atutami aniżeli jego konkurent. Miał on do niedawna szczęśliwą rękę w polityce. Odegrał w czasie wojny wybitną rolę w ruchu oporu awansując wówczas na generała w wieku lat 29-ciu, przez 11 lat był przewodniczącym parlamentu — a więc trzecią z kolei osobistością w hierarchii państwowej — a przede wszystkim wykazał talenty polityczne w czasie swego trzyletniego premiershipu (lata 1969-1972). Był to okres wzrostu zamożności i względnego pokoju społecznego. Chaban-Delmas wysunął wówczas obszerny program reform pod hasłem „Nowego Społeczeństwa”. Nie mógł już ich przeprowadzić ze względu na niespodziewaną dymisję, udzieloną mu przez prezydenta Pompidou — zaledwie w kilka tygodni po uchwaleniu przez parlament dużą większością głosów wotum zaufania dla gabinetu Chaban-Delmasa. Ówczesny prezy-

dent Francji nie aprobował, jak się zdaje, zbyt radykalnych projektów swego premiera. Po zgłoszeniu kandydatury na prezydenta Chaban-Delmas miał za sobą formalne poparcie nie tylko U.D.R. ale i także prorządowego centrum — C.D.P. Już w trakcie kampanii za jego wyborem opowiedziały się różne wybitne osobistości, jak były premier Pierre Pflimlin, czy minister Jobert, którego polityka zagraniczna — według francuskich gallupów — aprobowana była przez 62 % społeczeństwa.

O wiele trudniejszy — wydawałoby się — był start Giscard d'Estaing. Przez ostatnie 10 lat był on żelaznym ministrem skarbu. Zajmował stanowisko, które nie przysparza zazwyczaj wyborców, zwłaszcza w społeczeństwie tak niechętnym do ponoszenia ciężarów finansowych, jak francuskie. Na domiar własnie w ostatnich kilkunastu miesiącach przed wyborami rujnująca inflacja przybrała niepokojące rozmiary. Przyspieszony wzrost cen pochłaniał czasem z nawiązką zwykły płac, wywołując rosnące niezadowolenie społeczeństwa. W czasie stosunkowo krótkiej kariery Giscard d'Estaing nie miał okazji do wykazania swych talentów na innym stanowisku państwowym. Jego pólarystokratyczne pochodzenie, rzeczowy, konkretny ale nieco oschły ton przemówień, naszpikowanych cyframi — unikanie tak nadużywanych we Francji efektów oratorskich — wszystko to nie predystynowało go na trybuna ludowego. Wielu wątpiło czy zdoła nawiązać „kontakt z masami”. Słowem szanse jego rozgrywki z Chaban-Delmasem wyglądały — zdawało się — nie najlepiej.



Już pierwszy tydzień kampanii wyborczej gruntownie zmienił sytuację. Na dwa dni przed pierwszą turą wszystkie trzy instytucje badania opinii publicznej były zgodne: 45 % dla Mitterranda, 31 % dla Giscard d'Estaing i tylko 15 % dla Chaban-Delmasa. Wśród przyczyn tego zwrotu w nastrojach wyborczych na pierwszym miejscu wymienić trzeba telewizję. Wiece kandydatów były tłumnie uczęszczane (100 tysięcy uczestników na wystąpieniach Mitterranda i Giscard d'Estaing w Paryżu). Ale chodziło tu o z góry przekonanych zwolenników. Telewizję za to oglądali wszyscy — łącznie z niezdecydowanymi.

W roku 1960, przed ówczesnymi wyborami prezydenta Stanów Zjednoczonych, odbył się pojedynek telewizyjny Kennedy-Nixon. Kennedy górował wyraźnie nad swoim przeciwnikiem. Zyskiwał sobie zwolenników nie tylko celnością argumentów, ale swoją postawą, spokojem, pewnością siebie i... wyglądem. Słowem Kennedy był telegeniczny — Nixon nie — przynajmniej w ówczesnym okresie. Według oceny obserwatorów amerykańskich w czasie czterech dyskusji telewizyjnych Kennedy przeciągnął na swoją stronę bodaj dwa czy trzy miliony wyborców. Przy wyborach przeszedł większością ledwo 100 tysięcy głosów. Słowem gdyby Nixon odmówił wzięcia udziału w tych dyskusjach, to zostałby prezydentem Stanów Zjednoczonych już w 1960 roku.

Ówczesne losy Nixona podzielił obecnie Chaban-Delmas. Doskonały i przekonujący w debatach parlamentarnych — słabszy w zetknięciu z tłumami na wiecach — w telewizji zawiódł katastrofalnie. Był widocznie stremowany, niepewny siebie, często niezbyt dobrze przygotowany. Głos brzmiał zgrzytliwie, gestykulacja rąk była źle wystudiowana. Przypominał wciąż projekt „Nowego Społeczeństwa”, nie wyjaśniając bliżej charakteru proponowanych reform. Ledwo poruszył poprzednio propagowany przez siebie plan regionalizacji, popularny w administracyjnie ultra-scentralizowanej Francji.

Giscard d'Estaing szybko opanował formę występów telewizyjnych i nawiązał kontakt z widzem. Według tychże Gallupów większość uczestników ankiet uważała, że z trzech głównych kandydatów ma on „najlepsze dane dla reprezentowania Francji na arenie międzynarodowej”, „posiada najwięcej autorytetu dla sprawowania roli szefa państwa” i uważała go „za najciekawszego jako mówcę”.

W trakcie kampanii Giscard d'Estaing przejął niektóre postulaty wysuwane przez Mitterranda, jak np. podniesienie minimalnych płac (SMIG) do 1.200 franków miesięcznie, radykalne zwiększenie emerytur i zaopatrzenia na starość, a także zmniejszenie wyjątkowo dużej we Francji rozpiętości płac na rzecz najniższej płatnej kategorii pracowników i robotników. Giscard d'Estaing kładł zwłaszcza duży nacisk na przeprowadzenie rzeczywistego równouprawnienia kobiet — o wiele gorzej płatnych i dyskryminowanych przy awansach i przydziale pracy w urzędach, instytucjach i fabrykach. Zapowiedzi te pozyskały mu niezawodnie wiele głosów. 55 % kobiet, stanowiących zresztą większość ciała wyborczego, głosowało w drugiej turze na Giscard d'Estaing.

Opozycja zarzucała mu że jego obietnice wyborcze kosztować będą skarb około 25 miliardów franków, na co organizator jego kampanii wyborczej, minister Poniowski, odpowiedział że tylko... 19 miliardów.

W każdym razie pod koniec kampanii wyborczej hasła społeczno-gospodarcze obu kandydatów stawały się coraz bardziej do siebie zbliżone. Pozostała jednakże zasadnicza różnica: sprawa interwencji państwa w życie gospodarcze i przewidzianej przez program socjalistyczno-komunistyczny, nacjonalizacji wielkich przedsiębiorstw i banków, co Mitterrand pomijał raczej w swoich przemówieniach.



François Mitterrand był dla lewicy jedynym kandydatem, który z pewną szansą zwycięstwa mógł ubiegać się o wybór na prezydenta w głosowaniu powszechnym. Miał za sobą doświadczenie, którego nie posiadali jego obaj konkurenci. Kandydował już na prezydenta w roku 1965, mając przeciwko sobie nielada przeciwnika — generała de Gaulle. Mimo popularności legendarnego szefa Wolnej Francji, 49-cioletni Mitterrand uniemożli-

wił jego wybór w pierwszej turze, a w drugiej zdobył 45 % głosów. Był to — jak na (względnie) młodego polityka i przywódcę jednej z minipartii lewicowych nie najgorszy wynik. Kilka słów o innym jeszcze wydarzeniu z jego kariery politycznej. Dopiero przed czterema laty Mitterrand doszłusował do socjalistów, inicjując i przeprowadzając na kongresie w Epinay połączenie dawnej S.F.I.O. z różnymi ugrupowaniami lewicowymi i od razu wysunął się na przywódcę nowej partii socjalistycznej. Objąwszy jej kierownictwo odnowił podstarzały i do gruntu zmurszały aparat partyjny. Zreorganizowana pod jego kierownictwem partia w rekordowym czasie wzmocniła swoją pozycję w kraju. Według ankiet, przeprowadzonych już po wyborze Giscard d'Estaing, socjaliści w razie rozpisanie wyborów do parlamentu uzyskaliby około 30 % głosów. Porównajmy: w wyborach prezydenckich w 1969 roku kandydat socjalistów, Gaston Defferre, dostał... 5 %.

Mitterrand, mimo tradycyjnej nieufności socjalistów francuskich do komunistów („komunistyczna partia Francji” — mówił swego czasu Guy Mollet — „nie jest ani na prawicy, ani na lewicy, ale... na wschodzie”), doprowadził w 1970 roku do sojuszu socjalistyczno-komunistycznego i uzgodnienia wspólnego programu. Przeciwników tego sojuszu przekonał stale powtarzanym argumentem — przy 20 do 25 % Francuzów, którzy zawsze głosują na komunistów lewica demokratyczna nigdy nie zdobędzie większości i nie dojdzie do władzy o własnych siłach. Trzeba więc ryzykować. Jeśli eksperyment się nie uda, można będzie zawsze zastosować receptę Ramadier (premier socjalistyczny, który w 1947 roku usunął komunistów z rządu).

Mitterrand był jedynym możliwym kandydatem na prezydenta, choć komuniści nie mają do niego wielkiego zaufania, a starsze pokolenie socjalistów, typu Guy Mollet, darzy go nieukrywaną antypatią zarzucając mu, że nie zna teorii socjalizmu, nie czytał „Kapitału” Marksa i że odnosi się z pogardą do dyskusji ideologicznych.

Kampania wyborcza Mitterranda była zręcznie pomyślana: pozyskać głosy popularnymi postulatami, wybranymi ze „wspólnego programu”; rozładować obawy wywołane możliwością udziału komunistów w rządzie; przekonać, że jako prezydent zapewni on (a nawet „rozszerzy”) wolności obywateli i zabezpieczy ich przed nadużyciami władzy.

Mitterrand nadto podkreślał przy różnych okazjach historyczną rolę i zasługi dla Francji gen. de Gaulle'a, licząc zapewne na głosy gaullistów w drugiej turze. Powoływał się wręcz na de Gaulle'a dla obrony niektórych punktów swego programu.

Mitterrand, podobnie jak Giscard „przebijał” szklany ekran. Mówił w sposób jasny i zrozumiały dla przeciętnego widza, z dużą pewnością siebie. Czasem tylko w wywiadach telewizyjnych eklezjastyczny czy jezuicki ruch zacierania rąk — Mitterrand wychował się w środowisku katolickim — zdradzał wewnętrzne zakłopotanie.

Znów według Gallupów uczestnicy ankiet uznali, że Mitterrand posiada autorytet do sprawowania funkcji głowy państwa (tu Giscard otrzymał ten sam procent pozytywnych opinii), był dla nich „najsympatyczniejszym” z trzech kandydatów; sądzili ponadto, że Mitterrand będzie mógł najlepiej rozwiązać problemy społeczne, zapobiec strajkom i zapewnić Francji spokój społeczny.



Chaban-Delmas odpadł w pierwszej turze otrzymując około 15 % głosów (wobec 43 % na Mitterranda i blisko 33 % na Giscard d'Estaing). Stanowiło to mniej więcej połowę wyborców U.D.R. i popierającego jego kandydaturę centrum — P.M.D. przy wyborach parlamentarnych przed rokiem. Szczególnie groźnym symptomem dla perspektyw obozu gaullistowskiego była nieoczekiwana klęska Chaban-Delmasy w tradycyjnych twierdzach gaullizmu: w Alzacji, Lotaryngii, Bretanii czy w Wandei, gdzie nawet w okresie IV-tej Republiki partia gaullistowska zawsze przeprowadzała swych posłów. Obecnie nie ostała się żadna z tych twierdz.

Obok błędów i niedociągnięć jego kampanii wyborczej także i inne przyczyny wpłynęły na tę porażkę. Zawiodł na przykład na całej linii aparat U.D.R. Partia ta jest najliczniej reprezentowana w parlamencie i wielu jej posłów posiada znaczny wpływ na wyborców w swoich okręgach. Na wstępie jednak kampanii w łonie U.D.R. doszło do konfliktów i jawnych polemik, dezorientujących opinię publiczną.

Wspomnijmy tu jeszcze o pewnych faktach, rzucających cień na wzorowo i lojalnie na ogół prowadzoną kampanię wyborczą. Wkrótce po jej zakończeniu ukazała się broszura Michel Bassi pod tytułem „Le grand tournoi”, przedrukowana we fragmentach przez politycznie neutralny tygodnik *Le Point*. Według autora tej broszury, na kilka dni przed pierwszą turą — głównie w okręgach w których Chaban-Delmas mógł liczyć na wielu wyborców, rozesłane zostały w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy ulotki oskarżające go między innymi o... zamordowanie swojej drugiej żony. Przypominano, że i Chaban i jego żona Micheline są rozwodnikami, dodając że „nie ma dla nich miejsca w pałacu elizejskim”. Ten ostatni argument przeznaczony był dla katolickich wyborców Chaban-Delmasy.



Pierwsze posunięcia Giscard d'Estaing jako prezydenta nadały nowy styl rządowi starzejącej się po trosze V-tej Republice (skończyła ona lat 16, gdy IV-ta nie przetrwała 14 lat). Prezydent nie tylko uprościł protokół ale i skład pierwszego rządu prezydenckiego siedmioletnia ustalony został z pogwałceniem dotychczasowych reguł gry.

Rząd utworzył w istocie sam prezydent. Premier Jacques

Chirac odegrał raczej rolę statysty. Dotychczas premierzy V-tej Republiki zachowywali znaczny wpływ na skład swego gabinetu.

Obecnie ministrowie powołani zostali pod kątem widzenia ich efektywności, fachowości oraz zdolności organizacyjnych i administracyjnych, ale także i osobistego zaufania prezydenta Republiki. Obowiązujący dotąd klucz partyjny *dosage*, jak mówią Francuzi — został zarzucony. Tak na przykład U.D.R. stanowiąca większość (181 posłów) w łonie nowej większości prezydenckiej (rozszerzonej przez doszłusowanie centrowych Reformatorów) — politycznie nie jest reprezentowana w rządzie. W gabinecie Chirac'a figuruje wprawdzie pięciu członków U.D.R., ale ci już na wstępie kampanii wyborczej wypowiedzieli się za kandydaturą Giscard d'Estaing. Równocześnie niewielka grupa Reformatorów (30 posłów) otrzymała w rządzie aż cztery teki.

Kluczowe stanowiska w rządzie objęli fachowcy, cieszący się zaufaniem prezydenta. Premier, Jacques Chirac, 41 lat — parlamentarzysta, ostatnio minister spraw wewnętrznych w rządzie Pierre Messmera uchodzi za jednego z najzdolniejszych polityków młodszego pokolenia. Jest też członkiem U.D.R., ale gaulliści uważają go za grabarza kandydatury Chaban-Delmasa, którego zwalczał z dużą bezwzględnością i energią. Pupil i wychowanek polityczny prezydenta Pompidou, Chirac jest obecnie fanatycznym zwolennikiem Giscard d'Estaing, z którym współpracował bezpośrednio przez przeszło półtora roku jako podsekretarz stanu w ministerstwie skarbu. Jak widać rola premiera w V-tej Republice jest coraz bardziej ograniczona, choć według konstytucji „polityką Francji kieruje rząd pod przewodnictwem Prezesa Rady Ministrów”. De Gaulle w okresie swej prezydentury zastrzegł sobie jedynie bezpośredni wpływ na sprawy zagraniczne i obrony i interesowała go przede wszystkim obsada tych dwóch ministerstw. Pompidou rozszerzył jeszcze zakres wpływów prezydenta ingerując także w obsadę resortów gospodarczych. Giscard d'Estaing po swoim wyborze poszedł o krok dalej i zamierza — jak się zdaje — kierować bezpośrednio pracą rządu. Premierowi pozostaje rola koordynatora działalności ministrów i — jak twierdzą ironicznie w Paryżu — ministra do kontaktów z parlamentem. Stanowisko to zresztą Chirac zajmował przez jakiś czas w jednym z poprzednich rządów Pierre Messmera.

Najbliższym człowiekiem Giscard d'Estaing, a jednocześnie doradcą politycznym — poprzednio organizatorem kampanii prezydenckiej — i także jego osobistym przyjacielem jest Michel Poniatowski — lat 52. Zajmuje on w obecnym gabinecie stanowisko sekretarza stanu — odpowiadające z grubsza funkcji wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych z rozszerzonymi jeszcze kompetencjami. W każdym razie można go uważać za najwplywowszą osobistość w nowym gabinecie.

Drugie kluczowe stanowisko, ministra ekonomii skarbu, objął 44-letni Jean Pierre Fourcade. Był on również wieloletnim współpracownikiem Giscard d'Estaing w ministerstwie skarbu jako dyrektor departamentu handlu wewnętrznego i cen („najlepszy

znawca problemu cen we Francji” — powiedział o nim Prezydent). Ostatnie dwa lata Fourcade był dyrektorem banku Cr dit Industriel et Commercial i burmistrzem podparyskiego St-Cloud. Na nim spoczywa najtrudniejsze zadanie walki z inflacją i deficytem bilansu handlowego i płatniczego. Niebezpieczeństwa grożące gospodarce francuskiej ilustrują dwie cyfry: deficyt dodatkowego do niedawna bilansu handlowego osiągnąć może w tym roku 30 miliardów franków, a zwykła cen zapewne 18 %. Nadto Fourcade nie posiada żadnego doświadczenia parlamentarnego, co nie ułatwi mu obrony polityki gospodarczej rządu przed atakami opozycji w Izbie.

Nowym ministrem Spraw Zagranicznych jest fachowy dyplomata, Jean Sauvagnargues — ostatnio ambasador Francji w Bonn. Sądząc z różnych deklaracji i *expos * premiera Chirac'a w parlamencie, w polityce zagranicznej Francji niewiele się zmieni.

Ekipa rządowa ma przed sobą niezwykle trudne zadanie. Konieczność zahamowania tempa inflacji i ograniczenia rosnącego deficytu handlu zagranicznego trudno będzie pogodzić z zapowiedzianą zwykłą płac, rent, ubezpieczeń społecznych i wzmożonymi wydatkami na inne cele społeczne. Wszystko to wymagać będzie tak niepopularnych posunięć, jak znaczne podniesienie podatków zwłaszcza bezpośrednich.

Opozycja i Związki Zawodowe, odgrywające w życiu politycznym coraz większą rolę — jak prokomunistyczny C.G.T. i ultra radykalny — dawniej chrześcijański C.F.D.T. domagają się energicznie realizacji swoich postulatów, grożąc nową falą strajków. Nie tylko zresztą robotnicy i urzędnicy, ale i inne warstwy społeczne we Francji, chcą lepiej zarabiać, więcej konsumować, więcej zużywać benzyny na jazdę samochodami, choćby cena jej miała jeszcze wzrosnąć. Polityka zaciskania pasa nie będzie popularna.

Pewnych komplikacji może oczekiwać rząd także na terenie parlamentarnym. Lewica, rozgoryczona zawodem, jakim był dla niej wybór Giscard d'Estaing i perspektywą spożywania nadal gorzkiego chleba opozycji po szesnastu latach odsunięcia od władzy — nie jest skłonna do „konstruktywnej współpracy”, ale pozostając w mniejszości nie może przeszkodzić rządowi w przeprowadzeniu zamierzonych reform. Klucz sytuacji parlamentarnej leży w ręku klubu U.D.R., choćby nawet jego szeregi opuściła część posłów, popierających politykę nowego prezydenta. U.D.R. zapowiedziała jedynie warunkowe poparcie dla rządu Chirac'a, uzależniając je na przyszłość od prowadzonej przez niego polityki. Wydaje się jednak że „giscardowcy” i „gaulliści” skazani są na współpracę. Ostrzejszy konflikt między nimi prowadziłby do nowych wyborów parlamentarnych, w których lewica miałaby dziś spore szanse zwycięstwa.

Korespondencja z Rzymu

„Nadszedł czas, abyście odważnie mówili...”

Zamiast odprężenia i większych luzów dla Kościoła, jakich można było spodziewać się po lutowej misji abp. Casaroli w Warszawie, w ostatnich trzech miesiącach napięcie nie tylko nie zmalało, lecz wzrosło. Taktyka partii uległa zmianie od czasów gomułkowskich, stała się bardziej elastyczna i wyrafinowana — strategia pozostała jednak niezmienną. Usztywnienie ideologiczne i polityczne, widoczne dziś zresztą na różnych odcinkach (zwłaszcza w prasie, oświacie, kulturze i kontaktach z Zachodem) tłumaczą pewni bezkrytyczni zwolennicy Gierka naciskami Moskwy i „narzuconą nam koniecznością zwarcia sztyku w obliczu socjalistycznym w obliczu penetracji ideologicznej Zachodu”. Naciski Moskwy na pewno istnieją, rzecz jednak w tym, że szermowanie tym argumentem służy często (tak było w latach po przełomie październikowym 1956 roku) do obezwładniania opinii publicznej, zwłaszcza elity inteligenckiej.

Nowy kurs usztywnienia ideologicznego i politycznego znalazł „teoretyczny” wyraz w referacie pt. „Aktualne problemy pracy ideologiczno-propagandowej”, wygłoszonym przez członka Politbiura i sekretarza KC PZPR, J. Szydłaka, na krajowej „naradzie aktywu frontu ideologicznego i służby zagranicznej”, a opublikowanym w *Nowych Drogach* (Nr 5, maj 1974). W referacie tym, nawołującym do wzmocnienia „ofensywy ideologicznej”, jest i wypad przeciw episkopatowi:

„Doświadczenia ostatnich lat raz jeszcze wykazały, że główną zorganizowaną siłą antysocjalistyczną w naszym kraju — swoistym ośrodkiem jednoczenia się wszystkich w istocie nurtów antystrojowych, a zarazem ostatnią ich nadzieją — jest reakcyjna część episkopatu, działająca w oparciu o instytucjonalne systemy Kościoła rzymsko-katolickiego. Jest to bowiem jedyna siła prawicy społecznej, dysponująca kompleksowym systemem filozoficzno-światopoglądowym, mocną bazą organizacyjną liczną kadrą, należącą przy tym — co jest właściwością wyróżniającą Kościół katolicki wśród innych wyznań chrześcijańskich — do zwartej organizacji międzynarodowej”.

Za największą przeszkodę w realizacji planów podporządkowania organizacji kościelnej, w przekształcaniu jej, tak jak na Węgrzech, w powolny instrument państwa, kierownictwo partii uważa nadal „reakcyjną część episkopatu”, tj. osobę Prymasa Polski i tych biskupów, którzy zajmują odważną postawę, i wobec tego przeciwstawia się ich pozostałym, rzekomo bardziej pojednawczo usposobionym. Założenie jest proste (może nawet prostackie, choć nie można odmówić mu pewnej, wyrachowanej

śłuszności, patrząc wstecz na doświadczenia czeskie i węgierskie): wyeliminowanie z gry kard. Wyszyńskiego, doprowadzenie do „rozmiękczenia” Kościoła, do złamania spójności episkopatu. „Casus Mindszenty” obudził pewne nadzieje: zinterpretowano go mianowicie jako przykład, że poprzez upór i wytrwałość da się skłonić Watykan do ustępstw. Nie odstępując zatem od decyzji negocjacji z Watykanem, postanowiono równocześnie wzmocnić presję w kierunku wykazania, że odprężenie jest nie do pomyslenia „jeśli kardynał będzie wciąż bruździć” (zwrot autentyczny użyty przez wysokiego funkcjonariusza partii). Kalkulacje opierają się na okoliczności że za trzy lata Prymas Polski skończy 75 lat, wiek, w którym Papież może (*ale nie musi* — według nowej dyspozycji Pawła VI, prawo to jest fakultatywne) wezwać każdego arcypasterza, biskupa lub kardynała (także kurialnego) do podania się do dymisji. Ataki na kard. Wyszyńskiego, w przeciwnieństwie do czasów przedgrudniowych, nie mają formy oficjalnej — są to raczej zatrute strzały, inspirowane i wypuszczane przez czynniki partyjne. Zdarza się że korespondenci zachodni, słabo przygotowani, nie potrafiąc rozróżnić ziarna dobrego od zepsutego, podchwytyują te perfidnie podrzucone „informacje” i „źródłowe” opinie. Dezorientacji ulegają nawet wytrawni skądinąd dziennikarze, wpadający na kilka dni do Warszawy, w dobrej wierze smażyć potem sensacyjne reportaże, bliższe fantapolityki niż rzeczywistości, co kończy się oczywiście smętnym fiaskiem. Mniej przezorne są pewne organy prasy zachodnio-niemieckiej, dające się łapać do zastawionej pułapki inspiracji partyjnej. Np. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (z 27 maja br.) cytuje „koła katolickie zaskoczone” z powodu „gwałtowności” przemówienia Prymasa z 12 maja i twierdzące, że „poszedł za daleko”. Co takiego powiedział Prymas Polski w Krakowie podczas uroczystości św. Stanisława, biskupa-męczennika, że wywołał bojaźliwą krytykę niezidentyfikowanych „kół katolickich”? Oto istotne fragmenty tego wystąpienia:

„... Trzeba dzisiaj bronić w naszej ojczyźnie człowieka pracującego i jego prawa do wypoczynku. Od wczesnego ranka czytałem w prasie krakowskiej — bardzo piękne zresztą — wezwanie do pracy, oczywiście dobrowolnej, ale szkoda że to właśnie dziś w niedzielę, a nie jutro, i nie przez sześć dni tygodnia, wzorem Boga, który — jak mówi barwnie Księga Rodzaju — trudu się stwarzając świat przez sześć dni, ale siódmego dnia odpoczął (oklaski — rzecz charakterystyczna — włoski zwyczaj oklaskiwania mówców w świątyni nie był dotąd w Polsce naśladowany). Drodzy mi! Żeby moje nauczanie było swobodne, jak przystoi w wolnej ojczyźnie, która gwarantuje wolność słowa, proszę Was bardzo — zaniechajcie oklasków... W tej sprawie, gdy zaczęły się mnożyć 'czyny społeczne' — dziwna rzecz, wykonywane zawsze w niedzielę i święta — wystosowałem pismo do odpowiedzialnych władz państwowych. Odpowiedziano mi, że przecież i Kościołowi i biskupom zależy na tym, aby Polska wzrastała w dobrobyt, porządek i ład. Ślusznie, tak jest, bardzo nam na tym zależy, ale pamiętajmy, że o ile człowiek trzający się przez sześć dni, nie będzie miał możliwości w niedzielę i święto sam odpocząć, jeśli nie będzie miała wypoczynku jego rodzina, wieś i miasto, jeżeli nie będzie mógł dziękować Bogu za to co wypracował i prosić o błogostą-

wieństwo na przyszłość, to taka praca 'w świętek i piątek' żadną miarą nie jest pracą wychowawczą. Owszem, jest przemocą, iście faraonską metodą... Napisano mi w liście: trzeba wychowywać młode pokolenie w szacunku dla pracy. Odpowiadam: na to jest czas przez sześć dni tygodnia. Natomiast, jeżeli człowiek jest odrywany od wypoczynku, który mu się słuszenie należy, wówczas odnosi się do narzuconej mu pracy z niechęcią i nienawiścią, a do tych, którzy go do takiej pracy zmusili — nieufnie i podejrzliwie. W ten sposób władza podrywa swój autorytet w najmłodszym pokoleniu. A więc, argument jest złe ustawiony. Szacunek dla pracy, słuszny i konieczny — zwłaszcza gdy jest tyle nadużyć w wypełnianiu pracy w ciągu sześciu dni — można w sobie wyrobić wtedy, kiedy człowiek podejmuje pracę z tytułu wolności, a nie przymusu i poczucia krzywdy... Wszyscy, którzy uprawiają taki wyzysk sił ludzkich, są zwykłymi kapitalistami, bo tamci to samo robili — wyzyskiwali w nieskończoność ludzką pracę. Słusznie z tym walczone, chlubiąc się osiągnięciami, że kapitalistyczny duch wyzysku pracowników ustał. Gorąco pragnęlibyśmy aby naprawdę ustał, aby więcej się nie odradzał... Wyczytałem dziś w prasie że około trzystu tysięcy obywateli musi stawić się — pewnie dobrowolnie — do pracy. Powiedziano też, że są to członkowie partii, a więc co tobie Prymasie do tego? Co mnie do tego? — to, że członek partii jest także człowiekiem, ma równe prawo do wypoczynku i — jak mówią — jest wierzącym, a więc ma prawo do mszy św. niedzielnej. On także się męczy i pragnie zażyć spoczynku rodzinnego, domowego. A więc, chociaż do partii nie należę, uważam, że jako biskup, mam prawo upominać się o wszystkich ludzi, których prawa są ograniczane, albo korzystanie z wolności sumienia — utrudniane... Do szeregu praw, które trzeba uszanować, należy również wolność gospodarza. Człowiek i naród mają przede wszystkim prawo i obowiązek wyżywić własne dzieci i rodzinę — małą czy wielką. Rodziny nasze mają prawo do takich środków, aby w wyniku uczciwej i rzetelnej pracy całotygodniowej, mogły wypełnić swoje obowiązki. Dzisiaj patrzymy na bolesną rzecz: oto po trzydziestu latach, w przeddzień święteczny ludzie tracą całe godziny, wystawając w ogonkach po kawałek chleba... Najtrudniej o kawałek mięsa w sobotę, raczej w piątek można dostać, a najłatwiej o śledzia na Wielkanoc... U nas najczęściej w sobotę czy w przeddzień święta trzeba sobie zawiązać buzię, bo człowiek po ciężkiej pracy nie ma możliwości nabycia tego, co trzeba, by przynajmniej w niedzielę i święto położyć rodzinie na stół. Jest tu jakiś nieład w hierarchii wartości, brak szacunku dla własnego narodu. Jest to problem moralny, nie tylko ekonomiczny czy polityczny... W nowym ustroju ta wrażliwość na człowieka winna spotęgować się, bo nie nawóz, nie fabryka, ale człowiek jest największą wartością. Jeśli jego prawa będą uszanowane, to i on również uszanuje wszelkie wymagania i postulaty, chętnie przykładając rękę do pługą czy młota, do rzetelnej pracy w dniu powszednim... Nasze wymagania, które tutaj stawiamy, nasze prośby, a jeżeli nie skutkują — żądania, dotyczą podstawowych praw osoby ludzkiej. Jest to wielki rozdział moralności społecznej, a więc chrześcijańskiej, a więc publicznej, a więc — nawet i politycznej... Nie tylko my — biskupi, ale i Wy — rodzice, macie obowiązek upominać się o uszanowanie waszej pracy, waszego sumienia i waszej wolności do pracy, do wypoczynku świętecznego, do wychowania chrześcijańskiego waszych dzieci, do sprawiedliwej zapłaty. Jest to wasz moralny obowiązek. Jeżeli liczyć że zrobią to za was biskupi, to wybaczenie, ale jest to zwykłe tchórzostwo, brak odwagi, co jest największą szkodą w życiu i współżyciu społecznym. Obywatel zastrachany, tchórliwy, milczący, wyrządza największą krzywdę nie tylko sobie samemu, ale i tym, którzy nim kierują...".

Problem praw pracowników fizycznych i umysłowych, ich warunków bytu, uprawnienia do wypoczynku, stanowi dziś jed-

ną z głównych trosk Prymasa Polski i całego episkopatu. We wszystkich diecezjach biskupi i księża ten problem nieustannie poruszają. O konieczności mówienia głośno prawdy mówił również Prymas Polski na zakończenie rekolekcji dla młodzieży akademickiej w warszawskim kościele św. Anny:

„Nadszedł czas, abyście umieli powiedzieć prawdę tym, którzy pod pozorem fałszywych inicjatyw i tak zwanych czynów społecznych odciągają Was — szczególnie w niedziele i święta — od wypoczynku i świątyni. Wkładają wam oni w ręce — jak czytałem ostatnio w *Trybunie Ludu* — kilofy, każą kopać rowy, betonować i zakładać kable. Wiemy, że jest to przecież praca dla ludzi fachowych, doświadczonych. Takie zajęcia nie mogą być pracą gospodarczą młodzieży, która nie jest do tego przygotowana. A zabiera się jej konieczny wypoczynek, wspólnotę życia domowego, wzmocnienie sił po całotygodniowej pracy, kontakt z rodziną i ze świątynią. Nie mówię już, że z czysto ekonomicznego punktu widzenia tego rodzaju akcje są deficytowe. Widzi to pierwszy lepszy obserwator tych inicjatyw. Tak zwany 'czyn społeczny' budzi pytanie: o co właściwie idzie? Czy o to żeby uzupełnić deficyt rąk do pracy, zwłaszcza wobec mnóstwa ludzi, którzy muszą pracować poza ojczyzną, nie znajdując zatrudnienia w kraju (np. masowe kontraktowanie sił roboczych do NRD — przyp. mój), czy też po prostu o to, aby systematycznie odzwyczajając ludzi od wypoczynku niedzielnego, od życia godnego człowieka, od służby Bożej. Trzeba, abyście to wszystko umieli odważnie powiedzieć. Pamiętajcie! Największymi wrogami ojczyzny, narodu i państwa są tchórze! Największymi wrogami władzy są milczący obywatele, którzy nie mają odwagi powiedzieć wprost: nie godzi Wam się tego czynić, nie godzi się organizować przymusowych robót pod pozorem czynów społecznych... Aż dziw bierze, że właśnie w Polsce, po trzydziestu latach, zamiast zredukować czas zatrudnienia, zabiera się jedyny dzień wypoczynku świętecznego. Czyżbyśmy aż do tego stopnia byli zapóźnieni, uwstecznieni, nieudolni ekonomicznie, abyśmy musieli wracać do systemu niewolniczego? Przed kilku tygodniami naczytawszy się sprawozdań o 'czynach społecznych', do których zaprzągnięto dziesiątki tysięcy młodzieży szkolnej, napisałem w tej sprawie do Ministra Oświaty, kierując się motywami religijnymi, humanitarnymi i społecznymi. Odpowiedzi dotychczas nie dostałem, bo taki jest u nas poziom stosunku do obywatela. Ale spełniłem swój obowiązek, uważałem to sobie bowiem za nakaz sumienia”.

(Następnego dnia po tym wyżej przytoczonym kazaniu, 10 kwietnia, odpowiedź nadeszła — rozprawił się z nią Prymas w przemówieniu krakowskim w dn. 12 maja).

Wezwanie do odwagi, do śmiałego stawiania wymagań i żądań, stanowi kwintensencję wielkanocnego kazania do studentów. Analogiczne akcenty, przewijające się w innych wystąpieniach Prymasa, świadczą o tym, że uznał on za potrzebne wypowiedzieć walkę przejawom apatii, zobojętnienia i frustracji, jakie ogarnęły dość szerokie kręgi inteligencji (jak zawsze robotnicy są bardziej niezależni i odporni). Przedstawiając studentom „prawdziwy obraz Kościoła posoborowego”, Prymas Polski postawił jako przykład postacie b. więźniów i męczenników: zmarłego niedawno w Czechach, kard. Trochę, który przebywał w obozach koncentracyjnych, więzieniach i na robotach przymusowych przez 20 lat; kard. Stepinać, też więźnia i wygnańca („dziś po śmierci

nie jest już dla nikogo szkodliwy, otoczono go kultem świętych"); abp. Pragi, kard. Berana, „więźnia obozu w Dachau, długoletniego więźnia naszych czasów, umarłego z dala od swej biskupiej stolicy w opinii świętości"! kard. Mindszಂತego („więzień, lata całe przebywający poza swoją stolicą biskupią") i wreszcie kard. Slipyja, arcybiskupa Lwowa obrządku greko-katolickiego, który na wygnaniu i w więzieniach spędził przeszło 20 lat, a teraz przebywa poza swą katedrą, poza ojczyzną. Dlaczego? Bez końca: dlaczego? — uczciwej odpowiedzi tchórze na to nie dadzą...". Prymas ciągnął dalej:

„... Dlaczego wy, młodzi, milczycie? W tych dniach dostał mi się do ręki numer czasopisma wychodzącego w Warszawie, przeznaczzonego dla młodzieży akademickiej. Powiem jego nazwę — *Politechnik*. Już kiedyś zajmowałem się tym pismem. Miałem nawet zaszczyt pisać w sprawie jego poziomu do rektora politechniki. Ponieważ jestem zaledwie pół-obywatelem, któremu nie odpowiada się na listy, odpowiedzi nie otrzymałem. Ostatni numer wspomnianego czasopisma przedstawia żałosne warunki sanitarne w jednym z domów akademickich. Gromadę dziewcząt, nie mających gdzie umyć się uczciwie, pokazano na zdjęciu tak, jak je matka stworzyła. Zachowując resztę poczucia wstydu twarze osłaniały włosami. To co jest bolesne, co wymaga poważnego załatwienia problemu sanitarnego w 'akademiku', staje się przedmiotem — nie wiem — kpiny czy głupich żartów ze strony wydawnictwa. Poziom jego jest tak niski, że chyba pomyłką jest, iż czasopismo to przeznaczone jest dla młodzieży akademickiej. Nawet dla ludzi bez żadnego wykształcenia jest to poziom za niski. Czy ktoś ze studentów zaprotestował w piśmie *Politechnik*?... Nadszedł czas, abyście odważnie mówili... Zmalał nam człowiek i maleje ciągle w miarę, jak sam siebie nie umie uszanować, upominając się o swoją godność i prawa... Nadszedł czas, abyście wy, młodzi, wszędzie gdzie życie — na uczelniach i w domach akademickich, mieli odwagę upomnieć się: szanujcie nas! Szanujmy siebie wzajemnie...

...Nadszedł czas, abyście nawet nam, kapłanom i biskupom, odważnie powiedzieli: nie podoba się nam wasz wyrozumiały styl, zmiękczający nasze życie. Nie podoba się nam, że już nie macie odwagi stawiać nam wymagań. Jeśli widzicie w nas wady, poprawiajcie je, bo jesteście od tego. Nie chcemy takich duszpasterzy, którzy nie mają odwagi stawiać nam wymagań. Od nich przecież zależy sens i wartość całego naszego przyszłego życia i wkładu w życie Polski, która jest przed nami...".

Zmiana warty w Urzędzie d/s Wyznań

W dniu 23 maja prasa krajowa podała wiadomość o odwołaniu szefa Urzędu do spraw Wyznań, Aleksandra Skarżyńskiego i o nominacji na to stanowisko Kazimierza Kąkola, red. nac. czasopisma *Prawo i Życie*, dyrektora Instytutu Dziennikarstwa przy uniwersytecie warszawskim. Skarżyński, historyk, autor książki o Powstaniu Warszawskim (prawdopodobnie przejdzie do pracy uniwersyteckiej — nie mianowano go bowiem na inne stanowisko w administracji) miał opinię „liberała", człowieka o zachodniej ogładzie — Kąkol, natomiast cieszy się złą sławą, jako dawny filar frakcji moczarskiej, aktywnie działający w

okresie rozróbki antysemickiej i pomarcowej czystki na uniwersytetach w 1968 roku.

Zanalizujmy krótko fakty: odejście Skarżyńskiego nie było tajemnicą dla biskupów od kilku miesięcy. Trudno mówić o „odstawce" Kąkola na boczny tor. Pismo *Prawo i Życie* od dawna straciło przebojowy charakter i znalazło się na peryferii politycznej. Podniesienie zaś rangi szefa Urzędu d/s Wyznań (Kąkol został mianowany ministrem — Skarżyński był tylko wice-ministrem) świadczy o znaczeniu jakie partia przywiązuje do tego newralgicznego i ważnego resortu i naturalnie o zaufaniu jakim obdarza nowego członka rządu. Czy będzie on łatwiejszym partnerem dla biskupów? Jest to sprawa otwarta. Wydaje się jednak że kierownictwo partii nie planuje żadnego zwrotu w „procesie normalizacji" stosunków, zarówno z episkopatem, jak i z Watykanem. Prawdopodobnie chodzi o utrzymanie *status quo* i bardziej sprężystą kontrolę tego odcinka, wymykającego się wszelkim dyrektywom totalitarnego aparatu państwa. Nie słychać nic o jakichkolwiek poważnych próbach przełamania impasu w stosunkach z Kościołem czy też o wznowieniu rokowań z Watykanem. „Regularne kontakty", zapowiedziane w komunikacie po wizycie abp. Casaroli, uwarunkowane są, jak wiadomo, postępami w normalizacji stosunków w skali krajowej. Oficjalna formuła watykańska brzmi: inicjatywa co do formy tych kontaktów i daty powinna wyjść od Komisji Wspólnej (przedstawicieli rządu i episkopatu). Komisja ta zaś znajduje się w letargu, praktycznie nie istnieje. Powołano ją tylko raz *ad hoc* w ostatnich trzech latach dla uregulowania zwrotu mienia poniemieckiego na ziemiach zachodnich. Istnieją dane, że kierownictwo partii wstrzymuje się od reaktywowania Komisji Wspólnej ponieważ nie chce instytucjonalizowania kontaktów z episkopatem; woli kanał mniej eksponowany i angażujący, tzn. robocze kontakty szefa Urzędu resortowego z sekretarzem episkopatu, bp. Dąbrowskim. W tym stanie rzeczy trudno określić termin przyjazdu do Rzymu delegacji rządowej na dalsze rozmowy. Miarodajne osoby w Watykanie liczą się z dość długą zwłoką. W związku z tym nieprzypadkową decyzję stanowi wzmocnienie obsady ambasady PRL w Rzymie przez projektowane przysłanie specjalnego funkcjonariusza-eksperta dla obsługi bieżących spraw watykańskich.

Od Budapesztu do Kuby czyli kryzys watykańskiej polityki wschodniej

Kontrowersyjna decyzja Papieża pozbawienia kard. Mindszಂತego stanowiska arcybiskupa Esztergom i godności Prymasa Węgier, jest wciąż tematem ożywionych komentarzy w środowiskach katolickich na całym świecie. Nawet najbardziej zatwardziali zwolennicy polityki wschodniej mons. Casaroli za Śpiżową Bramą, uzasadniając konieczność tej „bolesnej" decyzji „wyższymi racjami", nie ukrywają że fatalnie tę sprawę rozegrano;

niepotrzebnie bowiem — ich zdaniem — stworzono wrażenie, że Watykan ustępuje pod naciskiem reżymów komunistycznych i skłonny jest udzielić poważnych koncesji prestiżowych i politycznych, nie otrzymując w zamian nic lub niewspółmiernie mało, a takie przetargi bywają zaraźliwe.

„Sprawa Mindszenty'ego” nie jest zamknięta. Jej pokłosie trwa, o czym świadczą alarmujące informacje docierające do Watykanu z całego świata, zamęt jaki ten fakt wywołał wśród szerokich kręgów opinii katolickiej, a w niektórych przypadkach wręcz nastroje antypapieskiej rebelii. Cała *Ostpolitik* watykańska zachwiała się. Oczywiście oznaki jej kryzysu wystąpiły już wcześniej (stad jej, oficjalnie uznane, *ridimensionamento*, tj. ograniczenie dynamiki, nośności politycznej i zmiana metody negocjowania), ale „casus Mindszenty” stał się przysłowiową kropką, która przepełniła czarę. „Polityka odprężenia z reżymami komunistycznymi straciła rozmach” — powiedział mi pewien doskonale zorientowany jezuita włoski, częsty gość w Kurii Rzymskiej — „jej dotychczasowy kierunek i metody negocjowania nie przyniosły spodziewanych rezultatów; musi więc inaczej ukształtować się — okazuje się że jedynie linia Waszego Prymasa jest słuszna i winna służyć jako drogowskaz, inaczej prowadzi do ślepego toru tak jak na Węgrzech i w Czechosłowacji”.

Padre Werenfried van Straaten O.P. (Flamandczyk), dyrektor wielkiej międzynarodowej organizacji katolickiej „Pomoc dla Kościoła Cierpiącego” (*Aiuto alla Chiesa che soffre*), działającej od 27 lat i dysponującej rocznym budżetem kilkunastu milionów dolarów (na pomoc w budowie kościołów, odzież, sprzęt wszelkiego rodzaju i książki), stwierdza że to „uderzenie” (zdymisjonowanie kard. Mindszenty'ego) jest cięższe jeszcze dla tych, którzy „doznają wciąż prześladowań w więzieniach i obozach pracy przymusowej, utraty pracy i dyskryminacji w krajach komunistycznych”. Ojciec Werenfried przebywa od 9 lat w Rzymie, posiada rozległe stosunki w Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej; działalność organizacji pomocy, którą kieruje, cieszy się pełnym poparciem Kurii Rzymskiej i osobistym uznaniem Papieża — tym bardziej znamienny jest jego list otwarty do kard. Mindszenty'ego, opublikowany w biuletynie tej organizacji (Nr 3, kwiecień-maj). Na wstępie ojciec Werenfried podaje, że tysiące listów, napływających do biura organizacji w związku z tym „tragicznym przypadkiem”, mają często treść „przerażającą” i wobec tego każdy duszpasterz winien rzetelnie na nie odpowiedzieć. Oto niektóre fragmenty jego odpowiedzi, zawartej w liście do zdetronizowanego Prymasa Węgier:

„Eminencjo, na zlecenie Rady Głównej Stowarzyszenia 'Pomoc dla Kościoła Cierpiącego' i w imieniu 700 tysięcy ofiarodawców w 13 krajach wolnego świata, kieruję do Was ten list jako wyraz naszej czci, podziwu i wdzięczności. Ubolewania godny fakt, że pod naciskiem polityki szantażu komunistów i na prośbę episkopatu węgierskiego manipulowanego przez prześladowców, Ojciec św. zdymisjonował Was jako Prymasa Węgier, był

dla Was, dla katolików węgierskich w ojczyźnie i za granicą, dla całego Kościoła prześladowanego, dla licznych biskupów i szerokich warstw zachodniej opinii publicznej, jednym z najboleśniejszych wydarzeń w naszych czasach, już i tak nabrzmiałych cierpieniem i niesprawiedliwością. Znamy komunizm z bliska... Podzielamy Wasz pogląd, iż duch pojednania ze strony Kościoła wobec tego systemu może ewentualnie przynieść pewne korzyści materialne biskupom słabym i oddanym reżymowi. Ale tak jak Wy wiemy również, że ta pobłażliwość, źródło skandalu w opinii wiernych, nie zabezpieczy nigdy Kościołowi zasadniczej wolności, której nie może wyrzec się. Tak jak Wy, wiemy do jakiego stopnia zamęt, rozgoryczenie i rozpacz ogarnęły niezliczonych naszych braci w wierze, gotowych do wszelkich poświęceń. Konstatujemy z trwogą, że rewolta uchybiająca Ojcu św., która pustoszy od lat Kościoł na Zachodzie, ogarnia również dziś tych, którzy kochali Go najwięcej i cierpieli zań bardziej od innych. Na skutek zgubnych konsekwencji tej decyzji, która — aczkolwiek bez wątpienia wypływająca z kompetencji papieskich — nie znajduje precedensu w dziejach Kościoła, nowy ciężar został Wam nałożony... Narzucono Wam krzyż wyparcia się jak komuś, czyż upór należało złamać. Nie ulegliście pokusie publicznego usprawiedliwienia się, lecz przyjęliście ten krzyż ze strony, której najmniej spodziewaliście się. Widziany w świetle wiary jest on ukoronowaniem Waszego życia bohaterskiego. Wasz gorzki los przypomina nam, że wszystkie wysiłki dla ocalenia zagrożonego Kościoła pozostają bezowocne bez przypływu łaski modlitwy i milczącej kalwarii anonimowych świętych... Pragniemy dlatego iść za Waszym przykładem i stosować przezorność w wyrażaniu naszej opinii dotyczącej decyzji Papieża, ponieważ uważamy się za związanych tą wizją wiary, której nie da się kwestionować. To że Chrystus był posłuszny na krzyżu aż do śmierci jest niezrozumiałe dla naszego ludzkiego rozumu. Musimy jednak pochylić się przed mądrością, która wobec rozumu wydaje się szaleństwem. Dlatego pomimo wątpliwości i obaw, odmawiamy potępienia, jako nieodpowiedzialnej, koncesji udzielonej przez Papieża ateistom, którzy zażądali Waszej dymisji, unieważnienia Waszego paszportu watykańskiego i usunięcia pewnych fragmentów Waszych pamiątek. W interesie Kościoła prześladowanego wolimy raczej modlić się aby dalszy rozwój wypadków przyniósł raczej Papieżowi...

Autor listu należy do kręgu osób prawidłowo poinformowanych o „kuchni” watykańskiej. Potwierdza m.in. wiadomość, podaną w mojej korespondencji (nr 4/319, kwiecień), że reżym węgierski zażądał nie tylko dymisji Mindszenty'ego i anulacji jego paszportu watykańskiego, ale także wstrzymania druku pamiątek kardynała. Pamiątki wprawdzie ukażą się niebawem w pewnej firmie wydawniczej zachodnio-niemieckiej — cenzura watykańska wymogła jednak „usunięcie pewnych fragmentów” (chodzi o fragmenty opisujące uwięzienie kardynała, śledztwo — był torturowany — i proces pokazowy, kompromitujące różnych dygnitarzy partyjnych dotąd przy władzy!).

Do pokłosia „sprawy Mindszenty'ego”, którą pewne czynniki watykańskie rade byłyby jak najszybciej zamknąć, tzn. puścić w niepamięć, wkraść się „nowy” i nader niewygodny element: wizyta przedstawicieli hierarchii węgierskiej w Warszawie na zaproszenie PAX-u. Przytaczając ten fakt w poprzedniej korespondencji, nie miałem jeszcze w ręku numeru paxowskiego organu *Kierunki*, w którym opublikowano komunikat o „porozumieniu pomiędzy Komisją Spraw Zagranicznych Episkopatu Węgier i

Stow. PAX na temat wzajemnej współpracy w zakresie wymiany doświadczeń (!) i informacji oraz przeprowadzania okresowych konsultacji”.

Na pożegnanie „po podpisaniu porozumienia”, delegacja węgierska została przyjęta przez B. Piaseckiego (spotkanie upłynęło w „serdecznej i przyjaznej atmosferze”). To porozumienie, „pobłogosławione” przez „wodza”, potwierdza znany (ale nie wszystkim) fakt, że znaczna większość członków hierarchii węgierskiej spełnia funkcję agentów służby bezpieczeństwa, że rację ma kard. Mindszenty i duchowni węgierscy na emigracji, którzy od dawna ostrzegają Watykan: Kościół na Węgrzech nie jest wolny, księży z Komitetu Pokoju i „Actio Catholica” są faworyzowani przez reżym, który stosuje wszelkie środki by rozkładać organizację kościelną od wewnątrz i prowokować perfidnie wśród opinii wiernych nieufność do własnej hierarchii. Co na to Watykan? Pytanie to postawiłem w korespondencji kwietniowej i dziś jestem w stanie, przynajmniej częściowo, odpowiedzieć. W prywatnych rozmowach miarodajni funkcjonariusze watykańscy przyznają jednak otwarcie, że ten „zaskakujący” fakt jest „kłodą rzuconą przez reżym węgierski w poprzek procesu normalizacji stosunków ze Stolicą Apostolską”. „Nie mieliśmy wprawdzie złudzeń co do autonomii Kościoła na Węgrzech” — twierdzą miarodajni funkcjonariusze Kurii Rzymskiej — „wysyłanie jednak emisariuszy do PAX-u przekracza limity tolerancji; operacje tego typu być może są na rękę rządzącym partiom, stanowią natomiast wyraźną prowokację zarówno wobec episkopatu Polski, jak i Watykanu — są inwazją do sfery autonomicznej działalności Kościoła”.

Złą chwilę obrała zatem przedstawicielka pewnej arcyzamożnej rodziny polsko-włoskiej (która w okresie faszyzmu finansowała „Falangę” Piaseckiego) dla próby wybielenia PAX-u w Watykanie, powołując się na argument, że skoro abp Casaroli pertraktuje z Warszawą na temat normalizacji stosunków, anachronizmem jest kontynuowanie polityki ostracyzmu wobec PAX-u (jego przedstawiciele nie byli zaproszeni na spotkanie z mons. Casaroli w przeciwnieństwie do reprezentantów grupy ZNAK) i utrzymywanie w mocy interdyktu papieskiego (dekret Kongregacji Świętego Oficjum z 1955 roku, potępiający organ prasowy PAX-u oraz „dzieło” Piaseckiego „Zagadnienia Istotne”). Zabiegi te podjęte poprzez wpływowego kard. Pignedoli z Kurii Rzymskiej, b. współpracownika Papieża (kiedy Paweł VI był arcybiskupem Mediolanu) nie odniosły skutku. Watykan musi liczyć się w tej sprawie z opinią Prymasa Polski.

Abp Casaroli ma dziś zresztą inne zmartwienia niż zajmowanie się interwencjami na rzecz PAX-u. Niedawna wizyta szefa dyplomacji watykańskiej na Kubie nie przyniosła sukcesu: stanowiła zaledwie „trudny i złożony” pierwszy krok do normalizacji. Spoza fasady gładkich, dyplomatycznych słów uznania dla reżymu Fidel Castro, wyziera ta sama ponura prawda. Abp Casaroli był „wstrząśnięty”, zapoznawszy się z systemem państwo-

wego, koszarowego wychowania młodzieży, oderwanej od rodzin i pozbawionej należytej opieki duszpasterskiej (czego oczywiście nie powiedział głośno na Kubie i w Rzymie). Prasa kubańska, a w ślad za nią krajów Ameryki Łacińskiej, cytowała natomiast jego publiczne deklaracje podczas wizyty oficjalnej w Hawanie: „katolicy żyjący na Kubie są respektowani w swej wierze tak jak inni obywatele... są szczęśliwi w systemie socjalistycznym”. Mons. Casaroli dodał jednak przy innej okazji — co podaje prasa brazylijska — że liczba księży na Kubie (zaledwie 200) jest wysoce niewystarczająca i że katolicy napotykać na restrykcje w swobodnym, „publicznym wyznawaniu kultu religijnego”. Prasa brazylijska zareagowała niesłychanie ostro na te wypowiedzi, podkreślając zawartą w nich sprzeczność.

Odprężenie jest więc synonimem kapitulacji?...

Kilka dni temu niestrudzony „promotor odprężenia” za wszelką cenę wybrał się do Madrytu, gdzie czekają go „pertraktacje, najeżone wielkimi trudnościami” w sprawie rewizji konkordatu z reżymem frankistowskim, podpisanego w roku 1953. Mons. Casaroli zmuszony jest prowadzić walkę na dwóch frontach, przeciw rządowi i znakomitej większości biskupów hiszpańskich, oskarżających dyplomację watykańską o uległość wobec władz madryckich. Stosunki pomiędzy Kościołem a państwem w Hiszpanii znajdują się w „stałym stanie konfliktowym”, a w ostatnich miesiącach napięcie doszło do granic „rozłamu”. Jak stwierdza znany ekspert watykański: „Jak zdarzyło się w Polsce, episkopat hiszpański pragnąłby pertraktować bezpośrednio z rządem. Większa część biskupów jest za abrogacją konkordatu i zastąpieniem go szczegółowymi umowami oraz obawia się że w osobie mons. Casaroli Watykan ‘przejdzie ponad ich głowami’”.

Nadszedł czas rewizji. „Nadszedł czas” — trawestując zdanie Prymasa Polski — „aby i Watykan zaczął odważnie mówić prawdę”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 czerwca 1974

Widziane z Brukseli

DAWAJCIE BYKA, EUROPA CZEKA!!!

„Nawet jeżeli się to niektórym nie podoba, jestem tutaj i zostaję do końca mandatu, czyli na jakieś dwa lata jeszcze...”.

Była środa, 27 marca 1974 roku. Pompidou poruszał się z trudem, siedział jakby skurczony, bokiem na fotelu, co, jak wynikało z biuletynu lekarskiego, spowodowane było dolegliwościami hemoroidalnymi, od których nawet głowy koronowane nie są wolne. Rada Ministrów była w komplecie, prezydent, jak zwykle, wygłosił krótkie słowo wstępne, tylko głos jego był jakby bardziej niż normalnie chrapliwy.

Dwa lata, powiedział Pompidou. W rzeczywistości pozostało mu tylko pięć dni życia. Prezydent Francji wiedział już od czterech lat, że jest nieuleczalnie chory, a od dwóch lat, że żyje w zawieszeniu wyroku, że śmierć może przyjść w każdej chwili. W sierpniu 1972 sporządził nawet coś w rodzaju testamentu, przekazał swe życzenia co do uroczystości pogrzebowych, msza gregoriańska, skromnie, bez tłumów... Cierpiał na chorobę Kahlera, odkrytą w 1889 roku przez czeskiego lekarza o tym nazwisku, rodzaj białaczki, wobec której medycyna jest bezradna, ale zgodnie ze zwyczajami Francji, nikt, oficjalnie przynajmniej, o chorobie nie wiedział. Grypy, hemoroidy, przeziębienia mnożyły się, ludzie szepotali, prasa cofała się przed prawdą, przed obrazem monstualnego wprost owalu twarzy zmęczonego Prezydenta. Sam Pompidou żartował: „Kiedy ktoś mi ściska dłoń, mam wrażenie, że mierzy mi puls”. Albo: „Nixon ma Watergate, ja jestem umierający, każdy ma swoje zmartwienia...”.

Lekarze milczeli, tajemnica lekarska jest święta, powiadali. Obraz prezydenta, którego ciało umiera, ale umysł jest najzupełniej sprawny, jest może patetyczny, ale nie przekonywujący. Czy prezydent wielkiego państwa, współdecydującego o losach co najmniej kontynentu, to taki sam pacjent, co zwyczajny człowiek? Czy gdyby wyrok był znany, testament Pompidou ograniczyłby się li tylko do tonacji w jakiej ma być śpiewana msza pogrzebowa?

„A, to wy, Guillaume. Jaka dziś pogoda. Za godzinę jedziemy na ryby. Tymczasem proszę mi podać depesze i projekt instrukcji dla Bahra przed jego audiencją u Breżniewa. Przeczytam przy śniadaniu”. Kanclerz Brandt z żoną spędzali wakacje w lipcu 1973 roku w Norwegii. Towarzyszył mu tylko jeden z szefów gabinetu, niejaki Günther Guillaume, któremu Brandt na znak sympatii pozwolił zabrać żonę Christel i syna Piotra (19 lat).

Kilka miesięcy później, kiedy policja przysłała aresztować Guillaume'a, niedawny wczasowicz oświadczył: „Jestem kapitanem Volksarmee i proszę mnie traktować jako jeńca wojennego”. Guillaume czekał 14 lat na penetrację w najbliższe otoczenie Brandta. Kiedy jednak ta nrdowska bomba z opóźnionym zapłonem wybuchła w Bonn, Brandt już od kilku miesięcy wiedział o istnieniu szpiega w jego sypialni i, od pewnego czasu, grał rolę jakby prowokatora à rebours, co niewątpliwie pomogło policji dowieść winy agenta z Pankow.

Można sobie wyobrazić obrzydzenie Brandta. Musiał się przeciwieć zgrywać przed agentem gen. Markusa Wolfa, szefa nrdowskiego szpiegostwa. Ale to obrzydzenie to nic w porównaniu z podłością sytuacji, kiedy po ujawnieniu afery Brandt znalazł się sam w obliczu sfory, złożonej z milczących byłych przyjaciół, ujadającej opozycji i obrzydliwej kampanii, która wyciągnęła natychmiast jakieś stare babskie sprawy. Brandt miał tego dość. Osamotniony, rozgoryczony, rzucił wszystko w cholerę. 6 maja w przeddzień rocznicy końca wojny, podał się do dymisji.

Koniec konia

Jeszcze ciało Pompidou nie ostygło, a już rozpoczął się wyścig o jego fotel. Mimo tragicznych okoliczności śmierci prezydenta, wojna sukcesyjna przypominała farsę. Ponad 30 kandydatów, w tym dwóch trockistów, co śmieszne, i najpierw czterech, a potem trzech kandydatów z większości, na której opierał się reżym Pompidou, co było już tylko żałosne. Pompidou, żeby się tak wyrazić, umarł albo za wcześniej albo za późno. Jedyne kandydat, mający istotne prawa do ideowej sukcesji, prawdziwy, tzw. historyczny gaullista, Chaban-Delmas, nie wszedł nawet do ostatecznej rozgrywki z przedstawicielem zjednoczonej lewicy. W wyborach 1974 roku, w trzy lata po śmierci Generała, w kilka tygodni po śmierci Pompidou, gaullizm dostał mniej niż 15 % głosów Francuzów, którymi przez 16 lat rządził i którym — według słów twórcy V Republiki — „przywrócił wielkość, godność i szacunek świata”.

Brandt, to jasne, nie podał się do dymisji z powodu Guillaume'a. Jeszcze żaden mąż stanu nie odszedł z powodu wyspy jakiegoś szpiega. Adenauer nawet się nie obejrzał, kiedy go zawiadomiono o przejściu do NRD Otto Johna, czyli szefa jego własnej „defy”. Philby był chroniony przed podejrzeniami przez niektórych ministrów brytyjskich, z których żaden nawet nie pomyślał, aby z tego powodu łamać własną karierę. Szpiegdy, rzecz nieprzyjemna, ale normalna, i nie ma co robić z ich wykrzyca państwowych dramatów. Bywają nawet epizody wesołe, jak np. pobyt też kapitana ale Czechowicza w sypialni Wolnej Europy. O dramacie trudno w ogóle mówić w NRF, tym Eldorado szpiegów, gdzie, jeżeli są nakryci, spędzają kilka miesięcy w luksusowym odosobnieniu, w oczekiwaniu na wymianę na niewinnych i winnych obywateli NRF, oczekujących tej chwili w nrdowskich więzieniach-składnicach.

Brandt, odszedł, albowiem skończył mu się polityczny koń. Jego partia, SPD, szła od porażki do porażki, a Brandt, który ją doprowadził do władzy, był atakowany jako przywódca „ospały, bez fantazji, bez ikry, szary”. Niemiec, który ukląkł w getcie warszawskim, Niemiec, który w sercu żydowskiej Jerozolimy błagał Boga o przebaczenie dla swego narodu, Brandt musiał odejść, bo jego partia przegrywała wybory do landtagów. Brandt, który

w 1972 roku wołał: „Niemcy możecie być dumni ze swego kraju”, a otrzymując pokojową nagrodę Nobla oświadczył: „To w tej chwili Hitler przegrał naprawdę wojnę”, Brandt, który pogodził Niemcy ze światem, musiał odejść bo *Ost*-polityka wyczerpała się, a do następnych etapów już się nie nadawał. W kilka tygodni po jego odejściu, SPD uratowała się od klęski w Dolnej Saksonii. Sam Brandt uznał to za przełom...

Koniec euforii

W odstępnie kilkudziesięciu dni Europa straciła więc dwóch przywódców, bez których, osobiście i ideologicznie, trudno było sobie jeszcze niedawno w ogóle tę Europę wyobrazić. Oczywiście, to tylko paradoksalny, a historia to lubi (paradoks to kochanek historii — jak ktoś powiedział) zbieg okoliczności skojarzył ponurego wschodnio-niemieckiego szpiega z czeskim XIX-wiecznym lekarzem. Ale śmierć czy koniec różne nosi imiona. Nie było więc przypadku w tym, że obaj panowie odeszli właśnie w tym momencie i że wraz z nimi odeszła w historię ich koncepcja Europy, ich wersja wspólnoty zachodniej, ich poglądy na sposoby realizacji tej wspólnoty.

Skończyła się era wizjonerów w polityce, era szerokich, ale oddalonych horyzontów. To było dobre na początek, kiedy trzeba było na zgłiszczach „odwiecznych wrogów” tworzyć wizję zjednoczonej pokojowej Europy. Nie mogła ona powstać inaczej — jak tylko wzdłuż osi Bonn-Paryż, na zasadzie pojednania francusko-niemieckiego. I tak też się stało dzięki odwadze i wyobraźni Adenauera i De Gaulle'a. Brandt i Pompidou mogli i poszli dalej. NRF, dzięki *Ost*-polityce stała się mocarstwem politycznym, a nie tylko gospodarczym. Francja, opóźniona w rozwoju, utrzymała statut mocarstwowy, bo Pompidou umiał korzystać z legendy de Gaulle'a, a z walki o niezależność wobec... USA uczynić credo polityczne.

Ale, oczywiście, było to za mało na program dla Europy i szybko stało się przeszłością. Po 10 latach euforycznej gadaniny, Europa stanęła w miejscu, a nawet zaczęła się cofać. Pompidou i Brandt, którzy umieli wyznaczać wielkie cele, którzy potrafili przez jakiś czas fascynować Europę mitem Unii w roku 1980, nie potrafili ruszyć z miejsca, nie załatwili ani jednej sprawy konkretnie i do końca.

Miedzy cudem a koszmarem

W 1945 roku Polska podpisała sojusz z ZSSR, na 20, zdaje się, lat. Jak to zwykle w kremlowskim protokole, przy stole zasiadli premierzy Osóbka (zdaje się) i Mołotow (zdaje się), a za ich plecami ustawili się po starszeństwie obie delegacje, z Józefem Stalinem, niezawodnym przyjacielem Polaków na czele

(na pewno). Zdjęcie z tej uroczystości powinno przejść do historii prasy. Kiedy bowiem co roku trzeba było święcić rocznicę tego ewenementu, to z owej historycznej fotografii co i rusz należało albo obcinać boki, albo retuszować i wymazywać twarze, albo — wem albo ktoś szedł do tury, albo wyskakiwał z łask i przechodził do kategorii ludzi niebytych. Dziś już chyba został tylko stół.

Mam przed sobą zdjęcie uczestników europejskiego szczytu w październiku 1972 w Paryżu. Z dziewięciu premierów i jednego prezydenta żaden, z różnych przyczyn, nie jest już u władzy. Ba, z dziewięciu premierów obecnych na szczycie w Kopenhadze w grudniu 1973, a więc sześć miesięcy temu, sześciu utraciło już posady. Oczywiście, dzieje się tak nie na rozkaz Stalina, czy z powodu wydarzeń w Gdańsku, ale nie ma w tym przypadku. Zmiany w Europie to cena demokracji, ale także chyba i oznaka kryzysu a może nawet końca pewnej cywilizacji. Jakiej? Trudno powiedzieć. Alastair Buchan zdefiniował ten kryzys jako skutek zmierzchu autorytetu przywódców politycznych, pojawienia się sprzeczności między lojalnością polityczną a społeczną, wyparcia tradycyjnych, wiejskich, wartości moralnych przez urbanizację, no i wreszcie powszechnej dominacji *mass-media*.

Jeżeli pominąć powszechną wprost zgodę co do winy dziennikarzy (*mass-media*) to oczywiście każdy z nas może wymienić swoją definicję i swój spis powodów kryzysu. Taki spis warto będzie kiedyś opracować i wydać, mamy bowiem — Brukselczyk i krytyk literacki M.B. — nasz pogląd co do rozmiarów głupoty politycznej rosnącej wprost proporcjonalnie do oddalenia od Łaby i odwrotnie proporcjonalnie do bogactwa doświadczenia historycznego, na razie jednak interesują nas skutki kryzysu i to przede wszystkim w skali Europy Zachodniej.

Albowiem powiedzmy od razu, że wielkie wizje panów Pompidou i Brandta zostały zdmuchnięte jak pyłek przez cios nąf-towy, że solidarność EWG rozleciała się jakby była z piasku pustyni króla Fejsala, a Unia roku 1980 jawi się jak szekspirowski duch szydery. Dzień dzisiejszy ujawnia fatalne dziedzictwo epoki wielkich wizji i żadnego działania. Po latach ekspansji naturalnej i jakby samoczynnej, kiedy wystarczyło jej nie przeszkadzać, przyszły lata 70-te wraz z nimi kryzys energetyczny czy surowcowy w ogóle, które rozbiły absolut nieustannego przyrostu, zachwiały samymi podstawami społeczeństwa zwanego konsumpcyjnym. Kapitalizm w ekspansji wydawał się cudem, kapitalizm w konwulsjach wydaje się w tym samym stopniu koszmarem.

„Mam go gdzieś...”

Z licznych obliczy tego potworka wybierzmy dwa: gospodarczy i instytucjonalny, albo inaczej byt i świadomość.

Inflacja w krajach EWG wynosi od 10 do 20 % rocznie. To

już nie inflacja, a hiperinflacja — określenie z którego był bardzo dumny pewien uczony politolo-ekonomista. W 10-lecie 1961-71 średni wzrost cen wyniósł rocznie we Francji — 4 %, NRF — 3 %, w Danii — 6 %, w Belgii — 3,4 %, we Włoszech — 4,2 %. Natomiast w roku luty 1973 - luty 1974 średni wzrost cen wyniósł: we Francji — 11,5 %, we Włoszech — 13,2 %, w NRF — 7,6 %, w Belgii — 8,3 %, w Danii — 13,5 %. Dodajmy, dla jasności obrazu, że w USA ceny w tym samym czasie wzrosły o 10 %, a w Japonii, bagatelka, o 26,3 %. Ale to nie wszystko. Jeżeli bowiem chodzi o najbliższą przyszłość, to na 1974 obiecują nam zwyżkę płac od 13 do 17 %, a zwyżkę cen od 9 do 15 %. Sądząc z pierwszych miesięcy bież. roku i z własnego doświadczenia, zwyżka cen będzie większa i szybsza niż fachowcy zaprojektowali, a zwyżka płac mniejsza i powolniejsza. Normalnie, znaczy się.

Oczywiście, inflacja to nie tylko dane statystyczne, to także wnioski polityczne. Ma ona bowiem to do siebie, że poczynawszy od pewnego progu zaczyna antagonizować poszczególne społeczeństwa i wspólnoty. Zawsze bowiem i wewnątrz krajów i wewnątrz EWG, choć wszyscy są równi, to niektórzy są równiejsi, jedni tracą na inflacji więcej od innych, nie mówiąc już o tych co na niej zarabiają. Są to zjawiska w ogóle nieprzyjemne, stają się jednak groźne, kiedy się na siebie nakładają, kiedy rodzą się i rozwijają równocześnie. Prowadzą mianowicie do radykalizacji społecznej i do odrodzenia nacjonalizmów w krajach i we wspólnocie, w życiu narodowym i międzynarodowym.

I tak właśnie dzieje się obecnie. Kiedy starałem się niedawno streścić tę sytuację w programie radiowym, jeden z kolegów uczestniczących w dyskusji, zarzucił mi, że jestem pesymistą. Być może, ale jest to postawa wobec życia ostrożna i twórcza. Wszyscy poważni ludzie są pesymistami. Mam nadzieję, że panowie Schmidt i Giscard też są pesymistami, albowiem do czego zdolni byli optymiści, to już wiemy.

Z inflacją musi walczyć każdy rząd z oddzielną. To jego prawo i obowiązek. Ale, nawet dla optymistów, jest rzeczą jasną, że równolegle musi się toczyć walka na najszerszym froncie międzynarodowym. Powinien mianowicie powstać nowy ekonomiczny model dla Europy. Opracowanie takiego modelu to nie moja sprawa, ale nawet optymiści wie, że model taki, zakładający stabilizację poziomu życia i jak najpełniejszego zatrudnienia, musi być obowiązujący dla wszystkich krajów EWG. Chcę przez to powiedzieć, że tak jak sprawiedliwość społeczna powinna nawet w kapitalizmie zakładać progresywne, albo co najmniej proporcjonalne, rozłożenie ciężarów inflacji i walki z nią na poszczególne grupy zawodowe i podatkowe wewnątrz społeczeństwa, tak samo sprawiedliwość wspólnotowa, jeżeli chcemy w ogóle o nowym modelu Europy mówić powinna zakładać rozłożenie ciężarów progresywnie, albo co najmniej proporcjonalnie i solidarnie pomiędzy poszczególne kraje wspólnoty.

Chodzi więc — a jest to spostrzeżenie ważne — o adaptację

nie tylko ekonomiczną czy organizacyjną, ale także psychologiczną. Inaczej bowiem Niemiec czy Belg, dotknięty inflacją powiedzą 10-procentową powie o Włochu, którego dławi 20 % utraty wartości pieniądza: „Mam go gdzieś”. Takie stwierdzenie nie zastąpi naturalnie nowego modelu i nie tylko nie pomoże zwalczyć inflacji i tej 10 % i tej 20-procentowej, ale oznaczać będzie koniec operacji prowadzącej do nirwany roku 1980. Koniec operacji, albowiem jeżeli Niemcy, Francuzi, Belgowie itd. nie poczują się nareszcie Europejczykami, a będą nadal dzielić się wyłącznie na Flamandów, Bretonów i Bawarczyków, to hiperinflacja zje wszystkich suwerennie — co prawda, przy akompaniamencie hymnów narodowych — ale za to skutecznie i bez reszty.

Brak tylko Mussoliniego

Ten samobójczy proces już się rozpoczął. Jeszcze nie wysechł atrament pod aktem doszłusowania Wielkiej Brytanii do EWG, kiedy premier Wilson, który niespodziewanie (dla siebie nawet) zastąpił premiera Heath'a, zażądał rewizji warunków przystąpienia. Chodzi o pieniądze — rzecz jasna, ale Wilson nie powiedział dokładnie o co mu chodzi, niektórzy zresztą podejrzewają, że sam dobrze nie wie. Program antyeuropejski był dobry w opozycji, ale u władzy, nie bardzo wiadomo co z nim zrobić. Wilson chciał chyba udramatyzować konflikt ponad normę, bo jak coś zarobi, to sukces wyda się większy. W mniejszościowym rządzie i w perspektywie nieuchronnych wyborów wszystko się liczy. Wilson już zapomniał, jak to w 1969 roku błagał Brandta o interwencję aby Paryż złagodził swoje antyangielskie veto. Dziś ważny tylko interes Labour Party.

Brytyjczycy przygrzali słabującej i tak Europie dość mocno, ale kiedy Bruksela dała im do zrozumienia, że jeżeli trzeba będzie z czegoś zrezygnować, to raczej z Anglii niż z Europy, ochłonęli. Callaghan, szef Foreign Office, o którym nawet jego urzędnicy mówią na lunch'ach z zagranicznymi dziennikarzami, że „szef dziś nie zrobił jeszcze żadnego głupstwa ani nikogo nie obraził”, zachowuje się już prawie jak dżentelmen. Anglia więc, choć przyhamowała Europę, to jednak nie potrafiła naruszyć jej substancji.

Tym zajęli się Włosi. Pomińmy szczegóły, a uśmiechnijmy się. Do gabinetu prezesa Komisji EWG wchodzi pewien osobnik i przedstawia się: „Jestem ministrem floty morskiej Szwajcarii”. „Jak to floty, Szwajcaria nie ma floty” — powiada prezes. „Jeżeli, Włochy mają ministra finansów — odpowiada Szwajcar — to my możemy mieć ministerstwo floty”. Ślusznie. Włosi, już 37 od wojny, mają ministra finansów i mają kolosalny deficyt handlu zagranicznego. Śmierć z braku kredytów zagłada im w oczy, rząd się zmienia co parę tygodni, a premier Rumor zastępuje premiera Rumora. Ale nawet zupełnie nowy premier

Rumor nie jest w stanie rozwiązać dwóch podstawowych problemów: a) przepaści między południem a północą i b) bałaganu w finansach. Wobec tego Rumor narodził się z Rumorem i, jak w XIX wieku, postanowił powrócić do protekcjonizmu handlowego. Cło, kontrola importu, kaucje itd. W skrócie, cios w najbardziej czułe miejsce EWG, w samo — można powiedzieć — jądro układu rzymskiego, biblia Europy, w dogmat wolnego, bezcłowego obrotu towarów wewnątrz EWG.

Na razie, z wyjątkiem łagodnej próby Danii, nie ma jeszcze reakcji łańcuchowej. Wszyscy nastraszyli się, i słusznie, samej myśli na ten temat. Ale jak się zacznie, to nic nie wstrzyma gwałtownego skoku... do tyłu. Już wybuchają faszystowskie bomby we Włoszech. Mussolini, gdzie wy...

Znowu we mnie strzelą — pesymista. W Brescii zginęło kilka osób. Walka z inflacją staje się najpoważniejszym testem, ostatnią chyba i decydującą próbą spoistości i skuteczności EWG, sprawdzianem sprawności jej struktury i ideologii.

A tymczasem trzeszczy w szwach. Nie pasuje do tych ciężkich czasów. A nie pasuje dlatego, bo nie można budować czegoś na prawdę nowego w oparciu o euforyczną poezję i spróchniałe belki wąskich, głupich i krótkowzrocznych nacjonalizmów. Niestety — nawet dla nie pesymistów — to tej właśnie definicji odpowiada albo — miejmy nadzieję — odpowiadała polityka większości rządów Zachodniej Europy. Podstawowym pytaniem wydaje się ciągle jeszcze nie to, jak wybrnąć wspólnie z tunelu, gdzie jest coraz ciemniej i nie widać wylotu, a jak utrzymać przy sobie tradycyjną, kołtuńską często, klientelę wyborczą, bo z niej, panie, chleb codzienny z masłem. Europa była dobra kiedy przynosiła głosy. Europę się wyrzuca, kiedy przestaje być popularna lub interesująca. Siedziałem na przyjęciu obok pewnego senatora, bardzo wpływowego. „A, pan dziennikarz z dużej gazety. Bardzo się cieszę. A jaka specjalność? Międzynarodowa. Eh, nie, nie czytam niestety, nie mam czasu na te sprawy. Ale *enchanté de faire votre connaissance...*”.

Kazania i skargi

No to co robić? Upić się? Utopić się w kanale La Manche? Przystąpić do budowy socjalizmu? Zanim przejdziemy do środków ostatecznych, jako pesymista proponuję jeszcze spróbować sposobów mniej definitywnych. Spróbujmy np. zlikwidować prawo veta w Radzie Ministrów RWG, zdemokratyzujmy wspólnotę poprzez nadanie parlamentowi europejskiemu uprawnień kontrolnych i jego wybór w głosowaniu powszechnym i bezpośrednim. Narzucmy sobie i innym priorytet tego co europejskie, nad tym co narodowe albo sobkowe. Aby to osiągnąć trzeba przede wszystkim skończyć z aberracyjnym, i obsesyjnym już, aptekarskim oddzielaniem w EWG tego co ekonomiczne od tego co polityczne. Ja państwu powiem o co chodzi.

Z powodu braku terminów miały się jednego i tego samego dnia odbyć dwa posiedzenia Rady Ministrów spraw zagranicznych EWG, pierwsze o tematyce EWG-owskiej, drugie — w kwestii tzw. kooperacji politycznej. Otóż obsesja niektórych państw doprowadziła do tego, że — aby dokładnie odgraniczyć te sfery — posiedzenie polityczne odbyło się rano w Kopenhadze, po czym ministrowie wsiedli do specjalnie wynajętego samolotu i ulecieli do Brukseli, gdzie odbyli swe drugie — wspólnotowe — bachanalia. Kiedy bywają w Brukseli, a trzeba się pilnie skonsultować politycznie — co się zdarza — to wtedy dziewięć czarnych limuzyn zasuwa z gmachu Rady Ministrów EWG „Charlemagne” na pl. Schumannna do pałacu Egmonta w centrum miasta. Jak dzieci, albo jak z Kafki. Niekiedy ma się wrażenie, że ministrowie w Brukseli zachowują się jak ich poprzednicy w Wiedniu, w czasie sławetnego kongresu, co przynajmniej tańczył. Talleyrand kazał wtedy przebić specjalną bramę (pokazują ją na Ballplatz) aby ambasador Francji mógł wkraczać do sali kongresowej równocześnie ze zwycięskimi kolegami.

W ub. tygodniu obradowało w Luxemburgu 22 posiedzenie ministrów oświaty EWG na temat równouprawnienia dyplomów, studiów, wolnej praktyki wolnych zawodów, żeby weterynarz angielski mógł leczyć włoskie krowy. Posiedzenie zostało odroczone, zgodzono się co do braku zgody, albowiem Rada Ministrów nie potrafiła m.in. ustalić czy sprawa dyplomów wymaga specjalnego traktatu czy też wystarczy odpowiednie wyinterpretowanie jakiegoś tam paragrafu układu rzymskiego. 14 lat trwała dyskusja na temat uniwersytetu europejskiego. W 1972 roku postanowiono wreszcie utworzyć podyplomowy Instytut Europejski we Florencji. Nie ruszy przed 75 rokiem, a i to nie wiadomo. W skrócie, student w XVIII wieku miał mniej problemów niż dziś. Oxford, Bolonia, Heidelberg czy Sorbona, nie było kwestii. Kartezjusz był w domu w Holandii i w Szwecji, Wolter w Prusach, Diderot był zaproszony przez Katarzynę Wielką. Ale niech lekarz belgijski dziś postanowi praktykować w Wenecji, albo nauczyciel holenderski wykładać w Tuluzie, ot, tak zwykle, bez specjalnego zaproszenia. Że przesada...

83 procent wypadków samochodowych w Europie Zachodniej to wina kierowcy. Od 1972 roku Komisja EWG nie jest w stanie przeforsować dekretu o europejskim prawie jazdy, o unifikacji wymagań egzaminacyjnych itd. Rada Ministrów EWG nie potrafiła np. uzgodnić czy zawieszeniem prawa jazdy kierowca ma być karany przez władze swojego kraju czy kraju gdzie popełnił wykroczenie, czy ważny jest żandarm z Marsylii, gdzie jakiś Holender przejechał na pasach człowieka, czy też policjant z jego rodzinnego kraju.

Od kilku lat trwa dyskusja nad usprawnieniem kolosalnego przecieży ruchu ciężarówek na zachodnio-europejskich drogach. Utknęła ona na martwym biegu, bo nie można uzgodnić ile ma wynosić „maksymalne obciążenie na oś”. Na szczęście ciężarówki o tym nie wiedzą, i jeżdżą...

Pesymista, co? Czy w tych warunkach można marzyć o załatwieniu takich drobiazgów jak np. wspólna polityka zagraniczna, inflacja, czy, broń Boże, obrona...?!

Według Greków, Europa, córka Agenora, króla Tyru, została uprowadzona przez Zeusa, występującego pod postacią byka, na Krete. Tam powiła dwóch, albo według niektórych źródeł, trzech dorodnych synów, poślubiła króla Krety, ustanowiła specjalne święto, i w ogóle było byczo. Byk w nagrodę za inicjatywę, pomysły i wykonanie przeniesiony został między gwiazdy, gdzie do dziś figuruje wśród znaków Zodiaku, służy do horoskopów, i biega za symbol płodności i tężyzny męskiej.

Panowie, dawajcie byka! Że co, że nie ma Europy? To nieprawda, to byka zabrakło. Nie zawracajcie mi głowy, że Europa — wiednie z winy technokratów i buchalterów. To wymówka polityków. Jest wprost przeciwnie. W buchalterach i technokratach cała nadzieja. Może w braku kwalifikacji *byczych* uda im się po prostu *obliczyć*, że Europa to się naprawdę opłaca...

Akordeon z przedziałkiem

W tej nadziei witam ewentualnego byka w postaci nowej ekipy u władzy w Bonn i w Paryżu. Nie mam powodów do jakiegś specjalnej sympatii do Giscarda czy Schmidta, nie lubię przywódców mas grających na harmonii czy uczesanych z przedziałkiem. Ale ponieważ nie może już być gorzej, więc może coś dobrego wyjdzie z tej kombinacji konserwatywnego liberała z konserwatywnym socjal-demokratą. Schmidt pozornie powinien był sobie wieszować zwycięstwa *Partei-genosse* Mitterranda. Ale wolał Giscarda, pochodzącego wprost od Ludwika XV, podobnie zresztą jak Breżniew, który polecił — jak widać słusznie — swemu ambasadorowi (Czerwonienko, bohater z Pragi), odwiedzić kandydata prawicy na kilka dni przed decydującą turą wyborów.

Otóż, w odróżnieniu od ich wielkich poprzedników, Schmidt i Giscard należą do realistów, bardziej interesujących się problemami dnia dzisiejszego niż wpatrzonych w oddalone mgławice horyzontów 1980 roku. Inflacja dla nich to teren znajomy, obaj byli ministrami finansów, nie mają szacunku dla dogmatów, są mało sentymentalni, no i są po imieniu. Ledwo skończono liczyć głosy, a już rzucili się sobie w ramiona. Od tego uścisku zaczęła się może próba ratowania Europy. Oczywiście, aby Europa nie zbankrutowała nie wystarczy aby obaj panowie poszli na spacer w Aleje. Ale w Paryżu był to przynajmniej pierwszy od dłuższego czasu spacer *naprzód*. Może to zwiastuje powrót na ziemię? W październiku 1972 Pompidou zwrócił się do Brandta: „Nie chcemy Europy technokratów, chcemy Europy ludzkiej, której zależy na szczęściu jej mieszkańców”. Bardzo pięknie powiedziane, ale jest inaczej.

W maju 1974 roku Schmidt powiedział o Giscardzie: „On spra-

wia wrażenie normalnego człowieka, bez pretensjonalnych pomysłów”. To brzmi mniej dumnie, ale bardziej obiecująco.

Na dłuższą metę...

Nie dawno odbywało się w Brukseli szalenie wytworne seminarium, zwołane z okazji otwarcia nowego międzynarodowego centrum prasowego. W Brukseli, gdzie już pracuje ponad 400 dziennikarzy zagranicznych, to jest zresztą dobry interes. Jeszcze jeden, jeżeli zważyć, że międzynarodowa kolonia w Brukseli, licząca 80.000 osób i dająca największe na świecie zagęszczenie dyplomatów na km. kw. wrzuca do miejscowej kasy ok. 20 miliardów franków belgijskich rocznie. Otóż z okazji otwarcia centrum wytworne seminarium zajęło się m.in. trudnościami w ciekawym pisaniu o Europie. Bardzo ważni dziennikarze zebrali się, jak się okazało, po to aby powiedzieć, że o Europie można albo wcale albo nudno, bo jest bardzo techniczna i technokratyczna, a obywatela to nie może porwać. Jedyne wnioski więc, że ciekawie można pisać o Europie *tylko* w okresach konfliktów i kryzysów. Jeżeli jest tyle kryzysów, to dlaczego jest tak nudno. Czy żeby prasa zrozumiała, że powinna Europy bronić i to skutecznie, a nie od niechcenia, trzeba żeby się ona (Europa a nie prasa) rozleciała. Panowie z tzw. panelu doszli, wydało mi się, do wniosku, że defektem Europy jest brak perspektywy, brak wielkiego oddechu, brak idei zdolnej porwać masy. Panowie, dajcie żyć, myślcie nie o wieczności, a na krótką metę. Czyż bowiem zapomnieliście, że na dłuższą metę, to i tak wszyscy jesteście martwi...

Ale ten Brukselczyk pesymista, powiecie. A nieprawda, to nie ja, to powiedział Keynes...

BRUKSEL CZYK

Pisane 13 czerwca 1974

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury i Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie *polonica*. Katalogi, informacje, premie — bezpłatnie.

30-lecie PRL

Geneza i kulisy PKWN

Przegrana, źle dowodzona i okupiona wysokimi stratami, bitwa I-ej Dywizji im. T. Kościuszki pod Lenino w dniach 12 i 13 października 1943 roku była dla komunistów polskich w Rosji ważnym wydarzeniem. Pozwoliła im na zdobycie politycznej legitymacji do rozpoczęcia organizacyjnych przygotowań dla uchwycenia władzy w Polsce. Śpieszyło im się do tej akcji i dlatego robili starania, by Dywizja weszła jak najszybciej do walki, chociaż było wiadomo, że nie jest do niej jeszcze przygotowana. Nie liczone ze stratami w jej szeregach, chodziło o efekt polityczny.

W październiku 1958 roku na sesji naukowej PAN, poświęconej również omówieniu bitwy pod Lenino, nie ukrywano, że natarcie Dywizji było nieudane, ale wyraźnie kładziono nacisk na to, że Dywizja „zadania polityczne... wykonała bardzo dobrze”. Jeden z dyskutantów podkreślał, że „Dywizja była przede wszystkim jednostką polityczną i propagandową. Polityczna jej rola wynikała z konkretnych koncepcji politycznych, które reprezentowała, a które z kolei wynikały z ideowych założeń Związku Patriotów Polskich”.

Inny dyskutant udawał, że na pierwszym miejscu przed Dywizją stały zadania polityczne, a dopiero na dalszym jej działania czysto bojowe. Jego zdaniem obowiązkiem Dywizji było „reprezentowanie początku siły zbrojnej polskich mas ludowych, na czele których stawali polscy komuniści... Dywizja miała także postawić sojuszników i Rząd Londyński przed faktem, że polscy komuniści stają na czele walki wyzwolenczej u boku najpotężniejszego sojusznika”.

Niemal natychmiast po wycofaniu z frontu niezdolnej do walki Dywizji rozpoczęły się w licznych gronie jej oficerów politycz-

no-wychowawczych namiętne dyskusje na temat przyszłego ustroju Polski. Teraz — zdaniem komunistów — po chrzcie bojowym nadeszła pora, by energicznie zająć się własną wizją przyszłości i ustalić, jaki ma być ustrój Polski i system władzy, która — w co nie wątpili — znajdzie się w ich rękach. W tej działalności programowej wykazywali pośpiech, gdyż nie trudno było przewidywać, że za kilka miesięcy linia frontu przechodzić będzie przez ziemie polskie.

W drugiej połowie października te rozważania programowe zainspirował zastępca Berlinga do spraw politycznych, pułkownik Włodzimierz Sokorski. Konkretnie zaś, tezy programowe pod tytułem „O co walczymy” opracował przedwojenny działacz komunistyczny, a podówczas główny politruk Dywizji — major Jakub Prawin. W toku dalszych dyskusji jego projekt w środowisku komunistycznym otrzymał nazwę „Tezy Nr 1”.

Referat Prawina nie wchodził w szczegóły, lecz generalnie malował obraz przyszłej Polski i powołując się na tradycję Francji, Polski, a nawet Rosji, wysuwał jako podstawę nowego ustroju koncepcję „zorganizowanej demokracji”. Warto z tego dokumentu przytoczyć bardziej charakterystyczne fragmenty:

„Co to jest 'zorganizowana demokracja'? Jest to zastosowanie... tradycyjnych zasad demokratycznych w sposób celowy, pozwalający szerokim masom ludu polskiego wyżyć się swobodnie i szczęśliwie.

Do życia politycznego muszą być dopuszczeni wszyscy obywatele bez względu na swoją przeszłość polityczną, wyznanie, narodowość, którzy na podstawie szerokiego, demokratycznego prawa wyborczego wysyłają swych przedstawicieli do sejmu (bez szwindłów wyborczych). Życiem politycznym kieruje jeden obóz polityczny („zorganizowana demokracja”), którego wyrazicielem będzie silny rząd. Dostęp do tego obozu mają wszyscy bez względu na swoją przeszłość polityczną, którzy lojalnie i uczciwie staną na gruncie podanego programu politycznego. A więc: precz z przedwrześniowym faszyzmem, ale także z wczorajszym międzypartyjnym rozgardiaszem politycznym.

... Stosowanie zasad 'zorganizowanej demokracji' na zewnątrz. Związek Radziecki to nasz trwały sojusznik. W oparciu o ten sojusz budujemy nasz samodzielny byt państwowy i nasze zabezpieczenie na przyszłość przed niebezpieczeństwem z zewnątrz, w pierwszym rzędzie przeciw stale grożącemu niebezpieczeństwu niemieckiemu. Jeśli żądamy dla siebie samodzielności politycznej, to musimy podobne żądania uszanować także u naszych, spokrewnionych z nami, sąsiadów — Ukraińców i Białorusinów. Kwestię ukraińską i białoruską rozwiążemy zgodnie z wolą tych narodów i narodu polskiego w porozumieniu z zaprzyjaźnionym Związkiem Radzieckim.

... W zrealizowaniu tych zasad 'zorganizowana demokracja' będzie postępowała zdecydowanie, energicznie, radykalnie, przy użyciu wszystkich środków natury moralnej i zbrojnej. Po przybyciu do kraju stworzymy Tymczasowy Komitet Rządzący, który przygotuje i zorganizuje przejęcie władzy przez cały naród na podstawie wyżej przedstawionego programu...”

Prawin przewiduje prywatną własność rolną, wywłaszczenie kapitału zagranicznego, poddanie wielkiego przemysłu pod kon-

tróle społeczną, zastrzegając się jednak, że ta kontrola „nie umniejszy w żadnym wypadku prywatnej inicjatywy”. Zachodnie granice Polski miały sięgać po Odrę i Bałtyk.

Pomocniczym czynnikiem dla Dywizji w realizacji programu Prawina miały być tworzone przez Związek Patriotów Polskich koła członkowskie wśród wysiedleńców polskich w Rosji.

Jest rzeczą niezwykle charakterystyczną, że proklamując hasło monopartii i przyznając wojsku prawo do powołania w kraju rządu tymczasowego Prawin całkowicie zignorował istniejącą już w Polsce od przeszło półtora roku PPR. Nie jest to chyba pominięcie przypadkowe, lecz wyraz nurtującego wśród komunistów polskich w Rosji poglądu o nikłym znaczeniu PPR. Było to również wyrazem tendencji podporządkowania sobie krajowej formacji komunistycznej.

Prawin i patronujący mu Sokorski wywołali gwałtowną burzę dyskusyjną. Jeśli jednak zanalizować wypowiedzi jej uczestników, to można stwierdzić, że przeciwnicy Prawina mieli przede wszystkim zastrzeżenia natury taktycznej. Obruszali się na przedstawienie dążeń komunistów bez żadnych obłonek, bez znieczulania opinii społeczeństwa, co może utrudnić w pierwszym etapie sprawowanie władzy. Najdobitniej chyba wyraził to wówczas Marian Naszkowski. Opowiadając się za jednolitym obozem rządzącym „w interesie i w imieniu całego narodu”, uważał, że nie można „przyjść do Polski od razu z hasłem monopartyjności. Hasło to, w zasadzie słuszne, powinniśmy forsować stopniowo na etap późniejszy... na pierwszy etap powinniśmy forsować hasło bloku narodowego wszystkich szczerze patriotycznych ugrupowań”.

Wobec generalnych ataków krytycznych na tezy Prawina dwaj inni starzy komuniści i oficerowie polityczni I-ej Dywizji, Roman Zambrowski i Hilary Minc opracowali na początku listopada „zarys szkicu programu ruchu demokratycznego uchodźstwa polskiego w Związku Radzieckim”, który w języku obiegowym określano jako „Tezy Nr 2”.

Jest to dokument znacznie obszerniejszy od tez Prawina, nacechowany propagandowym „wszystkoizmem” i w gruncie rzeczy również wysuwający konieczność utworzenia jednolitego i silnego kierownictwa politycznego, utworzonego w oparciu o Związek Patriotów i Wojsko Polskie w Rosji. Program jest obliczony na kuszenie społeczeństwa atrakcyjnymi obietnicami (łącznie z zapewnieniem wydatnej pomocy Kościołowi Katolickiemu), w prowadzi których ukryte są zapowiedzi władzy niemniej totalnej niż ta, którą jawnie proklamował Prawin. Minc i Zambrowski swoje opracowanie prezentują jako credo bliżej niesprecyzowanego, mgławicowego „ruchu demokratyczno-niepodległościowego”.

W odróżnieniu od Prawina wspominają o istnieniu PPR w kraju, ale traktują je lekceważąco, jako jeden z wielu odłamów demokratycznych, z których żaden nie stworzył silnego, powszechnego ruchu. Dlatego właśnie żołnierze wojsk Berlinga powinni wystąpić z programem jedności narodowej, do czego daje im moralne prawo fakt, „że przelewali krew w walce”.

Tezy Zambrowskiego i Minca nie były już tak ostro zwalczane jak projekt Prawina, ale nie przerwały rozpoczętej dyskusji. Przyjmowano w niej niektóre łagodniejsze sformułowania „Tez Nr 2”, lecz w dalszym ciągu pojawiały się silne akcenty o roli wojska w kształtowaniu sytuacji w kraju. Deklaratywnie przyznawano, że kraj sam zadecyduje o formie swego ustroju i rządów, ale jednocześnie Sokorski — jako naczelny polityruk Korpusu Polskiego — mówił 30 listopada oficerom politycznym na odprawie: „Do kraju z Armią Czerwoną wejdziemy tylko my i tylko ci, którym my pozwolimy wrócić... Ale wchodząc do kraju, zanim przeprowadzimy wybory do sejmu, będziemy musieli powołać do życia rząd tymczasowy”.

Te hasła, kojarzące się z pojęciem junty wojskowej, wywoływały niepokój wśród rozważniej myślących komunistów, zwłaszcza takich, których nie fascynował mundur wojskowy. W tendencjach tych dopatrywali się pomijania kierowniczej roli partii we wszystkich sprawach politycznych. Obawiali się również, że te buńczuczne hasła nie będą wcale na rękę polityce sowieckiej, zabiegającej na tym etapie o dobre stosunki z Aliantami.

Od chwili utworzenia Związku Patriotów Polskich działała przy jego władzach naczelną grupą komunistów polskich. Nie miała ona jednak wyraźnego charakteru organizacyjnego po prostu dlatego, że Stalin nie wyraził jeszcze zgody na oficjalne odtworzenie jakiegokolwiek organizacji komunistów polskich. W grupie tej czołową rolę odgrywał Alfred Lampe, który przez pobyt w więzieniu polskim uratował głowę od ostrza stalinowskich czystek. Wśród komunistów polskich w Rosji zajmował najwyższą hierarchicznie pozycję. Był przed wojną członkiem KC KPP, dwukrotnie zasiadał w jej Biurze Politycznym i w Sekretariacie. Uchodził za najbardziej doświadczonego polityka i teoretyka wśród wszystkich komunistów w ZPP czy w wojsku Berlinga.

Polski Komitet Narodowy

Zamęt dyskusyjny powstały w wojsku wskazywał na konieczność powołania do życia jakiejś nadbudowy politycznej, którą nie mógł być Związek Patriotów Polskich jako organizacja typu opiekuńczego i tylko odgórnie upolityczniona. W tej sytuacji zro-

dziła się gdzieś pod koniec października, względnie na początku listopada, koncepcja utworzenia Polskiego Komitetu Narodowego. Prawdopodobnie równocześnie z nią postanowiono starać się o zgodę partyjnych władz sowieckich na zorganizowanie centralnego ośrodka polskich komunistów.

Lampe od września przygotowywał własny szkic programu. Pod wpływem dyskusji prowadzonych w wojsku przyspieszył w ciągu listopada swe prace programowe, które — ostatecznie ukończone już po jego śmierci (zmarł 10 grudnia) — nazwano „projektem deklaracji programowej Polskiego Komitetu Narodowego”. Mówiono o nim również jako o „Tezach Nr 3”.

Pod koniec grudnia Zarząd Główny Patriotów Polskich powołał Komisję Organizacyjną PKN. Przewodniczyła jej Wanda Wasilewska. Andrzej Witos był wiceprzewodniczącym, a Jakub Berman — sekretarzem. PKN miał mieć charakter ogólnonarodowy, toteż w Komisji Organizacyjnej obok komunistów, którzy stanowili jej trzon, znalazło się — głównie dla celów dekoracyjnych — również kilku bezpartyjnych lub zwolenników innych kierunków politycznych. Do tej kategorii należeli gen. Zygmunt Berling, Bolesław Drobner, Jan Grubecki, Włodzimierz Stahl. Czynnikiem decydującym byli dawni członkowie KPP: Włodzimierz Sokorski, Stanisław Skrzyszewski, Stefan Jędrzychowski, Eugeniusz Szyr, Hilary Minc, Stefan Wierbłowski, Mieczysław Popiel.

Komisja Organizacyjna rozpoczęła swą działalność w dość dużym tempie, o czym świadczy choćby fakt, że od 25 grudnia do końca roku odbyła 5 posiedzeń. W toku swych prac przeprowadziła dyskusje nad projektem Lampego i ustaliła ostateczny tekst deklaracji programowej PKN. Przygotowano również projekt struktury organizacyjnej Komitetu, który miał posiadać 12 resortów o charakterze ministerialnym.

Ze wspomnień Bolesława Drobnera — niezawsze zresztą dokładnych — wynikałoby, że referentem deklaracji programowej był Stefan Wierbłowski. Drobner uważał ją za zbyt mało radykalną i zgłosił własny projekt, który jednak nie uzyskał aprobaty.

Deklaracja PKN odmawiała Rządowi Polskiemu w Londynie prawa do występowania w imieniu narodu. Jego właściwą choć tymczasową reprezentacją ma być Polski Komitet Narodowy aż do chwili utworzenia rządu tymczasowego i zwołania sejmiku ustawodawczego.

PKN — głosiła deklaracja — „powstaje jako wyraz tworzącego się frontu narodowego: walk w kraju, demokratycznego wychodźstwa na terytorium ZSRR, Ameryki i Anglii, wojska polskiego w ZSRR i chcących walczyć z Niemcami oficerów i żołnierzy formacji polskich w Anglii i na Bliskim Wschodzie”.

Jak widać z tego sformułowania, twórcy PKN przechodzili do porządku dziennego nad istniejącą od dwóch lat PPR i zadawali się mglistym pojęciem „walk w kraju”. Dywersyjny apel do żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie miał charakter obraźliwy. Wojenne wychodźstwo polskie w Ameryce było minimalne, toteż widocznie inicjatorzy PKN liczyli na Polaków, posiadających obywatelstwo amerykańskie. Pod pojęciem „demokratycznego wychodźstwa” w ZSSR rozumieli komunistów i ich sympatyków, gdyż nie mogli mieć złudzeń, by setki tysięcy deportowanych z kraju Polaków zdołały istotnie pozyskać politycznie dla swoich celów.

Deklaracja programowa PKN kładzie nacisk na praworządność demokratyczną, która jednak „nie może być słabością. Trzeba nam wolności, porządku i siły”. Domaga się przesunięcia granic Polski na zachód, nie wspomina jednak o linii Odry i Nysy, ograniczając się do Prus Wschodnich, „polskiego Śląska i polskiego Pomorza”. Granica wschodnia musi ulec zmianom, gdyż „nie chcemy ziem ukraińskich, czy białoruskich i litewskich”. Podstawą zagranicznej polityki polskiej ma być trwały sojusz z Rosją i Czechosłowacją.

Chłopi otrzymają ziemię bez wykupu na własność indywidualną. Przedsiębiorczość prywatna będzie przez państwo chroniona i wspierana. „Rolnik, rzemieślnik, kupiec i przemysłowiec korzystać będzie z ochrony, kredytów i pomocy państwa w ramach ogólnonarodowego planu odbudowy”. Państwo zapewni również ochronę interesów i zabezpieczy prawa robotników i inteligencji pracującej.

Jak widać, wyraźnie i stanowczo twórcy PKN ujmowali tylko sprawę przejęcia władzy w swe ręce i wierność Związkowi Sowieckiemu. Ich program społeczny i gospodarczy ograniczał się do ogólnikowych obietnic i nosił charakter pokazowy.

Na początku 1944 roku w środowisku komunistów polskich w Rosji utworzenie PKN musiało uchodzić za rzecz przesadzoną. W pierwszych dniach stycznia nadal pracowała komisja organizacyjna. W wojsku noworoczny rozkaz Berlinga niedwuznacznie zapowiadał bliskie wyłonienie „wspólnego ośrodka kierowniczego”. 4 stycznia Roman Zambrowski na naradzie oficerów polityczno-wychowawczych w I-ej Dywizji mówił o konieczności skupienia żołnierzy i oficerów wokół tworzącego się Polskiego Komitetu Narodowego. Również wydany w tym samym czasie konspekt pogadanki dla żołnierzy miał ułatwić oficerom polityczno-wychowawczym przygotowanie nastrojów wojska do bliskiego już powołania PKN.

I oto nagle, pod koniec stycznia, o sprawie PKN przestano mówić. Cała koncepcja została poniekąd historycy partyjni

usiłują tę nagłą wolę polityczną tłumaczyć nadeszłymi z kraju (po nawiązaniu przerwanej przez blisko 2 miesiące łączności z Warszawą) wiadomościami o utworzeniu Krajowej Rady Narodowej. Argument ten nie jest jednak przekonujący, gdyż wiadomo było, że komuniści polscy w Moskwie nie zamierzają zrezygnować ze swego samodzielnego stanowiska na rzecz PPR. Można było również zsynchronizować działalność już istniejącej oficjalnie KRN z zadaniami jeszcze publicznie nieproklamowanego PKN.

Istotną przyczyną śmierci przed urodzeniem PKN była niewątpliwie decyzja Stalina. Utworzenie w Rosji w tym okresie Polskiego Komitetu Narodowego byłoby dla Stalina nie tylko kłopotliwe ale wręcz szkodliwe. PKN odmawiał praw Rządowi Polskiemu w Londynie, uznawanemu przez Anglię i Stany Zjednoczone. Konferencja teherańska nie podważała charakteru tego rządu. Patronat Stalina nad PKN-em byłby naruszeniem paktu teherańskiego w momencie szczególnie niepożądanym. W tym właśnie czasie sprawa polska była przedmiotem wymiany korespondencji między Moskwą, Londynem i Waszyngtonem. W dodatku Stalin oczekiwał na zapowiedziane w najbliższych miesiącach uruchomienie na Zachodzie drugiego frontu i nie chciał z tych względów zadrażniać swych stosunków z Churchilllem i Rooseveltem.

Dlatego sprawa PKN poszła *ad acta*. Odżyła dopiero po sześciu miesiącach, ale w innej formie i w odmiennych okolicznościach. A komuniści polscy zmuszeni do rezygnacji z ambitnego planu PKN postanowili nadać mocniejszy charakter polityczny Związkowi Patriotów Polskich. To zresztą nie budziło zastrzeżeń władz sowieckich, które uważały, że w przyszłości można będzie wykorzystać firmę ZPP jako politycznej reprezentacji Polaków w Rosji.

Polityczne „wzmocnienie” Zarządu Głównego ZPP nastąpiło na jego plenum 13 kwietnia. Do Zarządu Głównego dookooptowano 6 nowych członków, wśród których obok Jana Grubckiego i Emila Sommersteina znalazło się czterech czołowych działaczy komunistycznych: Aleksander Zawadzki, Stanisław Radkiewicz, Jakub Berman, Jerzy Sztachelski. Zawadzki i Sztachelski weszli do prezydium Zarządu Głównego, a Sztachelski został jednocześnie sekretarzem generalnym ZPP.

Centralne Biuro Komunistów Polskich w ZSSR

Jak już wspomnieliśmy, od początków istnienia ZPP skupiła się przy nim grupa dawnych członków KPP. Rozbieżności, jakie ujawniły się wśród komunistów w głośnych dyskusjach nad teza-

mi programowymi w I-ej Dywizji, wskazywały na konieczność jakiegoś organizacyjnego ujęcia ramami dyscypliny partyjnej wszystkich dawnych działaczy KPP. Było to tym pilniejsze, że nadchodzący rok 1944 w realnych kształtach zarysowywał możliwość uchwycenia władzy przez komunistów w Polsce po wkroczeniu do niej Armii Czerwonej. Niemal równocześnie z koncepcją PKN powstała inicjatywa utworzenia jakiejś centralnej organizacji komunistycznej, która byłaby nadrzędnym ośrodkiem dyspozycji, kierującym faktycznie działalnością PKN, aparatem politycznym w wojsku i masami wychodźców, ujętych w ramy ZPP.

Dla komunistów była to sprawa niezwyklej wagi, a jednocześnie niezbyt prosta. Decyzja Kominternu w 1938 roku o rozwiązaniu KPP była wciąż obowiązująca. PPR w kraju tworzone nie tylko za zgodą ale i na polecenie Stalina i Kominternu. Na zorganizowanie jakiegoś ośrodka komunistów polskich w Rosji należało również uzyskać pozwolenie Stalina. Mandatariuszami jego w tych sprawach byli nadal przywódcy Kominternu, którego oficjalne rozwiązanie w maju 1943 roku było w gruncie rzeczy aktem pozornym.

Dlatego też komuniści polscy już w grudniu 1943 roku rozpoczęli rozmowy z byłym sekretarzem generalnym Kominternu Georgim Dymitrowem i z jednym z dawnych sekretarzy Międzynarodówki Dymitrem Manuilskim. Po kilkakrotnych naradach uzyskali aprobatę na utworzenie Centralnego Biura Komunistów Polskich w Rosji.

Oficjalna data utworzenia tego Biura nie jest wyraźnie ustalona. Ze wspomnień niektórych komunistów (np. Leon Bielski) wynika, że już w grudniu panowało wśród wielu komunistów przekonanie, że Centralne Biuro istnieje i działa. Wiadomo z dokumentacji, że obszerne sprawozdanie z prac i sytuacji w kraju napisane 12 stycznia 1944 roku Gomułka adresował do Centralnego Biura Komunistów Polskich. Wskazuje to, że Gomułka musiał już co najmniej o kilka dni wcześniej wiedzieć o powstaniu i charakterze Centralnego Biura. A tymczasem historycy partyjni nie podają żadnej daty inauguracji jego prac. Wymienia się datę 10 stycznia 1944 roku z wyraźnym podkreśleniem, że jest to data opracowania „konstytucyjnego” dokumentu CBKP, które w tym dniu jeszcze jako pełnoprawna instancja organizacyjna nie istniało.

Niezależnie od nasuwającego się pytania, co jest przyczyną tej trudności w ustaleniu właściwej daty, warto się zatrzymać na tym podstawowym dokumencie z 10 stycznia, określającym genezę i zadania CBKP. Pełny jego tekst nigdzie dotychczas nie był opublikowany. Z rozproszonych w różnych opracowaniach wy-

jątków można w ten sposób zrekonstruować obszerne jego fragmenty:

„... W związku ze zbliżającym się rozwiązaniem problemu przyszłości Polski oraz jej stosunków z ZSRR, a w szczególności w związku z rozwijaniem się na terytorium Związku Radzieckiego Polskich Sił Zbrojnych, a także powstaniem Polskiego Komitetu Narodowego, dojrzała konieczność radykalnej zmiany form pracy komunistów polskich w ZSRR.

Do chwili obecnej komuniści pracując wśród ludności polskiej w ZSRR i w Korpusie Polskim:

1. Stworzyli ruch Związku Patriotów Polskich, który na platformie frontu narodowego i współpracy ze Związkiem Radzieckim zjednoczył dziesiątki tysięcy Polaków niezależnie od ich poglądów politycznych.

2. Współuczestniczyli w organizowaniu Korpusu Polskiego w ZSRR i zabezpieczyli pomyślne polityczne przygotowanie mas żołnierskich do wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko hitlerowcom.

Komuniści w armii i w Związku Patriotów Polskich pracowali w oderwaniu, w sposób niezorganizowany i nie koordynując swej działalności. W tych warunkach, zwłaszcza w związku z rozszerzeniem się zakresu pracy i większą złożonością sytuacji, narastały zjawiska negatywne.

Czynnikiem, który przyczynił się do powstania tego stanu rzeczy, był przede wszystkim brak organizacji i kierowniczego ośrodka komunistów polskich w ZSRR. W związku ze zbliżającym się wkroczeniem na terytorium Polski i koniecznością ścisłego współdziałania z partią w Polsce, wyobrażamy sobie organizację komunistów jako zagraniczną organizację Polskiej Partii Robotniczej na terytorium ZSRR.

Uważamy, że przede wszystkim należy stworzyć komisję organizacyjną w składzie 7 towarzyszy, której zadaniem będzie:

1. Kierowanie pracą komunistów polskich w Polskim Komitecie Narodowym, Związku Patriotów Polskich, pokrewnych organizacjach i w Korpusie Polskim.

2. Zapewnienie współdziałania z Polską Partią Robotniczą w całokształcie pracy politycznej, zwłaszcza na wyzwolonych terenach polskich po przekroczeniu przez Armię Czerwoną granic Polski.

Na wstępie komisja utworzy wąską organizację w Moskwie przy Polskim Komitecie Narodowym i w Związku Patriotów Polskich, obejmującą sprawdzonych komunistów, gazetopowców, oraz tych sympatyków, którzy dali się poznać w Polsce lub w ZSRR jako ludzie oddani sprawie, aktywni i politycznie zahartowani. (Jedna z wersji ogłoszonego w kraju tekstu zamiast „zahartowani” podaje „sprawdzeni” — przyp. T. Z.).

W wojsku organizacja powinna być utworzona z uwzględnieniem specyficznych warunków Korpusu Polskiego w ZSRR. Kierownictwo partyjne w Korpusie Polskim będzie realizowało swe zadania, wykorzystując komunistów znajdujących się w aparacie politycznym i kadrze dowódczej Korpusu.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną dla całokształtu układu stosunków między Centralnym Biurem Komunistów Polskich w Moskwie a KC PPR w kraju, że Biuro to nie powołuje się na żaden mandat władz PPR, lecz samo wyznacza sobie charakter „zagranicznej organizacji PPR”. Znamiennie również brzmi sformułowanie o „zapewnieniu współdziałania” z PPR wskazujące, że Centralne Biuro uważa się nie za jedno z ogniw organiza-

cyjnych PPR, lecz za czynnik co najmniej równorzędny z KC PPR.

Faktycznie CBKP w zasadniczych sprawach politycznych stało się ciałem nadrzędnym nad PPR w oparciu o swe ścisłe powiązania z władzami sowieckimi. To nie Centralne Biuro składało sprawozdania ze swej działalności Komitetowi Centralnemu PPR, lecz Gomułka odpowiadał na zadawane pytania, przysyłał raporty i tłumaczył się z postępowania PPR, budzącego nieraz krytyczne uwagi i oceny Centralnego Biura.

Między CBKP a PPR w kraju łatwo były dostrzegalne oznaki wzajemnej nieufności, różnic poglądów w wielu sprawach i zarysowującej się rywalizacji, kto będzie miał przewagę w przyszłych rządach w kraju. To niewidoczne na razie na zewnątrz napięcie narastało z biegiem czasu i doprowadziło do bezpośredniego starcia w 1948 roku w formie rozprawy z pravicowo-nacjonalistycznym odchyleniem Gomułka i „krajowców”.

Dokument organizacyjny Centralnego Biura powoływał się na PKN. Jak wiemy, w parę tygodni później koncepcja PKN upadła. Wzmocniono wówczas obsadę polityczną Zarządu Głównego Związku Patriotów. W ten sposób Centralne Biuro stało się nadrzędnym czynnikiem, kierującym politycznie ZPP i armią Berlinga w Rosji oraz dozorującym działalność KRN i PPR w Polsce.

Siedmioosobowe kierownictwo CBKP — po ostatecznych ustaleniach — prezentowało się w następujący sposób: Aleksander Zawadzki (przewodniczący), Stanisław Radkiewicz (sekretarz), Wanda Wasilewska, Karol Świerczewski i Jakub Berman (członkowie) oraz dwaj pełnomocnicy Biura — Hilary Minc i Stefan Wierbłowski. (Jeden z historyków partyjnych, Jerzy Pawłowicz, utrzymuje, że początkowo przewodniczącym Biura był Stanisław Radkiewicz, a dopiero później został nim Aleksander Zawadzki. Mogło to być zrozumiałe, gdyż w hierarchii KPP Radkiewicz stał przed wojną jako członek Sekretariatu KC wyżej od Zawadzkiego).

Zawadzki, jako przewodniczący Biura, prowadził zasadnicze rozmowy z przedstawicielami Rządu sowieckiego i Komitetu Centralnego WKP(b), a wspólnie ze Świerczewskim czuwał nad aparatem politycznym wojska. Wasilewska była odpowiedzialna za działalność Związku Patriotów Polskich. Sprawy krajowe należały do Bermana, który wspólnie z Radkiewiczem kierował również bieżącymi pracami Biura. Zadaniem Minca było opracowanie projektów przemian społeczno-gospodarczych w Polsce. Wierbłowski zajmował się akcją propagandową w ZPP i sprawował nadzór nad rozgłośnią radiową imienia T. Kościuszki.

W lutym CBKP zwróciło szczególną uwagę na zagadnienia polityczne w wojsku. Na tym tle powstawały nawet starcia z gen.

Berlingem, dla którego dużym zaskoczeniem była wszechwładna rola aparatu politycznego w wojsku. Doszło nawet do uchwały Centralnego Biura, potępiającej jeden z rozkazów Berlinga i nakazującej jego wycofanie. W tym czasie również Centralne Biuro zatwierdziło statut Zarządu Politycznego w wojsku i wytyczyło zakres jego działalności.

W marcu CBKP zwołało pierwszą naradę wybitniejszych działaczy partyjnych dla omówienia najważniejszych zadań, czekających komunistów w Rosji. W naradzie tej brali udział m.in. Zofia Dzierżyńska, Roman Zambrowski, Stefan Jędrzychowski, Eugeniusz Szyr, Edmund Pszczółkowski, Marian Naszkowski, Wiktor Grosz, Mieczysław Mietkowski.

Również w marcu na łamach *Wolnej Polski* CBKP ogłosiło komunikat „komisji organizacyjnej PPR w Związku Radzieckim”, który informował o utworzeniu organizacji i wzywał wszystkich dawnych komunistów do składania podań o przyjęcie do PPR.

W maju rozpoczęła działalność komisja weryfikacyjna, ustalająca przynależność do partii komunistów działających w ZPP. W tym samym miesiącu zaczęto weryfikować komunistów znajdujących się w wojsku. Pierwszym szerszym zebraniem, w którym wzięło udział blisko 70 dawnych komunistów, była narada zwołana 8 czerwca przez CBKP. Sprawozdanie o sytuacji politycznej w kraju składał na niej Marian Spychalski, jako członek przybyłej do Moskwy delegacji KRN.

W kilka tygodni później, 11 lipca, Spychalski został dokooptowany do CBKP jako przedstawiciel KC PPR. Miało to zaakcentować ścisły związek między Centralnym Biurem a PPR. Sama forma wprowadzenia do tego zespołu Spychalskiego wskazywała jednak, że CBKP uważa się za czynnik nadrzędny nad partią w kraju.

W sierpniu Centralne Biuro zostało — już w Lublinie — rozwiązane, a jego członkowie weszli do władz kierowniczych PPR.

Plany i taktyka Stalina

Jak zachowywał się Stalin wobec tych wszystkich planów i posunięć organizacyjnych komunistów polskich w Rosji? Na pytanie to daje częściową odpowiedź poufny list korespondenta *Times'a* i *New York Times'a* w Moskwie — Ralpha Parkera z 18 kwietnia, skierowany do G. W. Wilsona w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych (list ten znajduje się w archiwach Foreign Office).

Parker był korespondentem w Moskwie w latach 1941-47. (W swoim czasie dużego rozgłosu nabrał krótki list Stalina, skierowany do niego w odpowiedzi na dwa pytania w sprawie sto-

sunku Związku Sowieckiego do Polski). Musiał on mieć własne poufne źródła informacji o wydarzeniach na Kremlu, o czym świadczą ciekawsze fragmenty wspomnianego jego listu:

„24 grudnia Stalin podejmował obiadem na Kremlu małą grupę Polaków. Odkryło się to bez rozgłosu. Na obiedzie Stalin oświadczył, że nie może być zagadnienia Polski komunistycznej. To byłoby zbyt ryzykowne i nie zabezpieczyłoby pożądanego spokoju. Przyszła Polska — według jego opinii — powinna być taka, by chłopci czuli, że są właścicielami ziemi, na której pracują. Nacjonalizacja pewnych kluczowych gałęzi przemysłu może się okazać konieczna, ale większość przedsiębiorstw powinna pozostać w prywatnych rękach.

W tym czasie mogło się wydawać, że Stalin i Mołotow myśleli o utworzeniu polskiego komitetu, w którym będą współpracować Polacy z Rosji, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Obecni (na obiedzie) członkowie Związku Patriotów Polskich wyszli z wrażeniem, że Rosja pragnęłaby widzieć utworzenie zarodka rządu.

...Drugi bankiet odbył się na cześć Polskiej Armii. To była znacznie większa impreza. Obecnych było około 20 Polaków. Trwała od 8 wieczorem do 3 nad ranem... Atmosfera była bardzo serdeczna, ale przywódca rosyjski nie zapomniał o swojej osobistej ochronie. Uzbrojony, ciężko zbudowany osobnik w średnim wieku przez cały obiad stał o 3 kroki za Stalinem i w tej samej odległości posuwał się za nim, gdy Stalin obchodził dookoła stoł i trącał się kieliszkiem ze swymi gośćmi.

Stalin skorzystał z okazji, by powtórzyć swoje oświadczenie na temat komunizacji Polski i tym razem stanowczo choć uprzejmie powiedział swym gościom, że nie myśli, aby ktokolwiek z nich — z jednym może wyjątkiem Andrzeja Witosa, który w dyskusji wyrażał mocną linię antykomunistyczną — miał prawo do powoływania się, że reprezentuje jakąś grupę w Polsce.

Tym razem Polacy opuszczając bankiet byli przekonani, że nie będą zachęceni do tworzenia rządu czy jakiegś jego namiastki”.

Relacja Parkera znajduje potwierdzenie w innych źródłach, m.in. we wspomnieniach Drobnera. Był on obecny na przyjęciu 24 grudnia wraz z innymi przedstawicielami Związku Patriotów i I-go Korpusu. Zanotował skierowane do nich słowa Stalina, że po powrocie do kraju „nie powinniśmy zaczynać od kołchozów i powinniśmy ostrożnie postępować”.

Drobner uczestniczył również w tym drugim bankiecie, który odbył się 16 marca, nazajutrz po decyzji przekształcenia Korpusu w 1-szą Armię Polską.

Jak widać nawet z tych lakonicznych relacji, Stalina przestrzegał swoich polskich podopiecznych przed tym, co można byłoby nazwać „politycznym awanturnictwem”. Pouczał ich, że w dążeniu do celu należy działać stopniowo i nie ujawniać za wcześnie właściwego programu. Drugi bankiet odbył się już po zaniechaniu koncepcji utworzenia Polskiego Komitetu Narodowego.

Pojawiające się w publicystyce twierdzenia, że Stalin nie miał wyraźnej koncepcji w sprawie polskiej, nie mają uzasadnienia.

Budowane są na przyjmowaniu zmiennej taktyki działania za brak zasadniczych założeń. Analiza faktów pozwala ustalić, że już co najmniej w połowie 1941 roku Stalin miał pierwszy zarys planu, w jaki sposób podporządkować sobie w przyszłości Polskę. Dla przykładu tylko można wspomnieć o grupowaniu w rozmaitych instytucjach niektórych dawnych działaczy KPP, o przetrzymywaniu w pozornie wypoczynkowych warunkach setki byłych żołnierzy z „hiszpańskiej” Brygady im. Dąbrowskiego, czy o słynnej „willi szczęścia” dla kilkunastu oficerów z Berlingiem na czele.

Obiektywnie można przyznać, że plany swoje rozwijał wytrwale i z dużą zręcznością, wprowadzając często w błąd zachodnich Aliantów. Nie zawsze też potrafili grę taktyczną Stalina wyczuwać lub rozumieć komuniści polscy. Stalin chytrze sondował, kiedy i w jakim stopniu może posunąć realizację swych zamiarów naprzód. Swoje oficjalne żądania w sprawie polskiej potrafił modyfikować stosownie do aktualnej sytuacji. Chwilami udawał skłonnego do ustępstw i szukającego prawdziwego porozumienia. Później znów stawał się brutalny i nieustępliwy. Grę prowadził w ten sposób, by zmusić faktycznie Aliantów do daleko idącej ustępliwości i nawet kapitulacji w sprawie polskiej.

Niemal natychmiast po przekreśleniu pomysłu tworzenia Polskiego Komitetu Narodowego, w styczniu 1944 roku, Mołotow w rozmowie z ambasadorem USA Harrimanem przedstawia wizję przyszłego rządu polskiego (pod przewodnictwem Mikołajczyka), który mógłby uzyskać współpracę Związku Sowieckiego. W rządzie takim mogliby się znaleźć niektórzy członkowie obecnego gabinetu Mikołajczyka obok wybitnych Polaków ze Stanów Zjednoczonych i spośród Polaków znajdujących się w Rosji. Już wtedy padają nazwiska prof. Lange, księdza Orlemańskiego i Krzyckiego. Harriman ten próbny balon traktuje na serio, nie widząc nic dziwnego w tym, że do rządu polskiego mieliby wejść obywatel amerykański i że Mołotow nie przewiduje w tym zespole działaczy z kraju, o którego walce podziemnej Roosevelt dobrze wiedział.

Trzeba przyznać, że strona polska trzeźwo oceniała sytuację i trafnie wyczuwała plany Stalina. 6-go lutego na konferencji z Churchilllem w Chequers Mikołajczyk zwracał uwagę Churchilla na utworzenie przez przywódców PPR Krajowej Rady Narodowej jako ważnego pionka na szachownicy politycznej w przyszłej rozgrywce Stalina. Mikołajczyk jednocześnie — w oparciu o otrzymane wiadomości — poinformował Churchilla, że Rosja jeszcze przed przekroczeniem linii Curzona zamierza powołać Komitet Wyzwolenia Narodowego. Po przekroczeniu zaś tej linii utworzona właśnie KRN powoła jakiś „polski rząd”. Angielscy uczestnicy konferencji — jak wynika z protokołu — nie kwestionowali

przewidywać Mikołajczyka. Jedyne sposoby, by tego uniknąć, widzieli w dojściu do polsko-sowieckiego porozumienia na warunkach proponowanych przez Stalina.

O zamiarze powołania jakiegoś przejściowego rządu czy władz administracyjnych zaczyna się już mówić w środowisku Związku Patriotów i w wojsku Berlinga. Ambasador Harriman w swym raporcie do Sekretarza Stanu z dn. 27 marca w oparciu o wiarygodne — jak to określa — źródła, donosi o konferencji, zorganizowanej 21 marca w Moskwie przez generała Berlinga. Uczestniczyło w niej 16 czołowych osobistości ze Związku Patriotów Polskich i z I-ej Armii.

W związku z rozwojem wydarzeń na froncie Berling akcentował konieczność powołania jakichś organów do przejęcia administracji na ziemiach polskich. Podkreślał, że rząd powołany w Polsce musi być „narodowy”, to znaczy rząd społeczeństwa i wojska. Zebranie nie powzięło żadnych decyzji, gdyż nosiło charakter tylko wstępnych rozważań.

Informator Ambasady amerykańskiej nie mógł ustalić, czy istnieją rzeczywiście zamiary utworzenia rządu polskiego w Rosji. Przypuszczał jednak, że na terenach na zachód od linii Curzona będą utworzone jakieś polskie władze administracyjne.

Stalin nie zapominał o pomysłach wprowadzenia do rządu polskiego Polaków z Ameryki. Na jego zaproszenie w pierwszej połowie maja przybyli do Rosji prof. Lange i ksiądz Orlemański. Było to zreżne z punktu widzenia rosyjskiego posunięcie propagandowe. Istotne zwłaszcza znaczenie miała wizyta Langego. Naukowiec, a nie polityk, bezkrytycznie chwycił zręcznie mu podsuwane argumenty. Pozwolono mu na szczere rozmowy z polskimi żołnierzami, co skłoniło go do mniemania, że niczego się przed nim nie ukrywa. Bez trudu uwierzył w dobre intencje Stalina i nie potrafił zorientować się w jego istotnych zamiarach i w roli, jaką w ich wykonaniu ma spełnić Armia Berlinga i komuniści, działający na razie pod szyldem ZPP. Relacje Oskara Langego po powrocie do Ameryki wywołały wiele zamętu i szkód politycznych. Stalin mógł być zadowolony, że w tak prosty sposób powiodła mu się akcja dezinformacyjna wobec Aliantów.

Przedstawiciele KRN w Moskwie

Tuż przed odjazdem Langego z Rosji, do Moskwy przybyła 16 maja pierwsza delegacja Krajowej Rady Narodowej. Miała do wykonania dwa główne zadania polityczne: uzyskanie uznania i poparcia Stalina dla KRN i PPR oraz podważenie zaufania Aliantów do znaczenia i siły Polski Podziemnej, to jest Delegatury

Rządu, Rady Jedności Narodowej i Armii Krajowej. Wtórny zadaniem było umocnienie na Kremlu pozycji PPR i KRN, którą wyraźnie pomniejszało Centralne Biuro Komunistów Polskich, mające ambicje odgrywania roli decydującej również w sprawach krajowych.

4-osobowa delegacja była złożona z ludzi miernego kalibru. Czołowym przedstawicielem PPR był Marian Spychalski, a drugim członkiem PPR — Kazimierz Sidor, prowincjonalny aktywista z Lubelszczyzny. Dwaj inni delegaci pochodzili z rozłamowej frakcji Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, która weszła do KRN. Jan Haneman był przedwojennym działaczem socjalistycznym, a Edward Osóbka-Morawski był w Warszawie znany w niewielkim gronie spółdzielców mieszkaniowych. Doświadczeniem politycznym i partyjnym członkowie Centralnego Biura zdecydowanie górowali nad delegacją.

Koniunktura polityczna działała jednak na korzyść delegatów. Ich przyjazd w tym momencie bardzo Stalinowi odpowiadał, jako doskonały atut propagandowy. Czym prędzej zorganizowano spotkanie delegacji z Langem, by mógł z sobą wywieźć dodatkowe wrażenia i niesprawdzone relacje składane przez wysłanników KRN. I rzeczywiście Lange dużo mówił na Zachodzie o KRN i PPR.

Stalin dwukrotnie — 19 i 22 maja — przyjął na Kremlu przybyszów z Polski. Demonstracyjnie okazywał im swoją sympatię, ale był ostrożny w zobowiązaniach. Zgłoszoną przez delegatów prośbę oficjalnego uznania KRN przez Związek Sowiecki przyjął do wiadomości, ale jej załatwienie odłożył na później. Na razie powiedział im tylko: „Możecie być przekonani, że rząd londyński w tym składzie jak dziś nie będzie nigdy przez ZSRR uznawany”. Mołotow zresztą dodał zaraz, że uznanie KRN natrafiłoby na sprzeciw Aliantów, związanych z Rządem Polskim.

Stalin oddziaływał mitygująco na rozległe plany reform w Polsce, przedstawiane mu przez delegację. Zalecał unikanie zbyt pochopnych decyzji dla niestwarzania sobie gospodarczych trudności wewnętrznych i międzynarodowych. Gdy poruszano sprawę przyszłego rządu tymczasowego, Stalin podkreślił, że nie można wszystkich emigrantów uważać za straconych i trzeba pamiętać, że w armii Andersa jest wielu dobrych oficerów. Uważał, że KRN powinna wyłonić jakiś czynnik wykonawczy, zdolny do praktycznego działania.

Stalin nie chciał dalszych rozmów z delegacją i wyprawił ją na dwutygodniowe odwiedziny Armii Polskiej. Było to posunięcie celowe. Pożyteczne dla formowania nastrojów w wojsku Berlinga przez podkreślenie ich związku z krajem. Potrzebne również dla

przygotowania wygrania tej nowej karty politycznej wobec Aliantów. Nadanie rozgłosu KRN i wykazanie, że jakiś nowy polityczny czynnik krajowy szuka poparcia w Moskwie, wymagało pewnych przygotowań.

Pod koniec maja ambasadorowie amerykański i brytyjski w Moskwie dowiadują się, że delegacja KRN będzie chciała ich prosić o rozmowy. Synchronizacja akcji jest sprawna, gdyż 26 maja ambasador Gusiew zjawia się u ministra Edena, by poinformować go o ważnym wydarzeniu politycznym, jakim jest przybycie do Moskwy przedstawicieli Krajowej Rady Narodowej w Polsce. Podkreśla, że delegacja chce nawiązać przyjazne stosunki ze wszystkimi trzema państwami sojusznikowymi i prosić o pomoc w uzbrojeniu do walki z Niemcami. Zachowując formy obiektywizmu, ambasador Gusiew przedstawia wpływy i program KRN w sposób niezwykle pozytywny, pomijając przy tym całkowicie ścisły związek KRN z komunistyczną PPR.

Na Edenie ta prezentacja nie robi większego wrażenia i wyraża tylko pewne zdziwienie, że chociaż znając sprawy polskie, dopiero teraz słyszy o działalności KRN.

27 maja ambasador sowiecki w Waszyngtonie Gromyko zgłasza się do Sekretarza Stanu Hulla, by z polecenia swego rządu poinformować go o przybyciu do Moskwy delegacji Krajowej Rady Narodowej. Mówi, że KRN jest gotowa współpracować z polskimi władzami w Londynie, choć nie wszyscy ludzie w nich zasiadający im odpowiadają. KRN pragnie nawiązać stosunki z trzema rządami i prosić o broń do walki z okupantem. W odpowiedzi swej Hull uznał za rzecz trudną i skomplikowaną utrzymanie przez rząd Stanów Zjednoczonych politycznych stosunków z KRN.

W rezultacie jednak tych zabiegów w Moskwie, Londynie i Waszyngtonie w czerwcu — po powrocie delegacji z I-ej Armii — doszło do rozmów ambasadora Harrimana i Kerra z wysłannikami KRN. Nadesłane przez nich raporty wskazują na pewien sceptycyzm Kerra i polityczną naiwność Harrimana, biorącego za dobrą monetę typowe inspiracje polityczne, podsuwane mu przez rozmówców z KRN.

Trudno zrozumieć, dlaczego Alianci dawali taki kredyt polityczny KRN, traktując ją jako czynnik równorzędny z całą Polską Podziemną, chociaż w przeszłości nie brakowało im dowodów, jaka jest siła polskiego podziemia, związanego z Londynem i jak nikłe są w kraju wpływy komunistyczne. W każdym bądź razie sprytna rozgrywka Stalina doprowadziła do zamierzonego celu i KRN zyskała polityczną nobilitację jako ważny czynnik, który należy brać w rachubę przy rozwiązywaniu „sprawy polskiej”.

Przylot do Moskwy 6 lipca drugiej grupy delegatów KRN nie wywołał za granicą większego wrażenia. Opinia o KRN była już urobiona, a przybycie trzech dalszych jej członków dodatkowo opinię tę wzmacniało.

Z punktu widzenia interesów PPR pojawienie się dalszych wysłanników KRN w stolicy Związku Sowieckiego było faktem podwójnie korzystnym. W oczach Stalina dodawało PPR znaczenia, a w rywalizacji z Centralnym Biurem Komunistów Polskich w Rosji umacniało pozycję czynników krajowych. Tej drugiej delegacji prestiżu dodawał autentyczny generał — Michał Żymierski, a towarzyszący mu Stanisław Kotek-Agroszewski i Jan Czechowski, jako ludowcy byli żywym dowodem propagandowym, pozwalającym na utrzymanie pozorów, że KRN ma oparcie w „masach chłopskich”.

Grupa Żymierskiego przybyła w momencie, gdy już się zaczynały intensywne konferencje i narady między Centralnym Biurem Komunistów, Związkiem Patriotów i delegacją KRN, której skład powiększyli.

Planowane było wysłanie jeszcze innych przedstawicieli KRN i PPR do Moskwy, ale do skutku nie doszło. Widocznie władzom sowieckim już na tym nie zależało.

Rozmowy z Gusiewem i Lebediewem

W parę dni po przyjeździe pierwszej delegacji KRN do Moskwy, w okresie poprzedzającym wyjazd Mikołajczyka do Stanów Zjednoczonych na rozmowy z Rooseveltem, z inicjatywy ambasadora sowieckiego przy rządach emigracyjnych — Lebediewa, doszło w Londynie do rozmów polsko-sowieckich. W ówczesnej fazie stosunków pomiędzy Rządem Polskim a Moskwą ta inicjatywa była polityczną niespodzianką. Jak się później okazało, było to jednak wyłącznie taktyczne posunięcie Stalina, traktowane jako kolejna rozgrywka.

Takich spotkań z Lebediewem było sześć. W ciągu trzech pierwszych — 20 i 31 maja oraz 10 czerwca rozmawiali z sobą tylko Grabski i Lebediew. W następnych trzech — 20, 22 i 23 czerwca — po powrocie z Waszyngtonu uczestniczył również Mikołajczyk.

(Pełny tekst relacji Grabskiego z tych rozmów został ogłoszony w Nrze 22 *Zeszytów Historycznych*. W tłumaczeniu angielskim relacja Grabskiego — obejmująca również jego rozmowę z Beneszem 2 czerwca — znajduje się w archiwum Foreign Office w Londynie. Władze brytyjskie były przez stronę polską informowane o przebiegu rozmów z Lebediewem).

Początkowo Lebediew wykazywał ton pojednawczy i dopiero w ostatniej rozmowie, 23 czerwca, powołując się na decyzję Stalina przedstawił stronie polskiej ostre i kategoryczne warunki, od których przyjęcia Kreml uzależniał nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Rządem Polskim. Lebediew żądał m.in. usunięcia ze stanowisk prezydenta Raczkiewicza, generałów Sosnkowskiego i Kukiela oraz ministra Kota, rekonstrukcji Rządu Mikołajczyka przez wprowadzenie do niego przedstawicieli KRN, Związku Patriotów Polskich i Polaków ze Stanów Zjednoczonych, oraz potępienia polityki dotychczasowego Rządu w sprawie Katynia.

Po wysłuchaniu tego ultimatum Mikołajczyk stwierdził, że dalsze rozmowy z Lebediewem są bezcelowe.

Zupełnie niezależnie od rozpoczętych konferencji Grabskiego z Lebediewem, 1 czerwca wieczorem Winston Churchill w towarzystwie ministra Edena i przedstawiciela Labour Party — Bevina spotkał się na obiedzie z ambasadorem sowieckim Gusiewem. Obecny był na nim również ambasador amerykański Winant. W toku politycznej dyskusji Churchill i Bevin poruszyli sprawy polsko-sowieckie. Z notatki Edena, znajdującej się w archiwach Foreign Office, warto przytoczyć najbardziej charakterystyczny fragment tej dyskusji:

„... Premier i Mr. Bevin bardzo stanowczo mówili p. Gusiewowi o konieczności dojścia do porozumienia rządu sowieckiego z rządem polskim. Premier podkreślał, że Rosja będzie osądzana przez świat stosownie do metod, jakich by użyła w doprowadzeniu do tego porozumienia.

Mr. Bevin powiedział, że Brytyjska Partia Pracy, w imieniu której zabiera głos, ma wielkie współczucie dla Polaków i według jej opinii Rosjanie ostatnio nie traktują ich właściwie. Rosyjska propaganda wywołała ich podejrzliwość.

Premier potwierdził to mówiąc, że opowiadanie o Rządzie Polskim jako o zespole obszarników, kapitalistów i temu podobnych — to banialuki, które nikogo nie przekonają.

Mr. Bevin utrzymywał, że Rosjanie powinni być zadowoleni z linii Curzona, pozostawiając Lwów Polakom”.

W parę dni po tym obiedzie z Gusiewem, 6 czerwca, Churchill otrzymał optymistyczną notatkę ministra Edena o dwóch pierwszych rozmowach Grabskiego z Lebediewem. Akta Foreign Office wykazują sceptycyzm Churchilla co do istotnych zamiarów Lebediewa. Wygląda to zbyt dobrze, by było prawdziwe — odpisał Churchill Edenowi, wyrażając nadzieję, że dopiero drugi front może doprowadzić do wyraźnego polepszenia stosunków między Rosją i zachodnimi Aliantami.

Mimo braku optymizmu Churchill — jak to było widać z rozmowy z Gusiewem — nie rezygnował z wywierania nacis-

ków na Rosję. Jako doświadczony polityk zdawał sobie sprawę z istotnych zamiarów Stalina i rozumiał, że należy z nim mówić z pozycji siły. Wręcz odmiennie postępował Roosevelt. Wiedział, że zaniepokojenie Stalina wywołuje wizyta Mikołajczyka w Waszyngtonie, która mogłaby „usztynić” stanowisko Ameryki. Wbrew swym deklaracjom składanym Mikołajczykowi Roosevelt natychmiast uspakaja obawy Stalina.

W swym liście z 17 czerwca daje właściwie Stalinowi wolną rękę w decyzjach wobec Polski i nie wykazuje najmniejszych zamiarów ingerencji własnej w tych sprawach. Z listu wynika, że Stalin może „zmiękczać” Mikołajczyka, który rozumie konieczność dobrych stosunków z Rosją.

List Roosevelta wędrował na Kreml drogą pośrednią, co trwało zapewne parę dni. Można więc przyjąć, że ultimatum, które Lebediew zakomunikował Mikołajczykowi 23 czerwca, było mu z Kremla przekazane już po otrzymaniu listu Roosevelta.

24 czerwca Stalin podziękował Rooseveltowi za tak ważny dla siebie list. Mógł teraz spokojnie zabrać się do rozgrywania kolejnego etapu „sprawy polskiej”.

Narady w Moskwie

Jak to już mówiliśmy, Stalin systematycznie ale stopniowo realizował swój plan politycznego podboju Polski. W miarę możliwości każde posunięcie starannie przygotowywał i dobierał takie metody działania, by stwarzać formalne pozory, że tylko okoliczności oraz inicjatywy ze strony „polskiej” zmuszają go do jakiegoś nowego kroku na drodze do swego ukrytego celu. Tym razem okoliczności były jasne — przesunięcie się frontu na ziemię polskie. Inicjatywa też się znalazła. Delegacja rachitycznej w gruncie rzeczy KRN mogła być wykorzystana jako „poważny” czynnik krajowy, apelujący do Stalina o pomoc.

W ten sposób — wbrew pierwotnym obawom Gomułki i jego towarzyszy z PPR — KRN nie tylko znalazła aprobatę Kremla, ale w wewnętrznej konstelacji komunistycznej zyskała zdecydowaną przewagę nad Związkiem Patriotów. Centralne Biuro Komunistów Polskich nadal zachowało swoje wpływy, lecz zaczęło tracić rolę ośrodka samodzielnego — musiało przedstawiać się na kraj i myśleć o zabezpieczeniu swoich personalnych pozycji w organizacyjnej hierarchii PPR.

Obserwacja wydarzeń w Moskwie w drugiej połowie czerwca i w ciągu lipca wskazuje, jak wiele czasu i drobiazgowej nieraz uwagi poświęcał Stalin przygotowaniu — zamaskowanemu inną nazwą — „swego” rządu polskiego. W licznych spotkaniach i

konferencjach z Polakami dawał im mnóstwo wskazówek i pouczeń. Jego polscy partnerzy z dawnej KPP byli onieśmieleni i ślepo posłuszni. Na wyrażanie własnego stanowiska i odmiennej opinii zdobywali się w rozmowach ze Stalinem tylko ci, którzy nie mieli przeszłości komunistycznej. Tacy, jak Andrzej Witos, niezawsze zrównoważony Bolesław Drobner, Żymierski, a nawet — niezbyt obdarzony polityczną błyskotliwością — Osóbka-Morawski.

Te wszystkie decyzje, projekty i przygotowania odbywały się w szybkim — czasami wręcz gorączkowym — tempie. Mnożyła się też ilość spotkań ze Stalinem. Coraz wyraźniej jako główny czynnik występowała delegacja KRN. Tę sytuację może odtworzyć ujęcie kalendarzowe.

22 czerwca

Konferencja delegacji KRN u Stalina i Mołotowa na Kremlu. Mołotow zapoznał Polaków z dotychczasowym przebiegiem rozmów Grabskiego i Mikołajczyka z Lebediewem w Londynie i dał im do przeczytania sprawozdania ambasadora. Stalin poinformował delegatów, że zbliża się data przekroczenia Bugu przez Armię Czerwoną i Polacy powinni być przygotowani na przejęcie administracji na „terenach wyzwolanych”. Musi powstać jakiś ośrodek wykonawczy, którego podstawą powinien być kraj, a zwłaszcza KRN. Władze sowieckie dadzą takiemu ośrodkowi pełne poparcie.

Osóbka-Morawski określił tę konferencję jako „bardzo szczerą i serdeczną”. W liście wysłanym do KRN zaznaczał, że główne ministerstwa i dowódca naczelny powinny być obsadzone przez ludzi z kraju. (Wskazywało to na wzrastającą przewagę czynnika krajowego nad ZPP i Centralnym Biurem).

12 lipca

Wspólne posiedzenie prezydium Zarządu Głównego ZPP i występujących już razem obu delegacji KRN. Główny temat polityczny: dyskusja w sprawie powołania naczelnego organu władzy wykonawczej w Polsce i jednolitych sił zbrojnych. Nie precyzując jeszcze form organizacyjnych przyszłej władzy wykonawczej, przyjęto zasadę, że powinna ona powstać *przed wkroczeniem* do kraju armii gen. Berlinga. Władza ta ogłosi utworzenie Wojska Polskiego, w skład którego wejdzie armia Berlinga i peperowska Armia Ludowa.

15 lipca

Stalin przyjął na Kremlu gen. Żymierskiego, który informował go o sytuacji politycznej w Polsce (opuścił ją w trzy miesiące po pierwszej delegacji) i prosił o należyte zaopatrzenie w sprzęt wojskowy oddziałów AL. Żymierski poruszał również sprawę granicy zachodniej wysuwając postulat, by na odcinku południowym przebiegała ona wzdłuż Nysy Łużyckiej (a nie Nysy Kłodzkiej).

Komuniści polscy wbrew poprzednim obiekcjom Mołotowa przeciwko tworzeniu formalnego rządu polskiego powrócili znów do tej myśli. Zapewne uważali, że uda im się uzyskać na to zgodę Stalina w obecnej, korzystnej dla nich koniunkturze. Nie rozumieli jednak, że polityczna gra Stalina nie jest tak prymitywna, by narażać się na nowy konflikt z Aliantami przez nadawanie nazwy „rządu” zespołowi, który i bez tego tytułu będzie sprawował władzę w Polsce z jego ramienia.

Osóbka-Morawski i Wanda Wasilewska, występując jako pełnomocnicy KRN i prezydium ZPP, napisali 15 lipca memoriał do Stalina „w sprawie konieczności stworzenia Tymczasowego Rządu Polskiego”. Ważniejsze punkty tego memoriału głoszącego, że sytuacja dojrzała całkowicie do powołania takiego rządu, tak uzasadniały ten wniosek:

„Po pierwsze: wkroczenie Armii Czerwonej na terytorium Polski w warunkach nieistnienia Tymczasowego Rządu Polskiego zostanie natychmiast wykorzystane przez wrogie elementy zarówno w Polsce, jak i zagranicą dla przedstawiania wejścia Armii Czerwonej jako początku 'okupacji rosyjskiej'.

Po drugie: stworzenie Tymczasowego Rządu Polskiego podcina podstawy tajnej administracji polskiego rządu emigracyjnego w Polsce i jego organizacji wojskowych, przyspieszy rozkład obozu reakcyjnego w Polsce i na emigracji, a z drugiej strony przyspieszy konsolidację obozu demokratycznego i podniesie jego autorytet w kraju i za granicą.

Po trzecie: stworzenie Tymczasowego Rządu Polskiego da możliwość oparcia stosunków między Związkiem Radzieckim a Polską na podstawach umów międzynarodowych. Najpilniejsza jest sprawa zaakceptowania przez Tymczasowy Rząd Polski linii Curzona jako podstawy dla ustalenia granic między Polską a ZSRR, jak również jako linii demarkacyjnej między administracją radziecką i polską. Ustanowienie administracji radzieckiej na terenach na zachód od linii Curzona (na przykład w zachodniej części obwodu białostockiego) grozi osłabieniem pozycji obozu demokratycznego i osłabi zaufanie społeczeństwa polskiego do Związku Radzieckiego.

Po czwarte: stworzenie Tymczasowego Rządu Polskiego da możliwość połączenia Polskich Sił Zbrojnych w Polsce i w ZSRR pod wspólnym dowództwem, co stanowi całkowicie niezbędny warunek uniknięcia poważnych komplikacji i szkodliwego separatyzmu.

Po piąte: stworzenie Tymczasowego Rządu Polskiego da możliwość natychmiastowego przeprowadzenia mobilizacji w Polsce przez polskie władze rządowe, co jedynie jest celowe...”

Ten „tymczasowy rząd” miał być odpowiedzialny przed Krajową Radą Narodową i składać się z przedstawicieli KRN, Związku Patriotów, a w dalszej kolejności również i z członków „organizacji demokratycznych w kraju i za granicą”.

Intencje Osóbki-Morawskiego i Wasilewskiej wyrażone w pięciu powyższych punktach mówią same za siebie. Na marginesie punktu piątego można tylko zauważyć, że natychmiastowa mobilizacja była przede wszystkim pomyślana jako posunięcie polityczne, „oczyszczające” teren z przeciwników narzuconego rządu.

Wśród historyków partyjnych są pewne sprzeczności co do genezy tego memoriału i jego losów. Mówi się więc, że Centralne Biuro Komunistów było inspiratorem memoriału i popierało jego koncepcję. Centralne Biuro miało też memoriał ten przesłać do Centralnego Komitetu WKP(b). Wiadomo, że dotarł on do rąk Stalina, ale nie wiadomo, czy bezpośrednio czy za pośrednictwem WKP(b). Brak też informacji, jaka była reakcja Stalina. Z relacji ze spotkań z nim po dacie wysłania memoriału wynika, że odrzucił koncepcję tymczasowego rządu, a mówiąc o jakimś organie wykonawczym najczęściej używał nazwy „Komitet Wyzwolenia Narodowego”.

16 lipca

W plenarnym posiedzeniu Zarządu Głównego ZPP wzięli również udział 4 delegaci KRN. Dyskutowano nad sprawami przyszłego ustroju Polski, lecz dyskusję odroczono do czasu uzgodnienia w tej sprawie stanowisk przez komisję programową, złożoną z przedstawicieli KRN i ZPP.

W referacie politycznym wygłoszonym na plenum Witos podkreślał wagę powstającego zjednoczenia dwu ośrodków politycznych: w kraju i na emigracji w ZSSR. Opowiadał się również za powołaniem rządu tymczasowego: „Dojrzał czas — mówił — aby polska demokracja wzięła w swe ręce odpowiedzialność za losy narodu. Jesteśmy przekonani, że KRN, skupiając wokół siebie wszystkie demokratyczne siły w kraju i poza granicami kraju, weźmie na siebie w tym historycznym momencie inicjatywę stworzenia Rządu Tymczasowego”.

17 lipca

Na Kremlu odbyło się spotkanie delegacji KRN ze Stalinem. Omawiano sprawę wyłonienia Komitetu Wyzwolenia Narodowe-

go i zorganizowania polskiej administracji na terenach „wyzwolonych”.

18 lipca

Na plenarnym posiedzeniu Zarządu Głównego ZPP wspólnie z delegacją KRN w dalszym ciągu omawiano sprawę naczelnej władzy wykonawczej w Polsce i zapoznano się z memoriałem (Osóbki-Morawskiego i Wasilewskiej) z 15 lipca, skierowanym do Stalina w sprawie „Tymczasowego Rządu Polskiego”. Założenia jego uznano za słuszne, ale jednocześnie zrozumiano, że tworzenie organu wykonawczego w formie rządu jest w obecnej sytuacji politycznej niemożliwe, jako sprzeczne z planami Stalina. Na wniosek Witosy zmodyfikowaną treść memoriału z 15 lipca zatwierdzono jako dokument uzasadniający powołanie do życia władzy wykonawczej pod nazwą „*Delegatura Krajowej Rady Narodowej dla terenów wyzwolonych Polski*”.

Na wniosek gen. Żymierskiego wybrano 3-osobową komisję (Osóbka-Morawski, Witos, Berman) dla przedstawienia listy kandydatów do „Delegatury”, która miała liczyć 11 resortów. Faktycznie miały to być ministerstwa, lecz dla celów kamuflażowych nazywano je resortami.

Kandydatury zgłoszone przez komisję zostały jednomyślnie zatwierdzone. Prezesem Delegatury został Osóbka-Morawski, a wiceprezesami — Witos i Wasilewska.

Przygotowano również projekt dekretu KRN w sprawie utworzenia jednolitego wojska polskiego i propozycje obsady naczelnego dowództwa. Generał Żymierski miał zostać naczelnym dowódcą, jego zastępcą — gen. Berling, a zastępcą do spraw polityczno-wychowawczych — gen. Aleksander Zawadzki.

19 lipca

Utworzenie Delegatury Stalin uznał za słuszne. Konieczne — jego zdaniem — było „stworzenie polskiego organu o charakterze rządowym”.

Jednocześnie szef rządu sowieckiego wypowiedział szereg uwag krytycznych i dał sporo wskazówek swoim polskim rozmówcom.

„Jesteście wciąż nielegalni i nie umiecie przejść na nowe państwowe tory, spóźniacie się z tym — mówił Stalin, nawiązując do sprawy Delegatury. — Trzeba, aby taki organ powstał jak najprędzej. Może on ulokować się bądź w jednym z pogranicznych miast radzieckich — na przykład w Równem lub Kowlu — bądź w jednym z miast na wyzwolonym terytorium

Polski. Trzeba, żeby jak najprędzej ukazała się gazeta, będąca organem prasowym Delegatury. Jak tylko zostanie podane do wiadomości publicznej, że Delegatura zorganizowała się, zostanie między nią a Rządem Związku Radzieckiego zawarta umowa o linii demarkacyjnej między administracją radziecką a administracją polską”.

(Tak cytuje słowa Stalina z protokołu rozmowy Jerzy Pawłowicz w swej „Strategii Frontu Narodowego PPR”).

Stalin dawał jeszcze inne pouczenia przedstawicielom KRN, krytykując ich brak pewności siebie. Miał im za złe, że pozwolili, aby ZPP ogłosiło, że „uznaje” zwierzchnictwo KRN. Powinno być przecież odwrotnie. To KRN powinna ogłosić, że „podporządkowuje sobie ZPP i Armię Polską w ZSSR. Trzeba, żeby KRN pokazała zęby”.

Skutek tego monitu był błyskawiczny. Już nazajutrz 20 lipca ogłoszono, że KRN objęła zwierzchnictwo nad Związkiem Patriotów, a 21 lipca przyjęła zwierzchnią władzę nad armią Berlinga.

20 lipca

Rano rozpoczęło się pierwsze (a było ich w tym dniu trzy) posiedzenie Delegatury KRN. W pierwszym punkcie porządku dziennego obrad Osóbka-Morawski składał sprawozdanie z konferencji w dniu poprzednim u marszałka Stalina na Kremlu. Następnie powzięto uchwałę o wydawaniu organu KRN w postaci dziennika pt. „*Rzeczpospolita*”. Na redaktora naczelnego powołano Jerzego Borejszę.

W związku z pilnymi pracami, czekającymi Delegaturę, powołano szereg komisji. Opracowaniem manifestu Delegatury mieli się zająć: Witos, Drobner, Wierbłowski, Spychalski i Berman.

Do komisji, która miała przygotować projekt umowy o administracji objętych przez Delegaturę terenów, weszli: Osóbka-Morawski, Kotek-Agroszewski, Sommerstein, Szyr, Borejsza, Grubecki i Berman.

Powołano również komisję dla spraw gospodarczych w składzie: Hanneman, Grubecki, Minc, Werfel. Do komisji wojskowej weszli: Żymierski, Spychalski i Czechowski.

Po spotkaniu przedstawiciele komisji z sowieckim wiceministrem spraw zagranicznych, Andrzejem Wyszyńskim, na popołudniowym posiedzeniu Delegatury dyskutowano i zatwierdzono projekt umowy o administracji na terenach „wyzwolonych”.

Pomiędzy spotkaniem popołudniowym a wieczornym nastąpiła interwencja Mołotowa. Sprzeciwiał się nazwie „Delegatura” uważając, że pomniejsza ona rangę samej instytucji i „proponował”

przyjęcie nazwy „Komitetu Wyzwolenia Narodowego”, która przypominałaby podobne ciała reprezentatywne w takich krajach, jak Jugosławia czy Francja. Życzenie Mołotowa było więcej niż „życzeniem”. W ten sposób wieczorem 20 lipca „Delegatura” zakończyła swój żywot, a w rezultacie dalszych uzgodnień z czynnikami sowieckimi powstał „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”. Zmiana dotyczyła zasadniczo tylko samej nazwy z tym, że przy tej sposobności zwiększono ilość resortów PKWN i zarezerwowano pięć miejsc dla działaczy przybywających wówczas w kraju.

W tym czasie projektowano ogłoszenie powstania PKWN w Tomaszowie Lubelskim przewidując, że to miasto będzie szybko uwolnione od Niemców. Stało się jednak inaczej. Chełm wcześniej został zajęty i jemu przyznano rolę fałszywej kolebki PKWN.

21 lipca

Przez cały dzień pracowała komisja, powołana dla przygotowania projektu programowego manifestu PKWN. Przedmiotem dyskusji miały być dwa projekty: jeden opracowany przez Bolesława Drobnera, a drugi przygotowany przez Stefana Wierbłowskiego, oparty w dużym stopniu na napisanej przez Alfreda Lampęgo deklaracji programowej Polskiego Komitetu Narodowego (czyli tak zwane „Tezy Nr 3”). Zasadniczo podstawą dyskusji stał się tekst Wierbłowskiego.

W toku dyskusji opuszczono m.in. pierwotne określenie granicy wschodniej jako „linii Curzona”. Uznano to za zbyt drażliwe dla społeczeństwa. Do tekstu manifestu wprowadzono sformułowanie, że granica wschodnia Polski „powinna być uregulowana zgodnie z zasadą: ziemie polskie — Polsce, ziemie ukraińskie, białoruskie i litewskie — radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie”.

Z tych samych względów taktyczno-propagandowych skreślono w części poświęconej reformie rolnej projektowane postanowienia, dotyczące posiadłości kościelnych.

Powołana dnia poprzedniego komisja dla opracowania tekstu ustawy KRN o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (wchodzili do niej: Drobner, Wierbłowski, Spychalski, Minc i Kotek-Agroszewski) zakończyła swe prace. Ustawa nosi datę 21 lipca i podpisana jest przez Bieruta jako przewodniczącego KRN i Osóbkę-Morawskiego jako przewodniczącego PKWN. Jest to oczywiście fikcja prawna, gdyż KRN nic wówczas nie wiedział o decyzjach zapadłych w Moskwie. Jej 7-osobowa delegacja nie miała żadnych uprawnień ustawodawczych.

Dla zachowania pozorów legalności ustawa ta została później ogłoszona 15 sierpnia w Lublinie w Nrze 1 Dziennika Ustaw. Zawierała ona również skład personalny PKWN.

Formalnie więc dzień 21 lipca 1944 jest datą powołania PKWN.

22 lipca

W siedzibie Związku Patriotów Polskich przy ulicy Puszczej w Moskwie odbyło się pierwsze posiedzenie PKWN, na którym po krótkiej dyskusji przyjęto bez żadnych poprawek opracowany dnia poprzedniego „Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego — do Narodu Polskiego”.

W godzinach wieczornych radiostacja moskiewska nadała komunikat o powstaniu PKWN, a w dniach następnych rozgłośnia imienia T. Kościuszki nadawała tekst manifestu, który również wysłano do drukarni polowej, by jak najszybciej jego egzemplarze dotarły do Polski.

Mitologia i fakty

W historycznej publicystyce krajowej na temat PKWN nągminnie powtarzają się stwierdzenia niezgodne z prawdą. Oto dwa tylko przykłady, choć jest ich wiele: „21 lipca 1944 roku w wyzwolonym Chełmie powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”; „22 lipca w wolnym Chełmie rozpoczął działalność Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, wydając swój historyczny manifest do narodu polskiego”.

Z komunikatów Naczelnego Dowództwa Sowietckiego wynika, że Chełm został zajęty po kilkugodzinnych walkach 22 lipca przez oddziały 2-ej Armii Pancernej i VII Korpusu Kawalerii Gwardii. Pierwsze oddziały polskie wkroczyły do Chełma 23 lipca, a członkowie PKWN wylądowali w Chełmie dopiero 27 lipca.

Trudno zrozumieć, dlaczego liczni autorzy — nawet poważniejsi historycy partyjni — operują fałszywymi datami tym bardziej, że nieścisłości tych nie można dziś ukryć.

Faktem jest, że PKWN powstał — za aprobatą i według wskazówek Stalina — w Moskwie. Manifest PKWN został — wbrew legendzie — opracowany i ogłoszony w Moskwie a nie „na wolnym skrawku ziemi polskiej w Chełmie”.

Członkowie PKWN przebywali po 22 lipcu jeszcze przez kilka dni w Moskwie. 23 lipca odbyło się plenarne posiedzenie PKWN, na którym m.in. odrzucono sugestię, by pozostawić w Moskwie

resort spraw zagranicznych PKWN. Na tym posiedzeniu Żymierski oświadczył, że sprawa wspólnego wyjazdu PKWN do Polski jest nagląca. Postanowiono wówczas, iż nastąpi to 25 lipca.

Również 23 lipca PKWN zatwierdził opracowany przez własną komisję projekt porozumienia między Dowództwem Armii Czerwonej i administracją polską. Podpisanie tego porozumienia odwlekało się jednak, gdyż chodziło o dokładne określenie spraw granicznych. Na ten temat odbywały się rozmowy na Kremlu. O jednej z nich wspomina Andrzej Witos. Wraz z nim byli na Kremlu Wasilewska, Osóbka-Morawski i Drobner. Stalinowi towarzyszył Mołotow. Dyskusja była prowadzona nad rozłożoną na stole mapą. Witos i Drobner zgłaszali pewne korektury graniczne na korzyść Polski. Omawiano nie tylko granicę wschodnią ale i zachodnią.

Ostatecznie 25 lipca Stalin zaaprobował propozycje strony polskiej.

26 lipca nastąpiło podpisanie układu o stosunkach między administracją polską a Dowództwem Czerwonej Armii. Następnie odbył się pożegnalny bankiet na Kremlu wydany przez Stalina. Zakończył się o świcie. Członkowie PKWN odjechali na lotnisko, z którego dwa samoloty typu Douglas pod eskortą kilkunastu myśliwców przewiozły ich do Chełma. Wasilewska pozostała w Moskwie dla załatwienia pilnych spraw w Związku Patriotów Polskich. W Moskwie przebywał nadal Stefan Jędrzejowski, a Wincenty Rzymowski wyjechał do Polski w parę dni później. O kilka godzin wcześniej przed główną ekipą PKWN odleciał do Chełma Radkiewicz.

Gdy członkowie PKWN przejeżdżali z lotniska ulicami Chełma do swej siedziby, w magistracie działały władze miejskie ustanowione przez Delegaturę Rządu londyńskiego, a po mieście krążyły patrole AK z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu.

Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

Skonfiskowany Manifest

POLACY W KRAJU I NA EMIGRACJI!
POLACY W NIEWOLI NIEMIECKIEJ!

Rodacy! Wybiła godzina Wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na ziemi ojczystej. Nad

umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary. Naród Polski wita żołnierzy Armii Ludowej, zjednoczonych z żołnierzami Armii Polskiej w ZSRR. Wspólny jest wróg, wspólna walka, wspólne sztandary. Zjednoczeni ku chwale Ojczyzny w jednym Wojsku Polskim, pod wspólnym dowództwem, wszyscy żołnierze polscy pójdą do walki o Wyzwolenie Kraju. Pójdą poprzez Polskę całą, pójdą dalej na zachód, aż na ulicach Berlina powiewać będą polskie sztandary.

TYMCZASOWY PARLAMENT NARODU POLSKIEGO

RODACY! Naród walczący z okupacją niemiecką za Wolność i Niepodległość, stworzył swą reprezentację, Krajową Radę Narodową. Weszli do KRN przedstawiciele stronnictw demokratycznych: ludowcy, demokraci, socjaliści, Polska Partia Robotnicza i inne organizacje. Podporządkowane są KRN organizacje Polonii zagranicznej, a w pierwszym rządzie Związek Patriotów Polskich w ZSRR i stworzona przezeń Armia Polska.

KRN, powołana przez walczący Naród, jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce. Emigracyjny rząd londyński i jego delegatura w Kraju jest władzą samowładną, nielegalną, opierającą się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji 1935-go roku. Rząd ten hamował walkę z okupantem hitlerowskim, swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowej katastrofie.

Dziś w chwili wyzwolenia Polski, w chwili, gdy sojusznicza Armia Czerwona, a wraz z nią Wojsko Polskie, pędzi okupanta z Kraju, musi powstać legalny ośrodek władzy, który poprowadzi walkę aż do zwycięstwa.

TYMCZASOWA WŁADZA WYKONAWCZA

Dlatego KRN, Tymczasowy Parlament Narodu Polskiego, powołał POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO jako legalną Tymczasową Władzę Wykonawczą dla kierowania walką wyzwoleniczą Narodu, dla zdobycia niepodległości i dla odbudowy państwowości polskiej.

Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego działają na podstawie konstytucji z 17 marca 1921 roku, jedynie obowiązującej konstytucji legalnej, obowiązującej prawnie.

Podstawowe założenia konstytucji z 17 marca 1921 roku obowiązywać będą aż do zwołania nowego, wybranego przez głosowanie powszechne, bezpośrednie, tajne, równe i stosunkowe Sejmu Ustawodawczego, który, jako wyraziciel Narodu, uchwali nową Konstytucję.

RODACY! PKWN za naczelne swe zadanie uważa wzmocnienie udziału Narodu Polskiego w walce o zmiążdżenie Niemiec hitlerowskich. Wybiła godzina decydującego odwetu na Niemcach za mękę i cierpienia, za spalone wsie, za zburzone miasta, zniszczone kościoły i szkoły, za oblawy i rozstrzelania, za Oświęcim, Treblinkę, Majdanek, za wymordowanie Getta.

SOJUSZNICZA ARMIA CZERWONA ARMIA WYZWOLENICZA

RODACY! Sojusznicza Armia Czerwona swą bohaterską ofiarnością zadała miażdżące ciosy Niemcom hitlerowskim. Armia Czerwona, jako armia wyzwolenicza, wkroczyła do Polski.

PKWN wzywa ludność i wszystkie podległe mu władze do jak najszybszego współdziałania i współpracy z Czerwoną Armią i do niesienia jej pomocy. Jak najliczniejszy udział Polaków w wojnie zmniejszy cierpienia narodu i przyspieszy koniec wojny.

Chwytajcie za broń, bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich spotkacie, atakujcie transport, pomagajcie żołnierzom polskim i sowieckim!

O NOWY GRUNWALD

Na terenach wyzwolonych wypełniajcie karnie rozkazy mobilizacyjne i spiescie do szeregów Wojska Polskiego, które pomści klęskę wrześniową i wraz z sojuszniczą armią zgotuje Niemcom nowy Grunwald.

Stawajcie o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska, polskich Prus Wschodnich, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą.

Stawajcie do walki o Polskę, której nigdy już nie zagrozi nawała germańska, o Polskę, której zapewniony będzie trwały pokój, możność twórczej pracy i rozkwit Kraju.

POLITYKA ZAGRANICZNA ODRODZONEJ POLSKI

Historia i doświadczenie obecnej wojny dowiodły, że przed naporem germańskiego imperializmu oprzeć się może jedynie zbudowanie wielkiej słowiańskiej tamy, której podstawą będzie porozumienie polsko-sowiecko-czechosłowackie.

Przez 400 lat między Polakami i Ukraińcami, Polakami i Białorusinami i Polakami a Rosjanami trwał okres nieustających konfliktów, ze szkodą dla obu stron. Teraz nastąpił historyczny zwrot. Konflikt ustępuje przyjaźni i bojowej współpracy. Przez współdziałanie Wojska Polskiego z Armią Czerwoną, coraz bardziej zacieśniają się więzy przyjaźni. Przyjaźń i braterstwo broni z Armią Czerwoną winny przekształcić się po wojnie w trwały sojusz i współpracę.

KRN i PKWN uznają, że uregulowanie granicy powinno być rozwiązane w duchu wzajemnego porozumienia. Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą między nami a naszymi sąsiadami i powinna być ustalona zgodnie z zasadą: ziemię polską — Polsce, ukraińską — Sowieckiej Ukrainie, białoruską — Sowieckiej Białorusi, litewską — Sowieckiej Litwie.

Trwały sojusz z naszymi bezpośrednimi sąsiadami, ze Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją, będzie podstawową zasadą polskiej polityki zagranicznej, realizowanej przez PKWN. Braterstwo broni, uświęcone wspólnie przelaną krwią w walce z niemiecką agresją, jeszcze bardziej pogłębi przyjaźń i utrwali sojusz z Wielką Brytanią i ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej.

Polska dążyć będzie do zachowania tradycyjnej przyjaźni i sojuszu z odrodzoną Francją, jak również do współpracy ze wszystkimi demokratycznymi krajami świata. Polska polityka zagraniczna będzie polityką demokratyczną, opartą na zasadzie zbiorowego bezpieczeństwa.

PKWN będzie ustalać systematycznie straty, zadane narodowi przez Niemców i poczyni kroki, aby zapewnić Polsce należne odszkodowanie.

ORGANIZACJA DEMOKRATYCZNEJ ADMINISTRACJI

RODACY! W imieniu KRN, PKWN obejmuje władzę. Na terenach wyzwolonych Polski, uwolnionych od najazdu niemieckiego, ani przez chwilę nie może działać inna administracja prócz polskiej.

PKWN sprawuje władzę poprzez komitety wojewódzkie, powiatowe, miejskie i gminne Rady Narodowe, oraz przez upoważnionych przedstawicieli. Tam, gdzie Rady Narodowe nie istnieją, demokratyczne organizacje obowiązane są natychmiast powołać je do życia, włączając w ich skład Polaków-patriotów, cieszących się zaufaniem ludności, niezależnie od ich poglądów politycznych.

PKWN nakazuje natychmiastowe rozwiązanie organów administracji okupantów. PKWN nakazuje natychmiastowe rozwiązanie i rozbicie tzw. granatowej policji.

Rady Narodowe tworzą niezwłocznie podległą im Milicję Obywatelską, której zadaniem będzie utrzymywanie porządku i bezpieczeństwa.

Zadaniem niezawisłych sądów polskich będzie zapewnienie szybkiego wymiaru sprawiedliwości. Żaden niemiecki zbrodniarz wojenny, żaden zdrajca narodu nie może uciec karze.

PRZYWRÓCENIE SWOBÓD DEMOKRATYCZNYCH I ODBUDOWA KRAJU

RODACY! PKWN przystępuje do odbudowy państwowości polskiej i deklaruje uroczyste przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli, bez różnicy rasy, wyznania, narodowości, wolności organizacji politycznych i zawodowych, prasy i sumienia. Demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogowi demokracji. Organizacje faszystowskie, jako anty-narodowe, tępić będą z całą surowością prawa.

RODACY! Kraj, wyniszczony i wygłodniały, czeka na wielki wysiłek twórczy całego Narodu. Krzywdy, zadane przez okupanta, winny być jak najprędzej naprawione. Własności, zrabowane przez Niemców poszczególnym obywatelom, chłopom, drobnym rzemieślnikom, kupcom, przemysłowcom, instytucjom i Kościołowi, będą zwrócone prawowitym właścicielom.

Majątki niemieckie zostaną skonfiskowane.

Żydom, po bestialsku tępiącym przez okupanta, zapewniona zostanie odbudowa ich egzystencji oraz prawne i faktyczne równouprawnienie.

Majątek narodowy, skoncentrowany w rękach państwa niemieckiego i poszczególnych niemieckich kapitalistów, a więc: przemysłowy, bankowy, handlowy oraz lasy, przejdą pod tymczasowy zarząd państwowy i w miarę uregulowania stosunków gospodarczych, nastąpi przywrócenie właścicielom.

ZIEMIA DLA CHŁOPÓW

RODACY! Aby przyspieszyć odbudowę Kraju i zaspokoić odwieczny pęd do ziemi chłopu polskiego, PKWN przystąpi do natychmiastowego przeprowadzenia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej.

W tym celu utworzony zostanie Fundusz Ziemi, podległy resortowi Rolnictwa i Reform Rolnych.

W skład tego funduszu wejdą ziemie niemieckie, ziemie zdrajców

narodu oraz ziemie gospodarstw obszarniczych ponad 50 ha, a na terenach przyłączonych do Rzeszy, w zasadzie o powierzchni ponad 100 ha.

Ziemie niemieckie i ziemie zdrajców narodu zostaną skonfiskowane. Ziemie gospodarstw obszarniczych, przejęte zostaną przez Fundusz Ziemi bez odszkodowania, ale byli właściciele otrzymają wyższe zaopatrzenie.

Ziemie zebrane, skupione przez Fundusz Ziemi, rozdzielone zostaną między chłopów małorolnych, robotników rolnych i chłopów, obarczonych liczną rodziną.

Ziemie, rozdzielone przez Fundusz Ziemi za minimalną opłatą, jak i dawne ziemie, stanowić będą indywidualną własność.

Fundusz Ziemi tworzyć będzie nowe gospodarstwa, względnie dopełniać gospodarstwa małe, biorąc za podstawę gospodarstwo średnie o powierzchni 5 ha.

POPRAWA BYTU SZEROKICH MAS

RODACY! PKWN stawia sobie jako bezpośrednie zadanie natychmiastową poprawę bytu szerokich rzesz narodu.

Kontyngenty zaborców będą natychmiast zniesione. Zaopatrywania dla potrzeb armii i aprowizacji miast będą przeprowadzone na podstawie polskiej ustawy o świadczeniach wojny.

Świadczenia w naturze będą wydatnie zmniejszone w stosunku do kontyngentów niemieckich.

Płace klasy robotniczej i pracowniczej, utrzymywane przez Niemców na poziomie przedwojennym, zostaną podniesione do norm, zapewniających minimum egzystencji.

Natychmiast rozpocznie się odbudowa i rozbudowa instytucji Ubezpieczeń Społecznych na wypadek choroby, inwalidztwa i bezrobocia oraz ubezpieczenia na starość.

Instytucje Ubezpieczeń Społecznych oparte będą na zasadach demokratycznego samorządu.

Wprowadzone zostanie nowoczesne prawodawstwo w dziedzinie ochrony pracy i zlikwidowania nędzy mieszkaniowej.

Zniesione zostanie prawo niemieckie krępujące działalność gospodarczą, obrót handlowy między wsią i miastem. Państwo popierać będzie inicjatywę prywatną, wzmagając tętno życia gospodarczego — będzie również popierać rozwój spółdzielczości.

RODACY! Jednym z najpilniejszych zadań PKWN będzie na terenach oswobodzonych, odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany.

Polska inteligencja, tępiąca przez najeźdźcę, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki, będą otoczeni specjalną opieką.

JEDNOŚĆ NARODU

RODACY! PKWN dążyć będzie do najszybszego powrotu emigracji do Kraju i podejmie kroki celem zorganizowania tego powrotu.

Jedynie dla agentów hitlerowskich i dla tych, co zdradzili Polskę we wrześniu 1939 roku granice Rzeczypospolitej będą zamknięte.

RODACY! Stoją przed nami gigantyczne zadania. Będziemy je realizowali nieugięcie i zdecydowanie, wbrew warchołom i agentom reakcji, którzy przez prowokowanie walk bratobójczych idą na rękę hitleryzmowi.

Odbudowa państwa, doprowadzenie wojny do zwycięskiego końca i uzyskanie dla Polski godnego miejsca w świecie rozpoczęcie odbudowy zrujnowanego Kraju — oto nasze naczelnne zadania.

Nie można tych zadań urzeczywistnić bez jedności narodowej. Wykuwalismy tę jedność w ciężkiej walce z najeźdźcą. Powstanie PKWN jest dalszym krokiem na tej drodze.

RODACY! PKWN wzywa was do najprędszego wyzwolenia Kraju i rozbicia Niemców! Polacy, do walki! Do broni!

Niech żyje sprzymierzona Armia Czerwona, niosąca Wolność Polsce!

Niech żyją nasi wielcy sojusznicy, Związek Radziecki, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej!

Niech żyje Jedność Narodowa! Niech żyje Polski KWN, reprezentacja walczącego Narodu! Niech żyje Polska Wolna, Silna, Niepodległa, Suwerenna i Demokratyczna!

CHEŁM, 22 lipca 1944 roku.

POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO

A był czas kiedy i cenzorzy...

U C H W A Ł A

PODJĘTA NA OTWARTYM ZEBRANIU PARTYJNYM
PRZY

GŁÓWNYM URZĘDZIE KONTROLI PRASY DNIA 20. X. 1956 ROKU
DECYDUJĄCĄ WIEKŠZOŚCIĄ GŁOSÓW PRZY JEDNYM GŁOSIE
SPRZECIWU I 3 WSTRZYMUJĄCYCH SIĘ

Do

VIII Plenum
Komitetu Centralnego PZPR

Partyjni i bezpartyjni pracownicy Głównego Urzędu Kontroli Prasy w związku z sytuacją, jaka zapanowała w Partii postanowili zwrócić się do VIII Plenum celem wyrażenia swego gorącego poparcia dla przemian demokratycznych oraz tych sił w kierownictwie partyjnym, które je reprezentują.

Uważamy, że uchwały VIII Plenum Komitetu Centralnego i skład nowego kierownictwa partyjnego winny być odbiciem dążeń i nastrojów partyjnych.

Stojąc na stanowisku przyjaźni ze Związkiem Radzieckim uważamy, że stosunki między partiami komunistycznymi i państwami obozu socjalistycznego winny być oparte na leninowskich zasadach równorzędności i suwerenności.

W walce o pełną i konsekwentną demokratyzację naszego życia ogromną

rolę odgrywa prasa. Zespół nasz solidaryzując się w pełni z aktywną walką naszej prasy zmuszony jest jednocześnie do hamowania tej walki.

Ostatnio Główny Urząd Kontroli Prasy stał się administracyjnym regulatorem zdrowej partyjnej dyskusji o drogach i środkach naprawy naszego ludowego państwa.

Praktyka nasza dowodzi, że nie dopuszczamy często do publikowania wypowiedzi komunistów i demokratów podyktowanych troską o Partię, o dobro Polski Socjalistycznej. Wbrew własnemu przekonaniu i sumieniu partyjnemu zmuszeni jesteśmy ingerować w bardzo cenną, naszym zdaniem, dla Partii dyskusję. Konsekwencją naszego postępowania jest fakt, że mógł dojść do głosu Piasecki, nie została natomiast opublikowana mądra i partyjna wypowiedź tow. Łozińskiej na temat reedukacji Partii.

Wątpliwości zespołu cenzorskiego wywołane narzuconą mu rolą tłumiciela krytyki dyskusji były niejednokrotnie przedmiotem burzliwych narad z przedstawicielami Wydziału Propagandy, sektora prasy i ostatnio z sekretarzem Komitetu Centralnego, tow. Jarosińskim.

Spotkania te — miast rozwiązać nasze wątpliwości — przekonały nas, że odpowiedzialni za pracę cenzury przedstawiciele Partii i Rządu aprobując na zamkniętych spotkaniach z nami działalność cenzury, nie występowali i nie wystąpili dotąd z tą samą aprobatą wobec szerokiej opinii publicznej.

Domagaliśmy się zerwania z praktyką, polegającą na administracyjnym kierowaniu prasą przez cenzurę.

Chcąc zapobiec temu, aby cenzura mogła być nadal wykorzystywana jako narzędzie hamowania procesów naprawy i odnowy życia, jako partyjni i bezpartyjni aktywiści nie możemy być obojętni wobec realnie zarysowanego niebezpieczeństwa — zwracamy się do Plenum o zdecydowane poparcie słusznych głosów opinii publicznej, domagających się ograniczenia kompetencji cenzury.

Uważając, że Główny Urząd Kontroli Prasy powołany został do ochrony interesów władzy ludowej przed wrogimi wystąpieniami, co wykonaliśmy i będziemy wykonywać zgodnie z naszym sumieniem partyjnym i obywatelskim, protestujemy jeszcze raz przeciwko narzuconej nam roli, będącej zaprzeczeniem podstawowego zadania.

Proponujemy, by w tej sytuacji powołana została niezwłocznie komisja, która po określeniu zadań i kompetencji cenzury powiadomi o tym opinię publiczną.

Zwracając się do Plenum Komitetu Centralnego Partii jesteśmy głęboko przekonani, że demokratyczne tendencje, wyrażające opinię wszystkiego, co postępowe w Partii i Narodzie — odniosą zwycięstwo.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

List Aleksandra Sołżenicyna „Do przywódców Związku Sowieckiego” wywołał żywe zainteresowanie wszędzie tam, gdzie można go było przeczytać — również i w Związku Sowieckim, gdzie przeważnie słyszano go poprzez radiostacje zachodnie. Jedną z najbardziej poważnych reakcji na ten list było oświadczenie Andrieja Sacharowa, który w wielu punktach krytykował poglądy Sołżenicyna. Ale wśród tych głosów, przez długi czas nie było odpowiedzi adresatów-wodzów. Wreszcie i ona się pojawiła. Dobrze wiadomo, że przywódcy Związku Sowieckiego umieją czytać: przeczytanie czterogodzinnego referatu żadnemu z nich nie sprawia trudności. Natomiast jeśli idzie o umiejętność pisania, to są poważne wątpliwości, których nie rozwiązał nawet II tom „Pism” Leonida Breżniewa. Jak by tam nie było, napisanie odpowiedzi na skierowany do nich list największego współczesnego pisarza rosyjskiego, a jednocześnie na wypowiedź najwybitniejszego sowieckiego uczonego — wodzowie zlecili humoryście, ukrywającemu się pod pseudonimem „I. Pietrow” (*Litieraturnaja Gazeta*, nr 18).

List Sołżenicyna i wypowiedź Sacharowa przedstawiono jako bełkot dwóch pozbawionych rozumu idiotów. „I. Pietrow” jednak na tyle boi się tekstów, które usiłuje wyśmiewać, że — dosłownie — nie cytuje ani jednego pełnego zdania Sołżenicyna czy Sacharowa. Wyrzywa jedno, w najlepszym wypadku dwa słowa, ozdabia je cudzysłowami i usiłuje robić wrażenie, że „cytuje” kryminalne utwory. Najbardziej śmieszne wydaje się „I. Pietrowowi”, że Sołżenicyn — w myśl jego interpretacji — domaga się likwidacji demokracji w Związku Sowieckim i wprowadzenia autorytatywnego ustroju. Dla „I. Pietrowa” nie ma wątpliwości, że sowieccy obywatele nigdy nie zgodzą się na zamianę tego — najbardziej demokratycznego — ustroju w świecie na „autorytatywne rządy”.

Nie miałoby sensu zastanawianie się nad tą żalosną próbą

„odpowiedzi”, gdyby nie wyjaśnienie „I. Pietrowa” dlaczego jednak, mimo wszystko musi wykręcać się i bezwstydnie kłamać. „Dlaczego przytaczamy cały ten bełkot, całą tę dyskusję z zaświatów, z królestwa cieni?” — zapytuje. I odpowiada: „Po prostu trudno nam nie zareagować na zarzuty BBC, że nie podajemy do wiadomości naszych czytelników 'jednej z najważniejszych dyskusji wieku'”.

Dyskusja — jak się okazuje — przybrała takie rozmiary, że nawet „I. Pietrowy” musiały coś odpowiedzieć. Po pierwsze były zmuszone potwierdzić ogrom dyskusji. W artykulu wymienia się: BBC, Głos Ameryki, Deutsche Welle, Radiodiffusion Française, Times itp., itd. Po drugie okazało się, że nawet przy najbardziej gorących chęciach przedstawienia listu Sołżenicyna jako bełkotu, nie bardzo się to udało. „I. Pietrow” musiał podać przy najmniej niektóre propozycje wielkiego pisarza, które niewątpliwie wzbudzą zainteresowanie czytelników *Liternaturnoj Gaziety*: zlikwidować kołchozy, odżegnać się od ideologii marksizmu-leninizmu, rozpocząć duchowe odrodzenie Rosji.

Jeśli można wątpić w pisarskie talenty wodzów, to nie ma żadnych podstaw by powątpiewać w to, że KGB „pisze” znakomicie. I chociaż wziąłem słowo pisze w cudzysłów, to będzie mowa rzeczywiście o pisaniu. O tym jak pracownicy KGB władają piórem w dosłownym tego słowa znaczeniu — opowiedział Aleksander Sołżenicyn w oświadczeniu, wysłanym do korespondenta *Time* 3. 5. br. Ale nim podamy treść tego oświadczenia trzeba cofnąć się w przeszłość. 8. 10. 1970 roku przyznano Sołżenicynowi Nagrodę Nobla. Minęły trzy tygodnie zanim prasa sowiecka podała miarodajne wyjaśnienie tego dziwnego kroku szwedzkiej Akademii. Cała sowiecka prasa napisała, że szwedzcy akademicy dali Nagrodę Nobla Sołżenicynowi na skutek żądań czasopisma *Czasowej*. Gdyby sowieccy czytelnicy mogli zadawać pytania, to niewątpliwie niektórzy z nich zapytaliby w jaki sposób małe emigracyjne pismo rosyjskie, ukazujące się w Brukseli, może zmusić szwedzkich akademików do dania nagrody swemu kandydatowi? Nie mówiąc już o tym, że literackie Nagrody Nobla nie są przyznawane na propozycje czy żądania czasopism. Historia z pismem *Czasowej* okazała się kolejną niedorzecznością, jedną z tych, które często spotykamy w prasie sowieckiej. Oświadczenie Sołżenicyna wykazało, że sprawa była bardziej złożona. KGB miało chytry plan, by złapać pisarza w potrzask. W tym celu specjaliści-grafolodzy zajęli się podrobieniem charakteru pisma Sołżenicyna i w jego imieniu zaczęli wysyłać listy do redaktora pisma *Czasowej*, Wasilija Oriechowa, przewodniczącego „Rosyjskiego Narodowego Zjednoczenia”. Listy te były wysyłane z Pragi. Początkowo wysyłał je pisarz i psychiatra, Józef Nieswadba, a później Ottokar Gorski, mieszkający między sowiecką ambasadą a czeskim KGB. Listy pisane rzeko-

mo przez Sołżenicyna wzywały Oriechowa do Pragi. Sołżenicyn tak wyjaśnia plan KGB: „Niewątpliwie chciano w Pradze zaaresztować jakiegoś przyjezdnego rosyjskiego emigranta, a następnie namotać wokół niego na użytek sądu moje „związki” z organizacjami emigracyjnymi”. Nie trudno sobie ten plan wyobrazić: arestuje się emigranta z listami Sołżenicyna (któż będzie wiedział, że są one fałszywe!), potem arestuje się Sołżenicyna i i oskarża się go o związki z białą emigracją, która za zdradę ojczyzny zapłaciła mu Nagrodą Nobla. KGB i jej poprzednikom — WCzKa i OGPU — udawały się i nie takie plany. Sołżenicyn przekazał korespondentowi *Time* fotokopię fałszywych listów — trzeba zresztą przyznać, że nie tylko charakter pisma został nieźle podrobiony, ale ponadto z różnych listów pisarza, które przeszły przez cenzurę, wybierano typowe zdania i określenia i wstawiano je do sfalszowanych listów.

Współpracownik Heidricha, Hayjocks, opowiadał, że w identyczny sposób zostały przygotowane przez gestapowców rzekome listy Tuchaczewskiego, przekazane następnie Stalinowi, który te „fałszywki” zamówił i że też przeszły one przez Czechosłowację. Jak widać KGB przestrzega tradycji.

Byłoby jednak niesprawiedliwością ograniczenie działalności pisarskiej KGB jedynie do podrobienia listów. Komitet Bezpieczeństwa pisze również listy we własnym imieniu. Nazywają się one „noty KGB”. Nieoczekiwany wypadek dał nam możliwość zapoznania się i z tą stroną epistolarnej działalności „organów”.

25. 4. br. Rada Naukowa Leningradzkiego Pedagogicznego Instytutu im. Hercena usunęła profesora literatury, Jefima Etkinda. Podstawą jego zwolnienia była „nota KGB”. „Notatka” przede wszystkim wyjaśnia przyczyny zwołania Rady Naukowej: „W polu obserwacyjnym KGB Etkind znalazł się w 1969 roku. Ponad 10 lat był znajomym Sołżenicyna, okazywał mu praktyczną pomoc, przechowywał u siebie jego ośzercze utwory, rękopisy, m.in. *Archipelagu GUŁag*”. Przyjaźń z Sołżenicynem, to główne przestępstwo popełnione przez prof. Etkinda. Jest jednak oczywiście, że jeśli się człowiek raz znalazł w polu widzenia KGB — to znajduje się i inne: w 1964 roku Etkind bronił poety Josifa Brodskiego, sądanego za „pasożytnictwo”; w 1968 roku występował przeciwko okupacji Czechosłowacji, a wezwany na przesłuchanie do KGB oświadczył, „że nigdy nie ukrywał swego stosunku do Czechosłowacji”. Prócz tego Etkind, wykorzystując swoją sytuację, przemyczał w swych pracach „poglądy wrogie sowieckiemu ustrojowi”. Tu następuje cytat z artykułu prof. Etkinda: „Pozbawieni możliwości wyrażenia siebie całkowicie w oryginalnej twórczości, poeci rosyjscy — specjalnie między XVII a XX zjazdem — rozmawiali z czytelnikami językiem Goethego, Szekspira i Hugo”. Historyk literatury chciał powiedzieć, że od 1932 do 1956 roku, w latach stalinowskiego terroru, i trochę

później, poeci rosyjscy nie mogli pisać tego co chcieli i byli zmuszeni zająć się przekładami. Okazuje się więc, że potępienie stalinizmu KGB dzisiaj uważa za „pogląd wrogi sowieckiemu ustrojowi”. Dla wzmocnienia swoich wywodów KGB cytuje wypowiedzi swoich ekspertów: profesorów literatury i pisarzy (nie wiadomo tylko czy to są etatowi pracownicy KGB, czy tylko wykonujący prace zlecane). Ekspert KGB, profesor doktor nauk filologicznych. P. S. Wychodcew, stwierdza: „Poglądy Etkinda na poezję są mi całkowicie obce i zupełnie nie pokrywają się z zasadami marksistowsko-leninowskimi”. Autorka Helena Sieriebrowskaja, którą — jak nas informuje *Litieraturnaja Encykłopedija* — „fascynują problemy obowiązku społecznego i miłości” — napisała dla KGB: „Etkind nie ma poczucia solidarności klasowej, obce mu są słowa 'ojczyzna' i 'patriotyzm'...”.

Z „noty KGB” dowiadujemy się, że niektórzy eksperci posyłają swoje donosy do KGB, a kopie drukują w charakterze recenzji. Dlatego też „nota” cytuje oskarżenia pod adresem Etkinda, zamieszczone przez A. Dymszyca w *Litieraturnoj Rossiji*.

Nie trzeba zaznaczać, że po przeczytaniu „noty” na posiedzeniu Rady Naukowej wszyscy uczeni jednomyślnie głosowali za wydaleniem prof. Etkinda, który w Instytucie pracował przez lat 23, następnie pozbawiono go tytułu profesora, tytułu doktora nauk filologicznych, zakazano działalności literackiej i dydaktycznej.

Wszystkie te decyzje zostały powzięte jak najbardziej demokratycznie — przez głosowanie. KGB w swojej „nocie” nie żądało od uczonych niczego, ograniczyło się tylko do przedstawienia swego poglądu.

Raport pierwszego sekretarza Kompartii Ukrainy, Władimira Szerbickiego, na plenum KC został wydrukowany w całości jedynie w kijowskiej *Prawdzie Ukrainy*, moskiewska *Prawda* podała z tego referatu tylko maleńkie cytaty. Łatwo to zrozumieć, bo przywódca ukraińskich komunistów przedstawił ponury obraz: burżuazyjni nacjonałści razem ze syjonistami prowadzą coraz bardziej aktywną działalność, która — jak z oburzeniem stwierdza I sekretarz — znajduje oddźwięk na Ukrainie. Specjalnie oburza go „nowe” hasło „ukraińskich nacjonalistów i syjonistów” (w całym swoim referacie Szerbicki zawsze wymienia ich razem: czyż można znaleźć straszniejsze oskarżenie jak związek z syjonistami) — „narodowy komunizm”. Według Szerbickiego ukraiński nacjonalizm znajduje specjalnie podatny grunt wśród inteligencji a także wśród niektórych pracowników „frontu ideologicznego”, którzy „idealizują przeszłość i mylnie interpretują niektóre wydarzenia historyczne”. (Pisałem w swoim czasie, że tego rodzaju oskarżenia były wysuwane w szczególności wobec byłego I sekretarza KC Ukrainy, P. Szelesta). Szerbicki z oburzeniem odnotowuje i ten fakt, że zagraniczne centra antykomunistyczne wykorzystują religię jako środek dywersji ideologicznej. Wśród tych, którzy rozpowszechniają reli-

gię chrześcijańską na Ukrainie (idąc śladami kijowskiego księcia Włodzimierza, który przyjął chrzest w X wieku), pierwsze miejsce znowu zajmują syjonisci. Na tle takich występnych zjawisk, jak ukraiński nacjonalizm, wzrost nastrojów religijnych, szerzenie się wśród niektórych pisarzy przekonania o niezbędności wolności twórczej — „spekulacja, złodziejstwo, pijaństwo czy uchylenie się od pracy” wydają się W. Szerbickiemu sprawami drobnymi.

Głównym lekarstwem, proponowanym przez Szerbickiego dla usunięcia tych błędów i niedociągnięć, jest wpajanie „sowieckiego nacjonalizmu”, propagowanie „świętych więzów łączących naród ukraiński z wielkim narodem rosyjskim”, „szacunku do czerwonego sztandaru, emblematów państwowych, hymnu partii i państwa i do rządowych nagród”.

Wydaje się dziwnym wezwanie do budzenia szacunku do czerwonego sztandaru w 50 lat od rewolucji, ale jeszcze dziwniejszym jest wezwanie do szacunku dla hymnu państwowego, który już od 20-tu lat śpiewa się bez słów, gdyż przez długi czas słowa hymnu były niewygodne do wymawiania. Możliwe, że obecnie zdecydowano śpiewać hymn pełnym głosem? I w celu walki z różnymi nacjonalizmami powrócić do słów: „Nienaruszalny sojusz swobodnych republik zespoliła na wieki Wielka Ruś” i dalej — „Nas wychował Stalin...”.

Nawoływania do wychowania mają zwykle charakter abstrakcyjny. Tym razem jednak W. Szerbicki daje konkretne wskazówki, mówi co należy zrobić, ściślej — powtarza wytyczne wyłożone półtora miesiąca temu w *Prawdzie*.

Na początku kwietnia wstępny artykuł *Prawdy* dał sygnał. „Zbyt dużo prowadzi się filisterskich rozmów, że jakoby nikt nie powinien się mieszać w życie prywatne” — czytamy w tym artykule. Okazuje się, że nie tylko można, ale jak najbardziej trzeba, tylko ludzie amoralni mogą przeciwko temu protestować. Obywatele sowieccy nie mają prawa uważać prywatnego życia za swą prywatną własność.

Nie można powiedzieć, że ta koncepcja jest specjalnie nowa. Aleksander Sołżenicyn pisze w „Archipelagu GUŁag”: „Co jest zasadniczą podstawą i fundamentem całej kulturalno-wychowawczej akcji w łagrze? Nie pozostawiać łagiernika po pracy samemu sobie, by nie było recydywy jego przestępczych skłonności...”. Można przypuszczać, że obecnie KC KPZS zdecydowało rozszerzyć tę znakomitą zasadę: „nigdy nie wypuszczać spod wychowawczego wpływu” żadnego z obywateli Związku Sowieckiego. W. Szerbicki konkretyzuje tę koncepcję następująco: „Nie można być obojętnym wobec sposobu życia ucznia, studenta, młodego robotnika, młodego kołchoźnika, wobec tego co oni czytają, jak spędzają wolny czas, jakiej słuchają muzyki i jakie mają gusta artystyczne”.

W jakim kierunku pójdzie ta kampania można się zorientować z materiałów ogłoszonych w *Prawdzie*, a dotyczących wprowadzenia w szkołach nauki „tańców salonowych”. Nie wolno do-

puścić, by młodzież sowiecka tańczyła to, na co będzie miała ochotę. *Prawda* zamieszcza wzorcowy spis tańców, które sowieckiej młodzieży nie zaszkodzą, a być może nawet utrwala miłość do czerwonego sztandaru: walc, tango, foxtrot, rumba i samba. Te tańce, pisze „narodowy artysta ZSSR” — Zacharow, mają „w swej osnowie narodowe, muzykalno-plastyczne motywy, bliskie duchowi wielu narodów”. Spis ten wywołuje szereg pytań. Pierwsze — jak do niego trafił foxtrot? Rumba — to jasne — to taniec „wyspy wolności” — Kuby. Sambę tańczą narody wyswabadzanych krajów afrykańskich. Walc — starożytny taniec rosyjski. A zatem tylko ideologiczne uzasadnienie foxtrotu powoduje trudności. No, ale jak zwykle, są to tylko trudności dojrzewania.



30-lecie zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami będzie obchodzone dopiero za rok, ale nie czekając na tę rocznicę generał-major W. Maculenko ogłosił rocznicowy artykuł w majowym numerze miesięcznika *Znamia*. Pretekstem stały się książki ministra Obrony ZSSR — marszałka A. Greczko: „Bitwa o Kaukaz” i „Poprzez Karpaty”. Mówiąc o pierwszej książce, generał-major ogranicza się do przedstawienia przebiegu działań wojennych i wkładu marszałka Greczko w dziedzinę sztuki wojskowej. Druga książka — „Poprzez Karpaty” — mówiąca o uwolnieniu Czechosłowacji, daje możliwość generał-majorowi Maculenko do wyłożenia całego szeregu niezmiennie aktualnych koncepcji politycznych. „Jak wiadomo — pisze W. Maculenko o okupacji Czechosłowacji w 1968 roku — imperialiści i rewizjoniści usiłowali wszelkimi sposobami zniesławić zasady proletariackiego internacjonalizmu i do tej pory twierdzą, że działalność pięciu krajów socjalistycznych zaprzeczała jakoby zasadom niezależności, suwerenności i równouprawnienia narodowych oddziałów klasy robotniczej i ruchu komunistycznego”. Już w tym zdaniu znajdujemy nowe, ciekawe sformułowanie: „narodowe oddziały klasy robotniczej i ruchu komunistycznego”. Do czasu rozwiązania Kominternu w 1943 roku wszystkie partie komunistyczne były uważane jedynie za „sekcje Kominternu” i nie były samodzielnymi partiami. Następnie stopniowo coś niecoś zmieniło się dla niektórych kompartii — naturalnie dla kompartii krajów satelickich wszystko zostało po dawnemu. Przez pewien czas jednak można było — choć bardzo nieśmiało — mówić o jakichś tam odrębnościach narodowych. Nowa formuła zawraca ruch komunistyczny i kraje satelickie do czasów Stalina. W. Maculenko wyjaśnia obecną sytuację: „Proletariacki internacjonalizm nie sprowadza się bynajmniej wyłącznie do równości narodów i krajów oraz ich suwerenności, ale zawiera w sobie przyznanie niezbędności ich współpracy, wzajemnej pomocy, odpowiedzialności za sytuację w poszczególnym ogniwie jednego frontu bojowników o zwycięstwo socjalizmu”.

Po 1968 roku sowieccy propagandyści histerycznie krzyczeli,

że nie ma żadnej „doktryny Breżniewa”, doktryny „ograniczonej suwerenności”, nie ma — ponieważ jej być nie może. Generał-major W. Maculenko tę doktrynę „ograniczonej suwerenności” formułuje jak najbardziej jasno i dodaje z pogrozką: „Nasza partia uczy, że zwycięstwo ustroju socjalistycznego w takim, czy innym kraju może być w dzisiejszych warunkach rozpatrywane jako ostateczne, jeśli...”. I wylicza cztery warunki: kompartia w kraju socjalistycznym powinna prowadzić „twórczą politykę rozwoju wszystkich sfer życia społecznego (tj. zachować swoje położenie „wiodącej siły społecznej”), wzmacniać obronę kraju, kształcić czujność i nieprzejednany stosunek do burżuazyjnej ideologii”, święcie przestrzegać zasady proletariackiego internacjonalizmu, cementować jedność i braterską solidarność z innymi krajami socjalistycznymi. „Każde naruszenie choćby jednego z tych warunków prowadzi do pozbawienia kraju nazwy 'socjalistycznego', co usprawiedliwia natychmiastową interwencję w imię zasady proletariackiego internacjonalizmu”.

Adam KRUCZEK

Kronika ukraińska

Ukraina przeżywa kolejną fazę narodowej tragedii. Chociaż i za czasów namiestnictwa Szełesta sytuacja była fatalna, to jednak od jego upadku o wiele się pogorszyła. Szełest, jako pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Ukrainy bronił nie tylko ekonomicznych interesów swego kraju, lecz usiłował — i to nie bez skutku — hamować rusyfikacyjne zakusy Moskwy. Nic więc dziwnego, że pewnego dnia stał się on postacią niewygodną. Od pacyfikacji Czechosłowacji i promoskiewskiego kursu Warszawy, zupełnej uległości Węgier i samokastracji titoizmu, Moskwa właściwie — poza Ceausescu — nie potrzebuje się już z nikim w Europie Wschodniej liczyć. Rzutuje to oczywiście, jak zwykle w takich okresach, na sytuację w Związku Sowieckim. Zresztą od układów Breżniewa z Brandtem, Pompidou i Nixonem problem narodowościowy w ZSSR stał się znowu „wewnętrzną sprawą Rosji”. Jedynie komuniści chińscy drapią Moskalów od czasu do czasu w to słabe miejsce, doprowadzając ich do wściekłości. Ale i to nie bardzo się trzyma kupy. Czytając oświadczenia Pekinu o narodowym ucisku w Sowietach, ma się wrażenie, że partia chińska wciąż jeszcze nie wypracowała jasnej strategii w kwestii narodowościowej.

Ofensywa Breżniewizmu

Korzystając z niebywalej koniunktury międzynarodowej reakcja rosyjska przystąpiła do ofensywy przeciwko Ukrainie na wszystkich frontach. W odróżnieniu od okresu chruszczowskiego, kiedy to popuszczono cugli, dzisiejszy reżym na Kremlu przestał się cackać z „braćmi” na południu. Dziś już nie ulega wątpliwości, że rządy Breżniewa przejdą do historii Ukrainy jako jedna z najgroźniejszych epok w dziejach tego kraju. Są to bowiem rządy typowe dla kolonisty rosyjskiego, który z racji pochodzenia i tych wszystkich układów psychiczno-ideologicznych myśli i działa kategoriami imperialnymi. Chyba stąd też wynika to, o czym świadczą mniej lub bardziej otwarte wypowiedzi dysydentów rosyjskich, jak np. Maksymowa, że system represyj jest najokrutniejszy na Ukrainie.

Nawet w urzędowej propagandzie przestano używać szumnych za Chruszczowa haseł o „suwerennym ukraińskim państwie sowieckim”. Zewnętrzne kontakty Kijowa, zarówno z Zachodem jak też z Europą Wschodnią, zlikwidowano prawie doszczętnie. To samo jeśli idzie o związki z emigracją. Współczesna Ukraina została całkowicie odizolowana. Zresztą nie przypadkiem Moskwa, przy forsowaniu koncepcji bezpieczeństwa i współpracy w Europie, zrezygnowała z głosu Ukrainy i Białorusi, które, jak wiadomo, formalnie należą do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Malta ma dziś na tym forum więcej do powiedzenia niż Ukraina.

Breżniew wziął kurs na przekształcenie Ukrainy w odciętą od świata prowincję imperium rosyjskiego. Począwszy od polityki inwestycyjnej w sensie modernizacji, jak też tworzenia nowoczesnej infrastruktury działań przemysłowych itd., skoncentrowanej na rozwoju właściwej Rosji, aż do podstawowych zagadnień kultury, nauki i sztuki — słowem całej sfery którą komuniści zwykli nazywać „nadbudową”. W szybkim tempie ulega likwidacji dzieło odrodzenia zniszczonych w epoce stalinowskiej wartości, kryteriów i konkretów w literaturze, ukrainistyce, sztuce, w naukach społecznych, w historiografii — dzieło, którego z wielkim poświęceniem podjęła się w latach „odwilży” inteligencja ukraińska.

Jak za Katarzyny i Mikołaja I

Dzisiejszej ofensywy Moskwy nie można porównywać z masowym terrorem Stalina. Cechują ją raczej metody carskie z okresów Katarzyny, a może raczej Mikołaja Pierwszego. Nie ma masowych czystek w aparatach władzy. Kto jest lojalny, posłuszny — może żyć spokojnie. Nawet jeśli kradnie, oszukuje, kombinuje. Jeżeli to robi dyskretnie, a zwłaszcza kiedy ma dostęp do wpływowych klik, może mu to uchodzić bezkarnie. Osta-

tecnie jest to dewizą olbrzymiej większości skorumpowanej biurokracji.

Atak skierowany jest przeciwko tej części społeczeństwa ukraińskiego, która nie wyzbyła się godności ludzkiej i narodowej, lub doszła na nowo — dzięki ewolucji ostatnich lat — do tych wartości. Moskwa uderzyła przede wszystkim w młode i średnie pokolenie tzw. „sześćdziesiątników” czyli w te koła inteligencji twórczej, która w sześćdziesiątych latach destalinizacji stała się głównym motorem ruchu odrodzeniowego. Do młodych przylączyły się niedobitki ocalałej z okresu stalinowskiego starej generacji, która ongiś, w dwudziestych latach, niosła na swych barkach program i praktykę odrobienia następstw wiekowej niewoli. W momencie kiedy ruch ten zaczął krzepnąć i zapuszczać korzenie w coraz szersze kręgi społeczeństwa, wybuchł konflikt z centrum władzy moskiewskiej, która po przejściowej słabości przystąpiła do konsolidacji imperium. A ponieważ wszystkie inne nierosyjskie narody widziały w drugiej po rosyjskiej — ukraińskiej — republice główną ostoję własnych ideałów niepodległościowych, było przeto logicznym wyjściem dla strategii moskiewskiej, stłumienie przede wszystkim niepokornych Ukraińców. Tak się też i stało. Bez szumnych proklamacji, w cichym porozumieniu między prowodyrami a masą rosyjskich szowinistów, przystąpiono do akcji mniej więcej według hasła, które po raz pierwszy zabrzmiało na stadionie moskiewskim w Łużnikach podczas meczu piłkarskiego pomiędzy drużynami Kijowa i Moskwy; w chwili kiedy jedenastka piłkarzy kijowskich zaczęła dominować, z trybun gruchnęło wielotysięczne hasło „biej chachłów”. A trzeba wiedzieć, że „chachol” to dla Rosjan stara, pogardliwa nazwa Ukraińców, o podobnym wydźwięku, co w języku ukraińskim przewisko „kacap” dla określenia Rosjan.

Wyniki tej nierównej walki nie dały długo na siebie czekać. Zespoleciem środków administracyjno-policyjnych, ekonomiczno-bytowych, cenzurowych i przewencyjno-zastraszających udało się ruch odrodzenia w dotychczasowych, legalnych formach niemalże zupełnie zgnieć. Ale w rezultacie tego konfliktu wyrosło nowe zjawisko ukraińskiego ruchu oporu — nazywanego na Zachodzie niezupełnie adekwatnie ruchem dysydentów. Moskwa miała więc do spełnienia nowe zadanie: Tym razem sięgnięto do metod bardziej radykalnych. Misję zdławienia ukraińskiej akcji protestacyjnej powierzono KGB. Łagry na dalekiej północy, więzienia i specjalne zakłady dla „politycznych wariatów” zapewniły się elitą „dysydentów” ukraińskich. Sytuacja więźniów najwyższego zaangażowania i szlachetności, jak Czornowił, Moroz czy Pluszcz jest w tej chwili beznadziejna.

Niezadowolone namiestnika

Mogłoby się więc wydawać, że wytyczone cele zostały osiągnięte. Okazuje się jednak, że tak nie jest. Na majowym plenum

Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy znowu skonstatowano, że republika nie nadąża za tempem przemian ideologicznych. Píše o tym w swym „Przeglądzie” Adam Krucek. Dodajmy tylko, że tow. Szczerbyckij kilkakrotnie powracał do sprawy religii. Trapi go niepokojące zjawisko intensywności wierzeń religijnych.

W lwowskim czasopiśmie *Żowteń* ukazała się denuncjacja na temat aktywności podziemnego kościoła greko-katolickiego, Otóż księża Krywyj, Sokolan, Fedorak i Horadczuk zostali aresztowani za kolportaż nielegalnie drukowanych modlitewników. Wraz z nimi aresztowano drukarzy lwowskich, Synyszyna, Hawryluka i Wasyłyne, którzy w państwowych zakładach poligraficznych wykonali w ciągu ostatnich dziesięciu lat kilkakrotne wydania modlitewników, psalterzy i zbioru kolend o przeciętnym każdorazowym nakładzie tysiąca egzemplarzy. Pierwszy nakład został wydany w 1964 roku — ostatni w roku 1973. W roku 1972 nakład potajemnego wydania ksiąg religijnych podwyższono do 1500 egzemplarzy. Wszystkie wydania miały treść greko-katolicką. Potwierdza to raz jeszcze słuszność stanowiska metropolity-kardynała Slipyja ale dla papieża i arcybiskupa Casaroli jest to raczej sprawa żenująca.

Bohdan OSADCZUK

Dwa razy: Niemcy i Polacy

Dwa wydarzenia zachęcają mnie do wypowiedzenia kilku uwag na temat: Niemcy i Polska. Na ratuszu monachijskim w uroczysty sposób założono ostatnio „Towarzystwo Niemiecko-Polskie”. Prelekcję inauguracyjną wygłosił Mieczysław Rakowski, poseł na Sejm i redaktor naczelny *Polityki*.

Nazajutrz, niezależnie od tej imprezy, odbyła się pod moim przewodnictwem w stolicy Bawarii publiczna debata: „Gdzie jest miejsce człowieka — od Byrona do Sołżenicyna” z udziałem historyka prof. Friedricha Heera (Wiedeń), psychoanalityka, dyrektora Instytutu im. Freuda, prof. Alexandra Mitscherlicha (uniwersytet we Frankfurcie), pisarza polskiego, Tadeusza Nowakowskiego, socjologa prof. Theo Pirker (uniwersytet w Berlinie), historyka i teologa Abendroth-Weigenda (Stuttgart) — przy czym dyskusja ta odbiła się echem w naszym środowisku twórczym.

A więc: dwa razy Niemcy i Polacy. Na zebranie założycielskie „Towarzystwa Przyjaźni” poszedłem z zaciekawieniem. Kto za tym stoi? Czy i na ile szczerości pozwolą sobie uczestnicy tej imprezy? Co nam powie przybyły z Warszawy, red. Rakowski, którego odwaga, jak słyszę, ma w sobie sporo z akrobacji, skoro tygodnik szwajcarski — powtarzając pogłoskę o możliwości wysłania tegoż publicysty na stanowisko ambasadora PRL do Bonn — obdarza go zaszczytnym przydomkiem „jednego z najinteligentniejszych

dziennikarzy w krajach bloku”? Sala ratusza była pełna. Zaproszony ambasador przysłał zastępcę. Prezes organizacji, pastor Reinhard von Loewenich, powiedział: „Mówimy wyraźnie „tak” ilekroć chodzi o porozumienie między państwami”. Kilka starszych pań przytaknęło skwapliwie. Nikogo nie znałem z tej publiczności, ale jak zauważyłem, było to grono dobrych znających, jak na konwentyklu. Poczułem się jak gość na dobre mi znanych, gładkich sesjach chrześcijańskich akademii. A więc „mówmy „tak” — pomyślałem sobie, cel jest wzniosły, gdzie spojrzeć miłośnicy pokoju, którzy z pewnością będą punktualnie uiszczać roczną składkę w wysokości 30 marek.

Ładnie i grzecznie. Aż za grzecznie. I westchnąłem: jak to właściwie było przed trzema laty i sześciu miesiącami, gdy w związku z układami wschodnimi naród nasz podzielił się na dwa obozy i Willy Brandt swoją polityką osiągnął największy sukces swego życia, i chociaż przeciwnicy pomawiali go o „kapitulację” — właśnie dzięki tym układom urość w oczach świata? Dla tej publiczności na ratuszu — takie odniosłem wrażenie — nawet wśród zwolenników *Ostpolitik* ów „nowy rozdział” nie wydał się jednak epokowym. „Chcemy mieć spokój” — już wtedy mówiono — „nie te sprawy są dla nas najważniejsze”. Jedynie tą postawą tłumaczyć sobie można, że ów moralny przełom z podejrzaną błyskawiczością zniknął z wokandy, i natychmiast zamienił się w rutynę politycznego banału. Zainteresowanie polską historią i literaturą — co łatwo można sprawdzić studiując reakcje czytelników, słuchaczy i widzów w NRF — ulotniło się jak kamfora. W 1956, w 1968 — żywo interesowaliśmy się Polską, ale dzisiaj?

Czas — jak się zdaje — stanął w miejscu także i w Polsce. Cóż tedy miał nam do powiedzenia Mieczysław Rakowski, publicysta który miał odwagę nie brać udziału w nagonce na „syjonistów” i nie pochwalić udziału wojsk polskich w agresji na Czechosłowację? To, co powiedział obecnie w Monachium, było anemiczne. Czy było konieczne, by gronu ludzi Polse zycyliwych podkreślać, że uznanie polskiej granicy zachodniej przez Bonn „nie było żadnym gestem ani podarkiem”, że sprawę tę dawno już przesądził wynik drugiej wojny światowej i że tylko nasza polityka była pozbawiona realizmu? Przy podobnych sentencjach można się tylko zadumać: gdy Brandt i Rakowski mówią o tym samym — to jednak *non est idem*, a przecież istnieją chyba wymogi psychologii politycznej? W sprawie łączenia rodzin, liczby, podawane przez prasę niemiecką Rakowski nazwał „mystyką”. Mistyka mistyką, ale dlaczego jednocześnie prelegent powiedział, że gospodarka polska nie może sobie pozwolić na luksus utraty wyszkolonych rąk do pracy? Najważniejszym zagadnieniem dla prelegenta była jednak pomoc gospodarza, chociaż taktownie nie wymienił o jaką sumę chodzi.

Słusznie poruszył zagadnienie odszkodowań dla polskich ofiar hitleryzmu, co — moim zdaniem — winno być załatwione w drodze indywidualnej a nie kolektywnej, by państwo nie występowało w roli inkasenta. Mowa była też o wymianie kulturalnej, chociaż protokoły i biurokracja weale nie mają tutaj najważniejszego słowa do powiedzenia — potrzebna jest autentyczna wzajemność. Cwierć miliona turystów z NRF odwiedziło już Polskę. Ilu zaś Polaków przybyło do nas? Służbowe delegacje to jeszcze nie turyści. Niemal wszystkie dobre filmy polskie wyświetlono u nas bez najmniejszych zastrzeżeń, ile zaś zachodnio-niemieckich filmów pokazała telewizja warszawska? Chyba nie wszystkie są do niczego. Ilu studentów z Polski studiuje obecnie na uniwersytecie w Monachium? Obawiam się, że znacznie mniej niż przed pierwszą wojną światową. Tak, bez wzajemności wszelkie deklamacje o wymianie są zwykłym faryzejstwem. Szkoda że tego zagadnienia nie poruszono na zebraniu. Prawdziwe porozumienie nie może postugiwać się fikcją i całkowitym przemilczaniem spraw kłopotliwych, udawaniem że nie ma różnicy między dyktaturą a demokracją, uciskiem a swobodą itd. Wyszedłem z ratusza zasmucony.

O konfliktach ideowych i politycznych szczerze mówiono natomiast następnego dnia w radiowej dyskusji intelektualistów przy okrągłym stole, gdy analizowano poglądy, motywy i postawy „rycerzy wolności”, jak Byron i moralistów, jak Sołżenicyn. Moralna i filozoficzna problematyka emigracji politycznej — o jakże długiej tradycji w historii kultury! — doszła do głosu w wypowiedziach intelektualistów, którzy widzą pewne procesy w innej perspektywie niż koniunkturalny i często krótkowzroczny pragmatyzm polityków, poświęcających zasady dla wątpliwych korzyści taktycznych. Mówiono o mechanizmie oddegnięcia się od spraw uciążliwych (*Verdrängungsmechanismus*), o znaczeniu wolnej myśli i literatury nie tylko dla społeczeństw ubezwłasnowolnionych, ale i w aspekcie uniwersalizmu. Dyskutowano nad utworami nie tylko Sołżenicyna, ale polskich pisarzy na emigracji (Kołąkowski, Miłosz, Gombrowicz, Nowakowski, Mrozek, Mackiewicz, Łobodowski, Wygodzki, Hłasko, Czapski).

Jeśli, moim zdaniem, głos emigrantów nie zawsze spotyka się z rezonansem Zachodu to nie tylko kwestia codziennej politycznej rutyny pragmatyków, ale i tych *Verdrängungsmechanismen*, znanych każdemu psychologowi. Podobnie jak wtedy, w obliczu przełomu, kiedy podpisywano porozumienie między Bonn a Warszawą, tak i teraz przeważa u nas opinia: *Wir wollen unsere Ruhe haben!* „Chcemy mieć spokój, i tyle!”

Gdybym był pastorem Reinhardem von Loewenich i stał na czele Towarzystwa Niemiecko-Polskiego, uważałbym za wielki zaszczyt, zarówno dla siebie jak i dla mojej organizacji, by w imię porozumienia zapraszać nie tylko gości oficjalnych znad Wisły, ale zabiegać o względy tych, którzy, będąc emigrantami, noszą wolną Polskę w sobie.

Leonard RHEINISCH

(Przełożył z niemieckiego Tadeusz Nowakowski)

Leonard RHEINISCH, ur. 1924, kierownik programu kulturalnego radia i telewizji bawarskiej, promotor szeregu propolskich inicjatyw politycznych i wydawniczych w NRF, członek „Gruppe 47”.

Kraj

Gierkowska ekonomia w odwrocie

Revolta robotników Wybrzeża w grudniu 1970 roku nie tylko obaliła kierownictwo partii z Gomułką na czele i rząd premiera Cyrankiewicza ale także zamknęła pewien etap polityki gospodarczej, realizowanej w Polsce Ludowej od chwili jej powstania. Grudniowe wydarzenia ujawniły całkowite bankructwo tej polityki, doprowadzonej przez Gomułkę do ostatecznej konsekwencji, a więc do absurdu, przejawiającego się w zahamowaniu tempa wzrostu gospodarczego, dochodu narodowego, postępu technologicznego i niezbyt wysokiej stopy życiowej. Wynikłe na tym tle napięcia musiały wcześniej czy później doprowadzić do katastrofy.

Czynniki partyjne zdawały sobie sprawę z nadciągającego kryzysu, ale nie przypuszczały, że zakończy się rewoltą. Usiływały rozładować napięcie przy pomocy ryzykownych awantur politycznych w rodzaju nagonki antyżydowskiej oraz represji wobec inteligencji i studentów, przedstawianych zwłaszcza po wydarzeniach marcowych w 1968 roku, jako pasożyty, żerujące na klasie robotniczej.

Zasadniczą cechą gomułkowszczyzny było oparcie gospodarki niemal wyłącznie na akumulacji wewnętrznej. Ograniczało to z góry ramy i zasięg dynamiki rozwoju do skromnych rozmiarów dochodu narodowego, utrudniało efektywniejsze wykorzystanie licznej kadry technicznej oraz wzrastającej ilości wykwalifikowanej siły roboczej; prowadziło do zastoju i zacofania.

Ujemne skutki izolowanej od świata gospodarki oddziaływały oczywiście na cały obóz komunistyczny, ale w Polsce czynniki hamujące wywierały większy wpływ m.in. z powodu braku niektórych podstawowych surowców, większą nieudolność ekipy rządzącej i dalej posunięty woluntaryzm.

Forsowanie inwestycji odbywało się kosztem funduszu spożycia. Partia nie chciała zbyt zmniejszać inwestycji, obawiając się nadmiernego wzrostu bezrobocia, ograniczała więc fundusz

spożycia w nadziei, że ludzie się zgodzą na ciągłe zaciskanie pasa i wyrzeczenia. Kierownictwo partyjne usiłowało zastąpić niedobór wielu artykułów propagandowymi sloganami. Rozpoczęto m.in. walkę z „nastrojami konsumpcyjnymi”, kierując jej ostrze przeciwko ekonomistom i działaczom gospodarczym, domagającym się poprawy sytuacji materialnej ludności. Krucjata antykonsumpcyjna przybierała w różnych okresach mniej lub bardziej drastyczne formy. Gomułka np. długo sprzeciwiał się nie tylko rozwojowi motoryzacji, ale w latach 1957-1958 także zwiększeniu produkcji rowerów czy pralek.

Zamknięta gospodarka, odcięta od międzynarodowego obiegu kapitałów, skazana na duszenie się we własnym sosie, z wielkim trudem może sobie pozwolić na lepsze zaspokojenie potrzeb, na przyspieszone tempo rozwoju. Kraje obozu komunistycznego z uczuciem bezsilności obserwowały dynamiczny wzrost gospodarczy Japonii, NRF i innych krajów zachodnich. Coraz mniej mówiły, aż całkiem zaprzestały, o ekonomicznym współzawodnictwie dwóch systemów, o prześcignięciu „zgniłego Zachodu”. Zamknięta gospodarka miała oczywiście głębokie uwarunkowania polityczne, które tutaj pomijamy, gdyż nie należą do tematu niniejszej pracy.

Gomułkowscy ekonomiści, wychowani w szkole stalinowskiej, świącie wierzyli, że nie można jednocześnie rozwijać gospodarki narodowej i podnosić tzw. stopy życiowej jak to się dzieje w krajach zachodnich. Ukuli oni teorię, że przekroczenie 21 proc. dochodu narodowego na inwestycje musi doprowadzić do zakłócenia normalnego rozwoju. Przywództwo partyjne z niepokojem stwierdzało, że w planie na 1971 rok nakłady inwestycyjne przekroczą 23 proc. Jednakże i ten wskaźnik nie zapewniał właściwego tempa wzrostu, odpowiadającego obiektywnym możliwościom Polski. Plan na 1971 rok, opracowany przez władze gomułkowskie, przewidywał zamrożenie płac realnych na poziomie roku poprzedniego. Przy stałych — jawnych i ukrytych — podwyżkach cen równało się to odczuwalnej obniżce zarobków i standartu życiowego. W obawie przed wzrostem funduszu płac — pozbawionego pełnego pokrycia towarowego — zaplanowano niezbyt wielki wzrost zatrudnienia, zmierzając celowo do stworzenia kontrolowanego bezrobocia.

W 1970 roku gospodarka znalazła się w ślepych zaułku. Nie można było ani kontynuować rozpoczętych inwestycji, ani zapobiec pogorszeniu warunków życiowych ludności. Zatrzymano budowę wielu zakładów przemysłowych po cichu, aby nie podsycać niezadowolenia, ograniczano budownictwo mieszkaniowe. Termin oczekiwania na mieszkanie wydłużył się do 7-8 lat, co było katastrofą dla młodych małżeństw, pragnących założyć ognisko domowe. Tzw. „ciąćcia inwestycyjne” dosięgły także ochronę zdrowia i szkolnictwo. Nie gardzono najmniejszą możliwością ograniczenia zdolności nabywczej społeczeństwa. Dla osiągnięcia groźnych oszczędności, oczywiście kosztem najbiedniejszych, uciekano się do łamania prawa. Rząd wstrzymał m.in. realizację

punktu ustawy o emeryturach, przewidującego 1-procentowy dodatek z tytułu każdego roku, przepracowanego w Polsce Ludowej ponad 20 lat. Po dojściu do władzy ekipy gierkowskiej, dodatek przywrócono.

Głównym problemem, z którym Polska Ludowa nie mogła się uporać w ciągu swojego istnienia, była równowaga rynkowa. Podaż towarów i usług była zawsze mniejsza od popytu. I tutaj dochodzimy do sprawy, która bezpośrednio spowodowała upadek Gomułki.

W zasadzie są dwa sposoby osiągnięcia równowagi rynkowej. Pierwszy — to zwiększenie produkcji i podaży towarów konsumpcyjnych i usług, drugi — ograniczenie konsumpcji. Gomułka, dokonując wyboru poszedł po linii najmniejszego oporu: ograniczył wzrost konsumpcji. Warto dodać, że model gospodarki planowej w krajach Europy Wschodniej jest doskonale przystosowany do polityki zaciskania pasa, chociażby wskutek obezwładnienia klasy robotniczej i bezwzględnej łamania wszelkich prób oporu.

Uniwersalnym środkiem ograniczenia konsumpcji, a tym samym części dochodu narodowego przeznaczanego na spożycie jest polityka cen. Stwarza to pokusę ciągłego korzystania z tego prostego na pozór sposobu. W Polsce nie ma żadnej zorganizowanej siły mogącej stawiać w obronie konsumenta. W latach 1966-1970 niektórzy działacze związkowi mówili wprawdzie o wzroście średnich cen, wskutek ukrytych podwyżek oraz wypuszczenia na rynek pseudonowości i wycofywania z obrotu tańszych wyrobów, ale żadnych wniosków z tych faktów nie wyciągali. Ceny nadal bez przeszkód rosły.

Ograniczenie konsumpcji przy pomocy podwyżek cen doprowadziło do zawężenia chłonności rynku wewnętrznego. W 1970 roku po raz pierwszy od 25 lat nie wykonano planu w handlu detalicznym. Sprzedaż wzrosła jedynie o 3,8 proc. zamiast zaplanowanych 7 proc. Ograniczono więc produkcję mebli, pralek, maszyn do szycia i wielu innych artykułów trwałego użytku.

Inwestycje i przemysł, wytwarzające środki wytwórczości stale zwiększały liczbę zatrudnionych, którzy nie produkowali towarów konsumpcyjnych, lecz je spożywali. Zbyt powolne zwiększanie podaży artykułów rynkowych musiało wywrzeć w konsekwencji hamujący wpływ na inwestycje, a więc wzrost gospodarczy. Powstało zaczarowane koło. Inwestycje, które zjadały dochód narodowy nie mogły nadal się rozwijać, gdyż towary produkowane w nowych obiektach przemysłowych nie zaspokajały bezpośrednich potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa. Z drugiej strony trzeba było zmniejszyć produkcję niektórych towarów wskutek spadku popytu, spowodowanego manipulacjami cenowymi. W tej sytuacji trudno się dziwić, że musiało nastąpić załamanie. Rewolta robotników w grudniu 1970 roku była jedynie katalizatorem krachu, który wcześniej czy później musiał nastąpić.

Istotny wpływ na załamanie gospodarki wywarła także poli-

tyka rolna, będąca konsekwencją hermetyzacji gospodarki. Proklamowane przez Gomułkę hasło samowystarczalności zbożowej doprowadziło do spadku hodowli i zwolnienia tempa wzrostu produkcji roślinnej. W 1970 roku produkcja hodowlana była o 0,8 proc. niższa niż w roku poprzednim. Niepomyślną sytuację w rolnictwie usiłowano usprawiedliwić niesprzyjającymi warunkami atmosferycznymi. Odegrały one oczywiście pewną rolę, ale nie tłumaczą wszystkiego.

Państwo ograniczając import pasz nie stworzyło warunków do szybszej intensyfikacji produkcji roślinnej, uniemożliwiając w ten sposób zwiększenie własnej bazy paszowej. Chłopi ze swojej strony inwestowali zbyt powoli, bo nie mieli z czego. Ceny skupu i dostaw obowiązkowych były stosunkowo zbyt niskie, aby mogły pokryć wydatki na unowocześnienie i rozbudowę gospodarstw chłopskich. Jak wynika z danych Głównego Urzędu Statystycznego (*Mały Rocznik Statystyczny*, 1973 r., str. 194) import produkcji rolnictwa, który mógł poprawić sytuację aprowizacyjną i zwiększyć hodowlę spadł w 1970 roku, w porównaniu z rokiem poprzednim, o 78 milionów złotych dewizowych. W tym samym czasie postępowało ogółanie kraju z produktów rolniczych, zwłaszcza mięsa. Cytowane wyżej źródło podaje, że od 1965 do 1970 roku wywóz produktów rolniczych wzrósł o ponad 260 milionów złotych dewizowych. Forsując tego typu eksport, skazywano na niedojadanie szerokie kręgi społeczeństwa.

Ekipa Gomułki programowo nie wykorzystywała handlu zagranicznego jako środka dynamizowania gospodarki. W imporcie ograniczano się do niezbędnego przywozu maszyn i urządzeń oraz surowców i paliw (ropa naftowa, rudy metali, bawełna itp.). Mało zakupywano artykułów spożywczych. Ich udział w imporcie od lat kształtował się na poziomie 6-7 proc. Zwiększenie chociażby o kilkaset milionów złotych rocznie przywozu artykułów spożywczych, m.in. owoców cytrusowych, kawy, ziarna kakao, nie było żadnym problemem ekonomicznym wobec wielomiliardowych sum wydatkowanych na import inwestycyjny. To samo dotyczy importu wyrobów przemysłu lekkiego czy mebli. Nie zwiększono go, zgodnie z antykonsumpcyjnym kursem Gomułki.

Stosunkowo wielkie nakłady na import inwestycyjny, choć wyczerpywały kraj, również nie zaspokajały potrzeb gospodarki i nie pozwalały na zdynamizowanie tempa rozwoju. Ubóstwo kapitałowe hamowało udział Polski w międzynarodowym podziale pracy. Polska pod względem obrotów handlowych pozostawała znacznie w tyle nawet za innymi krajami komunistycznymi, jak Bułgaria, NRD, Węgry i Czechosłowacja.

Oddzielną sprawą były stosunki handlowe z ZSSR. Obroty wzrastały z roku na rok i choć nie zawsze z korzyścią dla Polski, odegrały pewną rolę w zaopatrzeniu surowcowym. Polscy handlowcy częstokroć woleli sprzedawać swoje towary za twardą walutę niż za ruble. Próby rozluźnienia zależności od Związku Sowieckiego były połowiczne i nie towarzyszyły im alternatywa

ściślejszej współpracy z Zachodem. Niektórzy krytycy Gomułki twierdzą, że ze względu na dążenie do maksymalnej samowystarczalności, nie korzystał on nawet z ograniczonych możliwości jakie dawała współpraca ze Związkiem Sowieckim.

Trudno powiedzieć w jakim stopniu to twierdzenie odpowiada rzeczywistości. Niemniej jednak Gierek miał o to pretensje do Gomułki. Publiczne zdradzanie sekretów dotyczących stosunków ze Związkiem Sowieckim jest rzeczą raczej nie praktykowaną. Toteż niezwykle zaskakująco zabrzmiał następujący fragment przemówienia Gierka do robotników Stoczni Szczecińskiej w styczniu 1971 roku:

„Myśmy od lat — powiedział Gierek — przestali korzystać z kredytów radzieckich. Myśmy dawniej brali bardzo dogodne, takie na dwa procent rocznie — kredyty radzieckie na budowę wielu zakładów przemysłowych, na przykład Huty imienia Lenina. I cały szereg urządzeń dla waszej stoczni kupiliśmy w Związku Radzieckim na kredyt. Ale w polityce Gomułki i towarzysza od dziesięciu lat zaprzestano interesować się rynkami radzieckimi i przerzucono na rynki kapitalistyczne. I my mamy teraz taką sytuację, że kredytowej pomocy ze strony Związku Radzieckiego nie mamy, bośmy jej nie chcieli, a kredyty kapitalistyczne musimy spłacać” (*Rewolta szczecińska i jej znaczenie*. Instytut Literacki, Paryż 1971, str. 57-58).

Gierek oczywiście przesadza, przygotowując przy okazji donos na Gomułkę. Ważniejsza jest jednak inna sprawa. Gierek zarzekał się przeciwko ściślejszej współpracy z kapitalistami, zwłaszcza przeciwko kredytom zachodnim. Po upływie kilku miesięcy zmienił front — stał się zwolennikiem rozwoju stosunków z krajami kapitalistycznymi.

Wolno sądzić, że wskutek niechęci do Gomułki — powstałej m.in. także na tle ekonomicznych nieporozumień ze Związkiem Sowieckim — Breżniew nic nie uczynił dla uratowania „Wiesława” w dniach grudnia 1970 roku.

Wróćmy do ekonomicznej strony zagadnienia. Sowieckie maszyny i urządzenia z reguły ustępują pod względem konstrukcji i wydajności podobnym wyrobom zachodnim. Niższe oprocentowanie kredytów na finansowanie dostaw sowieckich kosztują Polskę bardzo drogo, gdyż korzyść z zakupionych dóbr inwestycyjnych jest stosunkowo mała. Jedyną alternatywą byłoby zwiększenie kredytowych zakupów maszyn i urządzeń oraz gotowych obiektów przemysłowych na Zachodzie, co m.in. zmniejszyłoby lukę technologiczną, dzielącą Polskę od uprzemysłowionych krajów. Gomułka tego nie uczynił. Jeżeli korzystał z kredytów zachodnich, spłacanych w złotówkach — to głównie na zakup zboża amerykańskiego. I to tylko w pierwszym okresie, kiedy trzeba było społeczeństwu coś zaofiarować.

Postępowaniu Gomułki nie można odmówić konsekwencji. Z uporem maniaka pozostał wierny polityce finansowania rozwoju z akumulacji wypracowanej przez społeczeństwo. Do końca nie rozumiał, że jedynie włączenie się w światowy obieg kapitałów i technologii może wyrwać Polskę z zastoju i pchnąć na

nowe tory. Zarówno Gomułka, jak i inni przywódcy bloku komunistycznego (ci ostatni do pewnego czasu) nie usiłowali prowadzić bardziej otwartej gospodarki. Na ich postępowaniu zaciężyła teoria Stalina o dwóch równoległych rynkach światowych: kapitalistycznym i socjalistycznym. Dopiero pod koniec lat 60-tych zaczęto przebąkiwać w Związku Sowieckim i innych krajach bloku komunistycznego o kredytach zachodnich i zakupach technologii oraz maszyn i urządzeń. Jednym z pierwszych przykładów zmiany nastawienia był m.in. zakup przez ZSSR fabryki samochodów „Fiat”.

Obecnie Związek Sowiecki i inne kraje bloku tłumnie ustawiają się w kolejce do kas „imperialistów” po kredyty i licencje. Nie ma potrzeby rozwodzenia się w tym miejscu nad licznymi transakcjami zawartymi lub negocjonowanymi przez kraje bloku wschodniego z jednej strony i Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią, NRF i Japonią — z drugiej. Są to sprawy ogólnie znane.

Ciekawszą rzeczą są formy stosowane przez Zachód w stosunkach z blokiem komunistycznym. Zachodni kontrahenci zastępują bezpośredni udział w przedsiębiorstwach komunistycznych partycypacją w zyskach przy pomocy opłat i licencyjnych dostaw kooperacyjnych i po prostu procentów z tytułu udzielonych kredytów towarowych i innych.

Do czasu rewolty stoczniovców próby otwarcia polskiej gospodarki były nieśmiałe i sporadyczne, nie odegrały więc istotnej roli.

Jak wynika z pierwszych publicznych wystąpień pogrudniowej ekipy rządzącej, Gierek nie miał sprecyzowanego programu i zamierzał kontynuować gomułkowską politykę gospodarczą — forsowania rozwoju kosztem warunków życiowych społeczeństwa. Oczywiście z jedną tylko modyfikacją, wynikającą z aktualnej sytuacji. Zrewoltowani robotnicy żądali natychmiastowej zmiany na lepsze. To żądanie okupione krwią ofiar grudniowych musiało być niezwłocznie spełnione. Gierek i Jaroszewicz zdobyli się jedynie na minimalne podwyższenie płac w złudnej nadziei uratowania zasadniczych konturów planu gospodarczego na lata 1971-1975, opracowanego przez gomułkowskich ekonomistów. Dopiero później, wskutek twardej postawy świata pracy, plan został w zasadniczych rysach zmieniony.

Na zebraniu w Stoczni Szczecińskiej Gierek operował gomułkowskimi argumentami. Usiłował wmówić robotnikom, że powrót do starych cen mięsa musiałby doprowadzić do dalszego ograniczenia inwestycji. Powtórzył stare twierdzenie gomułkowskich ekonomistów o niemożliwości równoczesnego zwiększenia inwestycji i podnoszenia stopy życiowej. Dodatkowym argumentem była konieczność zatrudnienia, w latach 1971-1975, około 2 mln pracowników, co wymagało zakończenia i puszczania w ruch rozpoczętych obiektów przemysłowych.

Po dojściu do władzy, Gierek i Jaroszewicz usiłowali tanim kosztem uspokoić wzburzone umysły. Najprostszym wyjściem wydawało się nieznaczne podwyższenie płac. Operacja ta pochłone-

łaby, w planach Gierka, około 8 miliardów złotych, a więc znacznie mniej niż zamierzał uzyskać Gomułka przez podwyżkę cen mięsa i innych artykułów spożywczych. Dla zamaskowania istotnego charakteru „podwyżki” posłużono się argumentem o poprawie warunków milionów Polaków, zarabiających poniżej 1 lub 2 tys. złotych miesięcznie oraz emerytów pobierających poniżej 900 złotych. W wielu przypadkach zarobki wzrosły od 30 do 200 złotych miesięcznie. Sumy te nie wywarły więc większego wpływu na budżety domowe. Bez zmian pozostały natomiast wyśrubowane ceny mięsa, ryb, kasz i niemal wszystkich artykułów spożywczych w tym także kawy zbożowej (cena wzrosła o 92 proc.), spożywanej przez najuboższych. W przypadku tej namiastki kawowej przeważała małostkowa kalkulacja gomułkowskich ekonomistów, ich antyspołeczna postawa, gdyż dodatkowy zysk na tym groszowym artykule był zupełnie znikomy. Robotnicy doskonale zdawali sobie sprawę z istotnego charakteru manewru zastosowanego przez Gomułkę i twardo żądali powrotu do starych cen, mięsa i innych artykułów spożywczych.

Na zebraniu w Stoczni Szczecińskiej, po przemówieniach Gierka i Jaroszewicza, przeciwstawiających się powrotowi do starych cen, każdy występujący delegat załogi odrzucał ich argumentację. Wystąpienia robotników jakkolwiek dotyczyły cen, w istocie wyszły poza tę konkretną sprawę. Realizacja postulatów robotniczych wymagała zmiany polityki gospodarczej, do czego Gierek nie chciał w żaden sposób dopuścić, nawet w obliczu podekscytowanych delegatów robotniczych.

„Ja wam powiadam — wołał Gierek. — Nie ma możliwości powrotu do cen na artykuły spożywcze z dnia 12 grudnia 1970 roku. To jest odpowiedź na pierwsze pytanie”. Po uspokojeniu się sali, Gierek kontynuował. odpowiadając na okrzyk jednego z obecnych: „Towarzyszu nie ma odwrotu od sytuacji, nie ma odwrotu! Wy możecie się ze mną nie zgadzać, a ja wam wykładam serce na talerz i mówię wam, że nie ma odwrotu! (Rewolta szczecińska i jej znaczenie. Instytut Literacki, Paryż 1971, str. 40).

Ta kategoryczna odmowa padła z ust przywódcy partii 24 stycznia 1971 roku. Jednakże po trzech tygodniach, 16 lutego ukazał się w *Trybunie Ludu*, nr 47, komunikat Polskiej Agencji Prasowej o cofnięciu podwyżki cen na artykuły żywnościowe i pozostawieniu w mocy obniżonych w grudniu cen na niektóre wyroby przemysłowe. Rząd musiał się cofnąć i uznać milcząco klęskę odlewającego manewru z płacami. Robotnicy odnieśli potrójne zwycięstwo: uzyskali podwyżkę płac, przywrócenie poprzednich cen artykułów spożywczych oraz utrzymanie obniżonych cen artykułów przemysłowych. Władze gierkowskie, które zamierzały poświęcić 8 miliardów złotych na stłumienie strajków robotniczych, w końcu zapłaciły ponad 17 miliardów. Tyle pochłonięta podwyżka płac i wartość obniżki cen. Ustępstwo wobec żądań robotniczych było podyktowane wzmagającą się presją świata pracy. Gdy wydawało się, że wskutek osobistej interwencji Gierka i Jaroszewicza nastroje robotników Wybrzeża

się uspokoiły, wybuchły strajki w innych miastach. Szczególnie zaniepokoiła władze sytuacja w Łodzi. Zarobki pracowników włókienniczych były średnio o 17 proc. niższe niż w innych gałęziach przemysłu. Nędza włóknarzy stała się przysłowiowa. Kobiety zatrudnione w tym przemyśle najdotkliwiej odczuły pogrudniowe pogorszenie i tak już ciężkiej sytuacji materialnej. Spotkanie Gierka i Jaroszewicza z łódzkimi włókniami miało niezwykle dramatyczny przebieg i przekonało władze, że bez istotnych ustępstw nie uda się zapobiec dalszym, burzliwym wystąpieniom rozgoryczonych robotników.

Wydarzenia w Polsce były bacznie obserwowane przez Związek Sowiecki. Upadek Gomułki zademonstrował słabość rządów komunistycznych. Powstała także groźba przeniesienia polskiej „zaryzy” do innych krajów bloku. Skłoniło to przywództwo komunistyczne do energicznego działania. W zasadzie dysponowało ono dwoma możliwościami. Pierwsza — to rozegranie partii na wzór czechosłowacki (zbrojna interwencja). Tego właśnie obawiali się robotnicy Wybrzeża w związku z czym nie wysunęli żądań ogólnopolitycznych, zwłaszcza antysowieckich. Dojrzałość polityczna robotników powstrzymała ich od stworzenia pretekstu dla sowieckiej prowokacji.

Kreml, nauczony gorzkim doświadczeniem czechosłowackim, wolał sprawę załatwić pokojowo — jak się mówi w pewnych warszawskich kręgach „przez kasę”. To było drugim wyjściem z sytuacji.

Kreml postawił na Gierka i Jaroszewicza. Nie dlatego, że byli mu miłsi niż Gomułka i Cyrankiewicz, ale ponieważ nowa ekipa sprawowała efektywną władzę i dawała większą gwarancję, niż ich poprzednicy, opanowania wzburzonych umysłów społeczeństwa. Zezując w stronę Moskwy, nowe kierownictwo polskie nie szczędziło zapewnień lojalności wobec ZSSR, uzupełniając je krytycznymi uwagami pod adresem Gomułki za jego rzekomą czy faktyczną niechęć do ściślejszej współpracy ze Związkiem Sowieckim.

Dążąc do pokojowego rozwiązania kryzysu, Breżniew pomógł Gierkowi uporać się z katastrofą gospodarczą. Ekipie pogomulkowskiej potrzeba było wtedy dwóch rzeczy — chleba i pieniędzy. Moskwa dostarczyła na kredyt zboże i pożyczyła kilkadziesiąt milionów dolarów na zakup niezbędnych towarów konsumpcyjnych i surowców na „zgniłym Zachodzie”. Polscy robotnicy odnieśli podwójne zwycięstwo: nad swoją i sowiecką władzami, zmuszając je do spełnienia swoich postulatów.

Gierek otrzymał chwilę wytchnienia i mógł umocnić swoją władzę. Na jak długo? To zależało nie tyle od wewnętrznych rozgrywek partyjnych ile od perspektyw dalszej poprawy sytuacji klasy robotniczej. Tymczasem nadal rozlegały się żądania podwyżek płac ze strony poszczególnych, mało zarabiających, grup pracowniczych. Poparcie tych żądań przez liczne strajki zmusiło rząd do zagwarantowania realnej wartości podwyższonych zarobków przez zamrożenie cen. Wymagało to zwiększenia po-

daży artykułów spożywczych i towarów przemysłowych, a więc radykalnego wzrostu produkcji przemysłu przetwórczego i rolnictwa.

Przemysł lekki i przetwórczy w Polsce, podobnie jak w innych krajach komunistycznych, był z reguły zaniedbywany. Jego wyposażenie i stosowana technologia odpowiadały czasom króla Cwieczka. W niedostatecznym stopniu stosowano nowoczesne surowce, oparte na włóknach sztucznych czy syntetycznych oraz na materiałach skóropodobnych. Wydajność pracy była zupełnie anachroniczna. Nakłady inwestycyjne wydzielane skąpą ręką nie zapewniały, odpowiednio do najskromniejszych potrzeb, rozwoju. Potrzeby przemysłu przetwórczego zaspokajano zawsze w drugiej lub trzeciej kolejności, po przemyśle ciężkim, hutniczym czy górniczym. Zółwie tempo rozwoju przemysłów przetwórczych było zamierzone i odpowiadało planom państwowym. Ale i tych skromnych planów z reguły nie wykonywano w pełni, przy jednoczesnym przekraczaniu zadań ustalonych dla przemysłu ciężkiego i środków produkcji. Dla tych przemysłów zawsze znajdowały się środki. Preferowanie sektorów niekonsumpcyjnych stało się prawidłowością gospodarki komunistycznej, wynikającą z immanentnego dla stalinowskiego socjalizmu lekceważenia potrzeb ludzkich. Wszeczogarniające państwo komunistyczne jako wyłączny odbiorca dóbr produkcyjnych troszczy się przede wszystkim o dostawę dla siebie (które stają się samocelem), a nie dla obywatela.

Kontynuowanie tej polityki w poprzednich rozmiarach, kryło w sobie groźbę dla istnienia reżymu. Konieczne były zmiany, zwłaszcza struktury inwestycji, umożliwiające zwiększenie w krótkim czasie produkcji towarów przemysłowych i artykułów spożywczych. Ta konieczność skłoniła do poczynienia pierwszego kroku w kierunku otwarcia polskiej gospodarki na Zachód.

Jedynie z Zachodu Polska mogła otrzymać gotowe fabryki i urządzenia dla przemysłu włókienniczego, dziewiarskiego, skórzanego, odzieżowego oraz dla przemysłów wytwarzających artykuły trwałego użytku. Z tego samego źródła można było także liczyć na dopływ nowej technologii, na udostępnienie patentów i licencji, odpowiadających współczesnemu poziomowi techniki światowej.

Oddzielną sprawą była motoryzacja. Gierek doskonale rozumiał, że ruszenie tej kwestii przysporzy mu z miejsca popularności i doda bodźca rozwojowi całej gospodarki. W jednym z pierwszych publicznych wystąpień nie szczędził obietnic rozwoju motoryzacji. Ich realizacja zależała jedynie i całkowicie od pomocy ze strony „imperialistów”. Tak więc motoryzacja stała się następnym powodem polskiego otwarcia na Zachód. (Jak się później okazało, na przykładzie wygórowanej ceny małodrożowego „Fiata-126”, Gierkowi więcej zależało na wydrenowaniu pieniędzy niż na dostarczeniu społeczeństwu przystępnego samochodu).

Poza transakcją z Włochami zawarto umowę z Wielką Brytanią na budowę tzw. rafinerii północnej. Amerykanie przystąpili

do budowy kilku potężnych kombinatów spożywczych, zakładów przetwórstwa mięsnego, kilku fabryk Coca i Pepsi Coli. W zakładach im. Waltera w Radomiu rozpoczęto produkcję maszyn do szycia na licencji „Singera”. Agregaty chłodnicze do lodówek wytwarzane są na licencji „Thompsona”. Również przemysł elektryczny pracuje we wciąż wzrastającym stopniu na licencjach zachodnich, podobnie jak przemysł chemiczny, który dostarcza folię, nowoczesne materiały i tworzywa dla ludności i przemysłu.

Ogółem — jak podał premier Jaroszewicz na Krajowej Konferencji PZPR — Polska zakupiła w latach 1971-1973 ponad 120 licencji oraz dziesiątki obiektów przemysłowych. Wskutek tych zakupów potencjał produkcyjny Polski został nie tylko unowocześniony, ale także wzrósł o około 30 proc. (*Trybuna Ludu* z 22. 10. 1973). Jak na 3 lata nie jest to mało.

To, co za czasów Gomułki było dywersją w ekonomice — otwarcie gospodarki na Zachód — stało się za Gierka cnotą. Puszczono więc w niepamięć taką „perłę” publicystyki ekonomicznej, jak „Dywersja w Ekonomice” pióra H. Florka i S. Szeflera, zarzucająca m.in. znanemu ekonomście prof. S. Kurowskiemu, że „Domaga się swobody przepływu kapitałów z krajów kapitalistycznych jako warunku ożywienia gospodarczego w naszym kraju. (Str. 117 KiW, Warszawa 1970).

W oficjalnych enuncjacjach i materiałach prasowych lansowano nowe ujęcie handlu zagranicznego. Powinien on nie tylko zajmować się wymianą towarów, ale stać się czynnikiem dynamizującym rozwój całej gospodarki i techniki. W związku z tym należało, w miarę możliwości, starać się o kredyty, zawierając umowy kooperacyjne z zagranicznymi przedsiębiorstwami. Jednym z przykładów umowy kooperacyjnej była transakcja z „Fiatem”. Tytułem częściowej spłaty zakupionych na kredyt urządzeń produkcyjnych, Polska będzie dostarczała do Włoch silniki do „Fiata-126”. Ukazały się także w prasie artykuły, m.in. wiceministra Kisiela, uzasadniające konieczność zaciągania pożyczek zagranicznych. Dodatni wpływ kredytów zachodnich dla rozwoju Polski musiał przyznać także premier Jaroszewicz, który w swoim przemówieniu, wygłoszonym na Krajowej Konferencji PZPR stwierdził:

„W ostatnich latach pomyślnie rozwija się również nasza współpraca gospodarcza i techniczna z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi. Wysoka skala importu inwestycyjnego z krajów kapitalistycznych była możliwa dzięki zapoczątkowanej w 1970 roku *korzystnej* (podkreślenie autora) polityce kredytowej oraz rosnącym wpływom z eksportu” (*Trybuna Ludu*, 23. 10. 1973).

W podobnym duchu wypowiedział się na Konferencji Gierek.

Udział zachodnich kapitałów w rozwoju gospodarczym Polski wzrastał w latach 1971-1973 szybciej niż udział kapitałów bloku komunistycznego. Widać to m.in. pośrednio na przykładzie importu (jak powiedział Jaroszewicz: „dzięki korzystnej polityce kredytowej”). Tak więc w latach 1970-1972 import z uprzemysłowionych krajów kapitalistycznych (maszyny, urządzenia, techno-

logia) wzrósł o 76,8 proc., a łączny przywóz z krajów bloku komunistycznego jedynie o 21,3 proc. (obliczono na podstawie danych *Małego Rocznika Statystycznego*, 1973 roku). Z tego przykładu widać jak znaczną rolę w unowocześnieniu przemysłu i w jego przyspieszonym rozwoju odegrali zachodni „imperialiści”.

Otwarcie na Zachód wpłynęło na istotne podniesienie stopy życiowej. Płace realne wzrosły w minionych 3 latach o 18 proc., a łączne dochody ludności o niemałą sumę 250 miliardów złotych. Nigdy przedtem zarobki i dochody nie wzrastały tak szybko. Po raz pierwszy w dziejach Polski Ludowej odczucie społeczne nie kolidowało tak rażąco z oficjalną statystyką. Świadomość poprawy — wprowadzie dość niskich zarobków — zwiększała kredyt moralny udzielony Gierkowi. Opinia społeczna łączyła zwiększone zarobki, przy rzeczywistej stabilizacji cen, która trwała do końca 1973 roku, z nową władzą, dzięki czemu ekipa rządząca zbijała kapitał polityczny na otwarciu gospodarki na Zachód.

Lepiej opłacani robotnicy zaczęli pracować wydajniej. Rosnący import maszyn, materiałów, m.in. budowlanych i surowców, wywarł także poważny wpływ na skrócenie cykli inwestycyjnych. Szybciej niż dawniej uruchomiono wiele nowych fabryk, które dostarczały towary na rynek oraz dobra produkcyjne dla przemysłu i budownictwa. Ekonomiści, którzy dawniej robili karierę na gromieniu tendencji konsumpcyjnych, uzasadniali obecnie — słuszną zresztą — tezę, że wzrost produkcji rynkowej jest dźwignią całej gospodarki. Pierwsze próby finansowania w szerszym niż dotychczas zakresie, wzrostu gospodarczego nie tylko z własnej akumulacji, ale także z obcej, przyniosły pozytywne rezultaty. Znalazło to przekonywający wyraz przede wszystkim we wzroście dochodu narodowego.

W okresie 1970-1973 dochód narodowy wzrastał rocznie średnio o 9 proc. (plan przewidywał — 7 proc.). Dynamika wzrostu przekroczyła o 50 proc. wskaźnik uzyskany w poprzedniej pięcioletce (6 proc.). Pod względem tempa Polska wyprzedziła wszystkie kraje socjalistyczne. Inwestycje — uwarunkowane, w znacznej mierze, kredytami zachodnimi — wzrosły w bieżącym pięcioletcu na skalę dotychczas nie notowaną, bo o 80 proc. Kredyty zagraniczne odegrały wielką rolę w *jednoczesnym* wzroście nakładów na przemysł ciężki i surowcowy oraz na przemysły wytwarzające dobra konsumpcyjne. Przy czym te ostatnie przemysły korzystały ze szczególnych preferencji. Podczas, gdy nakłady na cały przemysł wzrosły w latach 1971-1973 o 23 proc. to nakłady na przemysł lekki — o 38 proc. i spożywczy — o 40 proc. Tempo bez precedensu w dziejach gospodarczych Polski Ludowej.

W wyniku dokonanego zwrotu, tempo wzrostu produkcji towarów konsumpcyjnych po raz pierwszy przewyższyło dynamikę wzrostu produkcji środków wytwarzania. Zasluguje to tym bardziej na podkreślenie, gdyż w tym samym czasie bardzo szybko rozwijała się także produkcja środków wytwarzania, a tym samym wzrastał potencjał gospodarczy kraju.

Istotnym problemem jest oczywiście spłata kredytów zagra-

nicznych. Wymaga ona m.in. zwiększenia eksportu do krajów spoza bloku komunistycznego. Zysk osiągnięty ze sprzedaży towarów powinien przewyższać oprocentowanie kredytów. Jest to możliwe przy masowej produkcji, racjonalnej organizacji pracy w przemyśle, obniżającej koszty własne i zwiększającej w ten sposób zdolność konkurencyjną na rynkach światowych oraz pod warunkiem poprawy jakości oferowanych towarów.

Polsce udało się w pewnym stopniu rozwiązać to zadanie, o czym świadczy nieco szybszy wzrost eksportu do krajów kapitalistycznych, wyprzedzający dynamikę wywozu do krajów komunistycznych.

Słaba pozycja polskich towarów na rynkach światowych (niska jakość) rodzi tendencję do forsowania swoistego handlu wymiennego. Stąd nacisk na kooperację międzynarodową. Zapewnia ona stały, z góry ustalony, a więc bez ryzyka, zbyt gotowych wyrobów czy detali, umożliwia, częściową na ogół, spłatę w naturze kredytów i należności licencyjnych. Ten system w wielu przypadkach zdaje egzamin, ale jego działanie jest z natury rzeczy ograniczone.

Poza forsowaniem eksportu towarów przemysłowych, można także intensyfikować eksport surowcowy i rolniczy: mięsa, masła, cukru, węgla, siarki, miedzi. Jednakże nawet przy rosnących obecnie cenach surowców i żywności na rynkach światowych, wpływy z ich sprzedaży nie wystarczają na finansowanie przyspieszonego wzrostu gospodarczego.

Sytuację mogłoby poprawić szybsze uruchomienie produkcji w nowych zakładach przemysłowych, zbudowanych przy pomocy kapitałów zagranicznych. Powstałaby wtedy możliwość wcześniejszego rzucenia na rynki zachodnie większej ilości bardziej chodliwych towarów. Wymaga to przyspieszenia tempa realizacji. Wprawdzie w ostatnich latach nastąpiła pewna poprawa. Jednakże jest ona nierównomierna: przyspieszenie wykonawstwa na jednych obiektach jest okupione zwolnieniem na innych. Zda się nie ulegać wątpliwości, że główną przeszkodą w przyspieszeniu realizacji inwestycji, a więc wzrostu gospodarczego jest zbiurokratyzowany system zarządzania, hamujący inicjatywę kierownictwa zakładów przemysłowych. Wadliwa organizacja zaopatrzenia, przewlekłe opracowywanie i zatwierdzanie projektów, twarde limitowanie importu — oto niektóre organizacyjne przyczyny ograniczające efektywność otwarcia na Zachód polskiej gospodarki, wywołujące ponadto groźbę nawrotu do gomułkowszczyzny. Potwierdzeniem tej perspektywy jest przebieg Krajowej Konferencji PZPR z listopada 1973 roku.

3 lata rządów ekipy Gierka przyniosły oczywiste sukcesy gospodarcze. Wzrost płac i zatrudnienia oraz cen skupu płodów rolnych znacznie zwiększyły zdolność nabywczą ludności, zwłaszcza wiejskiej. Równolegle ze wzrostem produkcji rolnictwa i zwiększeniem jej towarowości pogłębiły się procesy denaturalizacji spożycia. Na wsi powstał nowy konsument artykułów spożywczych: masła, wędlin, chleba, a więc artykułów, które dawniej

rolnik wytwarzał sam. Rozszerzył się także przemysłowy rynek wiejski, pochłaniający coraz więcej materiałów budowlanych i towarów przemysłowych. Obroty handlu wiejskiego rosły szybciej niż miejskiego.

Stosunkowo wysoki wzrost produkcji okazał się niewystarczający dla zaspokojenia jeszcze szybciej rosnącego popytu ludności miejskiej i wiejskiej. Zastosowanie starego, wypróbowanego środka — podwyżki cen wydawało się przedwczesne. W pamięci były jeszcze żywe wydarzenia grudniowe. Stąd różne akcje w rodzaju „banku 20 miliardów”, wzywające do zwiększenia produkcji rynkowej.

Zwiększoną produkcję niwelowała jej nieprzydatność. Nie zawsze odpowiadała ona potrzebom i gustom odbiorców. Przy osiągniętym potencjale przemysłowym można było lepiej zaspokoić popyt przez lepsze przystosowanie wyboru towarów do wymagań konsumentów i pełniejsze wykorzystanie parku maszynowego. Wysiłki czynione w tym kierunku przyniosły pewną, lecz niewystarczającą, poprawę. Postanowiono więc uciec się do łatwiejszego, wypróbowanego stalinowskiego sposobu — złagodzenia trudności kosztem świata pracy. Tym zadaniem obarczono Krajową Konferencję PZPR.

Istotny sens uchwał Konferencji sprowadza się do ograniczenia chłonności rynku wewnętrznego i sztucznego zmniejszenia popytu przy pomocy zmiany cen i zarobków.

Wymuszone na rządzie, po wydarzeniach grudniowych, podwyżki płac objęły w zasadzie najbardziej buntujące się grupy robotników. Żądania pozostałych nie były uwzględnione. Trwałoby to w nieskończoność, gdyby nie ucieczka pracowników z nisko płatnych zawodów. W handlu np. brak pracowników utrudniał rozprowadzenie towarów i powodował gromadzenie się zapasów, pogłębiając tym samym trudności rynkowe. W górnictwie węglowym, hutnictwie metali kolorowych, nastawionych na eksport, brakło chętnych do pracy. Podobna sytuacja panowała w przemyśle drzewnym, papierniczym, transporcie. Z potrzebami eksportu rolniczego była m.in. związana podwyżka cen skupu żywności. A więc nie dążenie do sprawiedliwości społecznej i nie miłość do świata pracy podyktowały podwyżkę płac i cen skupu, lecz twarda konieczność ekonomiczna, której musiały się podporządkować władcy super monopolu zwanego PRL.

Na konferencji uchwalono m.in. podniesienie płac minimalnych z 1.000 do 1.200 złotych miesięcznie oraz nieznaczną podwyżkę emerytur i rent inwalidzkich. Jednakże realność podwyżek zostanie w znacznym stopniu zniwelowana przez podwyżkę cen. Przyznał to w sposób pośredni Gierek, który na XII Plenum KC PZPR powiedział:

„Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że dla uzyskania 36 miliardów zł. (do końca bieżącego pięcioletnia — przyp. autora) na regulację płac i cele socjalne oraz intensyfikację produkcji rolnej, w skali rocznej potrzebny byłby, wedle przybliżonych szacunków, wzrost produkcji rzędu 200 miliar-

dów złotych. Na wartość produkcji składają się bowiem koszty płac, materiałów i amortyzacji urządzeń. Zwiększenie produkcji w takiej skali w krótkim czasie byłoby zamierzeniem nierealistycznym. Dlatego na dziś, bezpośrednio niezbędne jest uzupełniające zabezpieczenie nowych zamierzeń płacowych i socjalnych również częściowymi przesunięciami w podziale dochodu narodowego przez zmiany niektórych cen".

Gierek uważał za wskazane przemilczeć jaki będzie stopień tego „zabezpieczenia”. Przemilczał także, że popyt ludności nie ogranicza się wyłącznie do towarów, lecz obejmuje także usługi, których roczna wartość waha się w granicach 90-100 miliardów złotych.

Podwyżka cen artykułów konsumpcyjnych, zadekretowana przez Krajową Konferencję PZPR, pociągnęła za sobą natychmiastową obniżkę realnych zarobków tych grup pracowniczych, które skorzystały z podwyżek płac zaraz po grudniu i w roku 1972 (6,4 mln osób). Obniżeniem swojego standardu życiowego opłacać oni znaczną część podwyżki dla swoich kolegów.

Największą korzyść obiecują sobie władze z podwyżki cen alkoholu. Nie jest prawdą, że jej celem było ograniczenie konsumpcji. Najpopularniejsza 45-procentowa wódka z czerwoną kartką — spożywana przez tzw. szarego człowieka, stanowiąca największą pozycję w obrotach — podróżowała minimalnie w ramach 30 proc. podwyżki średnich cen. Gierkowsy ekonomiści stworzyli sprzyjający klimat, jeżeli nie dla wzrostu, to dla utrzymania na dotychczasowym poziomie sprzedaży alkoholu, dostarczając masowemu konsumentowi towar po stosunkowo przystępnej cenie. Z prowizorycznych obliczeń wynika, że przy utrzymaniu dotychczasowej sprzedaży alkoholu, podwyżka cen przyniesie około 15 miliardów złotych rocznie. Natomiast podwyżka płac, emerytur i rent, pochłonie w 1974 roku około 18 miliardów złotych (do końca bieżącego pięciolecia — 36 mld). Brakujące 3 mld złotych zostaną wyciągnięte ze społeczeństwa przy pomocy ukrytych podwyżek cen, które już się dają we znaki i dotyczą niemal wszystkich artykułów spożywczych z wyjątkiem mięsa, maki, cukru.

Nadmierne spożycie alkoholu jest zjawiskiem społecznie negatywnym. Walka z alkoholizmem jest w socjalizmie utrudniona ze względu na finansowe zainteresowanie państwa w rozpijaniu ludności. Podwyżki cen, jak wykazuje doświadczenie lat ubiegłych, jedynie na krótko hamują spożycie. Później przekracza ono z reguły poprzedni poziom. Nie ma podstaw przypuszczać, że teraz będzie inaczej. Pewnym niebezpieczeństwem jest pędzenie bimbru. Władze przewidując tę ewentualność zabezpieczyły się przed nią małą podwyżką najpopularniejszej wódki spożywanej głównie na wsi, gdzie istnieje największe niebezpieczeństwo pędzenia bimbru. Niemniej jednak, gdyby konsumpcja wódek rzeczywiście spadła i kalkulacja rządu się nie sprawdziła, nastąpić mogą dalsze jawne lub ukryte podwyżki cen innych towarów. Zarówno Gierek jak i Jaroszewicz mówiąc o stabilizacji cen na

podstawowe artykuły spożywcze dodawali jednym tchem, że ceny pozostałych towarów powinny być „elastyczne”, przygotowując tym grunt do dalszych manipulacji cenowych.

Nieco inny charakter ma 90-procentowa podwyżka cen benzyny. W tym przypadku nie chodzi tyle o wzrost wpływów ze sprzedaży, ile o drastyczne zmniejszenie zużycia. Stwierdził to wyraźnie premier Jaroszewicz w Sejmie. Prohibicyjne podniesienie i tak już wysokich cen jest bez precedensu nawet w krajach, które bezpośrednio ucierpiały wskutek arabskiego embarga. Decyzja „paliwowa” nosi wyraźnie woluntarystyczny charakter i przypomina nieprzemyślane posunięcia z czasów panowania Gomułki. Utrzymanie niebotycznie wysrubowanych cen może zahamować motoryzację. Już teraz w FSO na Żeraniu nie ma miejsca na parkowanie samochodów, czekających na nabywców. Jeżeli dawniej na „Fiata-125” okres wyczekiwania — po zapłaceniu należności w PKO dolarami — wynosił 8-10 miesięcy, to obecnie otrzymuje się go natychmiast ze 100 dolarową bonifikatą.

Podwyżka cen benzyny dotknęła także właścicieli taksówek, którzy wskutek podniesienia taryfy stracili pasażerów. Ucierpieli również pasażerowie korzystający z międzymiastowej komunikacji autobusowej, gdyż ceny przejazdów zostały także podwyższone. Dalszym skutkiem zmiany ceny jest obalenie kalkulacji kosztów własnych przedsiębiorstw zużywających paliwa płynne. Dla wyrównania strat otrzymają one dotację z kasy państwowej. Potępiany przez gierkowskich ekonomistów system dotacji znowu wchodzi w życie. Logika biurokratycznego gospodarowania jest nieubлагana.

Na uwagę zasługuje także podwyżka marż, czyli cen w gastronomii. Polska gastronomia nie należy do najbardziej rozwiniętych w porównaniu nawet z wieloma krajami komunistycznymi. W polskich restauracjach, kawiarniach, gospodach panował zawsze tłok. Obecnie jest luźno. Ludzi nie stać na korzystanie z drogiej i kiepskiej gastronomii. Tak więc zamiast zakładania nowych lokali gastronomicznych i tworzenia nowych miejsc konsumpcyjnych sprawiono za jednym pociągnięciem pira, że obecna ich ilość zupełnie wystarcza. Pomyśleć, co by się stało, gdyby wszystkie braki, wynikające z niedorozwoju rozstrzygano w podobny sposób.

Małą pocięgą jest utrzymanie cen mięsa na dotychczasowym poziomie, chociażby dlatego, że jest ono trudno dostępne. Pomimo znacznego wzrostu hodowli i skupu, dostawy mięsa na rynek rosną znacznie wolniej niż jest to możliwe, gdyż eksport stale pochłania towar przeznaczony na rynek wewnętrzny. W ten sposób i bez podwyżki władze osiągną zamierzony cel: ograniczają wzrost spożycia mięsa.

Po Krajowej Konferencji PZPR ceny podniesiono natychmiast, a płace podwyższy się stopniowo w ciągu 2 lat, zaś renty w ciągu... 6 lat do 1980 roku! Różnica w czasie między podniesieniem cen i płac oraz świadczeń socjalnych stworzy już na początku roku nadwyżkę przekraczającą aktualne wydatki na reklamowaną

poprawę stopy życiowej świata pracy. To nie jest „uzupełniającym zabezpieczeniem” podwyżki płac przez podwyżkę cen, o którym mówił Gierek, ale zabezpieczenie całkowite, przynajmniej w pierwszym okresie.

A co będzie później? Czy ktoś może zapewnić, że w 1980 roku, zanim zakończy się pełna podwyżka emerytur i rent, ceny tzw. nie podstawowych (a niezbędnych) artykułów spożywczych, nie mówiąc już o przemysłowych, nie pójdą wielokrotnie w górę? Chyba, że sprzeciwią się temu robotnicy, podobnie jak w grudniu 1970 roku.

Normalny ruch cen nie mieści się w polityce gierkowskiej. Ceny powinny podnosić się lub spadać w zależności od zmieniających kosztów produkcji. Zakłada to ruch cen w obydwie strony — w górę i w dół. W warunkach polskich, ceny najczęściej idą w górę. Obniżki są rzadkością i mają niemal wyłącznie na oku cele propagandowe. Z reguły wysokie ceny są swoistą prawidłowością. Dla utrzymania ich na wysokim poziomie, ogranicza się niekiedy produkcję wskutek sztucznie stworzonych trudności zbytu. Za rządów gierkowskich wzrosła wydajność pracy i spadły koszty produkcji wielu artykułów, zwłaszcza obuwia, odzieży i zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego, jednakże ceny tych towarów pozostały bez zmian. Przywództwo partyjne nie robi prezentów społeczeństwu, lecz wysysa zeń wszystkie soki żywotne. Podwyższa ceny, niezależnie od rentowności produkcji, celem mechanicznego ograniczenia spożycia i formalnego utrwalenia równowagi rynkowej. Czym to grozi postępowi gospodarczemu i stosunkom społecznym pokazał Gomułka, który przeciągnął strunę. Na razie zatriumfowała stara gomułkowska ekonomia. Czy Gierkowi starczy rozważań, by zatrzymać się w porę?

Na Krajowej Konferencji PZPR mówiono także o systemie zarządzania. Niemniej jednak perspektywy zmian nie są zbyt różowe. Nie trudno przewidzieć odwrót od zapoczątkowanych innowacji. Dziesiątki wskaźników i tysiące przepisów, hamujących samodzielność, inicjatywę przedsiębiorstw oraz postęp techniczny służyły jednemu zasadniczemu celowi: utrzymania w ustalonych proporcjach podziału dochodu narodowego. Przede wszystkim przez kontrolę funduszu płac i zatrudnienia. Na tej „bazie” powstała cała piramida ograniczeń, zakazów i nakazów. Zatrudnienie i płace miały tendencję do wyłamywania się z ciasnych ram. W rezultacie ciągle zastrzeczano administracyjne rygory i drobiazgową kontrolę. Gdy pomimo to powstawała groźba naruszenia proporcji podziału dochodu narodowego na rzecz ludności — państwo i wojewódzkie komisje cen przystępowały do działania, w sposób prosty i skuteczny — przez podwyżkę cen.

Projekty liberalizujące system zarządzania powstały w okresie kiedy ewentualność zwiększenia udziału ludności w podziale „bochenka” zwanego dochodem narodowym była niejako z góry akceptowana (oczywiście pod groźbą strajków). Obecny brak tej akceptacji spowoduje niewątpliwie nawrót do administracyjnego

regulowania zatrudnienia, zrodzi mnóstwo nowych administracyjnych nakazów i zakazów. Nasze przewidywania potwierdza wydany przez premiera Jaroszewicza jeszcze w I półroczu 1973 roku, zakaz zwiększenia zatrudnienia w licznych zakładach przemysłowych. Dotychczas nie został on uchylony.

Zamierzony odwrót od polityki wymuszonej na Gierku przez zrewoltowanych robotników mieści się w immanentnych prawidłowościach socjalizmu, w jego antyhumanistycznym charakterze, w jego tendencjach budowania na wyzysku społeczeństwa.

Siłą przeciwdziałającą odwrotowi do gomułkowszczyzny jest postawa świata pracy. Władze są tego świadome i starają się zachować maksimum ostrożności. Stąd demagogiczne manewry, zmierzające do zakamuflowania antyrobotniczych posunięć pozorowanymi w znacznej mierze, podwyżkami płac i świadczeń socjalnych.

Do odwrótu pcha również polityka Związku Sowieckiego, który — choć sam jest zainteresowany współpracą z Zachodem — niechętnym okiem patrzy na swoich satelitów, pragnących pójść w jego ślady, obawiając się osłabienia ich zależności od „starszego brata”. Utrzymaniu zależności sprzyja m.in. wewnętrzna struktura RWPG, oparta na niewymienialnym rublu. Ta struktura utrudnia krajom satelickim swobodę wyboru partnera, zmusza do czynienia większości zakupów w krajach komunistycznych. Ogranicza to siłą rzeczy rozmiary zakupów i kredytów jedynie do poziomu obecnego i przyszłego eksportu do krajów kapitalistycznych.

Niezależnie od pewnych trudności eksportowych, wynikających z niskiej jakości niektórych oferowanych towarów, główną przeszkodą jest ich niedostateczna ilość. Gros polskiego eksportu idzie do krajów bloku, a dla rynków zachodnich pozostaje już niezbyt wiele. Wprawdzie Polska i inne kraje satelickie starają się temu po cichu zaradzić, ale niewiele mogą uczynić.

Użyteczność nawet tej małej szczeliny w drzwiach otwartych na zachód jest redukowana — jak już wspominałem — także przez biurokratyczny system zarządzania. Odbija się to nie tylko na warunkach życiowych społeczeństwa, ale stanowi dodatkowy czynnik zwrotu ku starym metodom. Nie tylko w życiu gospodarczym, ale także w stosunkach społecznych, politycznych i kulturalnych. Przejawy zwrotu w tych dziedzinach są ogólnie znane i ich omawianie nie należy do tematu niniejszej pracy.

Uchwały Krajowej Konferencji PZPR zamykają pewien okres tzw. odnowy pogrudniowej. Na razie wzięty górę siły dążące do przykręcenia śruby. Czy na długo? Czy w ogóle jest możliwy powrót do zamkniętej gospodarki? Logika rozwoju współczesnego świata każe przypuszczać, że wzajemna izolacja krajów i obozów politycznych jest nie do utrzymania na dłuższą metę. Świat idzie ku integracji. Jest to proces długotrwały, gdyż trzeba przezwyciężyć przeszkody, nagromadzone przez ponad pół wieku istnienia dwóch układów politycznych i gospodarczych. Zmiany na lepsze w Polsce są zależne, w znacznej mierze, od zmian zachodzą-

cych w całym obozie komunistycznym. A te już się rozpoczęły i choć bardzo powoli, z trudem, przewyciężają utarte schematy myślowe i stare układy, zmierzają do współpracy z resztą świata. Chociażby dlatego, że nie ma innej alternatywy także i dla Związku Sowieckiego, jeśli nie chce utracić rangi wielkiego mocarstwa.

Zmiany na lepsze w Polsce zależą także od postawy świata pracy, który może przyspieszyć ewolucję w pożądanym kierunku. Należy przypuszczać, że sprzeciwi się on zmianom godzącym w jego sytuację materialną. Opór robotników Wybrzeża w grudniu 1970 roku zapoczątkował proces, który wciąż trwa i może w przyszłości znowu dać znać o sobie.

Aleksander WOJCIESZAK

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Kronika kulturalna

„Ślub” w Warszawie

Witold Gombrowicz: „Ślub”. Teatr Dramatyczny w Warszawie. Kwiecień 1974. Polska premiera.

Od dawna już nie mamy w Polsce sztuki politycznej. Tematy polityczne porusza się tylko pośrednio, uciekając się do historycznego kostiumu lub odległych metafor. Na bardziej lub mniej bezpośrednie aluzje polityczne pozwalają sobie kabarety studenckie, czasem nie tylko studenckie (można tu wspomnieć nieistniejący już, niestety, kabaret „Owca” lub działający w Warszawie kabaret „Pod Egidą”). Najczęściej są to jednak aluzje dwuznaczne, nie przekraczające w gruncie rzeczy wąskich granic określonych przez cenzurę. Spełniają one rolę przysłowiowego lufcika w mikołajewskich koszarach, co świeżego powietrza i tak nie wpuści, a stwarza pozory wietrzenia.

To odpolitycznienie sztuki bardzo boleśnie odbiło się na teatrze. Od teatru bowiem oczekujemy, my, widzowie, bezpośredniej reakcji na aktualne problemy życia społeczeństwa, zajmowania wobec nich określonej postawy i wpływania na kształtowanie się postaw publiczności. Wielokrotnie zdarza się, że publiczność sama narzuca taką funkcję teatrowi, spontanicznie reagując na wybrane sceny i partie tekstu; wydobywa ich aluzyjność, podkreśla znaczenie sprawy, zmieniając w ten sposób proporcje układu reżyserskiego, niekiedy wbrew intencjom twórców przedstawienia, a nawet autora sztuki.

Podobny los spotkał, jak się wydaje, warszawską premierę „Ślubu” Gombrowicza.

Już samo nazwisko autora, przez wiele lat przemilczanego przez oficjalną krytykę, a jak wszystko, co zakazane, równocześnie powszechnie adorowanego, zbulwersowało publiczność. Premiera stała się sensacją sezonu, wszyscy chcieli ją zobaczyć.

Przedstawienie opracował znakomity reżyser Jerzy Jaroński. Unikał nastrojnego podkreślania aluzji politycznych, a nawet

je maksymalnie wyciszył. Mimo to spektakl posiada swój sens polityczny, podporządkowujący sobie filozoficzne treści sztuki.

Wszystko utrzymane jest konsekwentnie w absurdałnej logice snu. Przyjętej konwencji służy również świetna scenografia Krystyny Zachwatowicz — niedookreślona, niedorzeczna, posługująca się tylko trzema barwami: czernią, bielą i zgniło-zielonym kolorem wojskowym, rozplywająca się wraz z kulisami w ciemnym tle sceny. Jedynym elementem dekoracyjnym (poza kilkoma skrzyniami i krzesłem, grającymi raczej rolę rekwizytów) jest duża ciemna bryła, przypominająca kształtem rozbity samolot. Samolot ten zależnie od zwrotów akcji jest albo elementem hangaru frontowego, albo wizją rodzinnego domu, karczmą albo królewskim pałacem.

Kostiumy składają się ze strzępów wojskowych mundurów i łączą w sobie skojarzenie autentycznych mundurów, strojów dworskich i nędzarskich łachmanów.

Rolę głównego bohatera, Henryka, gra młody aktor Piotr Franczewski. Jest to rola wymagająca ogromnej kondycji fizycznej i psychicznej. Franczewski sprostał jej w pełni, a to bardzo dużo. Potrafi utrzymać uwagę widowni, przeistacza się, stwarza siebie i swój świat sennych marzeń, potrafi lawirować między gombrowiczowską sztucznością, zalecanym przez autorski komentarz „zgrywaniem się” a grą serio. Śni w naszej przytomności koszmara o zmiecionym przez wojnę i rewolucję świecie, tak bardzo umarłym, że nawet we śnie wskrzesić go nie można, bo powstaje skrzywiony, spodlony, zhańbiony: — „Nie ma. — Nie. — Nic. — Przeinaczone. — Wykręcone. — Zrujnowane. — Wypaczone”. Jak Don Kichot z potworami walczy z Pijakiem uosabiającym siłę, która ten świat zgładziła, siłę wulgarną, prymitywną, a zarazem złą i przewrotną. Siła ta jest alienacją najtajniejszych, podświadomych myśli i instynktów bohatera. Słowa wypowiedziane, pomyślane, a nawet te, które w myśli nie zostały jeszcze sformułowane, przybrały żywą postać i wykrzywiają się do niego jak własna karykatura.

Zbigniew Zapasiewicz zagrał rolę Pijaka niezwykle. Zmieniał się jak kameleon, był wulgarny i wyrafinowany, ordynarny i wytworny, śmieszny i groźny, nieuchwytny i bardzo konkretny. A w każdym kolejnym przeistoczeniu doskonalił w zmienionych ruchach, charakterystycznym geście, sposobie mówienia, nawet w uśmiechu i mrużeniu oczu.

Skazany na zagładę stary świat reprezentują rodzice (Ryszarda Hanin i Józef Nowak) oraz Mania (Jadwiga Jankowska-Cieślak).

Nowak jest patetyczny i słaby, trochę blady, jakby kontury postaci zatarły się we śnie. Ryszarda Hanin, świetna realistyczna aktorka, mimo ogromnego wysiłku, czasem się w sztucznej konwencji nie mieści. Jest zbyt autentyczna, a nawet autentycznie wstrząsająca. Doskonale natomiast odnalazła groteskowy ton Jadwiga Jankowska-Cieślak. Wszystko w niej zostało doprowadzone do ostatnich granic sztuczności. Nie ma w niej już nic

naturalnego, cała stała się koszmarem. Jest mieszaniną beźmyślną, głupiej wulgarności, niepokojącego wdzięku i równocześnie kruchej, bezbronnej słabości. Odtrącona przez Henryka opuszcza scenę ciągnąc za sobą brudną żelazną rurę, nie wiadomo do czego służącą, w przedstawieniu jednak integralnie należąca do wewnętrznej logiki snu.

Drugą sprawą, która w warszawskiej premierze została ze „Ślubu” wydobyta i konsekwentnie przeprowadzona, jest dramat władzy (jeszcze jedno, obok „Dziadów”, „Wesela”, „Hamleta”, skojarzenie literackie — z „Balladyną”). I na te sceny najżywiej reaguje publiczność. Niezależnie od daty powstania utworu wszystko zostaje odniesione do aktualnej sytuacji politycznej, mimo że ani reżyser, ani zespół nie robią nic aby tę zbieżność wyeksponować, a nawet, jak to zostało już wyżej powiedziane, starają się ją wyciszać (świetnie robi to np. Andrzej Szczepkowski — Kanclerz, podający informację o terrorze policyjnym starczym beznamiętnym tonem, między uwagami o pogodzie i reumatycznych dolegliwościach). Tu właśnie sprawdza się prawo, że żywy teatr zawsze znajdzie swoje miejsce we współczesnym kontekście historycznym; technologia dyktatury i terroru w świadomości widzów zostaje przełożona na aktualny język polityczny.

Ważną rolę w przedstawieniu Jarockiego pełni finał, w którym bohater dobrowolnie przyjmuje odpowiedzialność za swój „czyn”. To jakby potwierdzenie opinii krytyka, że „Patriotyzm i moralizm wygnane u Gombrowicza drzwiami, wracają oknem dokonawszy podróży wokół świata jednostki, wzbogacone o wszystkie jej doświadczenia”.

Jarocki potrafił w spóźnionej o trzydzieści lat premierze Gombrowiczowskiego „Ślubu” odnaleźć ton współczesny, obronił sztukę dla teatru, bo sama jej filozoficzna zawartość może już by na to nie wystarczyła. Nie wina to autora, po prostu przyszedł do nas za późno, gdy spory i dyskusje wokół egzystencjalizmu już przebrzmiały, gdy sformułowania o samo- i współstwarzaniu się, o uwięzieniu w świecie pozorów, w świecie „Formy”, o niemożności autentycznego spotkania z drugim człowiekiem — nikomu już niczego nie odkrywają. Najwyższym elementem w tym układzie pozostaje problem przyjęcia odpowiedzialności za własne czyny i za ludzi, z którymi się nawzajem stwarzamy. „Niech wasze ręce Mnie... dutkną”.

Przedstawienie w Teatrze Dramatycznym cieszy się powodzeniem, miesiąc po premierze bilety są wciąż nie do zdobycia. Mimo to czegoś mu nie dostaje w kontakcie z widownią, która nagradza oklaskami (zresztą nie huraganowymi) tylko aluzje odnoszone bezpośrednio do sytuacji politycznej (np. rozmowę Ambasadora z Królem), głębszy sens przedstawienia umyka chyba jej uwadze, okazał się zbyt trudny.



Równocześnie odbyło się w Warszawie kilka przedstawień

„Ślubu” przygotowanych przez grupę studentów PWST pod kierunkiem pracownika IBL młodego krytyka literackiego Krzysztofa Zaleskiego (który sam grał rolę Pijaka). Przedstawienie to posługujące się w pełni „środkami ubogimi” (grano bez dekoracji i kostiumów) cieszyło się wielkim powodzeniem wśród młodzieży. Twórcy spektaklu skoncentrowali się głównie na filozoficznej zawartości sztuki, wydobywając przede wszystkim jej humanistyczne wartości. Ostrzej niż na zawodowej scenie podkreślali sztuczność ludzkich gestów i ich absurdałne uwięzienie w Formie.

WIDZ

KONKURS DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

KIERMASZ KSIĄŻKI POLSKIEJ S.P.K. w Szwajcarii — z okazji 25-tej rocznicy powstania i działalności — ogłasza, przy współpracy Naczelnictwa Związku Harcerstwa Polskiego w Londynie KONKURS z nagrodami pt.:

SZUKAMY POŁONIKÓW
(POLSKIE ŚLADY W ŚWIECIE)

W rachubę wchodzi: pomniki, cmentarze, nagrobki, tablice pamiątkowe, studnie, budynki, pomieszczenia, drzewa, meble, place i ulice, księgi, dzieła sztuki w cudzoziemskich zbiorach publicznych lub prywatnych itd.

Do wzięcia udziału w konkursie upoważnia opis obiektu po polsku do 3 stron, z rysunkiem albo obrazkiem lub fotografią, z dokładnym podaniem kraju, miejscowości, ulicy i numeru domu, ewentualnie nazwiska posiadacza obiektu.

Wiek uczestników konkursu w grupie I nie może przekraczać lat 18.

Wiek uczestników konkursu w grupie II od lat 18 do 25.

Za najlepsze prace nigdzie nie publikowane, przewidziane są następujące nagrody:

Grupa I: I nagroda fr. szw. 200; II nagroda fr. szw. 100; III nagroda fr. szw. 50.

Grupa II: I nagroda fr. szw. 300; II nagroda fr. szw. 200; III nagroda fr. szw. 100.

Dwie nagrody dodatkowe za fotografie lub rysunek po fr. szw. 50.

Nagroda specjalna za najoryginalniejszy obiekt fr. szw. 200.

10 nagród pocieszenia po fr. szw. 20.

Praca oznaczona godłem ma być przysłana do dnia 31 grudnia 1974 na adres: KAZIMIERZ F. VINCENZ, CASE POSTALE 145, 4500 SOLOTHURN 2, SUISSE.

W osobnej zaklejonej kopercie należy podać nazwisko i adres autora oraz wiek.

Jury konkursu stanowią Zarząd Kiermaszu Książki Polskiej SPK w Szwajcarii oraz przedstawiciele Naczelnictwa Harcerstwa Polskiego w Londynie pod przewodnictwem kierownika KKP Kazimierza F. Vincenza.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w początkach maja 1975.

Wszystkie nadesłane prace stanowią własność Naczelnictwa ZHP w Londynie.

Wyniki konkursu z podaniem nazwisk laureatów zostaną ogłoszone w polskiej prasie emigracyjnej.

Niezależnie od powyższego Konkursu Zarząd Kiermaszu Książki Polskiej ustanowił nagrody pt. ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ. Nagrody te otrzymają instytucje społeczne, pisma oraz pisarze i publicyści, których „Wierną służbę” uzna jury składające się z Zarządu KKP i Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Uchodźstwie.

Suma wszystkich nagród wyniesie około 10.000 Franków szwajcarskich.

TOWARZYSTWO OPIEKI NA POLSKIMI ZABYTKAMI
I GROBAMI HISTORYCZNYMI WE FRANCJI

W dniu 11 czerwca br. odbyło się w Bibliotece Polskiej w Paryżu Walne Zebranie Twa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji. Ze sprawozdania skarbnika R. Hyżego, wynikało, że wpływy w ub. roku wyniosły F. 22.422,89, wydatki zaś F. 20.613,91. Składkę członkowską podniesiono do F. 20 rocznie. Prezesem Twa wybrany został ponownie Jean-Paul Palewski, wiceprezesem Wł. Żeleński, a sekretarzem A. M. Żeleńska.

Na zakończenie Zebrania J. Winczakiewicz wygłosił odczyt o Ludwiku Wołoskim, emigrancie z 1831 roku, senatorze francuskim i założycielu Crédit Foncier de France.

Poniżej podajemy sprawozdanie z działalności Twa złożone za okres 1964-1974 z zakresu restaurowania i konserwacji grobów.

Cmentarz Montmartre — grobowce: 1) Bohdana Zaleskiego, 2) Kazimierza Rakowskiego, 3) Antoniego Lanckorońskiego, Aleksandra Brzezińskiego, Józefa Giedroycia i Artura Ramotowskiego, 4) Teofila Zabłockiego, 5) Józefa Kaszyca, 6) Aleksandra Wołodkowicza oraz grobowce zbiorowe: 7) „Przed Twe Ołtarze”, 8) „Jeszcze Polska nie zginęła” i 9) „Orla i Krzyża”.

Cmentarz Père Lachaise — grobowce: 1) Teodora Morawskiego, 2) Bonawentury Niemojowskiego, 3) Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, 4) Adolfa Cichowskiego, 5) generałów Kazimierza Skarżyńskiego i Andrzeja Gawrońskiego, 6) Dominika Dowgiałło, 7) generała Tadeusza Tyszkiewicza, 8) generała Walerego Wróblewskiego, 9) generała Józefa Wysockiego, i 24 inne groby.

Cmentarz Montparnasse — grobowce: 1) generała Ludwika Mierosławskiego, 2) Seweryna Elżanowskiego, Adama Kozłowskiego, Jana Lewickiego i Katarzyny Lewickiej, 3) Adama Kołyszko, 4) generała Tadeusza Suchozrewskiego, Józefa Straszewicza, Teofila Januszkiewicza.

Cmentarz Champeaux w Montmorency — grobowce: 1) Zofii Węgierskiej, 2) Delfiny Potockiej, 3) Wincentego Terleckiego, 4) Kazimierza Kocorowskiego, 5) Ignacego Paderewskiego (grobowiec rodzinny), 6) Juliana Ursyn-Niemcewicza i gen. Karola Kniaziewicz, 7) Mgr. Postawki, 8) Ojców Zmartwychwstańców, 9) gen. Władysława Zamoyskiego, 10) Władysława Zamoyskiego, 11) Antoniego Oleszczyńskiego, 12) Cypriana Godebskiego, 13) Olgi Boznańskiej, 14) gen. Janusza Gąsiorowskiego, 15) Józefa Franciszka Giedroycia, 16) Romualda Giedroycia, 17) Karoliny Giedroyciowej, 18) Kunegundy Giedroyciowej, 19) Wojciecha Sowińskiego, 20) Józefa Jurjewicza, 21) Władysława i Jadwigi Ordęga, 22) Bronisława Piłsudskiego,

23) Gustawa Zielińskiego, 24) Włodzimierza Zielińskiego, 25) Wiktora Osławskiego, 26) Stanisława Stodońkiewicza, 27) generała Feliksa Breańskiego, 28) Ildefonsa Kosiłowskiego, 29) Cypriana Norwida i dwunastu innych Polaków, 30) Józefa Szermentowskiego, 31) Jerzego Białopiotrowicza, 32) Emmy i Ady Borch, 33) Franciszka Duchinińskiego, 34) Antoniego Szymańskiego, 35) Władysława Zdzitowieckiego, 30) Korab Rayskiego.

Cmentarz w Bergerac — grobowiec (obelisk) Eugeniusza Ramockiego i Emila Giedroycia.

Cmentarz w Tours — grobowiec Waleriana Pietkiewicza.

Stary cmentarz w Neuilly — grobowiec Józefa-Marii Hoene-Wronskiego.

Cmentarz w Guebwiller — grobowiec Aleksandra Straszewicza.

Stary cmentarz w Saint-Germain-en-Laye — grobowiec generała Romana Sołtyka.

Inne prace

Paryż, 153, Bd Saint-Germain: nowa tablica pamiątkowa Joachima Lelewela.

Cmentarz Champeaux w Montmorency: wzniesienie w 1970 roku pomnika ku uczczeniu Polaków — żołnierzy i osób cywilnych — którzy oddali życie za Ojczyznę w czasie drugiej wojny światowej; koszty zostały pokryte przez Conseil Général du Val d'Oise przy pomocy finansowej i technicznej miasta Montmorency.

PEŁNE WYDANIE LISTÓW HENRYKA SIEKIEWICZA

Prof. Julian Krzyżanowski przygotowuje w Instytucie Badań Literackich PAN pełne wydanie listów Henryka Sienkiewicza, które zacznie ukazywać się w przyszłym roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Prof. Krzyżanowski zwraca się z apelem do wszystkich osób, które posiadają listy Sienkiewicza, by zechciały mu je udostępnić. Adres prof. Krzyżanowskiego: 02-637 Warszawa, ul. Miączyńska 23.

Książki

Życie i śmierć w łagrach

(TOM II „ARCHIPELAGU GUŁAG”)

W końcu maja bież. roku, w pół roku po pierwszym tomie, ukazał się drugi tom „Archipelagu GUŁag”. Powiedziawszy w pierwszym tomie o okropnościach aresztowań, męczarniach przesłuchiwań, cierpieniach w celach i na drogach do Archipelagu, Sołżenicyn zakończył go słowami: „I nawet ostatnia ludzka nadzieja, że w przyszłości będzie lepiej, że lepiej będzie w obozie, jest złudną nadzieją. W obozie będzie — gorzej”.

II tom, to książka o obozie. O poszczególnych obozach: o 121-szym punkcie obozowym w Moskwie, gdzie pracuje więzień Sołżenicyn, o najbardziej znanym z obozów lat dwudziestych — Sołowkach, o Białomorkanale — dziecku pierwszej piatiletki, o obozie śmierci — Orutokanie, i wielu, wielu innych. Ale jednocześnie jest to książka o wszystkich obozach, o ciężkiej, nie do zniesienia pracy i o śmiertelnym głodzie. Pisarz tłumaczy oficjalną nazwę — obozy pracy poprawczej — na język prawdy i nazywa trzecią część swojej książki „Obozy pracy wyniszczającej”.

Aleksander Sołżenicyn przestrzega z miejsca: „Najważniejszych rzeczy o tych obozach nikt już nigdy nie opowie”. Wszyscy, którzy głębiej zacerpnęli, dokładniej je poznali, są już w grobie. Przyznaje, że „Cały ogrom tej historii i tej prawdy przekracza możliwości jednego pióra”, ale dodaje — „Jednak smak morza można poznać już od jednego łyku”.

Nie jeden łyk tego strasznego oceanu, na którym rozpostarł się Archipelag GUŁag, będzie musiał wypić czytelnik 657 stron, stanowiących II tom książki, opisującej piekło na ziemi.

Tak, jak w pierwszym tomie, pisarz zaczyna od historycznego wstępu — tym razem bardzo krótkiego — poświęconego powstaniu obozów. Cytuje depeszę Lenina z sierpnia 1918 roku¹

1. Sołżenicyn pisze: wysłaną „kilka dni przed zamachem na Lenina”. W rzeczywistości depesza została wysłana 9 sierpnia, tj. na trzy tygodnie przed zamachem.

z żądaniem zamknięcia „niepewnych w obozie koncentracyjnym”, a następnie dekret Rady Komisarzy Ludowych z 5 września 1918 roku, w którym powiedziano w szczególności: „Zabezpieczyć Republikę Sowiecką od wrogów klasowych przez ich izolowanie w obozach koncentracyjnych”. Pisarz reasumuje: „A więc tu został znaleziony, natychmiast podchwycony i zatwierdzony termin — obozy koncentracyjne — jeden z głównych terminów XX wieku, o szerokiej, międzynarodowej przyszłości. I to właśnie wtedy, w sierpniu i wrześniu 1918 roku, „Archipelag” — jak pisze Sołżenicyn — „urodził się pod wystrzałami z Aurory”. I nie opuszczając okazji by, swoim zwyczajem, gorzko zażartować — tytułuje pierwszy rozdział II tomu „Palce Aurory”. Gdyby w czasie pracy nad książką Sołżenicyn miał pod ręką nie tylko dzieła Lenina, ale i Trockiego, to mógłby się z łatwością przekonać, że pierwsze użycie określenia — obóz koncentracyjny — jest bardziej bliskie wystrzałom Aurory, niż mu się wydaje. Już w czerwcu 1918 roku Komisarz Ludowy do Spraw Wojskowych i Morskich, Trocki, mówi w swoim rozkazie o „koncłagrach”.

Pierwszą z osławionych wysp Archipelagu był obóz sołowiecki o specjalnym przeznaczeniu (SŁON) — rzeczywiście położony na wyspie na Morzu Białym. Obóz sołowiecki był godnym zwiastunem całego imperium koncentracyjnego. Ładując na wyspie więźniów słyszał: „Uwaga! Tu republika nie sowiecka, a sołowiecka! Wiedźcie o tym, że jesteście tu zesłani nie dla poprawy!! Garbatego się nie naprawi!”. Przez dziesiątki lat, w tysiącach obozów będzie się powtarzać ta formuła, która przybierze z czasem bardziej precyzyjne określenie: „Prawo — tajga, naczelnik — niedźwiedź”. Na Sołówkach ludzi morzono głodem, latem przywiązywano nagich do drzew, aby ich zjadały komary, zimą kładziono na śniegu i przywiązywano do kłód, i rzucano ze schodów o 365 stopniach. Wśród białego dnia prowadzono ludzi na rozstrzelanie — „czyżby nie można było nocą, po cichu? — zapytuje autor — a dlaczego po cichu? — wtedy i kula niepotrzebnie przepada. W czasie dnia kula ma znaczenie wychowawcze. Poraża jak gdyby dziesięciu naraz”. W odnośniku do sceny rozstrzelania (odnośniki odgrywają niezmiennie ważną rolę kompozycyjną w „Archipelagu”), Sołżenicyn przerzuca most między dwoma epokami: wspomniawszy, że skazanym na rozstrzelanie na Sołówkach wiązano ręce drutem, autor komentuje: „Zwyczaj sołowiecki w dziwny sposób został powtórzony na trupach katyńskich. Czy ktoś przypomniał sobie tradycję, czy też swoje własne doświadczenia?”.

Znaczenie Wysp Sołowieckich, jako poprzedniczek Archipelagu, nie ogranicza się wypróbowaniem na wyspach Morza Białego reżymu bezprawia, okrucieństwa i wyniszczania. Na Sołówkach dokonano odkrycia, które posłużyło do stworzenia Archipelagu. Sołżenicyn pisze o tym następująco: „Na Archipelagu żyje uporczywa legenda, że łagry wymyślił Frenkiel”. Wydaje mi się, że ten niepatriotyczny i krzywdzący dla władz pomysł został obalony w poprzednich rozdziałach książki. Chociaż mimo skąpych

źródeł udało się nam — mam nadzieję — pokazać stworzenie łagrów celem zdławienia i dla pracy już w 1918 roku. Bez jakiegokolwiek tam Frenkla domyślono się, że więźniowie nie powinni tracić czasu na rozmyślanie... a powinni pracować... Już przed jakimkolwiek Frenklem mówiono: 'poprawa przez pracę'... Nawet nie było tu potrzeba nowoczesnego dialektycznego myślenia, by dojść do wykorzystania więźniów do ciężkich prac w rejonach małozałudnionych... A jednak Frenkiel stał się nerwem Archipelagu... Łagry jakby istniały przed Frenklem, ale nie przybrały one tej ostatecznej, jedynej w swoim rodzaju formy, graniczącej z doskonałością”.

Nazwisko Naftalego Frenkla, szeroko znane w obozach lat trzydziestych i czterdziestych, jest wymieniane w nielicznych tylko wspomnieniach o Sołówkach, które ukazały się na Zachodzie, oraz w książce „Białomorsko-Bałtycki kanał im. Stalina. Historia budowy”. Byli więźniowie Sołówek mówią o legendach, które powstały wokół postaci i biografii „wynalazcy obozów”. W „Białomorsko-Bałtyckim kanale” jego biografia — przecież jednego z głównych bohaterów — jest podana niezmiernie lakonicznie: „Zaczawszy jako prosty drwal na Sołówkach, Frenkiel przeszedł wszystkie stopnie życia obozowego i doszedł do stanowiska, na którym pod jego kierownictwem znalazły się dziesiątki tysięcy ludzi”. Sołżenicynowi udało się zebrać dane biograficzne o tym, który był jednym z najbardziej strasznych ludzi XX-go wieku. Żyd turecki, który zarobił miliony na handlu drzewem przed I wojną światową, przedostał się z kapitałem na początku rewolucji do Turcji; w latach NEP'u przyjeżdża do ZSSR, wykonuje polecenia GPU i w nagrodę zostaje aresztowany. W 1927 roku Frenkiel znajduje się na Sołówkach. Ale już w 1929 roku „przylatuje z Moskwy po Frenkla samolot i zawozi go na spotkanie ze Stalinem. Najlepszy przyjaciel więźniów (i najlepszy przyjaciel czekistów) z zainteresowaniem rozmawia z Frenklem przez trzy godziny”. Rezygnując z obiektywizmu i nieufności historyka, Sołżenicyn korzysta z praw powieściopisarza. Twierdzi: „Właśnie Frenkiel, i oczywiście że właśnie w tej rozmowie, przedkłada wszechobejmujący system łagiernego obrachunku, nie dający szans wykrętów naczelnikowi obozu, a tym bardziej aresztantom... Proponuje zrezygnowanie z reakcyjnego systemu równości w wyżywieniu aresztantów...”. Ponieważ — jak przyznaje sam Sołżenicyn — nie było stenogramu z rozmowy Stalina z Frenklem, można poddać w wątpliwość niezachwianą pewność autora, że to właśnie Frenkiel opatentował diabelską myśl obracania więźniów w niewolników pracy za pomocą jedzenia, tj. dosłownego zastosowania w łagrach zasady: „Kto nie pracuje, ten nie je”.

Uparta chęć pisarza, by wymienić nazwisko autora i dzień „wynalezienia” obozów, wynika — jak się zdaje — nie tylko z chęci personifikowania zła, ale z chęci utożsamienia Stalina z Frenklem. Kariera Frenkla przypomina w jakiś sposób biografię Stalina. Czyż charakter Frenkla nie jest podobny do

charakteru Stalina. To o Frenkle, budowniczym Białomor-kanatu, pisze wielki pisarz sowiecki: „Uważa, że dla naczelnika najważniejsze — to władza absolutna, niewzruszalna i niepodzielna. Jeśli władzy jest potrzebne, by się jej bano — niech się boją. Jeśli trzeba by jej nie kochali — niech nie kochają. Ale wola podwładnych powinna być całkowicie wolą naczelnika”. Sołżenicyn podając w skrócie tę cytację uzupełnia ją jeszcze jednym zdaniem, które wydaje mu się kluczowe w biografii i charakterze Frenkla: „Brutalnie rozmawiał z inżynierami, starając się ich poniżyć”. Możliwe, że tutaj mamy klucz psychologiczny do charakteru ulubieńca Stalina. Zasadniczym jednak jest coś innego, co podkreśla sowiecki biograf: „Wszystkie swoje sukcesy zawdzięcza on temu systemowi, w którym się znalazł”. Czyż Stalin swoje sukcesy zawdzięcza czemu innemu?

Sołżenicyn nazywa Frenkla „ideologiem nowej ery”, który sformułował najwyższe prawa Archipelagu. Od więźnia należy uzyskać wszystko przez pierwsze trzy miesiące — potem staje się już niepotrzebny. System obozowego obrachunku — wynaleziony przez Frenkla — był prosty i uniwersalny: każdy więzień powinien każdego dnia swojej kary pracować; więźnia żywi się jedynie wtedy gdy pracuje i w zależności od jego wydajności. Po raz pierwszy ta formuła została zastosowana w rozmiarze gigantycznym przy budowie Białomor-kanatu, długości 226 km., na skałach, wśród błot, bez żadnej mechanizacji — rękami niewolników.

Kanał został zbudowany, ale „w czasie pierwszej zimy 1931/32 100 tysięcy ludzi wymarło — tyle ile wynosił stan ludzi przy budowie... A było jeszcze jedno lato i jeszcze jedna zima”. 250 tysięcy trupów legło na dnie kanału.

Sołżenicyn cytuje nigdy nie ogłoszone wspomnienie D. P. Witkowskiego, który był na Sołówkach, a następnie przy budowie Białomor-kanatu: „W końcu dnia roboczego na trasie zostają trupy. Śnieg zasypuje ich twarze. Ktoś skurczył się pod przewróconą taczka, schował ręce w rękawy i tak zmarzł. Ktoś zastygł z głową między kolanami. A tam znów zmarzło dwóch, przytulonych do siebie plecami. Nocą jeżdżą sanie i zbierają ich. Woźnice rzucają trupy na sanie z drewnianym stukiem — a latem z niezebranych na czas trupów pozostają tylko kości, które wraz ze żwirem trafiają do betoniarki. Tak właśnie trafiły one do betonu ostatniej śluzy około miasta Białomorsk.

Kończąc swoją książkę, Sołżenicyn chciał przejechać się po kanale. Okazało się, że statki pasażerskie po nim nie kursują. Na towarowy statek pisarz nie starał się dostać: już w tym czasie jego nazwisko było podejrzanym. Dojechawszy pociągiem do Miedwieżegorska Sołżenicyn przeszedł piechotą wzdłuż kanału. Przez osiem godzin tylko jedna barka przeszła od Powienca do Soroki i jedna od Soroki do Powienca. Załadowane były identycznie: jednakowymi sosnowymi kłodami, już zbutwiałymi i nadającymi się tylko na opał.

Wybudowany za cenę ćwierci miliona żyć ludzkich, nieludzkim

trudem, w niewiarygodnie krótkim czasie, kanał okazał się zbyt wąski i właściwie niepotrzebny, zarówno pod względem gospodarczym jak i strategicznym. Ale Stalinowi kanał był potrzebny z innych względów. Wyjaśnienie tych względów, to jeden z tematów książki Sołżenicyna.

Ewolucja haseł, zdobiących bramy obozowe, pokazuje nie tyle charakter pracy w łagrze, ile stosunek do niej kierownictwa. Pierwsi więźniowie Sołówek mogli przeczytać: „Pokażemy światu nową drogę. Władcą świata będzie praca!”. Na Białomor-kanale więźniów zachęcano bardziej szczerze hasło: „Dobra praca to droga do wcześniejszego zwolnienia”. A po wojnie w strasznych obozach na Incie wydział kulturalno-wychowawczy agitował: „Pracujcie dobrze, a pochowa się was w drewnianej trumnie”. Sołżenicyn wyjaśnia: „Kiedyś, na Rusi, umarli nie mogli się obejść bez trumny. Nawet ostatnich nędzarzy i włóczęgów chowano w trumnie. Ale na Archipelagu byłoby to milonowe, bezproduktywne marnowanie pracy i materiałów drzewnych”.

Na Archipelagu trzeba było zapracować nie tylko na życie — nadmierną pracą prowadzącą do śmierci — ale i na trumnę po śmierci.

A oto opis karnego punktu łagiernego Orotukan na Kołymie, 506 km. od Magadanu. „Zima 1937/38. Drewniano-płóciennie osiedle, to są dziurawe namioty. Grupa nowych więźniów śledczych, jeszcze przed wejściem widzi, że każdy namiot w osiedlu jest obstawiony z trzech stron, z wyjątkiem wejścia, stosami zamrożonych trupów! (To nie dla zastraszenia. Po prostu nie ma innego wyjścia: ludzie umierają, a śnieg jest dwumetrowy, a pod nim wieczna zmarzlina)... W namiotach przepełnienie. A leży się tygodniami. Jedna miska lury dziennie. Jeszcze wydają rybę wybrakowaną przez nadzór sanitarny. Jest bardzo słona. Chce się po niej pić, ale nigdy nie ma gorącej wody — z zasady nigdy. Stoją tylko beczki z lodowatą wodą... G.S.M. namawia przyjaciół: jedyne zbawienie, to zrezygnować z ryby. Wszystkie kalorie, które uzyskujecie z chleba, tracie na zagrzanie w sobie tej wody... Sam M. jej nie jadł i dlatego teraz nam opowiada o Orotukanie... Wszyscy, którzy przeżyli Orotukan mówią, że przedkładają nad niego komorę gazową...”.

Zasadniczy konflikt, opisany przez Sołżenicyna w II-gim tomie, to wieczny konflikt między niewolnikiem, który nie chce pracować, a nadzorcą, którego zadaniem jest wycisnąć z niewolnika jak najwięcej.

Nadzorcy stosują system Frenkla zmuszając do pracy, odmawiając jedzenia niepracującym, lub mało albo źle pracującym. Wykonanie normy daje prawo do racji żywnościowej. Przekroczenie normy — do czego nawiązują nadzorcy — daje prawo do racji zwiększonej. Ale ta zwiększona racja w żadnym wypadku nie regeneruje sił straconych na przekroczenie normy i powsta-

je straszne pytanie: czy lepiej umrzeć otrzymując zwiększoną porcję, czy zadowolając się normalną

Nie wiadomo co wybraliby więźniowie, gdyby mieli prawo wyboru. Takiej możliwości nie mają, gdyż wraz z systemem żywienia „według pracy” działa jeszcze jeden piekielny pomysł: brygada. I teraz, jeśli norma wypracowana dotyczy nie pojedynczego człowieka, ale całej brygady, i w zależności od jej wykonania żywi się nie poszczególnego więźnia, ale wszystkich członków brygady, staje się ona motorem, który będzie zmuszał wszystkich do oddania ostatnich sił obozowi.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Ważną podniętą dla kierownictwa obozu, które z kolei popędza więźniów, jest terminowość wykonania zadania. „Wszystko, co się buduje, wydobywa, czy robi, powinno być wykonane w najbardziej skróconym terminie”. „11 km. w ciągu jednego zimowego miesiąca... Zadanie zdawało się niewykonalne. 300 tysięcy metrów prac ziemnych powinno się wykonać wyłącznie przy pomocy siły ręcznej”. Cytując te słowa z oficjalnego pisma *Sołowieckie łagieria* Sołżenicyn pyta: a dlaczego w ciągu miesiąca? dlaczego nie można tego odłożyć do lata? — przypomina, że budowa była położona za kręgiem polarnym, w wiecznej zmarzlinie.

Tempo — Stalin zawsze twierdził: tempo decyduje o wszystkim, „pośpiech”, „ważność” stają się efektywnym psychologicznym środkiem przymusu, działającym na równi ze środkami fizycznymi. Na tych psychologicznych założeniach buduje się moralność, filozofię, światopogląd, wyrażane słowami: „Ważny jest wynik”. Sołżenicyn pisze: „Pogląd, że ważny jest tylko materialny wynik, do tego stopnia zakorzenił się w nas, że gdy na przykład ogłaszają jakiegoś Tuchaczewskiego, Jagodę czy Zinowiewa zdrajcami, którzy zwąchali się z wrogiem, to naród tylko ocha i acha i dziwi się: 'A co mu brakowało?... Jeśli miał żarcia aż nadto, 12 ubrań, dwie wille, samochód i samolot i był powszechnie znany — no to co mu brakowało!' Miliony naszych rodaków nie są w stanie sobie wyobrazić, aby człowiekiem mogło powodować coś innego prócz korzyści materialnej”. Autor wskazuje historyczne źródła tej psychologii. Skąd się to u nas bierze? — zapytuje. — „Przede wszystkim z chwały naszych sztandarów i tzw. honoru naszej ojczyzny. Dusiliśmy, siekli i wyrzynali wszystkich naszych sąsiadów, rozszerzaliśmy się, i w ojczyźnie utwierdzał się pogląd: ważny jest wynik. Następnie — wylicza Sołżenicyn — od naszych pierwszych kapitalistów, od kupców rosyjskich. A potem od wszelkiego rodzaju socjalistów, a przede wszystkim od najnowszej, bezgrzesznej Nauki, która na tym polega: ważny jest wynik! Ważne jest by stworzyć bojową partię! Zdobyć i utrzymać władzę! Usunąć przeciwników! Zwyciężyć w żeliwie i stali! Wypuścić rakiety!

W końcu lat dwudziestych, kiedy ta ideologia „korzyści”, „rezultatu” ostatecznie zapanowała, najbardziej przenikliwi z sowieckich pisarzy zauważyli to zjawisko. Jurij Olesza pokazał w „Zawiści” bohatera, twierdzącego że kiełbasa ma przewagę nad

duszą. Bohater powieści Wieniamina Kawerina, „Nieznany artysta”, szczerze mówi: „Moralność? Nie mam czasu, żeby zastanawiać się nad tym słowem. Jestem zajęty — buduję socjalizm. Ale jeślibym musiał wybierać między moralnością a spodniami, to wybrałbym spodnie”. A ćwierć wieku później, w powieści Władimira Dudincewa „Nie samym chlebem...”, kierownik nowego typu nie tylko powtarza słowa swoich poprzedników: „Ścigamy się ze światem kapitalistycznym. Najpierw trzeba zbudować dom, a potem wieszać obrazki”.

Pisarz daje skondensowany obraz życia we wszystkich łagrach. Jeśli w I-szym tomie Sołżenicyn był przede wszystkim historykiem, to w II-im jest psychologiem i socjologiem — obóz jest analizowany z dwóch punktów widzenia: życia obozu i mieszkańców obozu.

Życie obozu — to wszystkie strony życia łagiernego: praca, jedzenie, odzież, baraki w których śpią zeki, szpitalnictwo, kary, również i ucieczki (raczej próby ucieczek) oraz zmuszanie do donosów na towarzyszy, to wreszcie — śmierć.

Praca, to główne zadanie obozu, reguluje i życie więźnia i jego śmierć. Sołżenicyn analizuje wielostronne aspekty pracy w obozie, poświęcając specjalną uwagę jego celowości gospodarczej. Nawiązuje do ulubionego tematu łagiernych dyskusji: czy państwu praca więźniów przynosi pożytek. „Niewątpliwie — pisze Sołżenicyn — jeśli wierzyć przywódcom, to nie ma o czym mówić”. Pisarz cytuje słowa Mołotowa o wykorzystaniu pracy więźniów: „Robiliśmy to poprzednio, i robimy obecnie i będziemy robić w przyszłości. To jest wygodne dla społeczeństwa. To jest pożyteczne dla przestępców”. Należy zauważyć, że nie dla Państwa to jest wygodne, ale dla samego społeczeństwa, a dla przestępców — pożyteczne. Ale autor Archipelagu próbuje to zagadnienie „uściślić”:

„Czy obozy są opłacalne z punktu widzenia politycznego i społecznego? Czy są usprawiedliwione z punktu widzenia gospodarczego? Czy są samowystarczalne (przy pozornym podobieństwie drugiego i trzeciego pytania jest jednak między nimi różnica)?”.

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest prosta: „Dla celów stalinowskich obozy były doskonałym miejscem, do którego można było zganiać miliony, dla nastraszenia. A więc z punktu widzenia politycznego były one usprawiedliwione. Obozy były również bardzo wygodne dla szerokiej warstwy społecznej... (pisarz ma tu na myśli obozowych oficerów, nadzorców, strażników, „posożytych” — jak ich nazywa). Nie wzbudza wątpliwości i gospodarczego pożytek z obozów, które dostarczają darmowej siły roboczej (za niewolnika w starożytności płacono jednak pieniądze, za kupno łagiernika nikt nic nie płaci), niewybrednej, gotowej do przenoszenia się w każdej chwili z miejsca na miejsce, nie mający rodziny, nie wymagający życia osiadłego, ani szkół, ani szpitali — a przez jakiś czas również ani kuchni, ani łaźni”. Ale na trzecie pytanie Sołżenicyn odpowiada negatywnie. Pań-

stwo bardzo chciało mieć obozy, ale bezpłatne — to znaczy samoopłacalne. Państwo marzyło, by „uczynić Archipelag bezpłatnym”. Ale marzenie to się nie spełniło. I Sołżenicyn wylicza powody, dla których państwo musi dużo dopłacać „za przyjemność posiadania Archipelagu”. „Pierwszym i głównym z tych powodów jest nieuświadomienie więźniów, niedbalstwo tych durnych niewolników. Nie tylko że nie można się od nich doczekać socjalistycznych wyrzeczeń, ale nie wykazują nawet zwykłej kapitalistycznej pracowitości. Tylko myślą jak by zniszczyć obuwie — i nie pójść do pracy; jak uszkodzić dźwig, zwichrować koło, złamać łopatę, utopić wiadro...”.

Konflikt między dążeniem państwa, by mieć „bezpłatne”, samowystarczalne obozy a wysiłkiem „nieuświadomionych” więźniów by uchylić się od pracy, określa całe życie obozowe. To dla uczynienia obozów tańszymi, więźniów — w dostównym tego słowa znaczeniu — morzono głodem. „Jeśli łagiernika okresu wojennego zapytać o najwyższy i nieosiągalny dla niego cel, to odpowie: ‘raz jeden najeść się do syta czerniaszki², a potem mogę już umrzeć’”. Autor Archipelagu przypomina, że w więzieniu, opisanym przez Dostojewskiego, chodziły po podwórzu gęsi i dodaje, że gdy ukazał się „Jeden dzień Iwana Denisowicza” Szalamow oskarżał go o upiększanie rzeczywistości: „Cóż to za szpitalny kot tam u was chodzi? Dlaczego go dotychczas nie zarżnięto i nie zjedzono?”. Dla potanienia łagrów więźniom nie daje się odzieży, w najlepszym wypadku umieszcza się ich w barakach, częściej w ziemiankach lub w zwykłych namiotach. Pisarz przypomina przy okazji o rosyjskim klimacie: „Naszego przeklętego Archipelagu nie można sobie wyobrazić pod palącym słońcem: stale jest pokryty śniegiem, stale szaleją nad nim zawieje”.

I niewątpliwie właściciele niewolników mając na celu potanieńnię kosztów obozu, opracowali system najokrutniejszych kar dla tych, którzy pracować nie chcą, lub nie mogą. Cały rozdział autor poświęca tym, którzy chcą „zmieniać los”, zwracając się o pomoc do „zielonego prokuratora”, to znaczy próbując uciec z obozu. Ten rozdział jest specjalnie interesujący, gdyż nie tylko mówi o barwnych ludzkich losach, o ludziach, którzy zachowali w najgorszych warunkach wolę sprzeciwu, ale pokazuje jednocześnie kraj, w którym człowiek wyrwawszy się spoza drutów kolczastych, z małego łagru, trafia do wielkiego.

Opisując szczegółowo wszystkie strony łagiernego życia i śmierci Sołżenicyn tłumaczy się: „Prawie całkowicie wyłączam Kołymę z treści tej książki”. Kołyma — biegun chłodu i okrucieństwa, najbardziej straszna wyspa Archipelagu — rzadko jest wspominana przez Sołżenicyna zarówno dlatego, że o niej trzeba pisać osobno, jak i dlatego, że zostały już o niej napisane „Kołymskie opowiadania” Warłama Szalamowa, z których „czytelnik

bardziej odczuje bezlitosność ducha Archipelagu i granice ludzkiej rozpacz”. Kołyma, to ostatni krąg piekła.

Mieszkańców Archipelagu Sołżenicyn dzieli według różnych kryteriów: poświęca oddzielne rozdziały kobietom w obozach, dzieciom (począwszy od 7 kwietnia 1935 roku „wszystkie kary z rozstrzelaniem włącznie są stosowane do osób od 12-go roku życia”) itd.

Sołżenicyn nigdy nie lubił ukrywać swoich poglądów: zawsze otwarcie wyrażał zarówno swoje sympatie jak i antypatie. Analizując psychologię mieszkańców Archipelagu pisarz od razu oświadcza, że „pisze w imieniu Rosji bezjęzycznej”, której wyrazem jest Iwan Denisowicz Szuchow, a z którym często prowadzi rozmowy na stronach Archipelagu. Iwan Denisowicz symbolizuje osadzonych w obozie koncentracyjnym ludzi, którzy sami dochodzą do zrozumienia sensu wydarzeń, wykonujących w obozie najbardziej ciężkie roboty, zdających sobie sprawę, że to jest praca niewolnicza, ale nie odzégnyjących się od niej nie tylko dlatego, że nie mogą się uchylić, ale również i dlatego, że człowiek nie może nie pracować.

Sołżenicyn odmawia członkom partii prawa nazywania siebie „więźniem politycznym”. O terrorze mówili: „popadli pod rodzi-my topór” i usprawiedliwiali słuszność tego określenia. Autor przyjmuje w charakterze kryterium formułę: „więźniem politycznym jest ten, kto ma przekonania, za zrezygnowanie z których mógłby otrzymać wolność”. Ortodoksyjni komuniści nie mieli przekonania. Dlatego też nawet zmarłym w więzieniach i łagrach ortodoksom odmawia prawa nazywania ich „tragicznie zmarłymi”. Mówi o nich „komicznie zmarli”. I kończy poświęcone im stronie słowami: „A zresztą po co ten cały rozdział? Cały ten długi przegląd i analiza lojalnych? Zamiast tego napiszmy metrowymi literami: Janosz Kadar i Władysław Gomułka. Przeszli oni niesprawiedliwe aresztowanie, śledztwo z torturami i ileś tam lat odsiedzieli. Cały świat widzi czy wiele z tego zrozumieli. Cały świat poznał ich wartość”. W odnośniku zrobionym w 1972 roku Sołżenicyn pisze: „Teraz można dodać i Gustawa Husaka”.

Opisawszy życie obozowe ze wszystkimi koszmarowymi szczegółami, autor zadaje zasadnicze pytanie: „Jakim jest kraj, który od dziesiętków lat nosił w sobie Archipelag”. I odpowiada przykładowo: „Miałem opuchlinę wielkości pięści mężczyzny. Ta opuchlina... przeszkadzała mi jeść, spać i zawsze ją czułem (choć nie stanowiła ona nawet 1/2 % mego ciała, a Archipelag wynosi 8 % całego kraju). Ale nie dlatego była ona dokuczliwa, że uciskała sąsiednie organy, najstraszniejsze było to, że wydzielala jad, który zatrawał całe ciało. Tak i nasz kraj stopniowo jest zatrawiany jadem Archipelagu”.

Sołżenicyn pokazuje jakimi kanałami przenika jad do ciała kraju, jak zaciera się granica między małym łagrem (rzeczywistym łagrem), a wielkim łagrem (całym krajem). Pokazuje jak haniebna praca niewolnicza w obozie wzniciła u wszystkich mieszkańców kraju obrzydzenie do pracy, jak niewolnicza

ideologia zeków stała się ideologią wszystkich obywateli, jak nawet język więzienny przeniknął do języka mówionego i literackiego.

Ale mimo wszystko autor zachował nadzieję i wiarę w siłę ducha ludzkiego, niezachwiane przekonanie o konieczności walki ze złem. Przeszedłszy przez więzienie i obóz — pisze Sołżenicyn — „rozumiałem prawdę wszystkich religii świata: walczą ze złem w człowieku (w każdym człowieku)... zrozumiałem zakłamanie wszystkich rewolucji historycznych — niszczą one tylko współczesnych im nosicieli zła (a w pośpiechu również i nosicieli dobra), a samo zło, jeszcze zwiększone, biorą w spadku”. I wdzięczny za objawienie mu w więzieniu wiarę i prawdę — oświadcza: „Błogosławię ciebie więzienie za to, żeś było w moim życiu”. Ale jednocześnie dodaje: „A z mogił odpowiadają mi: dobrze ci tak mówić jeśli pozostałeś przy życiu!”.

Zakończywszy lekturę II-go tomu czytelnik niewątpliwie zada sobie pytanie czym różni się on od pierwszego. II-gi tom jest napisany z tym samym zdumiewającym blaskiem jak i pierwszy, z tym samym niewiarygodnym wirtuozostwem języka (być może, że II-gi tom będzie jeszcze trudniejszy do przekładu, niż I-szy). W II-gim tomie jest mniej powoływania się na własne doświadczenia i na własne przeżycia. Chociaż — gdy zachodzi tego potrzeba — autor czerpie pełną garścią z własnych wspomnień. Gdy w rozdziale o „stukaczach”, o systemie tajnych donosicieli, istniejącym zarówno w obozach, jak i poza ich granicami, brakuje pisarzowi materiału: „Jakoś niechętnie mówili mi łagiernicy, jak ich werbowano” — opowiada więc jak jego werbowano. W II-gim tomie — znacznie silniej niż w I-szym — przejawia się talent Sołżenicyna-satyryka. Satyra podkreśla okropność opisów i pozwala czytelnikowi je znieść. W 1929 roku na Sołówkach szalała epidemia strasznej choroby: na ciele pojawiały się czarne strupy i ludzie nieuniknienie umierali. „Nie mogła to być ani dżuma, ani oспа — pisze Sołżenicyn — jak przypuszczali sołowczanie — gdyż obie te choroby zostały w sowieckiej republice całkowicie zlikwidowane. Nazwano więc chorobę azjatyckim tyfusem”. Albo opowiada historię sekciarzy, odrzucających wszystkie diabelskie papiery: dokumenty, paszport, pieniądze. Osadzono ich wszystkich w łagrze, gdyż „każdy oświecony człowiek wie, że sekciarze w żaden sposób nie mogą wejść do socjalizmu, w tym celu bowiem trzeba mieć wiele, bardzo wiele do czynienia z papierkami. Lepiej więc, by z tego powodu umarli”. Opisując wszechstronną działalność więźniów, wykonujących najbardziej ciężkie, najbardziej złożone i najbardziej zdumiewające zadania — pisarz konkluduje: „Łatwiej wyliczyć czym więźniowie nigdy się nie zajmowali: wyrobem kiełbas i słodyczy”.

Głównym celem sołżenicynowskiej satyry jest sowiecki urzędowy język — podstawa ideologii sowieckiej, skondensowany w języku Stalina.

W poemacie „Ostatni krąg” Zinajda Gippius pisała:

*Bądź szczęśliwy Dante, że na skutek zabiegów przyjaciela
Nie wszystko poznałeś w przybytku zmarłych,
Że twój przewodnik nie doprowadził cię do kręgu
Ostatniego — tego nie poznałeś.
I jeśli byś nie umarł z przerażenia
To i tak byś nam o nim nic nie powiedział.*

Nowy Wergiliusz — Aleksander Sołżenicyn — oprowadza czytelnika po wszystkich — aż do ostatniego — kręgach piekła. Nowy Dante mówi wszystko.

Adam KRUCZEK

Pawła Łyska traktat socjologiczno-polityczny

Książki Pawła Łyska: „Przy granicy” (1966); „Twarde żywoby-cie Jury Odcesty” (1970) i „Marynka, cera gajdosza” (1973), były już przedmiotem wielu recenzji, omówień i literackich refleksji. Zostały słusznie nagrodzone przez Jury londyńskich *Wiadomości*. Celem mego artykułu nie jest jeszcze jedno omówienie literackie, lecz analiza polityczno-socjologicznych treści zawartych w try-logii beskidzkiej.

Jestem przekonany, że wcześniej czy później książki Łyska uznane zostaną za klasyczne powieści, przedstawiające względnie mały i ograniczony światek polskości na rzeczywistie odwiecznych południowych rubieżach Rzeczypospolitej. Łysek jest już może ostatnim autorem, który opisuje folklor zanikającej warstwy społecznej. I ostatnim znawcą obyczajów, zwyczajów i mądrości ludowej tego rejonu.

W książkach jego, jak w każdym autentycznym dziele literackim, zobrażowane zostały piórem artysty podstawowe problemy społeczne, gospodarcze, polityczne i — co równie ważne — narodowe. One właśnie szczególnie mnie zainteresowały. Zauważyliśmy na wstępie, że światek opisywany przez Łyska rozpadał się już przed wojną, a po wojnie wszedł w okres prawdziwej agonii: drobne gospodarstwa chłopskie (i bieda) nie mogły być dzielone (a bieda pomnażana) w nieskończoność. Obowiązkiem każdego ustroju politycznego w Polsce, dbającego o swe przetrwanie, było odpro-wadzenie nadwyżki rąk roboczych ze wsi do przemysłu. Łysek pokazał tę konieczność bardziej przekonująco, aniżeli jakikol-wiek traktat socjo-ekonomiczny, opublikowany po wojnie. Moż-

liwe, że industrializacja i przemiany społeczne zostały dokonane szybciej przez Polskę Ludową, niż zrobiłby to na przykład koalicyjny rząd demokratyczny. Lecz pewne jest, że nieodwracalne powiązanie tej ludności z przemysłem oraz nieuchronnym rozwojem turystyki (sic!) — zadaje śmiertelny cios (*vide* przykłady: Włoch, Hiszpanii, południowej Francji czy nawet wysp na południowy wschód od USA) dawnym, rzekomo sielankowym, formom współżycia. Realny problem dzisiaj nie polega na tym, czy udałoby się zakonserwować, dawne formy współżycia ludu „dobrego i poczciwego”, lecz czy niektóre wartości moralne i obyczajowe, opisane przez naszego autora, mogłyby być przetransplantowane w nowowytłaniające się społeczeństwo industrialne; czy te zabytkowe wartości, w wypadku ich zachowania, mogłyby je uczynić bardziej ludzkim i mniej obojętnym na losy jednostki, mniej „kafkowskim” niż na Zachodzie.

Społeczeństwo opisane przez Łyska, aczkolwiek zacofane i pod pewnymi względami średniowieczno-prymitywne, było jednak czymś więcej niż zbiorem mieszkających obok siebie, jednostek. Ludzie w trylogii beskidzkiej są złączeni mocnymi więzami solidarności, pokrewieństwa, współczucia, współzależności. Nie są sobie obcy i obojętni, nie są „wyalienowani” ani w sensie marksowskim, ani heglowsko-egzystencjalistycznym. Interes ekonomiczny nie jest jedynym ogniwem, nie jest nawet odczuwany jako najważniejszy. Ale Łysek pokazuje że ci, którzy idą na naukę do miasta lub pracują w mieście (choćby jako „sturdy”), już mają nowe i szersze horyzonty, nowe dodatkowe więzi, ambicje i oczywiście nowe lojalności. A tych „wychodźców”, powracających „dorywczo” lub „na stałe”, musi być coraz więcej — albo z biedy albo z zamożności. I oni nieuchronnie — jak to choćby widać na przykładzie Marynki i jej męża — wnoszą ferment w zastarzałe formy. Co z dawnej moralności, opierającej się chyba mocniej na obyczajach niż na religii, zdoła się zachować i przetrwać? Oto problem socjologiczno-polityczny, którego Łysek nie mógł oczywiście w swoich książkach rozwiązać, ale go za to z całą jasnością postawił. Toteż można by zaryzykować twierdzenie, że Łysek napisał podzwonne epoce i społecznosci, których „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”. Uwiecznił to, co się zatraci i przetwarza zarazem. Rzecz zauważył jeden z członków Jury Wiadomości, Juliusz Sakowski, który nazwał „Twarde żywobycie Jury Odcesty” epopeją, książką przedstawiającą zwyczaje i obyczaje, które na naszych oczach giną.

Każdego prawnika i socjologa uderzyć musi jedno: oto góral ma uprzedzenie do wszelkich pisanych ustaw i przepisów. Przez podanie sobie ręki ugoda czy umowa staje się legalna. Jest to zasada prymitywna, ale bardzo przekonywująca, praktyczna i „honorna”. Czy odwiecznie zakorzeniona nieufność wobec prawa zostanie wkrótce podważona? Nawet w państwie bardziej prawnym niż PRL nie mogłoby być to proces szybki.

Nad fabułą trylogii unosi się problem narodowy, a w szczególności kwestia świadomości narodowej i stosunków polsko-

czeskich. W miejscowościach względnie zamkniętych i odległych od polskich centrów kultury, a zarazem bliskich Czech i podanych przez niemal półtora wieku władzy zaborczej, problem samookreślenia narodowego jest istotny i może być zagmatwany. Nie szukając odległych przykładów — Niemcy w czasie okupacji masowo produkowali *Volksdeutsch*ów, a Kaszubów i górali niemal oficjalnie „wydźwignęli” na szczybel „rasy panów”. Polityczną i socjologiczną zasługą Łyska jest uwydatnienie głębokiej wewnętrznej więzi między tą ludnością a całym narodem polskim. Choć nikt przy zdrowych zmysłach nie ważyłby się kwestionować tego organicznego związku, świat nie jest rządzony przez zdrowy rozsądek. Różnymi drogami chadzają myśli ościennych nacjonalistów i nie do przewidzenia są fiksacje separatystów różnych maści.

Analiza dialektu miejscowego, którego Łysek jest najwyższym kapłanem, świadczy o tym, że pniem i macierzą gwary beskidzkiej jest język polski, a nie czeski czy słowacki, mimo że jakieś wpływy obu tych języków można by oczywiście wydedukować. Również układ psychologiczno-kulturalny jest polski, a nie — to już trzeba stwierdzić bez ogródek w związku ze znanymi pretensjami historycznymi — czeski. Z chwilą, gdy padło słowo „czeski”, doszliśmy do kluczowej sprawy politycznej. Atmosfera niedowierzania i niechęci do Czechów unosi się nad całą trylogią. To nie Łysek sztucznie ją stwarza: po prostu ją oddaje. Gdyby pisał w konwencji „realizmu socjalistycznego”, i gdyby go oceniali specjaliści od tego odrealnionego realizmu, zarzuciliby mu z pewnością, że ulega przesadom, że nie dostrzega tego, co łączy dwa ludy słowiańskie, że wyolbrzymia zjawiska przypadkowe, że nie podkreśla tego co najbardziej charakterystyczne, itp., itp.

A jednak Łysek jest realistą. W książkach jego nie znalazłem ani jednego słowa skierowanego przeciwko Czechom jako narodowi (wspomina kilkakrotnie, w negatywnym kontekście, urzędy i urzędników czeskich — ale to inna historia!). W rejonie opisywanym — ktokolwiek go zna i rozumie — atmosfera antyczeska jest czymś realnym i żywym. Artysta fałszowałaby obraz rzeczywistości, gdyby jej nie widział i nie czuł.

Jakie są przyczyny „nacjonalizmu antyczeskiego”? Dlaczego przesady antyczeskie są tak głębokie? Łysek nie stara się nawet wnikać w owe wiekowe źródła i przyczyny — i słusznie. Bo musiałby zapewne — chcąc nie chcąc — zrationalizować to co irracjonalne. Ze wszystkich fobii i uprzedzeń, nękających naród polski, za najbardziej nierozumne, bezpodstawne i szkodliwe uznałbym przesady antyczeskie. Że Czesi, choć na ogół bardziej racjonalistyczni, odpłacają pięknym za nadobne — pomnaża tylko tragizm, niczego nie usprawiedliwiając. Doświadczenia historyczne i rozum wskazują, że Polacy i Czesi mogą być wolni tylko o tyle, o ile *oba narody*, położone między Niemcami i Rosją, będą wolne, niepodległe i zjednoczone (choćby skromnym traktatem współpracy i przyjaźni). Aby to osiągnąć, potrzebna jest nie tylko odpowiednia polityka rządów w Pradze i Warszawie;

ważne są również zrozumienie, tolerancja i szacunek w rejonach przylegających do obu brzegów Olzy.

Łysek świetnie wykazał, że pod grubą warstwą wzajemnych niechęci i uprzedzeń ziemia nad-Olziańska („przed” i „za” Olzą!) jest jednak całością; że ścisła granica państwowo-polityczna nie da się osiągnąć.

Piękne fragmenty o tolerancji i przyjaźni ewangelicko-katolickiej (w „Marynce, cerze gajdosza”) powinny być rozciągnięte na wszelkie aspekty „różnorodności w jedności”. A wówczas ta dziwna okolica, zamiast dzielić dwa narody skazane na podobne losy, będzie je łączyła. Ten morał polityczny trylogii Pawła Łyska nie jest jeszcze realny, ale możliwy; jest drogowskazem skierowanym w przyszłość.

Mieczysław MANELI

Nadesłane nowości wydawnicze

NOWAK-JEZIORAŃSKI (Jan Z.). *Polska droga ku wolności 1952-1973*. Przedmowa Adama Ciołkowsza. Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1974, cena £ 2,25).

BRAUN (Jerzy). *Rytmy włoskie*. Wiersze. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. „Odnova”, Londyn, 1974, cena £ 1.00 lub \$ 3.00).

NOWOTARSKA (Róża). *Tryptyk wojenny*. Przedmowa Marka Świącickiego. Str. 131 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

GOZDAWA (Jan). *Poezje niemodne*. Przedślowie prof. Wacława Jana Godlewskiego. Rysunki Stanisława Grabskiego. Str. 59 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

Kronika bieżących wydarzeń. Tom II (Numery 13-20). Tłumaczenie i opracowanie Niny Karsov i Szymona Szechtera. Str. 362 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1974).

CIOŁKOSZ (Adam). *Sprawa najważniejsza*. Str. 14. (Przedruk z *Tygodnia Polskiego* z 30. 3. 1974,

Londyn, wyd. Polish National Fund, cena £ 0.06).

Miejsce Polski w Europie. Sprawozdanie z sympozjum zorganizowanego przez Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie i odbytego w dniu 24 listopada 1973 r. w sali Wydziału Fizycznego Imperial College w Londynie. Str. 64. (Wyd. Polskiego Komitetu do Spraw Współpracy i Bezpieczeństwa w Europie, Londyn, 1974, cena £ 0.25).

Olsztyn w fotografii. Tom III pracy zbiorowej *Olsztyn*. Przedmowa Andrzeja Wakara. Str. 20 i 2 nlb. oraz 159 fotografii. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn, 1973, cena 100 złotych).

Stosunki polsko-niemieckie w historiografii. Część pierwsza: Studia z dziejów historiografii polskiej i niemieckiej pod redakcją Jerzego Krasuskiego, Gerarda Labudy, Antoniego W. Walczaka. Str. 533 i 3 nlb. (Nr 25 serii „Studium Niemcoznawcze Instytutu Zachodniego”, wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1974, cena zł 110).

LEWANDOWSKI (Józef). *La pensée historique dans les pays du bloc soviétique*. Str. 18 i 2 nlb. (Odbitka z *Revue d'Histoire Diplomatique*, Juillet-Décembre 1973, Nos 3-4, wyd. Ed. A. Pedone, Paryż, 1973 — tłumaczenie artykułu, który ukazał się w nr. 23 *Zeszytów Historycznych*, wyd. Instytut Literacki, Paryż, 1973).

MOND (Georges H.). *Les moyens d'information en Chine: aperçu des sources occidentales et est-européennes*. (Nadbitka z *Revue de l'Est*, Octobre 1973, volume 4, No 4, str. 151-182).

California Slavic Studies. Volume VII. Str. 158 i 4 nlb. (Wyd. University of California Press, Berkeley-Los Angeles, Cal., December 1973, cena \$ 6,00).

BROCK (Peter). *Nationalism and Populism in Partitioned Poland*. Selected essays. Str. 219 i 1 nlb. (Wyd. Orbis Books (London) Ltd., Londyn, 1973).

Poland's Place in Europe. Report of a symposium organized by the Polish Society of Arts and Science Abroad and held on 24-th November 1973 in the auditorium of the Physics Department of Imperial College, London. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Polish Committee for Co-Operation and Security in Europe, Londyn, 1974).

DRZEWIENIECKI (Walter M.). *Rotary Club of Kenmore — Fifty Years of Service to the Community*. Str. 24. (1974).

BRZEZINSKI (Zbigniew). *The Deceptive Structure of Peace*. (Nadbitka z *Foreign Policy*, number 14, Spring 1974, cena \$ 2,50, Washington).

MOSTWIN (Danuta). *The Profile Of A Transplanted Family*. Str. 13 i 3 nlb. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XIX, No. 1, 1974, str. 77-89, New York, N.Y.).

DE WEYDENTHAL (Jan B.). *Academic Dissent As A Catalyst For Political Crisis In A Communist System*. Str. 24. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XIX, No 1, 1974, str. 17-40, New York, N.Y.).
Felician Sisters 1874-1974 A Century of Service. Kalendarz na 1974 rok.

WITTLIN (Józef). *Gogols Inferno*. (Nadbitka z *Merkur — Deutsche Zeitschrift für europäisches Denken*, Heft 4, 28. Jahrgang 1974, str. 337-350, Wyd. Ernst Klatt Verlag, Stuttgart).

Dr FOSTUN (Sviatomyr M.). *Pinśka Kongregacja*. Str. 68. (Wyd. Ukrainian Autocephalic Orthodox Church in Great Britain, Londyn, 1974).

Kalendar — Almanach Nowoho Szlachu na 1974 rik. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. „Nowyj Szlach”, Winnipeg, Man., 1974).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

9-5-74

Ambasada USA w Moskwie zawiadomiła Marię Sulsjane, matkę marynarza Simasa Kudirki, że zostało jej przyznane obywatelstwo amerykańskie. Maria Sulsjane urodziła się w USA i mieszkała tam 5 lat. Simas Kudirka ma również prawo ubiegać się o otrzymanie amerykańskiego obywatelstwa. Kudirka w listopadzie 1970 roku wyskoczył z okrętu „Sowiecka Litwa”, który znajdował się wówczas w pobliżu brzegów amerykańskich, dostał się na handlowy statek amerykański i z miejsca wydany został wydany w ręce sowieckie. Kudirkę następnie skazano na 10 lat więzienia. M. Sulsjane poprzednio nie była dopuszczana przez KGB do ambasady.

10-5-74

Zarząd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej uchwalił budowę w Warszawie „Domu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”. Koszt budowy zostanie pokryty z funduszy społecznych. ■ Nagrody literackie Centralnej Rady Związków Zawodowych otrzymali: Tadeusz Hołuj za książkę „Osoba” i Leon Wantuła za „Po dzwonach cisza”.

15-5-74

W Warszawie, w Wojskowej Akademii Politycznej, odbyła się dwudniowa konferencja naukowa, poświęcona kształtowaniu osobowości oficera politycznego WP. ■ W pierwszym kwartale bież. roku 1.800 tysięcy polskich turystów wyjechało za granicę. Jest to wzrost o 80 % w porównaniu z rokiem ubiegłym. Najwięcej osób wyjechało do NRD. ■ Władze PRL zdecydowały, że wszystkie wydawnictwa historyczne będą scentralizowane jedynie w Wydawnictwie MON. ■ W Warszawie wywołał sensację kwietniowy numer miesięcznika informacyjno-propagandowego *Pologne*, który ukazuje się w językach: polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim i szwedzkim. Mianowicie na okładce został zamieszczony rysunek Jana Młodożeńca, przedstawiający skutego kajdanami orła w koronie, z datami powstań: 1830, 1863, 1944. Numer został skonfiskowany, a redaktor naczelny, Jerzy Piórkowski, usunięty ze stanowiska. ■ Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie i Wydawnictwo Literackie w Krakowie rozpoczęły wydawanie 14-tomowej edycji dzieł Stanisława Brzozowskiego pod redakcją Mieczysława Sroki. Ukazał się tom I „Kultura i życie” ze wstępem Andrzeja Walickiego.

17-5-74

Krakowskie Wydawnictwo Literackie razem z Instytutem Wydawniczym PAX przystąpiło do wydania dzieł wybranych Melchiora Wańkowicza. Obejmą one 18 tytułów w 20-tu tomach. Dzieła będą się ukazywały w przeciągu 4-5 lat.

19-5-74

Z dniem 1 czerwca br. wchodzi w życie umowa o zniesieniu wiz pomiędzy PRL a Szwecją. ■ Na 30-lecie PRL wybita zostanie srebrna moneta 200-złotowa. Można ją będzie nabyć jedynie za dolary.

20-5-74

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie przyznało nagrodę naukową im. ks. Idziego Radziszewskiego — założyciela KUL-u —

prof. Wł. Tatarkiewiczowi. ■ Władze PRL odmówiły Tadeuszowi Różewiczowi i Tadeuszowi Konwickiemu paszportów na wyjazd do Berlina Zachodniego na stypendium Akademii Sztuki. Jest to pierwsza odmowa tego rodzaju, gdyż stypendia te mają charakter prestiżowy i bardzo wielu polskich pisarzy z nich korzystało. ■ Delegacja rządowa PRL, która bawiła w Buenos Aires celem rozszerzenia współpracy gospodarczej z Argentyną, zaprosiła Perona do złożenia oficjalnej wizyty w Polsce. Zaproszenie zostało przyjęte. Będzie to druga wizyta Perona w Polsce: po raz pierwszy był w 1942 roku na zaproszenie Hitlera, wspólnie z którym wizytował front wschodni. ■ W Warszawie mówi się, że Gierek zamierza przeprowadzić reformę konstytucji w stylu rumuńskim, tj. zlikwidować Radę Państwa i objąć samemu stanowisko prezydenta. Ponadto Gierek podobno zamierza usunąć Piaseckiego z PAX-u ze względu na akcję jaką ten ostatni prowadzi przeciwko niemu w Moskwie. ■ W Warszawie odbyło się polsko-amerykańskie spotkanie okrągłego stołu. Ze strony amerykańskiej wzięli udział m.in. Zbigniew Brzezinski, William E. Griffith, Ivo Lederer — z ramienia Fundacji Forda, John D. Wilson — wiceprezydent The Chase Manhattan Bank. Ze strony polskiej wzięli udział m.in. Marian Dobrosielski — dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, prof. J. Pajestka i red. Mieczysław Rakowski.

25-5-74

Powstała polsko-szwedzka spółka rybacka „Trans-Ryb” z siedzibą w Göteborgu. ■ Jury nagrody im. S. Piętaka nagrodziło Jana Goczoła za tom poezji „Manuskrypt”, Bronisława Gołębiowskiego za studium „Pamiętnikarstwo i literatura”, Wiesława Myśliwskiego za dramat „Żłodziej”.

27-5-74

Zmarł w Warszawie, w wieku 86 lat, redaktor Jerzy Nowakowski, nestor dziennikarstwa polskiego, o 60-letnim stażu pracy.

29-5-74

Znany pisarz rosyjski, Wiktor Niekrasow, zwrócił się bezpośrednio do Breżniewa z podaniem o wyjazd z ZSSR. Niekrasow, pisarz niezmiernie popularny w ZSSR, jest niepublikowany od 1972 roku a jego książki są wycofane z obiegu. Ostatnio został usunięty ze Związku Filmowego, którego był członkiem jako scenarzysta, a w najbliższym czasie ma zostać usunięty ze Związku Pisarzy Sowieckich. 17 stycznia br. KGB przeprowadziło czterodniową rewizję w jego mieszkaniu w Kijowie konfiskując siedem worków manuskryptów, czasopism i książek. ■ Sp-nia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” przyznała swe doroczne nagrody. M.in. przyznano nagrodę zespołowi redakcyjnemu *Życia Partii*, a wśród nagród indywidualnych — Kazimierzowi Kąkolowi, redaktorowi *Prawa i Życia* — „w uznaniu jego dorobku publicystycznego oraz osiągnięć w redagowaniu *Prawa i Życia*”. ■ Zostały przyznane nagrody im. Aleksandra Zawadzkiego dla autorów prac doktorskich i magisterskich. Nagrody te są przeznaczone dla autorów prac „o tematyce walki zbrojnej narodu polskiego o niepodległość i socjalizm w okresie drugiej wojny światowej, problemów historii Ludowego Wojska Polskiego, kształtowania się władzy ludowej w latach powojennych oraz udziału sił zbrojnych w procesach przemian ustrojowych i społecznych, a także gospodarczej odbudowie kraju”. Nagrodzone prace wydawane są w formie książkowej przez Wyd. MON. Do tej pory ukazało się sześć tomów tych prac. ■ Franciszek Szlachciec został mianowany wiceprezeselem Rady Ministrów, a odwołany ze stanowiska członka Rady Państwa. ■ Kazimierz Kąkol został mianowany podsekretarzem stanu i kierownikiem Urzędu do Spraw

Wyznań na miejsce Aleksandra Skarżyńskiego. K. Kąkol od 1957 roku jest redaktorem naczelnym tygodnika *Prawo i Życie* oraz docentem w Instytucie Dziennikarstwa przy Uniwersytecie Warszawskim. K. Kąkol odznaczył się specjalnie w roku 1968 w akcji pacyfikacyjnej studentów, a następnie w akcji antysemitkiej. „Najwybitniejszymi” osiągnięciami pisarskimi Kąkole były jego felietony w *Prawie i Życiu* podpisane pseudonimem „Roda ze Szmulek”.

1-6-74

Do Sejmu PRL wniesiono projekt ustawy o stworzeniu funduszu alimentacyjnego, który ma zapewnić stałą pomoc rodzinom rozbitym, a zwłaszcza dzieciom i osobom starszym pozbawionym alimentów ze względu na ich nieściągłość. ■ W ub. roku import paliw i energii w PRL (głównie ropa naftowa i gaz ziemny) wynosił wartość 500 milionów dolarów, a eksport (głównie węgiel) około 900 milionów dolarów. ■ Ambasadorem PRL w Holandii został mianowany Józef Okuniewski, specjalista od problemów rolniczych. ■ Na Węgrzech istnieje 1.600 tysięcy drobnych gospodarstw, w których pracuje ponad 5 milionów osób. Dostarczają one 34 % ogółu produkcji rolnej i 50 % hodowlanej. Parlament i rząd Ludowej Republiki Węgierskiej zagwarantował ostatnio przyszłość tych drobnych gospodarstw rolnych.

5-6-74

W Tbilisi (Gruzja) aresztowano znanego matematyka moskiewskiego, Jurija Gustiewa za posiadanie egzemplarzy ostatniego numeru *Kroniki bieżących wydarzeń*.

8-6-74

W Warszawie odbył się VI Krajowy Zjazd Polskiego Czerwonego Krzyża. Przewodniczącym Zarządu Głównego został wybrany dr R. Brzozowski. Na zjazd przybył prezes Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, prof. Eric Martin. Polski Czerwony Krzyż liczy około 5 milionów członków.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-5-74

W organach watykańskich piastują funkcje następujący Polacy: ks. infułat Bolesław Filipiak — dziekan Trybunału *Sacra Romana Rota*; ks. prałat Andrzej Deskur — przewodniczący Papieskiej Komisji środków masowego przekazu; ks. Bogumił Lewandowski — w Kongregacji d/s duchowieństwa; ks. Ryszard Karpiński — w Papieskiej Komisji dla duszpasterstwa migracji i turystyki; ks. Marek Starowieyski — w Kongregacji dla Wychowania Katolickiego; dr Mieczysław Habicht — wice sekretarz Rady Świeckich. Liczni Polacy pracują w Kuriach Generalnych zakonów i zgromadzeń. Brak niestety Polaków w najważniejszych dykasteriach: Sekretariacie Stanu, Radzie d/s Publicznych Kościoła (Min. Spraw Zagr.), Kongregacji Ewangelizacji (dawniej: Propaganda Fide) i w Kongregacji dla Doktryny Wiary (dawniej: Święte Oficjum) oraz w Sekretariatach d/s jedności chrześcijan i dla niewierzących. ■ Inż. Zygmunt Wieliczka w Brazylii przygotowuje do druku pracę pt. „Udział Polonii Brazylijskiej w drugiej wojnie światowej”, która ma się ukazać w języku polskim i portugalskim. ■ W Brazylii ukazał się VII tom „Roczników społeczności brazylijsko-polskiej” — „Annais da comunidade brasileiro-polonesa”. Tom ten został wydany dzięki ofiarności Piotra Ignaszewskiego, przemysłowca z Fluiopolis. Wydawnictwo to można nabyć w redakcji *Ludu* w Kurytybie (Parana).

19-5-74

W Londynie zmarł, w wieku 56 lat, Michał Chmielowiec, pisarz i krytyk, redaktor *Wiadomości*.

25-5-74

W Domu Kombatanta Polskiego w Paryżu odbyło się walne zebranie polskiego Skarbu Narodowego we Francji.

28-5-74

Powiernicy Polskiej Fundacji Kulturalnej im. Sylwestra Gruszki w Australii przyznali dotację w wysokości 200 Dol.A. młodzieżowemu zespołowi mandolinistów „Biało-czerwoni” w Sydney.

29-5-74

W Paryżu w sali *Centre du Dialogue* odbył się odczyt Tadeusza Mazowieckiego, naczelnego redaktora miesięcznika *Wież*, ukazującego się w Warszawie. Temat odczytu: „Ideowe nurty współczesnej inteligencji polskiej — spotkania — konfrontacje — perspektywy”.

30-5-74

Towarzystwo Historyczno Literackie w Paryżu zorganizowało wieczór poświęcony melodiom polskim. ■ Prezydent Francji V. Giscard d'Estaing oświadczył: „Francja jest krajem liberalnym i powinna jeszcze bardziej zaznaczać swoje ukierunkowanie w tej dziedzinie. Z tego właśnie powodu uważam, że winny być podjęte działania w trzech dziedzinach: przede wszystkim zniesienie podsłuchów telefonicznych — jeśli istnieją — i zniszczenie archiwów, zebranych na ich podstawie; po drugie rozwój Francji, jako kraju azylu intelektualnego i politycznego; i wreszcie — jeśli o mnie samego chodzi — prasa nie będzie konfiskowana, nawet gdyby chodziło o atak na prezydenta”.

31-5-74

W Zürichu deputowany Flaminio Piccoli, jeden z przywódców *Democrazia Christiana* i prezes katolickiej unii prasy włoskiej, wręczył Aleksandrowi Sołżenicynowi „Złotą kliszę 1974”, nagrodę włoskiego dziennikarstwa, przyznawaną co roku osobistościom, które „reprezentując walory godności ludzkiej i obywatelskiej stanowią wzór zaangażowania na rzecz obrony wolności kultury”. ■ W Londynie odbył się zjazd Rady Naczelnej Koła Żołnierzy A.K. Przewodniczącym Rady Naczelnej został wybrany Tadeusz Zawadzki, a prezesem nowego zarządu, Michał Mandziara.

1-6-74

W Paryskim wydawnictwie Denoël ukazała się książka Bruno Schulza „Les boutiques de canelle” („Sklepy cynamonowe”) w przekładzie Thérèse Douchy, Georges Sidre i Jerzego Lisowskiego. ■ W Londynie zmarła tragicznie Maria Dobkowa, wdowa po pisarzu Czesławie Dobku.

2-6-74

Zmarł w Londynie, w wieku lat 69, Michał Goławski, prezes Macierzy Szkolnej, autor szeregu podręczników i redaktor kwartalnika *Wychowanie ojczyście*.

3-6-74

W Paryżu zmarł, w wieku 80 lat, gen. brygady Józef Jaklicz, b. zastępca szefa Sztabu Głównego w okresie międzywojennym, dowódca organizacji

wojskowej prowadzącej działalność konspiracyjną we Francji w okresie wojny, członek Rady Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.

4-6-74

Wydział Sławistyki uniwersytetu w Sztokholmie urządził poranek poezji polskiej. Prof. Józef Trypućko omówił twórczość Tadeusza Różewicza i jej oddziaływanie na Skandynawię, a znany krytyk szwedzki, Erik Mesterton, analizował twórczość Zbigniewa Herberta. ■ Rada Bezpieczeństwa uchwaliła utworzenie sił obserwacyjnych ONZ dla rozdzielania wojsk syryjskich i izraelskich. W siłach tych weźmie udział część polskiego kontyngentu znajdującego się obecnie na granicy egipsko-izraelskiej w ramach wojsk ONZ.

5-6-74

Nagroda światowa Cino-del-Duca, w wysokości 150 tysięcy franków, została przyznana A. Sacharowowi. Jury chciało odznaczyć autora, którego dzieło jest „posłaniem humanizmu”. ■ Międzyrządowy komitet do spraw migracji w Europie (CIME) podaje, że w pierwszym kwartale bież. roku wyjechało z ZSSR do Izraela 7.260 osób. Ponadto 5.000 osób wyjechało z Chile i osiedliło się w 44 różnych krajach świata.

6-6-74

W Londynie odbyło się zebranie naukowe Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Wielkiej Brytanii z odczytem prof. Iwony Grabowskiej z York University w Kanadzie pt. „Asymilacja czy kolizja? — wpływy angielskie w języku polskim”.

7-6-74

Siedemnastu pisarzy różnych narodowości zwróciło się z apelem do Konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie, domagając się rozwoju wymiany i przepływu informacji przez granice. Apel podpisali: Heinrich Böll, Frederich Dürrenmatt, Pierre Emmanuel, Günther Grass, Graham Greene, Eugene Ionesco, Leszek Kołakowski, Siegfried Lenz, Mary MacCarthy, Norman Mailer, Arthur Miller, Harold Pinter, Denis de Rougemont, John Updike, Vercors, Per Waestberg i Angus Wilson.

8-6-74

W Londynie odbyło się posiedzenie Rady Narodowej R.P. pod przewodnictwem F. Wilka. Przedmiotem obrad był budżet wydatków na rok 1974. Budżet wynosi 27.000 £.stg. Grupa socjalistów A. Ciołkosza i Grupa Społeczna atakowały charakter konsumpcyjny budżetu, gdyż 73 % budżetu idzie na wydatki personalne i administracyjne. Ponadto, postanowiono powołać komisję do zbadania całości gospodarki nieruchomościami w Londynie, stanowiącymi własność publiczną. ■ Stowarzyszenie Lotników, które wprowadziło delegowało dwóch swoich przedstawicieli do Rady Narodowej R.P., uchwalając jednocześnie, że nie mogą oni być członkami władz Stowarzyszenia gdyż Rada Narodowa jest instytucją polityczną. ■ W kołach polskich w New Yorku mówi się, że p. Leopold Tyrmand zabiega o stanowisko redaktora *Polish Affairs*, kwartalnika wydawanego przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce.

9-6-74

W Liceum Polskim nad Marną odbyło się spotkanie polsko-węgierskie, na które przybyło ok. 100 Węgrów. Przemawiał w imieniu Polaków dyr. T. Rzewuski i sekretarz Liceum, mjr S. Berak, a ze strony węgierskiej p. Szen prezes b. Powstańców węgierskich we Francji. ■ W związku z aresztowa-

niem we Francji trzech dyplomatów PRL za działalność szpiegowską wielu urzędników ambasady PRL w Paryżu dyskretnie wróciło do kraju.

11-6-74

W Brukseli zmarł, w wieku 79 lat, znany publicysta Jerzy Drobnik, b. korespondent w Berlinie i w Kownie w okresie międzywojennym.

14-6-74

W *Centre du Dialogue* w Paryżu odbył się odczyt Jacka Woźniakowskiego, prof. KUL'u i dyrektora Instytutu Wyd. ZNAK, pt. „Polacy w świecie w oczach Polaka z kraju”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

27. 4. br. odbył się w Kay Spiritual Center na kampusie American University w Waszyngtonie wieczór autorski Danuty Mostwin zorganizowany przez Polish-American Association of Washington. ■ Przemysłowiec amerykański i działacz polonijny Edward Piszek został przyjęty w Warszawie przez Edwarda Gierka. Konferencja dotyczyła „pomyślnie kształtujących się stosunków polsko-amerykańskich”. Przy spotkaniu był obecny prezes towarzystwa „Polonia”, Wincenty Kraśko. ■ 1. 5. br. zmarł w Rochester, N.Y. Stanisław Lipiński znany kino-operator i reżyser filmowy. ■ Staraniem Polskiego Towarzystwa Prawniczego w USA odbyła się w New Yorku 4. 5. br. akademii ku uczczeniu 125 rocznicy zgonu Juliusza Słowackiego. ■ 14. 5. br. Zmarł w New Yorku, w wieku 79 lat, płk Roman Michałow-ski, oficer I Brygady, adiutant marszałka Piłsudskiego, attaché wojskowy w Bukareszcie i w Londynie, w czasie ostatniej wojny ppłk w sztabie 6-ej grupy armii amerykańskiej na froncie zachodnim, ostatnio wykładowca na New York University. ■ 30 maja miał się odbyć bankiet w hotelu Hilton w Los Angeles, organizowany przez czynniki reżymowe z okazji wizyty ambasadora PRL, połączony z wyświetlaniem filmu o Hubalu. Oddział kalifornijski Kongresu Polonii Amerykańskiej zorganizował pikietowanie tej imprezy. W pikietowaniu wzięli udział działacze polonijni jak płk Fryzen-dorf, płk Kowalewski, p. Westfalewicz, dyrektor miejscowej Kasy Pożyczkowej i in. Pikietowanie odniosło skutek i na przyjęciu było jedynie ok. 80 osób, głównie Amerykanów. Na film o Hubalu przyszło zaledwie 12 osób tak że musiano zrezygnować z przemówienia ambasadora. To niepowodzenie prawdopodobnie zmusi PRL do zrezygnowania z projektu otworzenia konsulatu w Los Angeles. ■ Senator Henry Jackson, który zjednoczył różne czynniki — od skrajnej prawicy republikańskiej po demokrację liberalną, od syjonistów po syndykalistów — osiągnął zablokowanie „Trade Bill” nowelizacją uzależniającą przyznawanie kredytów i przywilejów celnych dla ZSSR od złagodzenia sowieckiej polityki emigracyjnej. W ostatni poniedziałek senator Jackson oświadczył, że zaproponuje ustawę zmierzającą do udzielenia Kongresowi prawa weta odnośnie transakcji Eximbanku. Jego zdaniem pożyczki dla Sowietów (500 milionów dolarów w okresie ostatnich dwóch lat) zostały udzielone na bardzo niski procent. Ze szczególnym naciskiem omówił ostatnią pożyczkę z 31 maja br. w wysokości 180 milionów dolarów na 6 % (przy 11,5 % od pożyczek wewnętrznych), która ma służyć sfinansowaniu dużego zespołu przemysłowego do produkcji sztucznych nawozów na Syberii... Prezydent Nixon w przemówieniu wygłoszonym 5. 6. br. z okazji promocji w szkole morskiej w Annapolis powiedział w związku z tym oświadczeniem, że zdecydował się zainterweniować osobiście, i podkreślił, że polityka zagraniczna Stanów Zjedn. nie może być związana z przeobrażeniami innych społeczności, a zwłaszcza społeczności Związku Sowieckiego.

„My nie życzymy sobie aby inne kraje mieszały się do naszych spraw i nie możemy od nich wymagać, by z nami współpracowały, gdy my chcemy wtrącać się bezpośrednio w ich interesy — powiedział Nixon i dodał: „W epoce nuklearnej naszym zadaniem jest przede wszystkim zapobieżenie wojnie, która mogłaby zniszczyć wszystkie społeczności...”. ■ 12. 5. br. przybyła do Waszyngtonu z 10-dniową wizytą delegacja rządowa z Warszawy z wicepremierem Janem Mitręgą na czele. Delegacja, w skład której wchodził wicemin. Handlu Zagr. Kisiel, wicemin. Przemysłu Ciężkiego J. Bojakowski i wicemin. Górnictwa Z. Nowak, przybyła na zaproszenie rządu amerykańskiego celem przeprowadzenia układów gospodarczych, dotyczących górnictwa i przemysłu energetycznego. Amerykanie interesują się polskim węglem i możliwością współpracy w eksploatacji miedzi w Polsce. Polacy zaś interesują się kredytami dla PRL. ■ 30. 5. br. Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i ZNP, Alojzy A. Mazewski, powrócił z Genewy do USA. Wyjazd przywódcy Polonii Amerykańskiej do Genewy pozostawił w związku z odbywającą się tam Europejską Konferencją Bezpieczeństwa i Współpracy. Prezes Mazewski odbył szereg spotkań i rozmów z czynnikami politycznymi z innych delegacji na Konferencję, przedstawiając im memorandum KPA w sprawie Konferencji i podkreślając zainteresowanie Polonii Amerykańskiej tymi problemami poruszonymi na Konferencji, które dotyczą losu Europy Wschodniej, a szczególnie Polski. — Niestety stało się to już zwyczajem polityki amerykańskiej, że gdy ma nastąpić nowy krok w kierunku współpracy z ZSSR — celem uzyskania lepszych warunków przetargowych uruchamiania się wystąpienia przedstawicieli Polonii Amerykańskiej. Ponieważ na wokandzie prez. Nixona jest zbliżenie z PRL, jako kolejny etap zbliżenia z Moskwą, organizuje się występ prez. Mazewskiego w Genewie. Za kilka miesięcy dowiemy się o serdecznym przyjęciu Gierka w Białym Domu. Cała ta — dość prymitywna — gra, istniejąca od czasów Roosevelta, nie przeszkadza Polakom w kraju i na emigracji pokładać wszystkie nadzieje jedynie w USA. Można z góry założyć, że Polonia Amerykańska nie zdecyduje się na wystąpienia przeciwko Gierkowi w czasie jego pobytu w USA, tak jak nie zdecydowała się nawet na cichą demonstrację w czasie pobytu Breżniewa w Stanach Zjednoczonych. ■ 31. 5. br. prasa amerykańska podała do wiadomości: że Edward Gierk będzie rewizytował prez. Nixona w październiku br. Przed wizytą Gierka ma przyjechać z oficjalną wizytą do Chicago prez. m. Warszawy J. Majewski, a pod koniec roku mayor m. Chicago Daley ma odwiedzić Warszawę. W 1973 roku Warszawa i Chicago zostały miastami bliźniaczymi. ■ 22. 5. br. *Chicago Tribune* wydrukowała całostronicową recenzję z nowej książki Eugeniusza Komorowskiego pt. „Night never Ending”, poświęconej Katyniowi. ■ 6. 6. br. w Uniwersytecie stanowym w Cleveland, Ohio, odbyło się Sympozjum Etniczne, zorganizowane przez Institute Urban Studies, w którym wzięli udział przedstawiciele czołowych organizacji etnicznych w USA. Polonię reprezentował delegat Kongresu Polonii Amer., płk K. Lenard. Sympozjum zajmowało się problemem wprowadzenia studiów etnicznych do amerykańskich szkół podstawowych. Koordynatorem programów był przedstawiciel Włochów amerykańskich, prof. K. B. Bonutti. ■ 7. 6. br. działająca od 10-ciu lat polsko-amerykańska organizacja kulturalna „Parma Polish American League” odbyła w Cleveland doroczną konwencję z udziałem ponad 300 delegatów, reprezentujących polskie organizacje w USA. Tematem konwencji był udział Polonii w obchodach 200-lecia powstania Stanów Zjednoczonych A.P. Postanowiono obchodzić te połączyć z akcją uświadamiającą społeczeństwo amerykańskie o polskim wkładzie do rozwoju Stanów Zjednoczonych A.P. Konwencja stwierdziła m.in. że „Amerykanie nie o nas nie wiedzą poza Kościuszką i Pułaskim” i w tym tkwi przyczyna różnych *Polish jokes* oraz lekceważenia polskiej grupy etnicznej.

KRONIKA KANADYJSKA

Prace nad przygotowaniem III Kongresu organizowanego przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce, który ma odbyć się 16, 17 i 18. 5. 1975 r. w Montrealu są w toku. Gospodarzami kongresu będą naukowcy polsko-kanadyjscy. Ustalono już sekcje oraz ich przewodniczących, a mianowicie: *Architektura i Sztuki Piękne*: Arch. J. Warunkiewicz, Montreal; *Ekonomia*: Dziekan J. K. Krzeczowski, Toronto; *Etniczność i Polonia Zagraniczna*: Red. B. Heydenkorn, Toronto i Prof. Helena Znaniecka-Łopata, Chicago; *Geografia*: Prof. B. Zaborski, Montreal; *Historia*: Prof. S. Bóbr-Tylingo, Halifax; *Prawo*: Prof. L. Rabcewicz, Ottawa; *Literatura*: Prof. Z. Folejewski, Vancouver; *Matematyka i Fizyka*: Prof. B. Ławruk, Montreal; *Medycyna*: Prof. S. Skoryna, Montreal; *Nauki Przyrodnicze*: Prof. W. Adamkiewicz, Montreal; *Filozofia*: Prof. A. Kawczak, Montreal; *Instytuty i Biblioteki Polskie Za Granicą*: Dyr. R. Kogler, Toronto i Dr John Mish, New York; *Nauki Polityczne*: Prof. A. Bromke, Hamilton; *Prasa i Środki Masowego Przekazu*: Prof. A. Ruskowski, Ottawa i Red. Bolesław Wierzbiański, Jersey City; *Psychologia*: Prof. K. Dąbrowski, Edmonton; *Sociologia*: Prof. A. Matejko, Edmonton; *Nauki Techniczne*: Prof. J. Stachiewicz, Montreal; *Nauki Teologiczne*: Dziekan A. Kośnik, Orchard Lake. ■ 4. 5. br. zmarł nagle w Ottawie ppłk Lotnictwa Polskiego dr inż. Adam Jaworski. W czasie bitwy o Anglię był szefem technicznym eskadry 302, a w 1945 roku został szefem wydziału statystycznego w polskim Sztabie Głównym. W Kanadzie był radcą ekonomicznym w ministerstwie transportu. Reprezentował Kanadę na wielu konferencjach międzynarodowych. ■ W notatce *Kroniki kanadyjskiej*, zamieszczonej w czerwcowym (6/321) numerze *Kultury*, o konferencji slawistycznej w Kanadzie opuszczono przez pomyłkę nazwisko dr. Jerzego H. Monda, wykładowcy uniwersytetu Prawa, Ekonomii i Nauk Społecznych w Paryżu, który na tej konferencji będzie przewodniczącym sekcji dotyczącej środków masowego przekazu w krajach socjalistycznych.

Z OSTATNIEJ CHWILI

13-6-74

W ambasadzie Izraela w Londynie odbyła się uroczystość wręczenia dyplomu i medalu „Yad Vashem” Wacławowi Zagórskiemu, pisarzowi i dziennikarzowi, b. oficerowi Armii Krajowej i redaktorowi *Tygodnia Polskiego*, stwierdzająca, że został on wpisany do „Księgi Sprawiedliwych Świata”.

14-6-74

Prof. M. Giergielewicz z Uniwersytetu w Filadelfii (USA) wygłosił w Polskim Towarzystwie Naukowym w Londynie odczyt pt. „Dalekie kulisy dawnej emigracji”. ■ Obroty między PRL a Iranem mają w br. ulec podwójnemu. Nowozbudowana rafineria pracować będzie w oparciu o dostawy irańskiej ropy naftowej.

15-6-74

Władze sowieckie pozwoliły znanemu sowieckiemu pocię i piosenkarzowi, Aleksandrowi Galiczowi, na wyjazd z rodziną do Izraela.

Humor krajowy

- Od czego pochodzi skrót PRL?
- Od słów: Prywatny Rancz Leonida.

- A FIAT 126?
- Od Fatalna Imitacja Auta Turystycznego, 1-osobowego, 2-drzwiowego i 6-ciokrotnie przepłaconego.

- Dlaczego gdy na zebraniach partyjnych wygłasza się referaty często nasuwa się porównanie smakowe: „pieprz z dżemem”?
- Bo jeden pieprzy, a reszta drzemie...

- Jaka jest różnica pomiędzy syjonizmem a socjalizmem?
- W zasadzie prawie żadna — jeden i drugi wymyślił Żydzi, tyle że syjonizm dla siebie a socjalizm dla gojów.

- Na czym oparty jest dolar?
- Naturalnie, że na złocie.
- A złoty?
- Wiadomo: na cynie.
- ?
- Na cynie społecnym...

Nowy napój w Polsce: KOLASETA (buteleczka CocaColi i setka wódki).

Otoczenie Gierka obawia się od pewnego czasu, że Pierwszy Sekretarz może złamać nogę... Łatwo jest pośliznąć się na podwyżce cen!

Grupa sowieckich antropologów została schwytana przez ludożerców w sercu Afryki. Rozebrano ich, związano i szykowano się aby ich ugotować. Nagle wódz plemienia wskazał palcem na jednego i zawołał: „Tego uwolnić!... To mój kolega z uniwersytetu im. Lumumby w Moskwie...”.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Proszę Pana Redaktora o zamieszczenie niniejszej poprawki i dopełnienia mego artykułu o Zakładzie dla Niewidomych w Laskach, drukowanym w *Kulturze* (Nr 3/318).

Zgon ks. Antoniego Marylskiego nastąpił nie 2-go a 21-go kwietnia 1973 roku.

Komitet zawiązany w New Yorku w 1946 działał zrazu pod egidą American Foundation for Over-Seas Blind a dopiero później już jako samodzielna jednostka pod nazwą Committee for the Blind of Poland.

Założycielami Komitetu byli: Dorothy Kostanecka-McHugh, Iza de Landsberger oraz Felicia i Kazimierz Krancowie.

Sekretariat i administrację przejęła z czasem grupa wolontariuszy pod przewodnictwem Haliny Rodzińskiej.

Dwumiesięczny pobyt w Stanach Zjednoczonych w 1973 roku Zofii Morawskiej, obecnej kierowniczki Zakładu, przyczynił się do rozszerzenia akcji Komitetu i umożliwił budowę nowego szpitala w Laskach.

Maria CZAPSKA

Otrzymałmśmy odpis listu otwartego Karola Głogowskiego z Łodzi do redakcji *Trybuny Ludu*, która go nie zamieściła. List ten krąży w odpisach po Polsce. Zamieszczamy go bez wiedzy i zgody autora uważając, że może on zainteresować Czytelników *Kultury*.

Do

Obywatela Redaktora Naczelnego
„Trybuny Ludu”
w Warszawie

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem od wielu lat czytelnikiem „Trybuny Ludu” i nie dziwi mnie pojawienie się na jej łamach artykułu polemizującego z jakimś stanowiskiem przeciwnym ideologii lub polityce Partii, czy też apologetycznego wobec państwa socjalistycznego. A jednak, nie tylko zdziwił mnie ale i przykro zaskoczył artykuł pt. „Nienawiść i dywersja”, kogoś, kto ukrywa się za literami „M.K.”, zamieszczony w numerze 9 „Trybuny” z dnia 9. I. 1974 r. Atakowany jest w nim pisarz radziecki, laureat nagrody Nobla — Aleksander Sołżenicyn, zaś bezpośrednim powodem ataku jest wydanie w Paryżu jego książki pt. „Archipelag Gułag”.

Nie mogę oczywiście odnieść się do treści wspomnianej książki, której czytelnikowi polskiemu nie dano poznać choćby z recenzji. Nie o to zresztą w konkretnym przypadku chodzi. Idzie o budzący niepokój sposób, w jaki

ów „M.K.” reaguje na fakt ukazania się tej książki. Otóż „M.K.” nie ukrywa nawet tego, że książki Sołżenicyna nie zna a swoje impresje na jej temat opiera na „omówieniach” i „streszczeniach” wspomnianej książki, jakie ukazały się w prasie burżuazyjnej w związku z jej wydaniem. Z tych to omówień i streszczeń rzekomo wynika, że „...książka ta jest kolejnym, paszkwilanckim atakiem, na ustrój panujący w ZSRR od 1918 roku a więc od czasu Rewolucji Październikowej”.

Jak z powyższego widać, dla „M.K.” wystarczającą podstawą do formułowania ocen są interpretacje prasy burżuazyjnej, być może, po prostu błędne, a być może, świadomie tendencyjne. I to właśnie musi budzić zdziwienie każdego samodzielnie myślącego człowieka. To również rodzi poważne wątpliwości, co do słuszności reprezentowanego przez „M.K.” stanowiska, choć jest ono formułowane z pozycji totalnej apologii państwa socjalistycznego i jego polityki. Czytając jego elaborat odnosi się bowiem wrażenie, że w sposób świadomy ignoruje on doświadczenia zrodzone w toku historycznego już procesu budownictwa socjalistycznego i stara się zapobiec w refleksji intelektualnej, związanej z tym procesem, obecności tych stanowisk i poglądów, które dotychczas nie miały w niej prawa obywatelstwa. Chodzi mianowicie o to, że w opisie rzeczywistości społecznej państw socjalistycznych, dominował punkt widzenia właściwy organizatorom procesu budownictwa socjalistycznego. Próba rekonstrukcji tego opisu, wynikająca z uwzględnienia punktu widzenia tych sił społecznych, którym przypadła w tym procesie rola tylko wykonawcza albo — co gorsza — rola ofiar, zresztą nie koniecznie klasowych, spotyka się z zaciekłym oporem. Z tych właśnie pozycji „M.K.” podejmuje atak przeciwko Sołżenicynowi, zarzuca mu pominięcie dorobku ZSRR i państw socjalistycznych w ogóle i stwierdza, że „Swoją” prawdę o swojej ojczyźnie” przedstawia i tym razem, zgodnie z podstawową tendencją swej twórczości w wypaczonym świetle”.

„M.K.” zdaje się zapominać o tym klasycznym dla socjalizmu naukowego dokumencie jakim jest Manifest Komunistyczny, w którym to jego autorzy stwierdzając, że „Burżuazja odegrała w historii rolę w najwyższym stopniu rewolucyjną” — i, że „w ciągu swego stuletniego zaledwie panowania klasowego [...] stworzyła siły twórcze bardziej masowe i kolosalne niż wszystkie poprzednie pokolenia razem” — równocześnie, właśnie kierując się „swoją” prawdą o rzeczywistości społecznej, proklamują, że robotnicy nie mają ojczyzny i wzywają masy ludowe do dokonania rewolucji i obalenia burżuazji, jako klasy panującej. Gdyby „M.K.” miał w pamięci powyższe stwierdzenia odkryłyby prostą prawdę, że różne składniki życia zbiorowego mają różną pozycję w społecznym procesie pracy, a przez to i różny punkt widzenia na tę samą rzeczywistość warunkujący „ich” prawdę o niej. Dopiero zsyntetyzowanie tych wszystkich poszczególnych widzeń stanowi prawdę o danej rzeczywistości społecznej. W przypadku Sołżenicyna należałoby więc stwierdzić, że jego głos jest równoważony głosami całych setek piewców naszych osiągnięć, zarówno tych rzeczywistych, jak i tych — jak się to z czasem okazuje — pozornych. Apłogeci ci w dotychczasowym okresie tak usilnie czynili swoją powinność, że aż całkowicie zagłuszyli głosy opinii społecznej i prowadzili Partię do — jak się to określa — oderwania jej od nas. Taka sytuacja zaś, jak uczy przeszłość, staje się źródłem tragicznych błędów i wypaczeń i wiedzie do wzajemnego przeciwstawienia się sił socjalistycznych. W wyniku takich bolesnych doświadczeń uformowała się postawa krytycznej i twórczej kontynuacji budownictwa socjalistycznego. Idzie więc, o to, by „Trybuna Ludu”, w publikacjach której czytelnik dopatruje się odbicia poglądów kierowniczych kół politycznych naszego państwa, nie służyła za forum dla poglądów, które przemyślane do końca muszą napaść grozą i są zaprzeczeniem, tej rodzącej nadzieję, wyżej wspomnianej postawy.

Ironią jest to, że autorzy takich artykułów jak „Nienawiść i dywersja” mogą powoływać się na politykę odprężenia i pokoju. Ludzie ci bowiem najwyraźniej nie są w stanie zrozumieć tego co stanowi istotę tej polityki, a co z łatwością spostrzegł jeden z najbardziej klasycznych reprezentantów wielkiego kapitału jakim jest minister finansów Francji V. Giscard d'Estaing i wyraził w stwierdzeniu, że nie widzi żadnych przeszkód w podjęciu rozmów z komunistą francuskim, jakim jest p. Marchais, skoro rozmowy takie prowadzi z komunistą polskim p. Gierkiem. Tej właśnie konsekwencji, na wewnątrz społeczeństwa, „M.K.” nie chce dopuścić. Nie chce pamiętać o tym, że przed laty — w wyniku tej właśnie polityki — setki tysięcy, a może i miliony (w tym podobno i Sołżenicyn) obywatele ZSRR i innych państw socjalistycznych odzyskało wolność, a dziś spodziewa się uzyskać w państwie socjalistycznym takie prawa obywatelskie, jakie posiadają już obywatele rozwiniętych państw kapitalistycznych. Oczywiście „M.K.” zaraz gotów jest powołać się na reżimy panujące w Hiszpanii, Portugalii czy Grecji i uzasadniać nie tylko brak wolności politycznej w kapitalizmie, ale i swój sprzeciw wobec liberalizacji stosunków politycznych w państwach socjalistycznych.

Nie trzeba chyba dowodzić, że argument taki jest zwyczajną demagogią polityczną, usiłującą narzucić opinii socjalistycznej taką koncepcję stosunków z państwami kapitalistycznymi, według której w gospodarce i rozwiązaniach społecznych będziemy się odnosić do tego co w kapitalizmie najlepsze, a w płaszczyźnie politycznej, do tego co w nim najgorsze, by w ten sposób „uzasadniać” własne niedomogi w tej dziedzinie.

Na szczęście, obecnie, siły demokratyczne Wschodu i Zachodu rozumieją dobrze, że w przeszłości maccarthyzm i stalinizm warunkowały się wzajemnie. Świadomość tego legła u podstaw dwustronnej akcji odprężeniowej powodując upadek tzw. żelaznej kurtyny. W następstwie tego, jako jeden z elementów odprężenia, było możliwe przyznanie w ostatnich latach aż trzem wybitnym pisarzom radzieckim nagrody Nobla. Fakt ten — w moim odczuciu — służy bardziej socjalizmowi niż wszystkie razem wzięte paszkwile napisane w związku z tym, w całym obozie socjalistycznym. Pogląd ten, zdaje sobie z tego sprawę, nie może przemawiać do ludzi, dla których autonomicznie myślący pisarz i postępujący zgodnie z własnym sumieniem człowiek nie będzie przedstawiał żadnej wartości, jeśli równocześnie nie będzie reprezentował tych samych co oni poglądów politycznych i służył tym samym co oni celom. Ta przyjęta bezpośredniość związku ocen politycznych i estetycznych, dostatecznie skompromitowana historią oficjalnego stosunku do takich twórców jak Hemingway, Sartre czy Fast, jak widać, nie może zostać przezwyciężona w podejściu pewnych kół do roli twórcy w społeczeństwie. Wartość jego i stosunek do niego — według tej postawy — jest nadal zależna od jego użyteczności... choćby pośmiertnej, jak to ma miejsce np. w przypadku Kazimierza Wierzyńskiego.

W poglądach tych kół nie ma miejsca na autonomię twórcy i sztuki, należną i konieczną zresztą każdej dziedzinie życia społecznego. Jak się wyraża wyrazem opinii tych właśnie kół jest artykuł „M.K.”. Jest rzeczą wiadomą, że nie wszyscy ludzie uzmysławiają sobie to samo w tym samym czasie. Niektórzy np. do dziś jeszcze nie uznają słuszności teorii Kopernika. Nie ma to jednak większego znaczenia w przypadku, kiedy poglądy takich ludzi są ich prywatną sprawą. Ale przecież nie jest tak w przypadku „M.K.”. Jego manifest wyrażany na łamach „Trybuny Ludu” ma określone znaczenie społeczne. Chodzi więc o to, by autorzy takich artykułów nie mogli kryć się za literami „M.K.”, ani za jakimikolwiek innymi. Jawność bowiem jest matką powściągliwości i przesłanką osobistej odpowiedzialności. To zaś należy uznać za pierwsze warunki uzdrowienia naszego życia publicznego.

Historia przekazała nam dobrą tradycję sojuszu sił demokratycznych Polski i Rosji. I aczkolwiek działanie tych sił w przeszłości warunkowane ich

odmienną pozycją: narodu uciskanego i narodu uciskającego, prowadziło do odmiennych koncepcji rozwiązań rewolucyjnych w imperium carskim, jak np. w sprawie prawa do bytu państwowego poszczególnych narodów tego imperium, to jednak od współdziałania tych sił zależało i nadal zależy bardzo wiele. Obecny sojusz państwa polskiego z państwem radzieckim musi mieć, jako swoje zaplecze społeczne, siły demokratyczne Polski i Związku Radzieckiego. Szczególnie my Polacy winniśmy o tym pamiętać skoro z doświadczeń historii rodziła się, przekazana nam przez pokolenia walczących o Polskę, prawda, że tylko Polska demokratyczna może być Polską suwerenną. Toteż każde odejście od tej prawdy jest politycznie niebezpieczne a w moim odczuciu, publikacja artykułu „M.K.” stanowi krok w tym kierunku. Jako obywatel nie czułbym się spokojny w swoim sumieniu, gdybym tego swojego odczucia nie przekazał Panu Redaktorowi, wyrażając jednocześnie nadzieję, że takie słowa jak „nienawiść” i „dywersja” znikną z łam „Trybuny Ludu”. Skoro przesłanką odprężenia międzynarodowego jest demokratyzacja wewnątrz-ustrojowa: zarówno wewnątrz-kapitalistyczna jak i wewnątrz-socjalistyczna — w czym nie wszyscy na Zachodzie i na Wschodzie są zainteresowani — to celem bezpośrednim jest tworzenie atmosfery dialogu, jako alternatywnej wobec atmosfery terrorku i obłudy.

Naród nasz ma chlubne tradycje wolności i z tego depozytu winniśmy chcieć i umieć uczynić dla siebie atut, jako partnera w wielkim dziele budowy pokoju i demokracji w Europie i świecie. Jestem przekonany, że większość Polaków jest tego samego zdania.

Łódź, dnia 14 stycznia 1974 r.

Z poważaniem,

Karol GŁOGOWSKI
(Łódź, ul. Sanocka 24 m. 61)

Paryż, 14 czerwca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze czerwcowym *Kultury* znalazłem dwie notatki pod wspólnym tytułem „Problemy polskie w wyborach prezydenckich we Francji”: pierwsza wspominała o utworzeniu się Komitetu Poparcia kandydatury Jacques Chaban-Delmasa i o odbyciu się zebrania klubu „Przyszłość” w Lille, druga — była przedrukiem „Oświadczenia p. Mitterranda w sprawach polskich” zamieszczonego w *Narodowcu* przez p. Jana Ostrowskiego.

Cieszę się ogromnie z zainteresowania *Kultury* sprawami Polaków-obywateli francuskich, martwi mnie jednak, że informacje zamieszczone w Pana piśmie są dosyć... fragmentaryczne. Po pierwsze, komitetów poparcia kandydatury Chaban-Delmasa było dwa; drugiemu przewodniczył p. Ryszard Pietrzak. Po drugie, oba komitety wydały każdy po jednej ulotce na powielaczku; ulotki te (jedna w nakładzie 300 egz.) zdaje się poza Paryż nie wyszły. Przed pierwszą turą głosowania p. Giscard d'Estaing wystosował list do wszystkich księży polskich; było to wynikiem inicjatywy polskiego zespołu popierającego obecnego Prezydenta; zespół ten miał swoją siedzibę w Lille, a jego duszą był p. Ryszard Ptaszyński.

Wreszcie, działalność Komitetu Wyborczego Polaków-Naturalizowanych, istniejącego od 1953 roku i od swego założenia biorącego udział we wszystkich kampaniach wyborczych we Francji. Zgodnie ze swoją tradycją, Komitet przed pierwszą turą głosowania nie opowiedział się za żadnym kandydatem, ale przestrzegał przed głosowaniem na p. Mitterranda, tylko dlatego że był związany z Francuską Partią Komunistyczną, odradzał głosowania na

kandydatów... folklorystycznych i wzywał do uczestnictwa w wyborach. Przed drugą turą, Komitet wypowiedział się za p. V. Giscard d'Estaing, bo był to jedyny kandydat niezwiązany z komunistami. (W roku 1969, kiedy kontr-kandydatem p. Pompidou był p. A. Poher — Komitet nie opowiedział się za jednym z kandydatów nawet przed drugą turą).

Komitet wydał przed pierwszą turą 50.000 ulotek rozpowszechnionych w całej Francji. List p. Giscard d'Estaing do Polaków (pierwszy w historii Polonii francuskiej!) wydany z inicjatywy Komitetu Wyborczego miał też 50.000 nakładu. Poza tym Komitet kolportował także i inne dokumenty propagandowe.

Wzmianki o akcji wyborczej Komitetu, a także i pełny tekst listu p. V. Giscard d'Estaing zamieściły: *Dziennik Związkowy* w Chicago, *Nowy Dziennik* w Nowym Jorku, *Dziennik Polski* w Londynie i *Ostatnie Wiadomości* w Mannheim; *Polska w Europie* wyszła przed ukazaniem się Listu i zamieściła tylko ulotkę Komitetu.

Dla wyjaśnienia należy dodać, że komitety poparcia takiej czy innej kandydatury nie są w żadnym wypadku jakąś „konkurencją” dla Komitetu Wyborczego. Przeciwnie, stara się on, żeby każda partia nie-komunistyczna posiadała swój polski zespół, i to nie tylko przed wyborami. Dlatego też Komitet podziękował zarówno p. J. Ostrowskiemu, jak i komitetom poparcia p. Chaban-Delmasa za ich inicjatywę, która przyczyniła się do propagandy problematyki polskiej we Francji.

Brak informacji o działalności Komitetu Wyborczego w *Kulturze* nie pozwolił m.in. czytelnikom Pana pisma zrozumieć, że „Oświadczenie p. Mitterranda” (podpisane niestety tylko przez p. Ostrowskiego) było odpowiedzią na list p. Giscard d'Estaing do Polaków.

W akcji wyborczej na odcinku polskim nie brakło także momentów komicznych. W jednym z dzienników prowincjonalnych ukazała się kilkowieśzowa wzmianka, że „organizacja X, której prezesem jest p. Y.Z. (pełne imię i nazwisko!) udziela swoim członkom zupełnej swobody wypowiedzenia się za tym czy innym kandydatem. Biedni Francuzi nie wiedzieli, że organizacja X ma ok. 70 członków, w tym 50 bez prawa głosowania! To detal, ale nazwisko prezesa ukazało się w dzienniku: kłania się Grażyna Nowak!

Dla archiwów *Kultury* przekazuję materiał wyborczy Komitetu. Może się przyda!

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia,

Jerzy JANKOWSKI

Jestem wdzięczny Pani Grażynie Nowak, że śmiało i bezkompromisowo pisuje w *Kulturze* o naszych narodowych wadach, ujawniających się zarówno wśród emigracji, jak i wśród ludzi w kraju. Jest to wreszcie jakieś świeże powietrze, które powinno przywrócić wielu z nas poczucie rzeczywistości, świadomość naszej własnej niedoskonałości, a zarazem wyrwać nas z klimatu wygodnictwa i samo-zadowolenia. W *Kulturze* z kwietnia br. (nr 4/319) Pani Nowak porusza kwestię bardzo drażliwą, gdyż dotyczącą stosunków między nami i rodakami z kraju. Jej zdaniem, te stosunki bywają nieraz niezdrowe, oparte na naszym poczuciu winy, że jakoby opływamy w dostatki a oni tam w kraju cierpią i trwają „na pozycjach”, a z drugiej strony na ich poczuciu że im się jakoby wszystko święcie od nas należy. Oczywiście, tylko jakaś część rodaków zachowuje się w sposób wręcz bezczelny, jak to opisuje Pani Nowak. Jednakże problem niewątpliwie istnieje i trzeba poświęcić mu choćby nieco uwagi.

Przed wszystkim, sytuacja naszych rodaków w kraju w skali ogólnej i porównawczej nie jest rozpaczliwa, z wyjątkiem ludzi starych i nieule-

czalnie chorych, dla których rzeczywiście jest jak dotąd niewiele miejsc w odpowiednich domach opieki. Nieustanne porównywanie Polski z wysoko rozwiniętymi gospodarczo krajami zachodnimi nie ma większego sensu, gdyż Polska jest po prostu na innym poziomie rozwoju. Dochód narodowy na mieszkańca jest w USA cztery razy większy niż w Polsce, a w Kanadzie niemal trzy razy większy — i to się liczy przede wszystkim. Przy wszystkich niewątpliwych niedoskonałościach systemu wysoce biurokratyzowanego i niezdolnego do dalszych jakościowych skoków, systemu hamującego ludzką inicjatywę i nieraz odbierającego ludziom ochotę do działania, Polska stoi dziś bez porównania wyżej od wielu innych krajów gospodarczo, społecznie, a nawet w sensie wewnętrznego ładu i porządku. Nie wolno zapominać, że wprawdzie w Polsce trudno o części samochodowe i zdarza się nawet niekiedy, że kelner wręcz pobije gościa w gospodzie, ale w tym samym czasie na terenie Afryki centralnej ludzie masowo umierają z głodu, na terenie Ameryki Południowej młode kobiety są gwałcone i torturowane przez policjantów, a studenci azjatyccy walczą i giną daremnie przeciw skorumpowanym lokalnym kacykom.

Udzielanie rodakom pomocy przez nas, ludzi na emigracji, jest ze wszechmiar wskazane w przypadkach uzasadnionych. Nie można jednak tego traktować jako jakiegoś bezwzględnie obowiązującego nas tylko w stosunku do naszych rodaków, natomiast niejako zwalniającego nas moralnie od pomagania nie-Polakom. Jeśli właśnie teraz dzieci afrykańskie giną z głodu, to nie powinniśmy o nich zapominać. Pomaganie rodakom z kraju powinno dotyczyć przede wszystkim przypadków ludzi rzeczywiście bezsilnych na skutek okoliczności niezależnych od nich samych. Warto też wydatnie pomóc ludziom do lepszego startu życiowego. Z drugiej jednak strony ludzie oczekujący od nas pomocy również ze swojej strony muszą okazać dobrą wolę. Sam wiem z własnego doświadczenia, że zabiegi o zatrudnienie czasowe polskich kandydatów na uniwersytetach północno-amerykańskich rozbiły się o zwykłe niedbalstwo osób zainteresowanych. Nie chciało im się samemu napisać, sporządzić porządnego życiorysu, odpowiadać rzeczowo na listy, w ogóle zachowywać się odpowiedzialnie. Jeśli dana miejscowa placówka naukowa raz przekona się, że kandydatów z Polski trudno jest traktować na serio, potem będzie tym trudniej cokolwiek załatwić. Nieustanne oglądanie się na innych przez niektórych ludzi z Polski, szukanie wyręki, wygłanianie się od zrobienia czegoś rzekomą nieznajomością miejscowych stosunków i języka, poważnie osłabiają perspektywę rzeczywistej pomocy.

Zmierzam do tego wniosku, że ludzie w każdej sytuacji muszą przede wszystkim pomóc sami sobie i że przyzwoite zachowanie się obowiązuje zawsze i wszędzie. Narodowe zadęcie na męczenników, którym jakoby cały świat powinien okazywać tliłość i pomoc, wprost nieuchronnie musi prowadzić do fatalnych skutków. Miałem sporo w życiu do czynienia z zapoznanymi geniuszami, których rzekoma wyjątkowość miała usprawiedliwiać niewywiązywanie się z niczego, chroniczne spóźnianie się wszędzie, ciągłe zaciąganie pożyczek (oczekiwanie zwrotu było traktowane jako zgoda nieprzyzwoitość), pouczenie otoczenia co i jak być powinno (o, te rzekome powinności patriotyczne, koleżeńskie, rodzinne itd.), oddawanie się nałogom, nabieranie płci odmiennej na miłość, a także oczekiwanie od otoczenia nieustannej litości. W warunkach ustroju biurokratyzowanego błaga staje się monetą obiegową, bo przecież wszystko jest w jakimś stopniu udane i umowne, więc mizdrząc się można zrobić dobry interes. Pamiętam zmiany mody w tym względzie. W latach czterdziestych w Polsce mnóstwo kręciło się pseudo-partyzantów, którzy nigdy prochu nie powąchalili, ale dobrze wiedzieli czym imponować publiczności (prawdziwi partyzanci siedzieli wtedy cicho aby nie trafić do mamra). Potem przyszły kolejne mody na pseudo-specjalistów, pseudo-intelektualistów, pseudo-podróźników itd.

Pozerstwo ma wprawdzie krótkie nogi, ale można się nim posłużyć z korzyścią dla siebie. Nie w tym rzecz, że emigranci nabierani są przez rodaków z kraju na stopy lekarstw idących na handel, a także na różne luksusowe przedmioty, pozwalające na uprawianie życia na niby i imponowanie otoczeniu zagranicznymi ciuchami. To jeszcze sprawa stosunkowo małej wagi. Natomiast najgorsze jest dostarczanie zza granicy środków dla kontynuowania narodowego zadęcia, zamiast spojrzeć prawdzie w oczy i wziąć się do czegoś rzeczywiście pożytecznego. Pani Nowak barwnie charakteryzuje różnicę między pretensjonalnymi darmozjadami z kraju, utrzymywanymi przez ciężko pracujących krewnych z Anglii, a tymi właśnie krewnymi. Rzekome cierpienia, jakich te darmozjady w przeszłości zaznały, usprawiedliwiają w ich oczach wręcz ograbianie ludzi autentycznie pracujących, a przy tym znajdujących się w bynajmniej nie łatwej roli emigrantów.

Wątkoń jest przecież tylko wątkiem i nie należy go odziewać w szaty narodowego męczeństwa. Kto twierdzi dziś, że służył Partii i państwu w sposób wyraźnie szkodliwy dla dobra ogólnego tylko dlatego, że go zmuszono, to może po prostu kłamać. Istnieje w Polsce wiele możliwości uczciwej i pożytecznej pracy; trzeba tylko zdecydować się na drogę trudniejszą, a nie iść na życiową łatwiznę. Przekonywanie zza granicy ludzi w Polsce że w gruncie rzeczy takich możliwości w ogóle nie ma i że każdy jest męczennikiem — jest działaniem na szkodę długofalowych narodowych interesów. Właśnie bowiem ludzie, którzy jakoby nie widzą żadnego wyboru, są szczególnie skłonni iść na najgorsze i działać na szkodę ogólną. To oni obniżają poziom pracy naukowej i artystycznej, partolą gdzie mogą, podstawiają jedni drugim nogę, usiłują wszystkich do wszystkiego zniechęcić. Powszechne załamywanie rąk jest w gruncie rzeczy najlepszą gwarancją utrzymania systemu totalitarnego. Wypełnienie z kraju całego szeregu wartościowych pracowników naukowych, technicznych, medycznych i artystycznych było, moim zdaniem, robotą nie tyle typych aparatczyków, ile przede wszystkim cynicznych cwaniaków, którym chodziło o zwolnienie pewnej ilości dobrych posad dla obsadzenia ich kolesiami. Może kiedyś zostaną ujawnione publicznie okoliczności w jakich ludzie potrzebni polskiemu społeczeństwu zostali gruntownie zniechęceni, zawiedzeni i faktycznie wyeliminowani. Proces społeczno-moralnego rozkładu systemu będzie prowadził raz po raz do podobnego rodzaju fal masowej eliminacji. Emigracja z Czechosłowacji przy końcu lat sześćdziesiątych była w tym względzie dobrym przykładem.

Aleksander MATEJKO

Nowy Jork, 15 maja 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W swojej odpowiedzi na obronę Adama Podgóreckiego przez Aleksandra Matejkę i Jerzego Langroda, Roman Karst pominął moment, który wydaje mi się niezwykle istotny, a mianowicie sprawę „kto komu”. Korzystając z obecnej wizyty w Nowym Jorku z ciekawości przejrzałem książkę Karsta pt. *Pisarze i książki*, wydaną w okresie szczytu stalinizmu, i pozostał mi po niej jedynie niesmak. Adama Podgóreckiego znam osobiście, i jak wiele osób w Polsce i poza nią uważam go jako człowieka wartościowego, który zachował się porządnie także i w okresie stalinizmu, kiedy to Karst należał najwidoczniej do ludzi uprzywilejowanych i zasłużonych Partii. Gdybyśmy nawet założyli, że Podgóreckiego można krytykować czy ganić za jego wkład do WEP (a na to trzeba by mieć więcej danych i bardziej obiektywne podejście aniżeli zdobyć się na to może Karst) to sądzę że ze względów prostej przyzwoitości nie jest powołaniem do tego Karst, którego przeszłość najwyraźniej nie stanowi rekojmy niezależności osądów.

W obronie swojego niefortunnego wystąpienia Karst sugeruje, że to co napisał o Petrażyckim Mieczysław Maneli jest obiektywne, i że nie powinno być to zmienione. Nie wdając się w dyskusję nad autorem i hasłem chciałbym wyrazić zdziwienie, że Karst oczekuje aby encyklopedie miały jednolite podejście do omawianych przez nie haseł. Może tak być w Związku Sowieckim, ale nie jest tak na Zachodzie, bo my tu zakładamy że poglądy i osady mogą się różnić, i że żadna partia czy Partia nie jest w stanie narzucać redaktorom jednolitej polityki. Dla sprawdzenia tego faktu przejrzałem kilka haseł w trzech encyklopediach zachodnich i stwierdziłem różnice tak w ujęciu, jak i w umieszczeniu haseł. Poza tym, gdybyśmy posunęli żądanie Karsta trochę dalej, w sferę tematyki np. literackiej, i to tematyki bardziej gruntownie już przedyskutowanej niż działalność Petrażyckiego, to sam Karst nie miałby prawa do napisania swoich prawomyślnych esejów na temat Gogola, Tolstoja, Gorkiego, Goethego czy Schillera, esejów przedrukowanych *nota-bene* w dużej ilości egzemplarzy w 1953 roku.

Wreszcie użycie przez Karsta argumentu, że redaktorzy Suplementu WEP pominieli naukowy dorobek Podgóreckiego, i że wobec tego pozytyw-na ocena tego dorobku przez Langroda i Matejkę jest może bezpodstawna, wydaje mi się co najmniej dziwne. Czyżby Karst zalecał czytelnikom *Kultury* aby oceniali polskich uczonych według rozeznania partyjnych aparatczyków? A może nagle zaczął on cierpieć na czkawkę własnej przeszłości?

Mam nadzieję, że neofici rzeczywistej demokracji nie będą w przyszłości używać łamów *Kultury* na osobiste porachunki z ludźmi którzy zdali już dawno egzamin moralności życiowej i zawodowej, i którzy z lepszych podstaw mogliby krytykować tychże neofitów. Popieram politykę *Kultury* dania forum wszystkim świeżym przybyszom z Polski, którzy mają coś do powiedzenia, ale sądzę, że ich wypowiedzi powinny być utrzymane w ramach podstawowego smaku i przyzwoitości.

Łączę wyrazy poważania,

Bogdan MIECZKOWSKI

Drukujemy poniżej treść listu wysłanego przez Czesława Miłosza do Sekretarza Generalnego Polskiego PEN Clubu.

31 maja 1974.

WPan Władysław Bartoszewski
Sekretarz Generalny
Polskiego PEN Clubu
w Warszawie

Wielce Szanowny Panie,

Parę miesięcy temu doszły mnie wieści, że ukazała się, nakładem PIW'u, antologia poezji polskiej opracowana przez Stanisława Grochowiaka i Janusza Maciejewskiego, i że są tam moje wiersze. Niedawno otrzymałem od właściciela prywatnego księgozbioru xeroxową odbitkę stronic z moimi wierszami.

Otóż nikt z PIW'u ze mną się nie porozumiewał i nie przysłało mi nawet egzemplarza. Kiedy kilka lat temu przygotowywałem moją antologię „Post-war Polish Poetry” firma Doubleday w New Yorku (następnie książkę tę przedrukował Penguin) zwróciła się do każdego z figurujących w antologii poetów i nawet prowadziła obszerną korespondencję z jednym z nich, kiedy zgłosił jakieś zastrzeżenia czy dezzyderaty. Przykro mi, że nowojorska firma złożyła dowód dobrych obyczajów wobec cudzoziemskich poetów, natomiast polska firma nie zdobyła się na to wobec polskiego poety.

Wysłanie listu do mnie nie by PIW nie kosztowało, bo niewątpliwie nie udzieliłbym odpowiedzi odmownej. Nie ukrywam jednak, że wybór moich wierszy przez redaktorów antologii zadziwił mnie. Wskutek lekkiej zmiany proporcji czytelnik otrzymał obraz niemal barda narodowego, do której to roli nie czuję się powołany.

Zwracam się do Polskiego PEN Clubu jako polski poeta i członek Międzynarodowego PEN Clubu z prośbą o wzięcie w obronę moich uprawnień autorskich i o zapobieżenie podobnym wypadkom na przyszłość. Niewątpliwie każdy z PEN Clubów stoi na stanowisku, że autor ma prawo dysponować swoimi utworami. Słyszałem, choć nie wiem czy są to pogłoski prawdziwe, że Czytelnik nosi się z zamiarem wydania mego tomu wierszy. Stwierdzam, że ani z Czytelnikiem ani z PIW'em nie podpisałem na taki tom żadnego kontraktu. Pogwałcenie praw autorskich jest zawsze sprawą poważną i nie obywa się bez szerszego rozgłosu, czego wolałbym uniknąć.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku,

Czesław MIŁOSZ

Erie, 25 maja 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule Adama Nasielskiego „Początek końca” w nr. 5/320 *Kultury*, jest zdanie: „Od początku swego ukazania się prasa polska w Australii była stworzona przez elitę dla elity; była scholastycznie polityczna i przeto nie przyciągała szerszych mas...”.

Mała poprawka. Jednym z pierwszych pism polskich w Australii był *Tygodnik Katolicki*, poprzednik obecnego *Tygodnika Polskiego*. Byłem skromnym współpracownikiem (a przede wszystkim po prostu kolporterem) T.K. w rejonie sydneyjskim i wiem, że ks. K. E. Trzeciak, założyciel i dość długoletni redaktor, był zdecydowanym przeciwnikiem jakiegokolwiek elitaryzmu. Zamieszczał artykuły zgoda popularne i praktyczne, nawet rady i rysunki dla emigrantów biorących się do budowy własnych domów własnymi rękami. Usuwał z nadsyłanych artykułów tak zwane „wyrazy obce”, zależało mu na „szerokich rzeszach”, a nie na żadnej elicie. T.K. był z jego czasów na pewno najpoczytniejszym pismem polskim i „trafiał pod strzechy”. I na pewno nie był pismem politycznym, tyle że zwalczał wszystko co pachniało takim czy innym marksizmem.

Ks. Wojciech SOJKA

New Haven, 7 czerwca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką radością odnotowałem fakt ukazania się na łamach *Kultury* doskonałego artykułu M. Brońskiego, poświęconego twórczości wielkiego rosyjsko-amerykańskiego pisarza Wł. Nabokowa. Ponieważ polski czytelnik jest raczej mało obeznany z całokształtem twórczości Nabokowa, pozwolę sobie dodać pewne uwagi i uściślenia do w/w artykułu.

Na wstępie p. Broński pisze, że bibliografia Nabokowa składa się m.in. z bliżej niesprecyzowanej liczby problemów szachowych opublikowanych w rosyjskich pismach emigracyjnych lat 1920-40. Otóż to nie jest zupełnie tak. W 1970 roku McGraw-Hill Book Company w New Yorku wydała niezwykłą książkę Nabokowa pt. „Poems and Problems” (nie wiem dlaczego p. Broński pominął tę książkę milczeniem). Ostatni jej rozdział — to urzekający świat kompozycji szachowej, reprezentowany przez 18 problemów szachowych. Ich melodia i klasyczna budowa całkowicie komponują się z wierszami Nabokowa, również znajdującymi się w tej książce. Wiersze te są

pozbawione bizantyjskiego ornamentu, wszystko w nich technicznie precyzyjnie i jest uwarunkowane, tak jak w problemach szachowych. Te 18 problemów powstały w latach 60-tych, a nie 40-tych. A więc, istotna luka w bibliografii szachowej Nabokowa.

„Obrona Łużyna” rzeczywiście podbiła serca emigracji rosyjskiej, a największy hołd złożył jej (oprócz Chodasiewicza) rosyjski poeta Walery Piereleszyn, który w Charbinie napisał jeden z najlepszych w poezji rosyjskiej wierszy o tematyce szachowej pt. „Zaszczyta Łużyna”.

Chociaż p. Broński przytacza opinię Nabokowa, „że poezja jest zasadniczo nieprzetłumaczalna”, wiersze w „Poems and Problems” obalają to twierdzenie, gdyż obok 39 wierszy w języku rosyjskim znajduje się ich wspaniałe tłumaczenie na angielski, dokonane przez samego mistrza.

Szkoda, że przytaczając wypowiedzi Nabokowa o emigracji, p. Broński nie wspominał o jednym z najpiękniejszych wierszy w rosyjskiej poezji politycznej, napisanym przez Nabokowa w 1944 roku: „Kakim by połotnom batalnym”, „No matter now”..., w którym Nabokow rezygnuje ze „sławy kupelnoej krowju” (według celnego określenia Lermontowa).

I jeszcze słów kilka o niepozbawionym pikanterii stosunku Nabokowa do rosyjskich laureatów nagrody Nobla. Bunina jako poetę Nabokow ceni, niestety Szołochowa umieszcza na jednej wysokości z Pasternakiem. W swoim posłowniu do rosyjskiej wersji „Lolity” Nabokow m.in. pisze, że emigracja rosyjska zaczytuje się sowieckimi powieściami, pasjonując się papierowymi eichymi domkami, lub tym lirycznym doktorkiem, który przyniósł rządowi sowieckiemu tyle dewiz (nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o „Cichy Don” Szołochowa i „Doktora Żiwago” Pasternaka).

Z poważaniem,

E. SZTEIN

W związku z przygotowywaniem monografii o gen. Kutrzebie ppłk Stanisław Żochowski zwraca się z prośbą o nadsyłanie wszystkich materiałów, wspomnień, charakterystyk związanych z generałem Kutrzebą lub współpracą z nim.

Ponadto ppłk Żochowski prosi o materiały dotyczące prac Wojska Polskiego dla cywilnego społeczeństwa polskiego w Niemczech i we Włoszech po uwolnieniu w 1945 roku.

Materiały należy nadsyłać pod adresem:

ppłk STANISŁAW ŻOCHOWSKI,
83, UNDERWOOD ROAD, EIGHT MILE PLAINS,
BRISBANE QLD. 4122. — AUSTRALIA.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1974.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al. Barao de Lima 1022, ap. 74. CELIS., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F. 90,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,05
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV. 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Osetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA , Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 246 — SERIA « DOKUMENTY »

ZESZYT 42

POWSZECHNA DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim,
słowackim i ukraińskim.

Str. 64.

Cena F. 10 (dol. 2,50)



TOM 247 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUłag

Tom I-szy

Str. 560.

Cena F. 60 (dol. 13)